

# Cyrk potępienców

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27



# CYRK POTĘPIEŃCÓW

(Przełożył: Robert P. Lipski)

Zysk i S-ka 2004

1

Pod paznokciami miałam zaschniętą kurzą krew. Kiedy zawodowo zajmujesz się ozywianiem zmarłych, musisz być gotowa przelać odrobinę tej krwi. Zaschnięte ślady posoki miałam także na twarzy i rękach. Staralam się nieco doprowadzić do porządku, zanim przyszłam na to spotkanie, ale z niektórymi plamami na ciele może sobie poradzić wyłącznie prysznic. Upiłam łyk kawy z mojego kubka z napisem: „Jak mnie wkurzysz, pożałujesz”, i spojrzałam na siedzących naprzeciwko mnie dwóch mężczyzn.

Jeremy Ruebens był niski, ciemnowłosy i opryskliwy. Zawsze gdy go widziałam, miał posępną minę albo krzyczał. Drobne rysy twarzy skupiały się w samym jej środku, jakby zebrała je tam dłoń olbrzyma, zanim jeszcze glina zdążyła zaschnąć.

Przyglądził klapy płaszcza, poprawił granatowy krawat, spinkę do krawata i kołnierzyk białej koszuli. Dłonie na moment oparł złączone na udach, ale zaraz znów zaczęły swój taniec - płaszcz, krawat, spinka, kołnierzyk, uda.

Stwierdziłam, że zniosę to widowisko nie więcej niż pięć razy, zanim zacznę błagać o litość i zgodzę się na wszystko, czego zażąda.

Drugim mężczyzną był Karl Inger. Nigdy go wcześniej nie spotkałam. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Stojąc, górował nad Ruebensem i nade mną. Kręcone, krótko przycięte rude włosy okalały pokaźne oblicze. Miał również spore baki, które łączyły się z najgęstszymi wąsami, jakie kiedykolwiek widziałam. Baki i wąsy były starannie ułożone, jedynie włosy w nieładzie. Może miał kiepski dzień.

Dłonie Ruebensa już po raz czwarty rozpoczęły swój taniec. Uznałam jednak, że cztery powtórki to mój limit wytrzymałości. Miałam ochotę obejść biurko, złapać go za ręce i wrzasnąć: „Przestań!”, ale nawet jak na mnie byłoby to nazbyt aroganckie.

- Nie przypominam sobie, abyś był tak nerwowy, Ruebens - rzuciłam.

Spojrzał na mnie.

- Nerwowy?

Skinęłam na jego dłonie bez końca powtarzające te same czynności. Zmarszczył brwi i położył dłonie na udach. Pozostały tam nieruchome. Oto przykład doskonałej samokontroli.

- Nie jestem nerwowy, pani Blake.

- Panno Blake. Czemu więc jest pan taki zdenerwowany, panie Ruebens? - Upiłam łyk kawy.

- Nie zwykłem prosić o pomoc ludzi pani pokroju.

- Ludzi mojego pokroju? - Musiałam zadać to pytanie.

Chrząknął.

- Wie pani, o co mi chodzi.

- Nie, panie Ruebens, nie wiem.

- No cóż... królowa żywych trupów... - Przerwał gwałtownie.

Byłam coraz bardziej wkurzona i chyba to było po mnie widać.

- Bez urazy - mruknął półgłosem.

- Jeżeli przyszedł pan tu, żeby obrzucać mnie obelgami, proszę w tej chwili opuścić mój gabinet.

Jeśli ma pan do mnie jakiś interes, słucham. Niech pan powie, co ma do powiedzenia i jak najszybciej znikaj stąd.

Ruebens wstał.

- Mówiłem, że ona nam nie pomoże.

- W czym miałabym panom pomóc? Jak dotąd nie usłyszałam niczego konkretnego wycodziłam przez zęby.

- Może powinniśmy jej powiedzieć, dlaczego tu przyszliśmy - odezwał się Inger. Miał głęboki, miły dla ucha głos. Silny, dźwięczny bas.

Ruebens wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze przez nos.

- No dobrze. - Ponownie usiadł. - Gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, byłem członkiem ugrupowania Ludzie Przeciwko Wampirom, w skrócie LPW. - Skinęłam zachęcająco głową i napiłam się kawy. - Od tego czasu założyłem nową grupę - Najpierw Ludzie. Przyświeca nam ten sam cel co LPW, ale posługujemy się o wiele bardziej bezpośrednimi metodami.

Spojrzałam na niego. Głównym celem LPW było ponowne zdelegalizowanie wampirów, aby można było polować na nie jak na zwierzęta. Mnie to odpowiadało. Byłam pogromczynią, łowczynią czy zabójczynią wampirów. Jak zwał, tak zwał. Pełnię funkcję ich egzekutorki. Aby unicestwić jakiegoś krwio pijcę, muszę teraz dysponować sądowym nakazem egzekucji, w przeciwnym razie może to zostać uznane za morderstwo. Aby otrzymać nakaz, należy udowodnić, że dany wampir stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, innymi słowy trzeba czekać, aż wampir zacznie zabijać ludzi; najmniejsza liczba ofiar to pięć, najwyższa dwadzieścia trzy. To sporo trupów. W dawnych, dobrych czasach wampira można było zlikwidować przy pierwszej lepszej okazji.

- Co konkretnie oznacza zwrot: „bardziej bezpośrednie metody”?

- Przecież pani wie - odparł Ruebens.

- Nie - mruknęłam. - Nie wiem. - To znaczy domyślałam się, ale chciałam to usłyszeć od niego. LPW nie zdołała zdyskredytować wampirów za pośrednictwem mediów czy też na arenie politycznej. NL postawiła sobie za cel unicestwienie ich wszystkich. Uśmiechnęłam się nad kubkiem z kawą. - Zamierza pan wybić wszystkie wampiry na terenie Stanów Zjednoczonych?

- Taki mamy cel - przyznał.

- To morderstwo.

- Zabijała pani wampiry. Czy naprawdę uważa pani, że to morderstwo?

Tym razem to ja wzięłam głęboki oddech. Jeszcze parę miesięcy temu powiedziałabym: „Nie”. Teraz już sama nie wiedziałam.

- Nie mam co do tego pewności, panie Ruebens.

- Jeśli ta nowa ustawa zostanie przeforsowana, panno Blake, wampiry otrzymają prawo głosu. Czy to pani nie przeraża?

- Owszem, tak - przyznałam.

- Wobec tego proszę nam pomóc.

- Przestań dreptać w kółko, Ruebens, przejdź do rzeczy. Czego właściwie chcesz?

- No dobrze. Powiem. Chcemy poznać położenie dziennej kryjówki wampirzego Mistrza Miasta.

Patrzyłam na niego przez parę sekund.

- Serio?

- Jak najbardziej, panno Blake.

Uśmiechnęłam się ponownie.

- Skąd przypuszczenie, że wiem, gdzie za dnia ukrywa się tutejszy Mistrz?

Tym razem to Inger odpowiedział.

- Panno Blake, skończmy te gierki. Skoro my przyznaliśmy się do zamiaru popełnienia morderstwa, pani może przyznać się nam, że zna Mistrza. - Uśmiechnął się łagodnie.

- Proszę powiedzieć, skąd ma pan tę informację, a ja być może ją potwierdzę albo nie. Jego uśmiech nieznacznie się poszerzył.

- I kto teraz lawiruje?

Miał rację.

- A jeśli potwierdzę, że znam Mistrza, co wtedy?

- Proszę zdradzić nam położenie jego dziennej kryjówki - rzekł Ruebens.

Wychylił się do przodu z żarliwym, niemal tęsknym wyrazem twarzy. Nie pochlebiło mi to. Nie ja wprawiłam go w stan bliski ekstazy. Podnieciła go myśl o zakołkowaniu Mistrza.

- Skąd wiesz, że Mistrz jest mężczyzną?

- W „Post-Dispatch” pojawił się kiedyś artykuł. Co prawda nie padły w nim żadne imiona ani konkrety, ale można było wywnioskować, że ta istota jest rodzaju męskiego odparł Ruebens.

Ciekawe, jak zareagowałby Jean-Claude na wieść, że ktoś nazwał go „istotą”. Wołałam nie wiedzieć.

- Podam wam adres, a wy pójdziecie tam i co, przebijecie mu serce kołkiem? Ruebens pokiwał głową. Inger uśmiechnął się. Skrzywiłam się. - Raczej nie.

- Odmawia pani? - spytał Ruebens. - Nie chce nam pani pomóc?

- Nie. Po prostu nie wiem, gdzie znajduje się dzienna kryjówka Mistrza. - Z prawdziwą ulgą powiedziałam prawdę.

- Kłamie pani, aby go chronić - rzucił Ruebens. Jego oblicze spochmurniało, na czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- Naprawdę nie mogę panom pomóc. Nie wiem, gdzie to jest. Gdybyście chcieli ożywić jakiegoś nieboszczyka, możemy porozmawiać, ale poza tym... - Nie dokończyłam, posyłając moim rozmówcom szeroki zawodowy uśmiech. Nie zrobiło to na nich wrażenia.

- Zgodziliśmy się spotkać z panią o tej bezbożnej godzinie i zapłaciliśmy niemałą sumkę za konsultację. Sądzę, że zasługujemy na choćby odrobinę życzliwości z pani strony. Miałam ochotę powiedzieć: „To wy zaczęliście”, ale zabrzmiałoby to dziecinnie.

- Zaproponowałam panom kawę. Odmówiliście.

Ruebens miał coraz bardziej ponurą minę, wokół jego oczu pojawiły się gniewne zmarszczki.

- Czy wszystkich klientów traktuje pani... w ten sposób?

- Gdy spotkaliśmy się ostatnio, nazwał mnie pan miłującą zombi suką. Nic panu nie jestem winna.

- Przyjęła pani nasze pieniądze.

- Nie ja. Mój szef.

- Przyszliśmy tu bladym świtem. Może dojdziemy do porozumienia.

Nie miałam na to ochoty, ale Bert wziął już od nich pieniądze. Musiałam trochę się ugiąć. Umówiłam się na spotkanie o świcie, po całej nocy ciężkiej pracy. Nawet nie zmrużyłam oka. Chciałam potem pojechać do domu i przespać się bite osiem godzin. Oby Ruebensa dopadła dziś bezsenność.

- Czy mogłaby pani dowiedzieć się, gdzie Mistrz przebywa za dnia? - zapytał Inger.

- Być może, ale nawet gdybym się dowiedziała i tak nie przekazałabym wam tej informacji.

- A to dlaczego? - spytał.

- Bo jest z nim w zмовie - wtrącił Ruebens.

- Cicho, Jeremy. - Ruebens chciał zaprotestować, ale Inger nie dał mu dojść do głosu.

- Proszę, Jeremy, dla dobra sprawy. - Ruebens z trudem tłumił w sobie gniew, ale jakoś mu się to udało. Był opanowany. - Dlaczego nie, panno Blake? - Inger spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą,

radosne iskierki w jego oczach stopniały jak zeszloryczny śnieg.

- Zabijałam już wampirzych mistrzów, ale jak dotąd ani jednego za pomocą kołka.

- Wobec tego jak?

Uśmiechnęłam się.

- Nie, panie Inger, jeśli liczy pan na wykład z dziedziny gromienia wampirów, musi pan udać się gdzie indziej. Już za sam fakt, że odpowiadam na pańskie pytania, mogłabym zostać oskarżona o współudział w morderstwie.

- Powiedziałyby nam pani, gdybyśmy opracowali lepszy plan? - spytał Inger.

Zamyśliłam się przez chwilę. Jean-Claude unicestwiony raz na zawsze. Naprawdę. Tak, to z pewnością ułatwiłoby mi życie, ale... ale.

- Nie wiem - odparłam.

- Dlaczego nie?

- Bo uważam, że on by was zabił. Nie wydaję ludzi potworom, panie Inger, nawet tych, którzy mnie nienawidzą.

- Nie żywimy względem pani nienawiści, panno Blake.

Skinęłam kubkiem z kawą w stronę Ruebensa.

- Pan może nie, ale on na pewno.

Ruebens spiorunował mnie wzrokiem. Przynajmniej nie próbował oponować.

- Czy jeśli opracujemy lepszy plan, będziemy mogli znów porozmawiać? - zapytał Inger.

Wlepiłam wzrok w gniewne małe oczka Ruebensa.

- Jasne, czemu nie?

Inger wstał i podał mi rękę.

- Dziękuję, panno Blake. Była pani wielce pomocna.

Jego dłoń otuliła moją. Był dużym mężczyzną, ale nie próbował wykorzystać tego, abym poczuła się mała. Doceniam to.

- Gdy znów się spotkamy, panno Blake, liczę, że będzie pani bardziej skłonna do współpracy - warknął Ruebens.

- To zabrzmiało jak groźba, Jerry.

Ruebens uśmiechnął się. To nie był przyjemny uśmiech.

- Organizacja Najpierw Ludzie uważa, że cel uświęca środki.

Rozchyliłam poły mojego purpurowego zakietu. Odsloniłam tkwiący w kaburze podramiennej browning hi-power kalibru dziewięć milimetrów. Cienki, czarny pasek przy spódnicy był na tyle mocny, abym mogła podpiąć do niego kaburę. Typowy przykład połączenia mody i praktyczności.

- Ja też w to wierzę, Jerry, zwłaszcza gdy chodzi o przetrwanie.

- Nie zamierzamy stosować wobec pani przemocy - odezwał się Inger. Nie było o tym mowy.

- To prawda, ale Jerry bez przerwy o tym myśli. Jeżeli chodzi o mnie, chcę, aby Jerry i reszta waszej grupki wiedzieli, że mówię serio. Zadrzycie ze mną, a poleje się krew i zginą ludzie.

- Jest nas wielu - rzekł Ruebens - a ty tylko jedna.

- Owszem, ale kto znajdzie się na pierwszej linii? - spytałam.

- Dość tego! Jeremy, panno Blake. Nie przyszliśmy tu, żeby pani grozić. Chcieliśmy, aby nam pani pomogła. Wrócimy, gdy obmyślimy lepszy plan i wtedy znów porozmawiamy.

- Proszę przyjść bez niego - poradziłam.

- Oczywiście - rzekł Inger. - Chodź, Jeremy. - Otworzył drzwi. Z zewnętrznego biura doszedł cichy odgłos stukania w klawisze komputera. - Do zobaczenia, panno Blake.

- Do widzenia, panie Inger, to nie było miłe spotkanie.

Ruebens stanął w drzwiach i syknął do mnie:

- Jesteś plugastwem, bluźnierstwem w oczach Boga.

- Ciebie Jezus też kocha - odparłam z uśmiechem.

Ruebens wyszedł, trzaskając drzwiami. To było takie dziecinne.

Przysiadłam na skraju biurka i odczekałam dłuższą chwilę. Chciałam mieć pewność, że sobie pójdą, zanim i ja stąd wyjdę. Wątpiłam, aby zaatakowali mnie na parkingu, ale wolałam dmuchać na zimne - nie chciałam potraktować nikogo ołowiem. Oczywiście zrobiłabym to, gdybym musiała, ale wolałam nie. Miałam nadzieję, że gdy pokażę mu spluwę, Ruebens odpuści. Ale chyba go w ten sposób tylko rozjuszyłam. Zrobiłam kilka skrętów głową, aby rozluźnić mięśnie szyi. Nie pomogło.

Wreszcie mogłam wrócić do domu, wziąć prysznic i przespać te osiem godzin. Cudownie. Rozległ się sygnał mojego pagera. Podskoczyłam, jakby coś mnie użądliło. Ja, nerwowa?

Wdusiłam przycisk, wyświetlił się numer i aż jęknęłam głośno. To był numer policji, a ściślej Oddziału Duchów w Okręgowej Jednostce do Spraw Dochodzeń Paranormalnych. To ci ludzie zajmowali się rozwiązywaniem wszystkich paranormalnych zagadek na terenie Missouri. Byłam ich cywilnym ekspertem do spraw potworów. Bertowi podobało się, że współpracuję z glinami, ale jeszcze bardziej przepadał za popularnością i dobrą prasą, którą dzięki temu zyskiwała jego firma.

Pager znów się odezwał. Ten sam numer.

- Cholera - mruknęłam pod nosem. - Raz w zupełności wystarczy, Dolph. - Miałam ochotę udać, że już pojechałam do domu, wyłączyć pager i odciąć się od wszystkiego, ale nie zrobiłam tego. Skoro detektyw-sierżant Rudolf Storr próbował skontaktować się ze mną pół godziny po wschodzie słońca, musiał potrzebować mojej ekspertyzy. Cholera.

Wybrałam numer i po kilku połączeniach pośrednich w końcu usłyszałam głos Dolpha. Wydawał się cichy i odległy. Dostał od żony na urodziny telefon do samochodu. Musiał znajdować się na granicy zasięgu aparatu. Niemniej jednak lepsze to niż rozmowa przez policyjne radio. Zawsze miałam wtedy wrażenie, jakby ktoś mówił do mnie w obcym języku.

- Cześć, Dolph, co słychać?

- Morderstwo.

- Jakiego rodzaju?

- Takiego, który wymaga twojej ekspertyzy - odparł.

- Jest za wcześnie na grę w dwadzieścia pytań. Mów zaraz, co się stało.

- Wstałaś dziś lewą nogą czy jak?

- Nawet się jeszcze nie zdążyłam położyć.

- Współczuję, ale pofatyguj się tu jak najszybciej. Wygląda na to, że mamy ofiarę ataku wampira.

Wzięłam głęboki oddech i wolno, bardzo wolno wypuściłam powietrze.

- O cholera.

- No właśnie.

- Podaj mi adres - rzuciłam.

Zrobił to. Miejsce zbrodni znajdowało się za rzeką, w lesie, tam gdzie diabeł mówi dobranoc, czyli w Arnold. Moje biuro mieściło się przy Olive Boulevard. Trzy kwadranse jazdy. W jedną stronę. Ale ekstra.

- Przyjadę najszybciej, jak się da.

- Czekamy - rzekł Dolph i rozłączył się.

Nie pożegnałam się nawet, bo po drugiej stronie łącza już nikogo nie było. Ofiara ataku wampira. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z pojedynczym zabójstwem. To było tak jak z chipsami. Gdy wampir raz zasmakował w zabijaniu, nie mógł się powstrzymać i raz po raz folgował swemu pragnieniu.

Pytanie brzmiało: „Ilu ludzi będzie musiało zginąć, zanim dopadniemy zabójcę?”  
Wolałam się nad tym nie zastanawiać. Nie chciałam jechać do Arnold. Nie chciałam przed śniadaniem oglądać trupów. Chciałam pojechać do domu. Ale coś mi mówiło, że Dolph by tego nie zrozumiał.

Gliny, gdy prowadzą śledztwo w sprawie morderstwa, zwykle nie mają za grosz poczucia humoru. Choć, jeśli się nad tym zastanowić, ze mną jest dokładnie tak samo.

2

Trup mężczyzny leżał na wznak, blady i nagi, widoczny w słabym świetle poranka. Nawet zwiotczałe już ciało wyglądało całkiem niezłe. Facet musiał chodzić na siłownię, pewnie też sporo biegał. Jego dłuższe blond włosy mieszały się ze żdźbłami traw.

Na gładkiej skórze szyi widniały dwa odrębne miejsca wampirzych ukąszeń. Prawe ramię było przedziurawione na zgięciu łokcia, tam gdzie lekarze pobierają krew. Skóra na lewym nadgarstku zwisała w strzępach, jakby wgrzyzło się weń jakieś zwierzę. W słabym świetle błyszcząły białe kości.

Zmierzyłam ślady ukąszeń za pomocą mojej wiernej taśmy mierniczej. Były różne. Co najmniej trzy wampiry, choć mogłam się założyć o wszystko, co posiadam, że w grę wchodziła aż piątka krwiopijców. Mistrz i jego stado, sfora, gromada, czy jak się je tam nazywa.

Trawa była wilgotna od porannej mgły. Wilgoć przemoczyła kolana kombinezonu, który nałożyłam, aby chronić ubranie pod spodem. Ubioru dopełniały rękawiczki chirurgiczne i czarne adidas. Kiedyś nosiłam białe, ale za bardzo widać na nich krew.

Przeprosiłam krótko za to, co musiałam zrobić, po czym rozsunęłam trupowi nogi. Udało się bez trudu, nie było rigor mortis. Mogłam się założyć, że facet zginął przed niespełną ośmioma godzinami, a to zbyt krótko, aby mogło nastąpić stężenie pośmiertne. Na pomarszczonych genitaliach dostrzegłam ślady zaschniętego nasienia. Ostatnia przyjemność przed śmiercią. Wampiry nie posprzątały po sobie. Po wewnętrznej stronie uda, blisko krocza, były następne ślady kłów. Rany nie były tak drapieżne jak ta na nadgarstku, ale również nie wyglądały schludnie.

Na skórze wokół ran nie było krwi, nawet na nadgarstku. Czyżby ją starły? Gdziekolwiek go zabito, musiało być mnóstwo krwi. Nie zdołałyby zmyć całej tej posoki. Gdybyśmy odkryli miejsce, gdzie zginął, może znaleźlibyśmy więcej śladów. Tu natomiast, na starannie przystrzyżonym trawniku w spokojnej, cichej dzielnicy nie mogliśmy liczyć na odkrycie jakichkolwiek tropów. Mogłam się o to założyć. Ciało zostało podrzucone w miejscu tak sterylnym i obcym jak ciemna strona księżyca.

Mgła snuła się nad ziemią niczym wyczekujące wokół nas zjawy. Unosiła się tak nisko, że odnosiłam wrażenie, jakbym szła w strugach chłodnego kapuśniaczku. Kropelki wilgoci przywierały do ciała w miejscach, gdzie mgła ulegała skropleniu. Nieco większe krople gromadziły się w moich włosach, lśniąc jak srebrzyste perły.

Stałam na podwórzu przed niedużym, zielonym domkiem z białymi ozdobami. Podwórze na tyłach domu, skądinąd całkiem spore, otaczała wysoka druciana siatka. Był październik, a trawa wciąż zielona.

Ponad domem dostrzegłam wierzchołek strzelistego klonu. Liście miały jaskrawą, pomarańczowożółtą barwę, tak typową dla klonów, jakby wycięto je z żywego ognia. Mgła jeszcze podsyciała tę iluzję, a barwy zdawały się przesączać w wilgotne powietrze.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się rzędy niedużych domków z zielonymi trawnikami i wysokimi drzewami o gałęziach ciężkich od barwnych liści. Było dość wcześnie, większość ludzi nie poszła jeszcze do pracy, do szkoły, czy dokąd się tam wybierali.

Mundurowi nie dopuszczali do miejsca zbrodni gromadzących się w pobliżu tłumów. Powbijali w ziemię kołki, żeby rozciągnąć wokół żółte taśmy z napisem: WSTĘP WZBRONIONY.



Tłum gapiów zatrzymał się przy samej taśmie. W pierwszym rzędzie znalazł się chłopak, około dwunastoletni. Patrzył na trupa wielkimi brązowymi oczami, usta miał rozdziawione ze zdumienia. Boże, gdzie się podziewali jego rodzice? Pewnie też gapili się na zwłoki.

Ciało było białe jak papier. Krew zawsze spływa do najniższych miejsc ciała. W tym przypadku czarnofioletowe, rozległe sińce powinny pojawić się na pośladkach, plecach oraz dolnej części nóg i ramion trupa. Nie dostrzegłam żadnych śladów. Nie miał w sobie dość krwi, aby się mogły pojawić.

Ktokolwiek zabił tego mężczyznę, niemal całkiem odsączył go z krwi. Dobry do ostatniej kropli? Chciałam powstrzymać uśmiech cisnący mi się na usta - bez powodzenia. Jeśli dostatecznie długo stykasz się z nieboszczykami, nabierasz specyficznego poczucia humoru. To konieczność, w przeciwnym razie grozi ci obłąd.

- Co cię tak śmieszy? - spytał ktoś.

Drgnęłam nerwowo i odwróciłam się.

- Boże, Zerbrowski! Nie podkradaj się tak do mnie.

- Czyżby wielka i sławna pogromczyni wampirów miała słabe nerwy? Uśmiechnął się do mnie. Miał rozwichrzone włosy, jakby się dziś rano nie uczesał.

Krawat był poluzowany, a jasnoniebieska koszula podejrzenie przywodziła mi na myśl górę od piżamy. Brązowa marynarka i spodnie od garnituru gryzły się z koszulą.

- Ładna piżama.

Wzruszył ramionami.

- Mam jedną naprawdę niezłą, w parowoziki. Katie uważa, że jest bardzo seksowna.

- Twoją żonę kręcą pociągi? - spytałam.

Jego uśmiech poszerzył się.

- Tylko na moim ciele.

Pokręciłam głową.

- Wiedziałałam, że jesteś zboczony, Zerbrowski, ale żeby nosić wzorzyste piżamki jak małe dziecko, to już prawdziwa perwersja.

- Dziękuję. - Spojrzał na trupa. Jego uśmiech nagle przygasł. - Co o tym sądzisz? Wskazał w stronę denata.

- Gdzie Dolph?

- W domu, z kobietą, która znalazła ciało. - Włożył dłonie do kieszeni spodni i zakołysał się na piętach. - Kiepsko to zniosła. Pewnie to pierwszy trup, którego widziała, pomijając nieboszczyków na pogrzebach.

- Tak jak większość ludzi, Zerbrowski. To normalne.

Zakołysał się na palcach stóp i nagle znieruchomiał.

- Czy nie fajnie byłoby mieć normalne życie?

- Owszem, tak. Czasami.

Uśmiechnął się.

- Tak. Wiem, o co ci chodzi.

Wyjął z tylnej kieszeni spodni notes, który wyglądał, jakby jakiś wściekły olbrzym zmiął go w swej wielkiej dłoni.

- O rany, Zerbrowski.

- Daj spokój, przecież to nadal papier. I tylko to się liczy.

Spróbował rozprostować notes, ale już po chwili dał sobie spokój. Znieruchomiał z długopisem przytkniętym do czystej kartki papieru.

- Oświeć mnie, o znawczyni zjawisk nadnaturalnych.
- Czy będę musiała powtórzyć to Dolphowi? Chciałabym to zrobić raz i wrócić do łóżka.
- Ja też. A jak sądzisz, czemu mam na sobie piżamę?
- Myślałam, że to wyraz twojego śmiałego zainteresowania modą.

Spojrzał na mnie.

- Uhm, uhm.

Dolph wyszedł z domu. Wyglądało na to, że ledwie zmieścił się w drzwiach. Dolph ma ponad dwa metry wzrostu i budowę zawodowego zapaśnika. Czarne włosy, przystryżone krótko przy samej skórze, uwydatniały odstające uszy. Ale Dolph nigdy nie przejmował się modą. Węzeł krawata miał jednak zaciągnięty mocno i elegancko pod kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli. Na pewno wyrwano go z łóżka, jak Zerbrowskiego, ale wyglądał schludnie i czysto jak urodzony biznesmen. Niezależnie o której godzinie dzwoniło się do Dolpha, zawsze był gotowy do wypełniania swoich obowiązków. Był gliniarzem do szpiku kości. Dobrym gliniarzem.

Czemu zatem Dolph szefował najbardziej niepopularnej jednostce specjalnej w St. Louis? Byłam pewna, że za coś go w ten sposób ukarano, ale nigdy nie spytałam, co przeskrobał. Zapewne na zawsze pozostanie to dla mnie tajemnicą. Gdyby chciał, abym wiedziała, powiedziałby mi.

Jednostkę tę założono w celu przejęcia kontroli nad liberałami. Widzicie, jednak staramy się zapobiegać nadnaturalnym zbrodniom. Dolph jednak traktował swoją pracę i ludzi ze śmiertelną powagą. W ciągu ostatnich dwóch lat jego grupa rozwiązała więcej paranormalnych spraw niż jakakolwiek inna jednostka policji w całym kraju. Proszono go, aby prowadził prelekcje dla stróżów prawa. Dwukrotnie nawet został „wypożyczony” glinom z sąsiednich stanów.

- W porządku, Anito, do rzeczy.

Oto cały Dolph, żadnych wstępów.

- Hej, Dolph, też się cieszę, że cię widzę. - Tylko na mnie spojrzał. - No dobra, dobra.

- Uklekłam po drugiej stronie ciała, aby przy okazji komentarza móc równocześnie pokazywać to, co uważałam za istotne. To zwykle pomaga. - Dokonane pomiary świadczą, że tym mężczyzną pożywiały się co najmniej trzy różne wampiry.

- Ale? - wtrącił Dolph.

Jest szybki.

- Ale uważam, że każdą z tych ran zadał inny wampir.

- Wampiry nie polują stadami.

- Zazwyczaj działają samotnie, ale to nie jest regułą.

- Co mogło je skłonić do polowania stadnego? - zapytał.

- Przychodzą mi na myśl tylko dwa powody; pierwszy - mamy do czynienia z młodym wampirem, który dopiero uczy się polować i pobiera nauki u starszego krwiopijcy, ale w takiej sytuacji byłyby dwa rodzaje śladów zębów, a nie pięć, drugi powód - te wampiry są kontrolowane przez mistrza-odszczepieńca.

- Wyjaśnij.

- Mistrz wampirów ma niemal całkowitą kontrolę nad swoim stadem. Niektórzy mistrzowie wykorzystują zbiorowy mord w celu zespolenia gromady, ale na pewno w takim przypadku nikt nie zdecydowałby się na porzucenie zwłok w tym miejscu. Ciało raczej zostałoby ukryte, aby policja nigdy go nie odnalazła.

- A jednak jest tutaj - mruknął Zerbrowski - w miejscu publicznym.

- Otóż to, jedynie mistrz, który postradał rozum, mógłby porzucić zwłoki w ten sposób. Większość mistrzów, nawet zanim zalegalizowano istnienie wampirów, nie zdecydowałaby się na taki mord. To

zanadto przyciąga uwagę, a co za tym idzie, bywa niebezpieczne dla zdrowia. Podobne zbrodnie przyciągają bowiem uwagę ludzi, którzy w jednym ręku ściskają osikowy kołek, a w drugim krucyfiks. Nawet teraz, gdybyśmy tylko zdołali odkryć, kto to zrobił, sąd bez wahania wydałby nakaz egzekucji i można byłoby zgodnie z literą prawa unicestwić te wampiry. - Pokręciłam głową. - Zabójstwa takie jak to psują krwiopijcom reputację, a o co jak o co, ale o to wampiry dbają wyjątkowo starannie. Są piekielnie praktyczne. Nie sposób przetrwać w ukryciu przez stulecia, jeśli nie jest się dyskretnym i bezlitosnym.

- Czemu bezlitosnym? - spytał Dolph.

Spojrzałam na niego.

- Ze względów czysto praktycznych. Gdy ktoś odkryje twój sekret, albo go zabijesz, albo... czynisz jednym ze swych dzieci. To zapewnia przetrwanie, Dolph. Czysty interes.

- Jak w mafii - wtrącił Zerbrowski.

- Taa.

- A może po prostu te wampiry wpadły w panikę? - ciągnął Zerbrowski.

- To się stało tuż przed świtem.

- Kiedy ta kobieta odnalazła ciało?

Dolph zajrzał do notesu.

- O wpół do szóstej.

- Do świtu wciąż było jeszcze daleko. Nie, one nie wpadły w panikę.

- Co właściwie znaczy, że mamy na naszym terenie szalonego mistrza wampirów?

- To znaczy, że będą zabijać ludzi szybciej i częściej. Aby nakarmić piątkę krwiopijców, będą polować niemal co noc.

- Co noc nowy trup? - spytał Zerbrowski.

Skinęłam głową.

- Jezu - mruknął.

- Taa.

- Może udałoby mi się ożywić to ciało jako zombi.

- Myślałem, że nie potrafisz przywołać ofiary wampira jako zombi - rzekł Dolph.

- Nie, jeśli trup ma ożyć jako wampir. - Wzruszyłam ramionami. - Cokolwiek to jest, co sprawia, że stajesz się wampirem, uniemożliwia przywołanie. Nie potrafię ożywić zwłok, które mają powstać jako wampir.

- Ale ten nie powstanie - rzekł Dolph. - Wobec tego możesz go ożywić.

Skinęłam głową.

- Dlaczego nie powstanie? Czemu nie zmieni się w wampira?

- Został zabity przez więcej niż jednego krwiopijcę, podczas zbiorowej uczty. Aby ciało ożyło jako wampir, musi zostać odsączone z krwi tylko przez jednego nieumarłego w przeciągu kilku dni. Trzy odsączenia zakończone śmiercią ofiary i masz nowego wampira. Gdyby każda ofiara krwiopijcy powracała, mielibyśmy nielichy problem z plagą nieumarłych.

- Ale ta ofiara może powrócić jako zombi? - upewniał się Dolph.

Przytaknęłam.

- Kiedy mogłabyś go ożywić?

- Za trzy noce od dziś, a właściwie to już za dwie. Dzisiejsza noc też się liczy.

- O której?

- Będę musiała sprawdzić w pracy mój grafik. Zadzwoń i podam ci konkretną godzinę.

- Ożywić ofiarę mordu i spytać, kto ją zabił. To mi się podoba - mruknął Zerbrowski.

- To nie takie proste - odparowałam. - Wiecie, jak omylni i niepewni bywają świadkowie brutalnych zbrodni. Przesłuchasz trzy osoby, które widziały to samo przestępstwo i podadzą ci trzy różne opisy sprawców.

- To fakt, spisywanie zeznań świadków bywa okropne - przyznał Zerbrowski.

- Mów dalej, Anito - rzucił Dolph. W ten sposób chciał powiedzieć: „Zamknij się, Zerbrowski”. Zerbrowski zamilkł.

- Ofiara brutalnej zbrodni jest jeszcze bardziej wzburzona i speszona. Poza tym śmiertelnie przerażona i nie pamięta dokładnie całego przebiegu wypadków.

- Ale przecież oni tam byli - odezwał się Zerbrowski. Sprawiał wrażenie oburzonego.

- Zerbrowski, pozwól jej skończyć.

Zerbrowski jak wprawny mim wykonał gest, jakby zamykał usta na klucz i odrzucał go od siebie. Dolph zmarszczył brwi. Kaszlnęłam w dłoń, aby zatuszować uśmiech. Lepiej nie zachęcać Zerbrowskiego.

- Chcę tylko powiedzieć, że mogę ożywić ofiarę tego zabójstwa, ale może się też okazać, iż nie uzyskamy od niej tylu informacji, ilu byśmy oczekiwali. Wspomnienia denata będą zmaćcone, pełne bólu i szoku. Może zawęzi nam to jednak zakres poszukiwań i da odpowiedź na pytanie, kto przewodził tej grupie i jest wampiryzm mistrzem-odszczepieńcem.

- To znaczy - rzucił Dolph.

- Obecnie w St. Louis powinno być tylko dwóch wampirycznych mistrzów. Malcolm, nieumarły guru, i Mistrz Miasta. Istnieje co prawda możliwość, że pojawił się ktoś nowy, ale Mistrz Miasta powinien o tym wiedzieć.

- Zajmiemy się przywódcą Kościoła Wiecznego Życia - rzekł Dolph.

- A ja pomówię z Mistrzem - zaproponowałam.

- Weź jednego z naszych chłopaków. Wsparcie może ci się przydać.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę. Gdyby dowiedział się, że zdradziłam glinom jego tożsamość, zabiłby nas oboje.

- Czy to może być dla ciebie niebezpieczne? - spytał Dolph.

Co miałam odpowiedzieć? Że bardzo? A może powinnam im powiedzieć, że Mistrz ma na mnie ochotę i najprawdopodobniej nic złego mi nie grozi? Ani to, ani to.

- Dam sobie radę. - Spojrzał na mnie z przejęciem. - Poza tym czyż mamy inny wybór? - Wskazałam na ciało. - Noc w noc będziemy znajdować kolejne zwłoki, dopóki nie dopadniemy tych wampirów.

Ktoś spośród nas musi pomówić z Mistrzem. On na pewno nie zechce rozmawiać z policją, ale podejrzewam, że ze mną się spotka.

Dolph zaczerpnął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze. Pokiwał głową. Wiedział, że mam rację.

- Kiedy się tym zajmiesz?

- Jutrzejszej nocy, o ile uda mi się przekonać Berta, aby oddał moje zlecenia komuś innemu.

- Jesteś pewna, że Mistrz zechce z tobą mówić?

- Taa. - W przypadku Jean-Claude'a problem nie polegał na trudności w spotkaniu się z nim, lecz na unikaniu go. To nie było proste. Na szczęście Dolph o tym nie wiedział, w przeciwnym razie jeszcze chciałby mi towarzyszyć. Gdyby się uparł, nie zdołałabym go spławić. I oboje zapłacilibyśmy za to życiem.

- Zrób to - powiedział. - Poinformuj mnie o tym, czego się dowiesz.

- Oczywiście - odparłam. Wstałam, spoglądając na niego znad odsączonego z krwi trupa.

- Uważaj na siebie - mruknął.

- Jak zawsze.
- Czy gdyby Mistrz cię pożarł, będę mógł dostać twój seksowny kombinezon? - spytał Zerbrowski.
- Kup sobie własny, ty sknero.
- Wolę ten, który opinał twoje zmysłowe, ponętne ciało - odciął się Zerbrowski.
- Odpuść sobie, Zerbrowski. Nie rajcują mnie lokomotywki.
- Co tu, kurczę, mają do rzeczy jakieś lokomotywki? - spytał Dolph.

Zerbrowski i ja spojrzeliśmy na siebie nawzajem. Zaczęliśmy chichotać i nie mogliśmy przestać. Mogłam to zwalić na niedobór snu. Od czternastu godzin byłam na nogach, ożywiając zmarłych i rozmawiając z prawicowymi oszołomami. Ofiara wampira zdawała się być idealnym zakończeniem takiej nocy. Miałam podstawy, aby wybuchnąć histerycznym śmiechem. Nie wiem, jaką wymówkę mógłby znaleźć dla siebie Zerbrowski.

### 3

W październiku niewiele jest naprawdę pięknych dni, kilka jednak się zdarza. Czyste niebo ma barwę błękitu tak głębokiego i doskonałego, że na tym tle wszystko wydaje się piękniejsze. Drzewa wzdłuż autostrady mają barwę karmazynu, złota, rdzy, oranżu i burgunda. Każdy kolor jaśnieje jak neon, pulsując w ciężkich promieniach słońca. Powietrze jest chłodne, ale nie zimne; w południe możesz wyjść nawet w samej wiatrówce. To pogoda na długie przechadzki po lesie z kimś, kogo chce się trzymać za rękę. Ponieważ nie miałam nikogo takiego, liczyłam na samotny weekendowy wyjazd. Moje szansę na realizację tego planu były coraz bliższe zera.

Październik to wspaniały miesiąc na ożywanie zmarłych. Wszyscy uważają, że Halloween to najlepsza pora na przywoływanie żywych trupów. To nieprawda. Potrzeba do tego jedynie ciemności. Ale wszyscy chcą zrealizować zlecenie o północy, właśnie w Halloween. Wydaje się im, że spędzenie wigilii Wszystkich Świętych na cmentarzu, przy zabijaniu kurczaków, patrząc na wypełzającego z ziemi zombi, to wyśmienita zabawa. Pewnie mogłabym zacząć sprzedawać bilety. Szłyby jak woda.

Przeciętnie ożywiałam pięciu nieboszczyków w ciągu nocy. To o jednego zombi więcej, niż ożywiał którykolwiek z pozostałych animatorów, moich kolegów po fachu. Nie powinnam była mówić Bertowi, że czterech zombi na noc nie wyczerpuje moich możliwości. Zawsze mówię prawdę. To mój błąd. Moja największa słabostka. Rzecz jasna nawet pięciu zombi nie było moim maksimum, ale niech mnie diabli, jeśli wspomnę o tym szefowi.

A skoro już o nim mowa, muszę do niego zadzwonić zaraz po powrocie do domu. Na pewno się ucieszy, gdy zażadam wolnej nocy. Na samą myśl o tym aż się uśmiechnęłam. Dzień, w którym mogłam dopieć Bertowi, nigdy nie był dniem straconym.

Dotarłam do swego mieszkania prawie o pierwszej po południu. Jedyne, czego pragnęłam, to wziąć gorący prysznic i przespać choć siedem godzin. O ośmiu nie było mowy, dziś już na to za późno. Musiałam spotkać się tej nocy z Jean-Claudem. Sama radość. Ale cóż, to on był Mistrzem Miasta. Jeżeli w okolicy pojawił się inny mistrz, powinien o tym wiedzieć. Myślę, że oni potrafią wyczuwać się nawzajem. Oczywiście, gdyby Jean-Claude popełnił to morderstwo, nie przyznałby się do niego tak łatwo. W gruncie rzeczy nie wierzyłam, że to jego sprawa. Był zbyt cywilizowanym wampirem, aby popełnić tak obrzydliwy mord. Poza tym to chyba jedyny spotkany przeze mnie mistrz wampirów, który nie sprawiał wrażenia szaleńca-psychopaty lub socjopaty, jak kto woli.

No dobra, dobra. Malcolm też nie był szalony, choć nie aprobowałam jego metod. Kierował najszybciej rozwijającym się obecnie Kościołem w Stanach Zjednoczonych. Kościół Życia Wiecznego oferował to, co zawierała jego nazwa. Nie było mowy o wierze, niepewności, satysfakcja gwarantowana. Mogłeś stać się wampirem i żyć wiecznie, chyba że zabije cię ktoś taki jak ja,

sploniesz w ogniu lub przejedzie cię autobus. Szczerze mówiąc, nie mam całkowitej pewności co do autobusu, ale zawsze mnie to zastanawiało. Bez wątplenia muszą istnieć obrażenia tak poważne, że nawet wampir nie może ich zregenerować. Miałam nadzieję potwierdzić któregoś dnia słusność tej teorii. Powoli weszłam po schodach. Ciało miałam ciężkie, jakby było z ołowiu. Piekły mnie spragnione snu oczy. Do Halloween zostały jeszcze trzy dni i zapowiadały mi się one nader intensywnie. Przed Świętem Dziękczynienia zleceń stopniowo zacznie ubywać. Ta tendencja utrzyma się aż do Nowego Roku, potem klienci znów zjawiają się całymi tabunami.

Modliłam się o niezapowiedzianą śnieżycę. Gdy pada śnieg, interes zamiera. Ludziom chyba wydaje się, że w głębokim śniegu nie potrafimy ożywiać umarłych. Potrafimy, ale nikomu o tym nie mówcie. Też czasem potrzebuję odpoczynku.

Korytarz przepęłniały ciche odgłosy codziennego życia moich sąsiadów. Właśnie wyłuskałam klucze z kieszeni płaszcza, gdy nagle otworzyły się drzwi naprzeciwko. Pojawiła się w nich pani Pringle. Była wysoka, szczupła, a raczej wyschła na wiór, zważywszy na wiek. Siwe włosy upięła w zgrabny kok z tyłu głowy, były idealnie białe. Pani Pringle nie uznawała farby do włosów ani makijażu. Miała ponad sześćdziesiąt pięć lat i nie przejmowała się, czy ktoś to wiedział.

Kremik, jej szpic, miotał się na końcu smyczy. Wyglądał jak kulka złotego futerka z małymi, lisimi uszami. Większość kotów przewyższała go wagą, ale to jeden z tych małych psiaków o wielkim i mężnym sercu. W poprzednim psim życiu musiał być dogiem.

- Witaj, Anito. - Mówiąc to, pani Pringle uśmiechnęła się. - Chyba nie wracasz o tej porze z pracy, prawda? - W jej bladych oczach malowała się dezaprobata.

Uśmiechnęłam się.

- N-no tak... wynikła pewna niespodziewana sprawa...

Uniosła brew. Pewnie zastanawiała się, cóż to za niespodziewana sprawa mogła wymknąć dla animatorki, ale była zbyt kulturalna i taktowna, żeby mnie o to zapytać.

- Doprawdy, nie dbasz o siebie, Anito. Nie możesz się tak spalać. Jeżeli wciąż będziesz funkcjonować w takim tempie, zaharujesz się, zanim dożyjesz mojego wieku.

- Zapewne tak - przyznałam.

Kremik zaczął na mnie szczekać. Nie uśmiechnęłam się do niego. Nie wierzę w przekonywanie do siebie małych, zادیornych psów. Na pewno swoim czułym psim zmysłem wyczuwał, że go nie lubię i postawił sobie za punkt honoru, by mnie do siebie przekonać.

- W zeszłym tygodniu byli w twoim mieszkaniu malarze. Czy już skończyli remont?

Pokiwałam głową.

- Tak, wszystkie dziury po kulach zostały zaszpachlowane i zamalowane.

- Naprawdę mi przykro, że nie było mnie wtedy w domu. Mogłabyś przez ten czas pomieszkać u mnie. Pan Giovoni mówił, że musiałaś przenieść się do hotelu.

- Taa.

- Nie rozumiem, dlaczego nikt z sąsiadów nie zaproponował, że cię przenocuje.

Uśmiechnęłam się. Ja to rozumiałam. Dwa miesiące temu rozwaliłam w moim mieszkaniu dwa żywe trupy pałające żądzą mordy. Rozpętała się przy tym nielicha strzelanina. Poniszczone zostały ściany i jedno okno. Parę kul przebiło nawet ściany do innych mieszkań. Co prawda nikt postronny nie ucierpiał, ale od tego czasu żaden z sąsiadów nie chciał mieć ze mną nic do czynienia. Podejrzewałam, nie bez powodu, że gdy minie mój dwuletni okres najmu, zostanę poproszona o opuszczenie mieszkania. Zresztą wcale się im nie dziwiłam.

- Słyszałam, że byłaś ranna.

Skinęłam głową.

- To nic poważnego. - Nie zamierzałam jej tłumaczyć, że rany postrzałowej nie odniosłam podczas tamtego koszmarnego starcia w moim mieszkaniu. Kochanka pewnego bandziora postrzeliła mnie w prawe ramię. Rana już się zagoiła. Pozostała gładka, lśniąca blizna, wciąż lekko zaróżowiona. - A jak pani wizyta u córki? - spytałam.

Oblicze pani Pringle rozpromienił szeroki uśmiech.

- Och, cudownie. Moje najnowsze wnuczátko jest wręcz idealne. Później, jak się trochę zdrzemiesz, pokażę ci zdjęcia. - W jej oczach znów dostrzegłam dezaprobatę. Wyglądała jak stara nauczycielka. Taka, która może piorunuje cię wzrokiem z odległości trzech metrów i sprawia, że nawet jeśli nie masz nic na sumieniu, czujesz się winna. A ja już od lat nie byłam niewinna.

Uniosłam obie ręce w górę.

- Poddaję się. Idę się położyć. Pójdę prosto do łóżka. Obiecuję.

- Mam nadzieję - mruknęła. - Chodź, Kremik, idziemy na nasz popołudniowy spacer. - Szpic zatańczył na smyczy, wrywając się naprzód jak miniatułka psa zaprzęgowego. Pani Pringle pozwoliła, aby półtora kilo mechatej sierści pociągnęło ją w głąb korytarza. Pokręciłam głową. Według mnie posiadanie psa nie oznaczało robienia tego, na co miał w danej chwili ochotę czworonożny pupil. Gdybym kiedyś miała psa, musiałby mi się podporządkować albo pożegnałby się z życiem. To była podstawa zasada.

Otworzyłam drzwi i weszłam do spowitego ciszą mieszkania. Słysząc było tylko szum grzejnika, syk gorącego powietrza wlatującego do pomieszczenia i dźwięki z akwarium. Dźwięki pustki. To było cudowne.

Ściany tak jak poprzednio odmalowano na biało. Dywan był szary, tapczan i fotel białe. Kuchnia urządzona w jasnym drewnie, linoleum w biało-żółte wzory. Stolik do kawy dla dwóch osób w kuchni był nieco ciemniejszy niż szafki. Biel ścian urozmaicały jedynie reprodukcje współczesnych obrazów. Pod ścianą, gdzie większość osób umieściłaby olbrzymi zestaw kuchenny, ja ulokowałam akwarium i stereo.

Okna były przesłonięte ciężkimi białymi zasłonami, które sprawiały, że nawet w słoneczny dzień w mieszkaniu panował przyjemny półmrok. Gdy sypiasz w dzień, musisz mieć naprawdę dobre zasłony. Rzuciłam płaszcz na tapczan, zdjęłam buty; przejście boso po miękkim dywanie było dla mnie prawdziwą rozkoszą. Zaraz potem zdjęłam rajstopy i cisnęłam je na podłogę obok butów. Do akwarium podeszłam już całkiem boso.

Rybki podpłynęły ku powierzchni, prosząc o pokarm. Te skalary są szersze niż moja rozcapierzona dłoń. To największe ryby tego gatunku, jakie widziałam poza sklepem akwarystycznym, gdzie je kupiłam. W tym jednym punkcie hodowano takie o długości prawie trzydziestu centymetrów.

Zdjęłam kaburę podramienną i umieściłam browninga w jego domowym miejscu, specjalnym olstrze u wezgowia łóżka. Gdyby jakiś bandzior zechciał się do mnie podkraść, mogłabym z łatwością sięgnąć po broń i załatwić drania. Taka była teoria, sprawdzona już zresztą w praktyce.

Powiesiwszy starannie kostium i bluzkę w szafie, rzuciłam się na łóżko, mając na sobie tylko biustonosz, figi i srebrny krzyżyk, z którym nie rozstaję się nawet pod prysznicem. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś uparty wampir zechce ci upuścić krwi. Zawsze gotowa - oto moje motto, zapożyczone od skautów.

Wzruszyłam ramionami i zadzwoniłam do pracy. Mary, nasza dzienna sekretarka, odebrała już przy drugim sygnale.

- Animatorzy sp. z o.o. Czym możemy służyć?

- Cześć, Mary, tu Anita.

- Cześć, co słychać?

- Muszę pomówić z Bertem.

- Przyjmuje teraz potencjalną klientkę. Mogę wiedzieć, w jakiej sprawie chcesz z nim rozmawiać?

- Chciałabym, aby rozdzielił moje dzisiejsze zlecenia.

- O rany. Sama mu to powiedz. Jeśli ma się już na kogoś wydierać, wolę, aby wypadło na ciebie - stwierdziła pół żartem, pół serio.

- Doskonale - rzekłam.

Zniżyła głos do szeptu i powiedziała:

- Klientka już wychodzi. Zaraz cię przełączę.

- Dzięki, Mary.

Zanim zdążyłam zaprotestować, usłyszałam w słuchawce dźwięki muzyki. Przełączyła mnie na oczekiwanie. Melodyjka była potwornie zniekształconą wersją *Tomorrow* Beatlesów. Wolałabym już zwykły szum. Na szczęście na linii pojawił się Bert, uwalniając mnie od katuszy.

- Anito, o której możesz dziś być?

- Nie mogę.

- Czego nie możesz?

- Nie mogę być dziś w pracy.

- W ogóle? - Jego głos zabrzmiał oktawę wyżej.

- Otóż to.

- Dlaczego, do cholery? - Już zaczął kłąć. To zły znak.

- Dziś tuż po porannym spotkaniu otrzymałam na pager wiadomość z policji. Jak dotąd nie zdążyłam nawet zmrużyć oka.

- Zdązysz się jeszcze wyspać. Po południu nie masz żadnych klientów. Obyś tylko zjawiała się po zmierzchu i wypełniła zamówione zlecenia.

Był wyrozumiały i szczodry. Coś się kroilo. Coś bardzo złego.

- Nie mogę przyjąć na dziś żadnych zleceń.

- Anito, mamy nadmiar zleceń. Masz na dziś umówionych pięciu klientów. Pięciu!

- Rozdziel ich pomiędzy innych animatorów - poradziłam.

- Wszyscy inni osiągnęli już limit zleceń.

- Posłuchaj, Bert, to ty zgodziłeś się na moją współpracę z policją. To ty mnie do nich skierowałeś. Uważałeś, że to rozśławi naszą firmę.

- I rozśławiło - przyznał.

- Owszem, ale to tak, jakbym pracowała na dwóch etatach. Nie mogę robić jednego i drugiego równocześnie.

- Wobec tego zrezygnuj z pomagania glinom. Nie sądziłem, że to będzie aż tak czasochłonne.

- Chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa, Bert. Nie mogę tego rzucić.

- Niech policja odwała swoją brudną robotę sama - skwitował.

To do niego pasowało. Do jego schludnego wyglądu, czystego, eleganckiego biura i wypielęgnowanych paznokci.

- Oni potrzebują mojej ekspertyzy i moich kontaktów. Większość potworów nie ma ochoty na rozmowy z policją.

Po drugiej stronie łącza zapadła cisza. Słyszałam tylko przyspieszony, gniewny oddech Berta.

- Nie możesz mi tego zrobić. Przyjęliśmy pieniądze, podpisaliśmy kontrakty.

- Już parę miesięcy temu prosiłam cię, abyś wynajął kogoś do pomocy.

- Wynająłem Johna Burke'a. Przejął niektóre z twoich zleceń na kołkowanie wampirów i ożywianie zmarłych.



- Tak, John bardzo nam pomógł, ale potrzeba nam kogoś jeszcze. Właściwie mogłabym się założyć, że John mógłby przejąć co najmniej jedno, jeśli nie więcej zleceń, które przewidziałeś dla mnie na tę noc.

- Miałby ożywić pięciu zombi jednej nocy?

- Ja to robię - stwierdziłam.

- Tak, ale John to nie ty.

Jego słowa zabrzmiały prawie jak komplement.

- Masz dwie alternatywy, Bert, albo zmienisz mi terminy, albo przekażesz moje zlecenia komuś innemu.

- Jestem twoim szefem. Mogłbym powiedzieć, że jeśli dziś się nie zjawisz, wyleję cię z roboty. -

Jego głos zabrzmiał stanowczo i rzeczowo.

Byłam zmęczona i zziębnięta, gdy tak siedziałam na łóżku w samej bieliźnie.

- No to mnie wylej.

- Nie mówisz poważnie - oświadczył.

- Posłuchaj, Bert, jestem na nogach od ponad dwudziestu godzin. Jeśli się wkrótce nie położę i nie prześpię choć odrobinę, nie będę mogła pracować dla nikogo.

Milczał przez dłuższą chwilę. Jego łagodny, regularny oddech wypełniał moje ucho. Wreszcie powiedział:

- W porządku, masz dzisiejszej nocy wolne. Ale dla twojego własnego dobra radzę ci, abyś stawiała się jutro w pracy.

- Nie mogę tego obiecać, Bert.

- Cholera, Anito, naprawdę chcesz, żebym cię wylał?

- To najlepszy rok, jaki mieliśmy, Bert. Po części zawdzięczasz to artykułom na mój temat, ukazującym się w „Post-Dispatch”.

- Traktowały o prawach zombi i rządowych badaniach, którymi się zajmujesz. Nie zostały opublikowane, aby promować naszą firmę.

- Ale się udało, prawda? Ile osób dzwoni i prosi konkretnie o mnie? Ile osób stwierdza, że widziało moje zdjęcie w gazecie? Ile osób słyszało mnie w radiu? Może i zajmuję się promowaniem praw zombi, ale sam przyznasz, że to ma piekielny wpływ na obroty twojej firmy. Dlatego daj mi z łaski swojej trochę luzu.

- Nie wierzysz, że mogłbym to zrobić, prawda? - warknął. Był nielecho wkurzony.

- Nie wierzę - odparłam.

Oddech miał płytki i oschły.

- Obyś jutrzejszej nocy zjawiła się w pracy, w przeciwnym razie przekonasz się, że nie rzucam słów na wiatr.

Rozłączył się. To takie dziecinne. Odłożyłam słuchawkę i wlepiłam w nią wzrok. Kompania Zmartwychwstanie z Kalifornii kilka miesięcy temu złożyła mi kuszącą propozycję. Tyle tylko, że ja nie miałam ochoty na jakiegokolwiek przeprowadzki. Niezależnie czy w grę wchodziłoby wschodnie, czy zachodnie Wybrzeże. Lubiłam St. Louis.

Bert musiał się ugiąć i wynająć do firmy nowych pracowników. Nie mogłam utrzymywać takiego tempa. Naturalnie już w przyszłym miesiącu sytuacja zacznie się normować, ale jeżeli chodzi o mnie, przez cały ubiegły rok zdawałam się oscylować między jedną sytuacją kryzysową a drugą.

Byłam dżgana, bita, duszona, strzelano do mnie i stałam się obiektem ataku wampirów

- a wszystko to w ciągu zaledwie czterech miesięcy. Zbyt wiele zdarzeń w zbyt krótkim czasie. To ma fatalny wpływ na psychikę. Przeżywałam bitewne znużenie.

Zostawiłam instruktorowi judo wiadomość na automatycznej sekretarce. Uczęszczałam na zajęcia dwa razy w tygodniu, o szesnastej, ale dziś odpuszczę sobie trening. Trzy godziny snu to byłoby zdecydowanie za mało.

Wybrałam jeszcze numer do Drapieżnych Żąd. Był to lokal ze striptizem. Dla wampirów. Chippendalesi z kłami. Właścicielem i szefem lokalu był Jean-Claude.

Usłyszałam w słuchawce głos Jean-Claude'a, miękki, jedwabisty, przenikający aż do szpiku kości, mimo iż było to tylko nagranie z taśmy.

- Tu Drapieżne Żądze. Pragnąłbym uczynić wszystko, by ziszczyły się najmroczniejsze z twych fantazji. Zostaw wiadomość, a na pewno oddzwonię.

Zaczekałam na sygnał.

- Jean-Claude, tu Anita Blake. Muszę się dziś z tobą spotkać. To ważne. Oddzwoni, aby podać mi godzinę i miejsce. - Podałam mu swój domowy numer i na chwilę zamilkłam, wsłuchując się w szum taśmy. - Dzięki. - Odłożyłam słuchawkę.

Albo oddzwoni, albo nie. Zapewne oddzwoni. Pytanie brzmiało, czy tego chciałam? Nie, stanowczo nie. Ale działałam w imieniu policji i potencjalnych kolejnych ofiar tych nieznanymi wampirów. Choćby ze względu na nie musiałam spróbować. Jeżeli o mnie chodzi, nie uważałam wizyty u Mistrza za dobry pomysł na spędzenie miłego wieczoru.

Jean-Claude naznaczył mnie już dwukrotnie. Jeszcze dwa znaki i stanę się jego ludzką służebnicą. Czy wspomniałam, że nie otrzymałam tych znaków z własnej woli? Nie chciałam tego. Nie chciałam stać się na zawsze sługą Mistrza. Co prawda Jean-Claude wydawał się również pragnąć mego ciała, ale to była sprawa drugorzędna. Gdyby chodziło tylko o ciało, jakoś bym sobie poradziła, ale on pożył mojej duszy. Tej na pewno nie dostanie.

Udawało mi się unikać go przez ostatnie dwa miesiące. Teraz sama chciałam iść do niego. Idiotka ze mnie. Ale wciąż miałam w pamięci włosy tego bezimiennego denata, delikatne i miękkie, nienagane wśród źdźbeł szmaragdowej trawy, ślady kłóć, skórę białą jak papier i jego nagie ciało pokryte kropelkami rosy. Jeśli się nie pospieszymy, pojawią się kolejne ciała. Trzeba jak najszybciej porozmawiać z Jean-Claudem. Przed moimi oczami zamajaczyły obrazy kolejnych ofiar ataku wampirów. Wina za śmierć każdej z tych osób spoczywałaby po części na mnie, bo okazałam się nazbyt tchórzliwa, aby spotkać się z Mistrzem. Gdybym tylko mogła powstrzymać ten łańcuch zabójstw już teraz, po pierwszej zbrodni, mogłabym co dzień ryzykować utratę mojej nieśmiertelnej duszy. Nic tak nie motywuje do działania jak poczucie winy.

4

Płynęłam w czarnej wodzie, cięłam ją gładko i szybko. Wiszący na niebie wielki, lśniący księżyc rzucał na jezioro srebrzysty blask. Opodal majaczyła czarna linia drzew. Dobrze prawie do brzegu. Woda była ciepła i ciemna, prawie jak krew. I wtedy zrozumiałam, dlaczego. To była krew. Pławiłam się w jeziorze świeżej, ciepłej krwi.

Obudziłam się w jednej chwili, z trudem łapiąc oddech. Moje oczy przepatrywały ciemność w poszukiwaniu tego czegoś, co musnęło moją nogę, zanim się obudziłam, czegoś, co żyło wśród mroku i krwi.

Zadzwonił telefon, a ja omal nie krzyknęłam. Zwykle nie jestem aż tak nerwowa. To był tylko senny koszmar. Zwykły koszmar, cholera. Sięgnęłam po słuchawkę i wymamrotałam:

- Halo.

- Anita? - W głosie dało się wyczuć wahanie, jakby dzwoniący zastanawiał się nad przerwaniem połączenia.

- Kto mówi?

- Willie. Willie McCoy. - Gdy to powiedział, jego głos odzyskał normalne brzmienie. Telefon uczynił je odległym i stłumionym, ale natychmiast je rozpoznałam.

- Co słyszać, Willie? - Natychmiast pożałowałam swoich słów. Willie był teraz wampirem, co mogło być u niego słyszać?

- Całkiem nieźle. - W jego głosie dało się wyczuć wewnętrzne zadowolenie. Ucieszył się z mojego pytania.

Westchnęłam. Prawda jest taka, że lubiłam Williego, choć w zasadzie nie powinnam darzyć żadnych wampirów sympatią. Nawet tych, których znałam jeszcze za ich życia.

- A co u ciebie?

- Może być. Co jest?

- Jean-Claude otrzymał twoją wiadomość. Chce się z tobą spotkać dziś o dwudziestej w Cyrku Potępieńców.

- W Cyrku? A co on tam robi?

- Cyrk należy teraz do niego. Nie wiedziałaś?

Pokręciłam głową. Zorientowałam się, że nie mógł tego zobaczyć i odparłam:

- Nie, nie wiedziałam.

- Macie się spotkać na przedstawieniu. Zaczyna się właśnie o dwudziestej.

- Na jakim przedstawieniu?

- Powiedział, że będziesz wiedziała.

- Miłośnik zagadek, niech go drzwi ścisną - wycedziłam.

- Posłuchaj, Anito, robię tylko to, co mi każą. Wiesz, jak to jest, no nie?

Wiedziałam. Willie należał do Jean-Claude'a w całości, bez najdrobniejszych wyjątków, ciałem i duszą.

- W porządku, Willie, to nie twoja wina.

- Dzięki, Anito. - Jego głos stał się weselszy, przywodził mi na myśl szczeniaka, który spodziewał się kopniaka, a został zamiast tego czule pogłaskany.

Dlaczego go pocieszałam? Czemu przejmowałam się urażonymi uczuciami drugorzędneho wampira? Bo nie myślałam o nim jak o nieboszczyku. Dla mnie to wciąż był Willie McCoy, miłośnik krzykliwych, tandetnych garniturów i fatalnie dobranych krawatów, facet, który zawsze nerwowo przebierał palcami. To, że umarł, nie bardzo go zmieniło. Wolałabym, żeby było inaczej.

- Powiedz Jean-Claude'owi, że przyjdę.

- Powiem. - Milczał przez chwilę, słyszałam w słuchawce jego oddech. - Anito, miej się na baczności dziś wieczorem.

- Wiesz coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nie, ale... nie wiem.

- Co się dzieje, Willie?

- Nic, nic. - W jego głosie pobrzmiwało przerażenie.

- Wciążasz mnie w pułapkę?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Nieomal widziałam, jak wymachuje rękoma w powietrzu. - Przysięgam, Anito, nikt na ciebie nie poluje.

Odpuściłam. Uwierzyłam mu, a raczej chciałam uwierzyć.

- Czego więc się boisz?

- Chodzi o to, że ostatnio pojawiło się sporo nowych wampirów. Jest ich więcej niż zwykle. Niektóre z nich nie zważają na to, komu robią krzywdę. I to w zasadzie wszystko.

- Czemu jest więcej wampirów, Willie? Skąd się one wzięły?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jasne? Muszę już kończyć.

Rozłączył się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. W jego głosie dało się wyczuć prawdziwy strach. Lęk o mnie czy o samego siebie. Może jedno i drugie.

Spojrzałam na radiobudzik na nocnym stoliku. Była osiemnasta trzydzieści pięć. Musiałam się pospieszyć, jeśli miałam zdążyć na spotkanie. Koc tak ciepło i czule otulał moje nogi. Jedyne, czego naprawdę pragnęłam, to zwinąć się w kłębek i wskoczyć pod koc, może nawet w towarzystwie pewnego bliskiego memu sercu pluszowego pingwina. Tak, zaszyć się pod kocem, to by było to.

Odgarnęłam pościel i pomaszerowałam do łazienki. Zapaliłam światło i oślepiająca biel wypełniła nieduże pomieszczenie. Fryzurę miałam w artystycznym nieładzie, poskręcane czarne kędziory sterczały we wszystkie strony. Mam nauczkę, żeby nie zasypiać z wilgotnymi włosami. Rozczesałam je, trochę pomogło. Aby to całkiem dobrze wyglądało, musiałabym umyć je raz jeszcze i od nowa ułożyć, a na to nie miałam czasu.

Skóra na tle czarnych włosów wyglądała upiornie blado, a może to wina oświetlenia. Moje oczy mają tak ciemnobrazowy odcień, że wydają się prawie czarne. Dwa węgielki na tle śnieżnobiałego owalu twarzy. Wyglądałam tak, jak się czułam - koncertowo.

Kolejny problem. Co założyć na spotkanie z Mistrzem Miasta? Wybrałam czarne dżinsy, czarny sweter w jasne geometryczne wzory, czarne adidasy z niebieskimi paskami i niebiesko-czarną sportową saszetkę noszoną na pasie. Nie ma to jak odpowiednie dopasowanie kolorów.

Browning trafił do kabury podramiennej. Do saszetki zapasowy magazynek, karty kredytowe, prawo jazdy, pieniądze i mała szczotka do włosów. Włożyłam krótką skózaną kurtkę kupioną w ubiegłym roku. Pierwsza, w której nie wyglądałam jak gorylica. Większość skórzanych kurtek ma tak długie rękawy, że nie mogę ich nosić. Kurtka była czarna, więc Bert nie pozwolił mi chodzić w niej do pracy. Suwak zapięłam do połowy, aby w razie potrzeby móc swobodnie sięgnąć po broń. Srebrny krzyżyk zwieszał się bezpiecznie na długim łańcuszku między moimi piersiami. Taki krzyżyk może czasem okazać się skuteczniejszą bronią przeciwko wampirom niż pistolet, nawet z magazynkiem pełnym naboju powlekanych srebrem.

Przy drzwiach przystanąłam na chwilę. Nie widziałam się z Jean-Claudem od paru miesięcy. Nawet teraz nie chciałam się z nim spotkać. Znowu powróciło wspomnienie snu. Snu o czymś, co żyło wśród mroku i krwi. Skąd się wziął ten koszmar? Czy to znowu Jean-Claude nawiedzał mnie w snach? Przecież obiecał tego więcej nie robić. Czy jednak jego słowo było cokolwiek warte? Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie.

Zgasiałam światło w mieszkaniu i zamknęłam za sobą drzwi. Poruszałam klamką, aby upewnić się, że są dobrze zamknięte, a potem chcąc nie chcąc, pojechałam do Cyrku Potępieńców. Nie miałam więcej wymówek. Nie mogłam dłużej tego odwlekać. Czułam nieprzyjemny, bolesny wręcz ucisk w żołądku. Bałam się. I co z tego? Musiałam tam pojechać, a im szybciej tam dotrę, tym szybciej wrócę do domu. W głębi serca sama w to nie wierzyłam. Gdy chodziło o Jean-Claude'a, nic nigdy nie było proste. Miał talent do gmatwania najprostszycich spraw. Jeżeli będę mogła dzisiejszej nocy dowiedzieć się czegoś na temat tych zabójstw, zrobię to, niezależnie od ceny. Wiedziałam, że nie pieniądze wchodziły tu w grę. Jean-Claude miał najwyraźniej forsę jak lodu. Nie, jego moneta była bardziej bolesna, bardziej zażyła, bardziej krwawa. A ja zgodziłam się na spotkanie z nim. Głupie posunięcie, Anito, bardzo głupie.

5

Szczyt Cyrku Potępieńców zdobił rząd reflektorów. Ich blask rozcinał mrok nocy niczym ostrza noży. Różnobarwne litery układające się w nazwę blakły w światłach wirujących reflektorów. Demoniczni kłowni zastygli w posępnym tańcu wokół neonu.

Minęłam namalowane na płótnie afisze reklamowe zawieszane na ścianach. Na jednym z nich widniała podobizna mężczyzny bez skóry i napis: „Zobaczcie Człowieka bez Skóry”. Na innym była filmowa wersja rytuału voo-doo. Z otwartych mogił wypełzali zombi. Afisz z zombi zmienił się od mojej ostatniej wizyty w Cyrku. Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle; chyba ani jedno, ani drugie. Nie obchodziło mnie, co tu się dzieje, tylko że... Tylko że ozywianie zmarłych wyłącznie dla rozrywki wydawało mi się nieetyczne.

Kto ozywiał dla nich umarłych? Wiedziałam, że to musiał być ktoś nowy, bo osobiście pomogłam w zabiciu ich ostatniego animatora. Był seryjnym mordercą i dwukrotnie omal mnie nie zabił, w drugim przypadku wysługując się stadem ghuli, co jest dla mnie najokropniejszym z możliwych sposobów na zejście z tego świata. Co prawda on też zginął w brutalny i okrutny sposób, ale to nie ja rozdarłam go na strzępy. Zrobił to wampir. Ja tylko przyczyniłam się do jego śmierci, a właściwie to pomogłam mu rozstać się z tym światem. Zabójstwo z litości. No jasne.

Było za zimno, aby stać na dworze w na wpół rozpiętej kurtce. Tylko że gdybym ją zapięła, mogłabym nie zdążyć na czas wyjąć broni. Miałam do wyboru: odmrozić sobie tyłek albo mieć ułatwiony dostęp do pistoletu. Kłowni na dachu mieli długie kły. To przekonało mnie, że w gruncie rzeczy wcale nie jest tak zimno.

Przy wejściu uderzyła mnie fala hałasu i gorąca. Setki ciał stłoczonych wewnątrz sporego, lecz mimo wszystko zamkniętego pomieszczenia. Gwar tłumu brzmiał niczym szum oceanu, grzmiący i nie cichnący ani na chwilę bezsensowny hałas. Tłum to żywioł. Jedno słowo, jedno spojrzenie i tłum staje się dziką tłuszcą. To nie to samo, co grupa ludzi. To coś znacznie groźniejszego.

Było tu wiele rodzin. Rodzice z dziećmi. Dzieci z balonikami i watą cukrową. Umorusane, uśmiechnięte buzie. W powietrzu czuć było słodki zapach kukurydzy na gorąco, ciasta z cynamonem, cukrowej waty, lukrecji, lodów i potu. Brakowało jedynie kurzu. Latem w lunaparku zawsze królował kurz. Suchy, dławiący, wzbijany przez setki par butów. Do tego opony aut wzbijające nowe tumany kurzu i tratujące trawę.

Tu nie wyczuwało się kurzu, ale było coś jeszcze, coś innego i równie osobliwego. Woń krwi. Tak słaba, że trudna do wychwycenia, ale mimo wszystko wszechobecna. Słodki, metaliczny zapach krwi mieszał się z aromatem gotowanych potraw i lodów. Komu brakowało kurzu?

Byłam głodna. Chętnie zjadłabym kukurydzę na gorąco. Czy powinnam najpierw zjeść, czy oskarżyć Mistrza Miasta o morderstwo? Trudny wybór. Jak zawsze zresztą.

Nie do mnie należało dokonanie tego wyboru. Z tłumu wyłonił się mężczyzna. Był nieco wyższy ode mnie, o długich, kręconych włosach do ramion. Nosił chabrową koszulę z podwiniętymi rękawami, spod których wyłaniały się muskularne przedramiona. Obcisłe dżinsy opinały szczupłe biodra. Do tego nosił czarne kowbojki z niebieskimi wzorami. Oczy miały niemal ten sam odcień co koszula. Uśmiechnął się, błyskając małymi, białymi zębami.

- Ty jesteś Anita Blake, zgadza się? - Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie zawsze opłaca się przyznawać, kim jesteś. - Jean-Claude kazał mi na ciebie poczekać. - Głos był łagodny, pełen wahania. Miał w sobie coś z dziecka. No i ten wygląd. Nie mówiąc o tym, że mam słabość do pięknych oczu.

- Jak ci na imię? - spytałam. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Jego uśmiech poszerzył się.

- Stephen. Mam na imię Stephen. - Podał mi rękę. Ucisnęłam ją. Miał delikatną, lecz silną dłoń, może nie wykonywał wielu prac fizycznych, ale na pewno coś ćwiczył. Trochę. Nie za dużo. Nie był zbyt napakowany. Faceci mojego wzrostu nie powinni przesadzać z ćwiczeniami. Mogą dobrze wyglądać w kąpielówkach, ale w zwyczajnych ciuchach przypominają zdeformowanego karła. -

Proszę za mną - powiedział jak kelner, ale gdy wmieszał się w tłum, pospieszyłam za nim. Szedł w stronę wielkiego, niebieskiego namiotu. Wyglądał jak staroświecki namiot cyrkowy. Widywałam takie tylko na zdjęciach lub w filmach.

Przy wejściu stał facet w pasiastym surducie wołający: „Za chwilę zaczynamy! Panie i panowie, okazujcie bilety i wchodźcie do środka! Zobaczcie największą kobrę świata! Na własne oczy ujrzycie, jak ten przerażający wąż zostanie spętany magiczną mocą naszej pięknej zaklinaczki węży, Shaha. Panie i panowie, tego widowiska nie zapomnicie do końca życia!”.

Przy nim ustawiła się kolejka chętnych, pokazujących bilety młodej kobiecie. Bileterka przedzierała je na pół, zostawiając sobie jedną i oddając drugą część.

Stephen pewnym krokiem wyminął kolejkę oczekujących. Parę osób łypnęło na nas krzywo, ale dziewczyna kiwnęła przyzwalająco głową. Weszliśmy do środka. Wewnątrz namiotu ustawiono wielkie trybuny. Niemal wszystkie miejsca były zajęte. Wszystkie bilety wyprzedane. To musiał być niezły spektakl. Super.

Arenę otaczał krąg niebieskich barierek.

Stephen precyzyjnie przeszedł jeden z rzędów, aby dotrzeć do schodów. Ponieważ staliśmy na samym dole, mogliśmy iść tylko wyżej. Wspięłam się za Stephenem po betonowych schodach. Namiot wyglądał jak cyrkowy, ale trybuny i krzesła były stałe. Minikoloseum.

Z powodu uszkodzonych kolan mogę biegać jedynie po płaskim, bieg po schodach czy pod górę sprawia mi ból. Nie próbowałam więc nawet dotrzymać kroku sunącemu jak burza Stephenowi. Patrzyłam na jego pośladki ciasno opięte dzinsami. Obserwacja oczywiście z pobudek czysto zawodowych. Rozsunęłam suwak kurtki, ale jej nie zdjęłam. Ktoś mógłby zobaczyć pistolet. Pot ściekał mi po plecach. Myślałam, że się roztopię. Stephen obejrzał się przez ramię. Może sprawdzał, czy idę za nim, a może chciał zachęcić mnie do szybszego tempa. Posłał mi uśmiech, przy którym jego wargi rozchyliły się szeroko w grymasie niemal drapieżnym. Stałam w połowie schodów, obserwując jego szczupłą postać mknącą coraz wyżej. Emanował niespożytą energią, powietrze zdawało się wirować wokół niego. Był zmiennokształtnym. Niektóre lykantropy potrafią ukrywać to, kim są, lepiej od innych. Stephen nie był aż tak dobry. A może nie przejmował się tym, czy go rozpoznam. Możliwe.

Lykantropia była chorobą, jak AIDS. To że ofiara wypadku stawała się przedmiotem szykan, trąciło uprzedzeniami. Większość zmiennokształtnych to ofiary ataków. Nie stali się nimi z własnego wyboru. Czemu więc teraz, kiedy poznałam prawdę, część sympatii do Stephena nagle znikła? Czyżbym była uprzedzona? Kto, *moi*?

Czekał na mnie u szczytu schodów, piękny jak z obrazka. Powietrze wokół niego przesyciła jednak niepohamowana, dzika, skumulowana energia. Co robił u Jean-Claude'a zmiennokształtny? Jaką pełnił funkcję? Może powinnam zapytać. Stałam obok niego. Moja twarz musiała wyrażać pytanie, bo Stephen nieoczekiwanie rzucił:

- Co się stało?

- Nic. - Pokręciłam lekceważąco głową.

Chyba mi nie uwierzył. Niemniej jednak uśmiechnął się i podprowadził mnie do specjalnej, przeszklonej łoży. Wyglądała bardzo wytwornie, jak miniaturowe studio radiowe. Podeszedł do kotary przy wejściu i odsunął ją. Przytrzymał i gestem ręki zaprosił mnie do środka.

- Nie, ty pierwszy - rzuciłam.

- Panie mają pierwszeństwo - odparł.

- Nie musisz otwierać przede mną drzwi. Nie wymagam tego. Sama doskonale sobie radzę. Naprawdę.

- Feministka, coś takiego.

Prawdę mówiąc, nie chciałam mieć Stephena za plecami. Skoro jednak chciał widzieć we mnie feministkę, to niech mu będzie. Nie było to zresztą tak dalekie od prawdy.

Weszłam do środka. Spojrzałam na arenę. Z góry wydawała się mniejsza. Muskularni mężczyźni w błyszczących przepaskach biodrowych nieśli na nagich ramionach lektykę. W lektyce znajdował się wielki wiklinowy kosz i ciemnoskóra kobieta. Miała na sobie strój tancerki a la Hollywood. Grube, czarne włosy opadały gęstą kaskadą aż do jej stóp. Wyglądały jak płaszcz. Szczupłe ramiona rąk zakończonych małymi, śniadymi dłońmi wykonywały w powietrzu skomplikowane płynne gesty. Dziewczyna zaczęła tańczyć przed lektyką. Kostium był lipny, ale dziewczyna umiała tańczyć. To nie był zmysłowy, uwodzicielski taniec, ale miał w sobie olbrzymią moc. Dawno temu taniec miał na celu przywołanie najróżniejszych bóstw, większość ludzi już o tym zapomniała.

Zrobiło mi się zimno, włosy zjeżyły na karku, na ramionach poczułam gęsią skórę. Stałam tam, dygocząc i pocąc się z gorąca. Co było w koszu? Naganiacz mówił coś o wielkiej kobrze, ale na świecie nie było węży, które potrzebowałyby tak ogromnego naczynia. Nawet anakonda, największy wąż świata, nie wymagała kosza wysokiego na trzy i szerokiego na sześć metrów.

Coś dotknęło mego ramienia. Drgnęłam nerwowo i odwróciłam się. Stephen stał tuż obok, uśmiechając się do mnie. Zmusiłam serce do uspokojenia rytmu i łypnęłam na niego. Najpierw robiłam takie ceregiele z wejściem, a teraz pozwoliłam, żeby niepostrzeżenie się do mnie zbliżył. Nawet go nie wyczułam. Był szybki, bardzo szybki. Naprawdę. Przestraszył mnie i rozzłościłam się na niego. Może to nielogiczne, ale lepiej się złościć niż bać.

- Jean-Claude czeka w środku - powiedział. Uśmiechnął się, a w jego niebieskich oczach dostrzegłam iskierki bardzo ludzkiego rozbawienia.

Spojrzałam na niego spode łba. To miało być dziecinne zagranie, ale wcale się tym nie przejęłam.

- Ty pierwszy, kudłacz.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Spojrzał na mnie z przejęciem.

- Skąd wiesz? - spytał niepewnie, łamiącym się głosem.

Wiele lykantropów szczyli się tym, że nie sposób ich odróżnić od ludzi.

- To było proste - odparłam. Nie było to całkiem zgodne z prawdą, ale chciałam mu dopiec. To dziecinada, wiem, ale nic na to nie poradzę. Nagle wydał mi się bardzo młody. Jego oczy przepełniły się niepewnością i bólem. Cholera. - Posłuchaj, spędzam całe mnóstwo czasu wśród zmiennokształtnych. Po prostu wiem, czego mam wypatrywać, jasne? - Dlaczego starałam się go uspokoić? Bo wiedziałam, co znaczy być outsiderem. Ożywianie zmarłych sprawia, że wielu ludzi stawia mnie na równi z potworami. Niekiedy się z nimi zgadzam.

Wciąż na mnie patrzył, a zranione uczucia wyływały z jego oczu niepohamowaną falą, jak krew z otwartej rany. Gdyby się rozplakał, zmyłabym się stąd. I to natychmiast. Nie mówiąc więcej ani słowa, odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę wpatrywałam się w drzwi. Słyszałam westchnienia i okrzyki tłumu. Obróciłam się na pięcie i ujrzałam to stworzenie. Był to wąż, nie tylko największa kobra, w ogóle największy wąż, jakiego kiedykolwiek widziałam. Zdecydowanie największy wąż świata. Jego łuskowate cielsko przecinały szarobiałe wzory. Łuski błyszczały od światła. Łeb miał co najmniej półtorej stopy szerokości. Na świecie nie było tak dużych węży. Gad rozpostarł kaptur wielkości talerza anteny satelitarnej, po czym zasyczał, chłoszcząc powietrze długim, czarnym, rozwidlonym językiem.

W college'u miałam jeden semestr herpetologii. Gdyby ten wąż miał około dwa i pół metra, powiedziałabym, że mam do czynienia z kobrą królewską. Ale tego, co ujrzałam, nie byłam w stanie nazwać.

Kobieta osunęła się na ziemię, bijąc przed wężem pokłony. Dotykała czołem ziemi. To był znak jej oddania wężowi. Oddawała cześć swemu bóstwu. Boże drogi. Kobieta wstała i zaczęła tańczyć. Kobra obserwowała ją. Ona zaś stała się żywym fletem, którego ruchy śledził krótkowzroczny gad. Nie chciałabym widzieć, co się stanie, gdyby się pomyliła. Nie umarłaby od trucizny. Te wielkie zęby jadowe przebiłyby ją na wylot jak szable. Umarłaby od upływu krwi i szoku, zanim jeszcze trucizna zaczęłaby działać.

Pośrodku areny coś rośło. Poczułam na plecach muśnięcie fali magii. Czy to czary utrzymywały tego węża w ryzach, a może one go przywołały? A może to sam wąż emanował ową magią. Czy miał w sobie taką moc? Ten wąż, a raczej to coś? Nawet nie wiedziałam, jak mam go nazwać. Wyglądał jak największa na świecie kobra, a mimo to nie potrafiłam o nim w ten sposób myśleć. Równie dobrze mogłam nazwać go bogiem przez małe b, choć to określenie także nie było idealne.

Pokręciłam głową i odwróciłam się. Nie chciałam oglądać przedstawienia. Nie chciałam tam stać, gdy fale magii tej istoty przetaczały się miękko i chłodno po mojej skórze. Ale gdyby wąż był groźny, Jean-Claude zamknąłby go w klatce, nieprawdaż? Oczywiście, że tak. Stałam tyłem do zaklinaczki i największego węża świata. Chciałam rozmówić się z JeanClaude i wynieść się stąd jak najprędzej. Otwarte drzwi przepelniała ciemność. Wampiry nie potrzebują światła. A jak to jest z wilkołakami? Nie mam pojęcia. Kurczę, muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Rozpięłam suwak kurtki, aby w razie potrzeby móc jak najszybciej wydobyć pistolet. Choć prawdę mówiąc, gdybym dziś wieczorem musiała szybko dobywać broni, oznaczałoby to, że wdepnęłam w niezłe szambo. Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuściłam powietrze. Nie było sensu dłużej tego odwlekać.

Weszłam w oczekującą ciemność, nie oglądając się za siebie. Nie chciałam widzieć tego, co działo się na arenie. Prawdę mówiąc, nie chciałam także zobaczyć tego, co kryło się poza kurtyną mroku. Czy miałam jednak inne wyjście, inny wybór? Chyba nie.

6

Pokój wyglądał jak garderoba otoczona zasłonami. Wśród okolonej kotarami ciemności nie było nikogo oprócz mnie. Gdzie się podział Stephen? Gdyby był wampirem, uwierzyłabym w sztuczkę ze znikaniem, ale lykantropy nie rozplývają się w powietrzu. Musiały tu gdzieś być drugie drzwi. Gdzie ja bym je umieściła, gdybym budowała to pomieszczenie? Naprzeciw pierwszych drzwi. Rozsunęłam zasłony. Były tam. A jednak. To elementarne, mój drogi Watsonie.

Drzwi były z ciężkiego drewna, ozdobione złożonym motywem roślinnym. Klamkę miały białą, z małymi różowymi kwiatkami pośrodku. Wyglądały przeraźliwie kobieco. Naturalnie nie ma reguły zabraniającej mężczyznom, aby lubili kwiaty. Absolutnie. To był szowinistyczny komentarz. Nieważne.

Nie wyjęłam pistoletu. Widzicie, nie jestem jednak kompletną paranoiczką. Przekręciłam klamkę i popchnęłam drzwi. Napierałam, dopóki nie zatrzymały się na ścianie. Nikt się za nimi nie chował. Doskonale.

Tapeta była biała w srebrno-miedziane wzorki. Uzyskano w ten sposób osobliwy orientalny motyw. Podłogę wyłożono czarnym dywanem. Nie wiedziałam nawet, że produkuje się dywany w takim kolorze. Sporą część pokoju zajmowało łóżko z baldachimem. Przesłaniały je czarne, zwiewne firany. Czyniły łóżko niewyraźnym, zamglonym jak element snu. Wśród czarno-karmazynowej pościeli ktoś leżał. Sądząc po widocznym fragmencie torsu, był to mężczyzna, ale długie, brązowe włosy przesłaniały jego twarz niczym całun. Wszystko to wydawało się odrobinę nierealne, jakby ów ktoś tylko czekał na włączenie kamer i rozpoczęcie zdjęć do filmu.

Pod ścianą stała czarna kanapa z rozłożonymi na niej krwistoczerwonymi poduszkami. Po drugiej



stronie ustawiono niedużą sofę. Leżał na niej zwinięty w kłębek Stephen. JeanClaude siedział w rogu kanapy. Miał na sobie czarne dżinsy z nogawkami wetkniętymi w cholewki sięgających do kolan skórzanych butów w kolorze asfaltowej czerni. Nosił koszulę z koronkową stójką, spiętą pod szyją wisiosem z rubinem wielkości kciuka. Czarne, długie włosy spletały się z misterną koronką. Rękawy miał szerokie, luźne, ozdobione koronkowymi mankietami, tak długimi, że widać było spod nich tylko koniuszki palców dłoni.

- Skąd ty bierzesz takie koszule? - zapytałam.

Uśmiechnął się.

- Nie podoba ci się? - Pieszczotliwie powiódł dłońmi w dół klatki piersiowej, muskając sutki koniuszkami palców. To było zaproszenie. Mogłam dotknąć tego gładkiego, białego materiału i przekonać się, czy koronka była tak miękka, jak się wydawała.

Pokręciłam głową. Nie mogę się zdekoncentrować. Spojrzałam na Jean-Claude'a. Patrzył na mnie oczyma barwy nocnego nieba. Jego rzęsy wyglądały jak czarne koronki.

- Ona cię pragnie, Mistrzu - rzekł Stephen. W jego głosie pobrzmiwała drwina i rozbawienie. - Czuję jej pożądanie.

Jean-Claude odwrócił głowę i łypnął na Stephena.

- Ja również. - Słowa zabrzmiały niewinnie, w przeciwieństwie do zawartego w nich kontekstu. Jego głos prześlizgnął się przez pokój, cichy, lecz pełen złowróżbnych obietnic.

- Nie miałem na myśli nic zdrożnego, Mistrzu. - Stephen wyglądał na przerażonego. Naprawdę, Mistrzu.

W gruncie rzeczy wcale mu się nie dziwiłam.

Jean-Claude znów odwrócił się do mnie, jakby nic się nie wydarzyło. Jego oblicze wciąż wydawało się atrakcyjne, wręcz promieniało rozbawieniem.

- Nie potrzebuję twojej ochrony.

- Och, mam na ten temat odmienne zdanie.

Odwróciłam się i ujrzałam stojącą za moimi plecami wampirzycę. Nie usłyszałam odgłosu otwieranych drzwi.

Uśmiechnęła się do mnie, nie pokazując kłów. To sztuczka, którą znają tylko starsze wampiry. Była wysoka, szczupła, ciemnoskóra, o długich, hebanowych, sięgających do pasa włosach. Nosila karmazynowe szorty z lycry, tak obcisłe, że nietrudno było zgadnąć, iż nic pod nimi nie miała. Do tego czerwony jedwabny top na ramiączkach, zwiewny i luźny jak mgiełka. Wyglądał jak góra od erotycznej piżamki. Stroju dopełniały czerwone sandały na obcasie, złoty łańcuszek z diamentem oraz dobrana do niego bransoletka. Wyglądała egzotycznie. Tak, to odpowiednie określenie. Podpłynęła do mnie, uśmiechając się.

- Czy to groźba? - zapytałam.

Przystanęła przede mną.

- Jeszcze nie. - W jej głosie pobrzmiwał lekki obcy akcent. Coś mroczniejszego w tych syczących dźwiękach.

- Wystarczy - rzekł Jean-Claude. Ciemnoskóra kobieta odwróciła się, gęste czarne włosy zafalowały miękko.

- Nie sądzę.

- Yasmeen. - W tym jednym słowie zawarła się niewypowiedziana groźba.

Yasmeen zaśmiała się. To był dźwięk oschły jak brzęk tłuczonego szkła. Stanęła przede mną, zasłaniając sobą Jean-Claude'a. Wyciągnęła do mnie rękę, ale ja cofnęłam się, stając poza jej zasięgiem. Uśmiechnęła się na tyle szeroko, aby pokazać kły i znów sięgnęła w moją stronę.

Odsunęłam się, a ona nagle rzuciła się na mnie, szybciej niż byłam w stanie zareagować. Nie zdążyłam nawet mrugnąć ani nabrać powietrza. Schwyciła mnie ręką za włosy i pociągnęła mi głowę do tyłu. Koniuszkami palców pogładziła mnie po czaszce. Drugą ręką złapała mnie pod brodę, a jej silne palce wpiły się skórę jak stalowe szczęki imadła. Unieruchomiła mi głowę, byłam w pułapce. Mogłam co najwyżej wyjąć pistolet i strzelić do niej. Innych możliwości nie było. A zważywszy na to, jak była szybka, mogło się okazać, że zanim wyciągnę pistolet, zabije mnie.

- Rozumiem już, dlaczego tak ją lubisz. Jest taka śliczna i delikatna. - Odwróciła się nieznacznie w stronę Jean-Claude'a, stając niemal tyłem do mnie, ale w dalszym ciągu trzymała mnie za głowę. - Nigdy nie sądziłam, że weźmiesz sobie śmiertelniczkę. - To zabrzmiało tak, jakby mówiła o szczeniaku z ulicy.

Yasmeen odwróciła się do mnie plecami. Wcisnęłam w jej pierś lufę dziewiątki. Niezależnie od tego, jak była szybka, jeśli tylko zechcę, zrobię jej krzywdę. Czułam, że mam do czynienia ze starą wampirzycą. To po części wrodzony dar, po części zaś efekt ćwiczeń. Yasmeen była stara, starsza niż Jean-Claude. Mogłam się założyć, że miała ponad pięćset lat. Gdyby była młodą nieumarłą, wystrzelona z przyłożenia kula rozszarpałaby jej serce, zabijając na miejscu. Ale w przypadku mistrzyni wampirów żyjącej już ponad pół tysiąclecia jeden strzał mógł nie wystarczyć. Chociaż kto wie.

Coś przemknęło przez jej oblicze. Wyraz zaskoczenia, a może także trwogi. Znieruchomiała. Jakby zamieniła się w słup soli. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy oddycha.

Mój głos wydawał się zduszony z uwagi na to, że Yasmeen wciąż odchyłała mi głowę. Starłam się jednak mówić wyraźnie:

- Zabierz ręce z mojej głowy. Tylko zrób to powoli. Potem połóż je na swojej głowie i złącz palce.

- Jean-Claude, odwołaj swoją śmiertelniczkę.

- Na twoim miejscu zrobiłbym, co ci każe, Yasmeen - stwierdził z rozbawieniem. - Ile wampirów zabiłaś do tej pory, Anito?

- Osiemnaście.

Oczy Yasmeen wyraźnie się rozszerzyły.

- Nie wierzę ci.

- Lepiej w to uwierz, suko. Jeśli naciśnę spust, będziesz mogła pożegnać się ze swoim parszywym życiem.

- Kule nie mogą mnie zranić.

- Posrebrzane mogą. Precz ode mnie, ale już!

Yasmeen zaczęła zdejmować ręce z mojej głowy.

- Powoli!

Wykonała polecenie. Stała przede mną, opierając złączone dłonie na czubku głowy. Odstąpiłam od niej, przez cały czas celując w jej pierś.

- Co teraz? - spytała Yasmeen. Jej usta wykrzywił uśmieszek.

W ciemnych oczach wampirzycy malowało się rozbawienie. Nie lubię, gdy ktoś się ze mnie śmieje, ale w przypadku gdy masz do czynienia z wampirzymi mistrzami, musisz czasem wykazać większą dozę tolerancji.

- Możesz opuścić ręce - odparłam.

Zrobiła to, ale wciąż gapiła się na mnie jak na cyrkowego dziwoląga.

- Gdzieś ty ją znalazł, Jean-Claude? Ten kociak ma ostre ząbki.

- Anito, powiedz Yasmeen, jak cię nazywają wampiry.

Nie lubię, gdy ktoś mi rozkazuje, ale okoliczności nie sprzyjały dyskusjom na ten temat.

- Nazywają mnie Egzekutorką.

Oczy Yasmeen rozszerzyły się, a potem znów się uśmiechnęła, tym razem ukazując kły w pełnej okazałości.

- Sądziłam, że jesteś wyższa.

- Ja też czasem bywam z tego powodu rozczarowana - przyznałam.

Yasmeen wybuchnęła śmiechem, dzikim i niepokojąco oscylującym na granicy hysterii.

- Ona mi się podoba, Jean-Claude. Jest niebezpieczna. To jak sypianie z lwicą.

Podpłynęła do mnie. Uniosłam broń i wycelowałam w nią. Nawet jej to nie spowolniło.

- Jean-Claude, powiedz jej, że jeśli się nie cofnie, wpakuję jej kulkę.

- Obiecuję, że cię nie skrzywdzę, Anito, wręcz przeciwnie, będę bardzo delikatna.

Zbliżyła się do mnie miękkim, kołyszącym krokiem. Nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić. Bawiła się ze mną w sadystyczny sposób, ale chyba nie zamierzała mnie zabić. Czy mogłam ją zastrzelić tylko dlatego, że uprzykrzała mi życie? Chyba nie.

- Czuję ciepło twojej krwi i żar skóry. Są wyczuwalne niczym najlepsze perfumy. Stanęła na wprost mnie.

Złożyłam się do strzału, a ona wybuchnęła śmiechem. Nachyliła się tak, że wylot lufy pistoletu wpił się w jej pierś.

- Delikatna, wilgotna, ale i silna. - Nie byłam pewna, czy mówi o sobie, czy o mnie. Żadna wersja nie była zachęcająca. Otarła się drobnymi piersiami o pistolet, jej sutki muskały lufę broni. - Krucha, ale i niebezpieczna. - To ostatnie słowo zabrzmiało jak syk, który spłynął po mojej skórze niczym struga lodowatej wody. Była pierwszą mistrzynią wampirów, jaką spotkałam, która potrafiła wyczyniać takie sztuczki z głosem jak Jean-Claude.

Widziałam, jak jej sutki zaczynają sztywnieć pod cienkim materiałem bluzki. O rany. Skierowałam lufę broni w dół i cofnęłam się.

- Jezu, czy wszystkie wampiry mające powyżej dwustu lat są zboczone?

- Ja mam ponad dwieście lat - rzekł Jean-Claude.

- No właśnie.

Z ust Yasmeen dobył się delikatny, perlisty śmiech. Ten dźwięk omiółł moją skórę jak ciepły wietrzyk. Zbliżyła się do mnie. Cofnęłam się aż pod samą ścianę. Wampirzyca oparła o nią dłonie, osaczając mnie z obu stron i ugiąwszy ramiona, zaczęła miękko nachylać się do mnie, jakby robiła pompki.

- Chciałabym jej skosztować.

Wbiłam lufę broni w jej żebra, na tyle nisko, żeby nie mogła zacząć się o nią ocierać.

- Nikt nie będzie mnie kosztował - wycodziłam.

- Twarda sztuka. - Nachyliła się nade mną, muskając moje czoło językiem. - Lubię takie.

- Jean-Claude, zrób z nią coś, zanim jedna z nas zginie.

Yasmeen cofnęła się, nie odrywając rąk od ściany na taką odległość, na jaką pozwalały jej wyprostowane ramiona. Zwilżyła wargi językiem, błysnęła kłębem i ponownie powiodła językiem po wargach. Nachyliła się do mnie, rozchylając usta, ale nie rzuciła mi się do gardła. Raczej chciała mnie pocałować. Chciała poznać mój smak. Ale nie ten, nie smak mojej krwi. Nie mogłabym jej zastrzelić. Nie z takiego powodu. Na pewno nie byłabym w stanie jej kropnąć, gdyby była mężczyzną.

Jej włosy opadły do przodu, na moje dłonie. Były gładkie jak gęsty jedwab. Teraz widziałam tylko jej twarz, doskonale czarne oczy. Znieruchomiała, nieomal dotykając wargami moich ust. Miała ciepły oddech przesycony zapachem miętówek, ale pod nim kryło się coś starszego, plugawy fetor

krwi.

- Jedzie ci z ust starą krwią - wyszeptalam jej prosto w twarz.

- Wiem - odparła równie cicho, nieomal muskajac wargami moje usta. A potem mnie pocałowala. Miętko. Delikatnie. Uśmiechnęła się, gdy nasze usta były wciąż połączone.

Otworzyły się drzwi, nieomal przyszpilajac nas do ściany. Yasmeen wyprostowała się, ale nie oderwała od niej dłoni. Obie spojrzaliśmy na drzwi. Jakaś kobieta o niemal idealnie białych blond włosach rozejrzała się dziko po pokoju. Na nasz widok jej oczy rozszerzyły się. Krzyknęła dziko. To był nieartykułowany okrzyk wściekłości.

- Zostaw ją!

Zmarszczyłam brwi i spojrzalam na Yasmeen.

- Czy ona mówi do mnie?

- Tak. - Yasmeen wygladala na rozbawioną.

Kobieta wręcz przeciwnie. Podbiegła do nas, wyciągajac ręce i zaciskajac dłonie w szpony. Yasmeen pochwyciła ją tak szybko, że nie zauważyłam ruchu, a jedynie rozmytą szarą plamę. Kobieta zaczęła się szamotać i wrywać, przez cały czas usiłujac mnie dosięgnąć.

- Co się dzieje, u licha? - spytałam.

- Marguerite jest ludzką służebnicą Yasmeen - odparł Jean-Claude. - Sądzi, że możesz odebrać jej Yasmeen.

- Też coś. - Wampirzyca łypnęła na mnie z wściekłością. Czyżbym uraziła jej uczucia? Miałam taką nadzieję. - Marguerite, posłuchaj, ona jest tylko twoja, jasne?

Kobieta wrzasnęła na mnie. Krzyk był gardłowy, nieartykułowany. Niebrzydką twarz wykrzywił dziki, niemal zwierzęcy grymas. Nigdy dotąd nie widziałam tak gwałtownego wybuchu wściekłości. To było przerażajace. Zaczęłam bać się, mimo że miałam w ręku nabity pistolet.

Yasmeen musiała dźwignąć szamoczącą się służkę. Przytrzymała ją brutalnie, dopóki ta nie uspokoiła się trochę.

- Obawiam się, Jean-Claude, że Marguerite nie da się przebłagać i ten spór może rozstrzygnąć tylko wyzwanie.

- O czym ty mówisz? - spytałam.

- Podałaś w wątpliwość status Marguerite, roszcząc sobie prawa do mojej osoby.

- Nieprawda - odparowałam.

Yasmeen uśmiechnęła się. Tak musiał uśmiechać się do Ewy wąż w rajcu, radośnie, a groźnie, z rozbawieniem.

- Jean-Claude. Nie wiem, co tu się dzieje i nie przyszedłam tu po to, aby wchodzić z kimś w spór. Nie chcę mieć do czynienia z żadnym wampirem ani tym bardziej z wampirzycą.

- Gdybyś była moją ludzką służebnicą, *ma petite*, nie byłoby mowy o wyzwaniu, bo więź łącząca mistrza i służkę jest nierozzerwalna.

- Czym więc przejmuję się Marguerite?

- Że Yasmeen weźmie cię jako kochankę. Robi tak od czasu do czasu, przygotowujac Marguerite o szaty zazdrości. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu Yasmeen lubi się z nią drażnić.

- Uwielbiam to - zapewniła Yasmeen, odwracajac się do mnie, cały czas przytrzymujac rozwścieczoną blondynkę. Robiła to bez najmniejszego wysiłku. Rzecz jasna wampiry są tak silne, że mogłyby dźwigać zamiast sztangi toyotę. Cóż więc dla nich znaczy niewielki człowiek?

- Co konkretnie oznacza to dla mnie?

Jean-Claude uśmiechnął się jakby ze znużeniem. Był znudzony. A może wściekły? Albo po prostu zmęczony.

- Musisz stanąć do walki z Marguerite. Jeśli zwyciężysz, Yasmeen będzie twoja. Jeśli przegrasz, Yasmeen będzie należeć do Marguerite.

- Chwileczkę - odezwałam się. - O jakim pojedynku mowa? Na pistolety, o świecie?

- Żadnej broni - wtrąciła Yasmeen. - Moja Marguerite nie ma wprawy w posługiwaniu się bronią. Nie chcę, aby coś jej się stało.

- Wobec tego przestań ją dręczyć - odparowałam.

Yasmeen uśmiechnęła się.

- Na tym poniekąd polega ta zabawa.

- Sadystyczna suka - wycodziłam.

- To fakt. Trafnie to ujęłaś.

Jeżu, niektórych osób nawet nie sposób obrazić.

- Mamy walczyć wręcz o Yasmeen? - Nie mogłam uwierzyć, że zadałam to pytanie.

- Tak, *ma petite*.

Wzięłam głęboki oddech, spojrzałam na swój pistolet, na wrzeszczącą kobietę, po czym schowałam pistolet do kabury.

- Mogę jakoś się z tego wywinąć, uniknąć pojedynku?

- Jeżeli przyznasz, że jesteś moją ludzką służebnicą, nie dojdzie do walki. Nie będzie potrzebna.

Jean-Claude bacznie lustrował moje oblicze. Miał przenikliwy wzrok.

- To wszystko zostało ukartowane - warknęłam. W moim wnętrzu zaczął wzbierać gniew.

- Ukartowane, ależ *ma petite*! Nie miałem pojęcia, że okazesz się tak pociągająca dla Yasmeen.

- Akurat!

- Przyznaj, że jesteś moją służebnicą i cała sprawa zakończy się tu i teraz.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Będziesz musiała walczyć z Marguerite.

- Doskonale - odparłam. - To zaczynajmy.

- Co ci szkodzi przyznać się do tego, co i tak jest prawdą, Anito? - spytał Jean-Claude.

- Nie jestem twoją ludzką służebnicą. I nigdy nią nie będę. Chciałabym, abyś przyjął to do wiadomości i dał mi wreszcie święty spokój.

Zasępił się.

- *Ma petite*, nie unos się tak. Nie wypada.

- Odpierdol się.

Uśmiechnął się.

- Jak sobie chcesz, *ma petite*. - Usiadł na brzegu kanapy, pewnie chciał mieć lepszy widok. - Yasmeen, możemy zaczynać, jeśli tylko jesteś gotowa.

- Chwileczkę - rzekłam. Zdjęłam kurtkę i nie byłam pewna, gdzie mam ją położyć.

Mężczyzna, który spał na czarnym łożu z baldachimem, wyciągnął rękę spomiędzy czarnego muślinu.

- Przytrzymam ci ją.

Patrzyłam na niego przez chwilę. Był nagi od pasa w górę. Miał muskularne ramiona i tors. Musiał uprawiać kulturystykę. Nie był jednak przesadnie napakowany. Albo był opalony, albo miał śniadą cerę. Włosy opadały mu na ramiona miękkimi, łagodnymi falami. Miał brązowe, bardzo ludzkie oczy. Miło było je tutaj zobaczyć.

Podaliśmy mu kurtkę. Uśmiechnął się, błyskając zębami i ten gest przegnał ostatnie oznaki senności z jego twarzy. Usiadł z kurtką w jednym ręku, opasując ramionami kolana, wciąż ukryte pod czerwono-czarną pościelą. Policzek oparł o kolana. Wyglądał ujmująco.

- Już, *ma petite*? - Głos Jean-Claude'a przepełniało rozbawienie, i coś jeszcze. Drwina. Nie

wiedziała tylko, czy drwił ze mnie, czy z siebie.

- Chyba jestem gotowa - odparłam.

- Puść ją, Yasmeen. Zobaczymy, co się stanie.

Usłyszałam głos Stephena.

- Dwadzieścia na Marguerite.

- To nieuczciwe - wtrąciła Yasmeen. - Nie mogę obstawiać przeciwko mojej służebnicy.

- Stawiam dwie dychy na zwycięstwo panny Blake - powiedział mężczyzna siedzący na łóżku. Znów na niego spojrzałam i wówczas uśmiechnął się do mnie.

W sekundę potem dopadła mnie Marguerite. Uderzyła na odlew, w twarz. Zablokowałam cios przedramieniem. Walczyła po kobiecemu, atakując otwartymi dłońmi i drapiąc paznokciami. Była jednak szybka, szybsza od człowieka. Może to dlatego, że była służebnicą wampirzycy.

Nie mam pojęcia. Przejechała mi po twarzy. Zbolało. To była kropla, która przepełniła czarę. Nie zamierzałam dłużej się z nią pieścić. Przytrzymałam ją jedną ręką. Ugryzła mnie. Walnęłam ją prawą pięścią, najsilniej jak umiałam, wkładając w ten cios cały ciężar ciała. Trafiłam ją w splot słoneczny. Marguerite przestała wgryzać się w moją rękę i zgięła się wpół, przyciskając dłonie do brzucha. Zabrakło jej tchu. Świetnie.

Na lewym ręku miałam krwawy odcisk jej zębów. Dotknęłam lewego policzka, na koniuszkach palców ujrzałam krew. Cholera, to bolało.

Marguerite uklękła na podłodze, próbując na powrót złapać oddech. Patrzyła na mnie. Sądząc po spojrzeniu jej niebieskich oczu, walka jeszcze się nie skończyła. Gdy tylko dojdzie do siebie, zaczęłaby od nowa.

- Nie podnoś się, Marguerite, albo zrobię ci krzywdę.

Pokręciła głową.

- Ona nie może się poddać, *ma petite*, w przeciwnym razie zdobędziesz ciało Yasmeen, nawet jeśli nie posiadziesz jej serca.

- Nie chcę jej ciała. Nie chcę niczyjego ciała.

- Z tym się akurat nie zgodzę, *ma petite* - rzekł Jean-Claude.

- Nie nazywaj mnie *ma petite*.

- Nosisz dwa moje znaki, Anito. Masz za sobą połowę drogi do zostania moją ludzką służebnicą. Przyznaj to i nikt już tej nocy nie będzie musiał cierpieć.

- Akurat - parsknęłam.

Marguerite zaczęła się podnosić. Nie chciałam, aby wstała. Przyskoczyłam do niej, zanim się podniosła i zamaszystym kopnięciem podbiłam jej nogi. Silnym pchnięciem przewróciłam ją na podłogę i usiadłam na niej okrakiem. Wykręciłam jej prawą rękę i założyłam blok na staw łokciowy. Próbowała wstać. Wzmogłam nacisk i z powrotem przygniotłam ją do podłogi.

- Nie walcz.

- Nie - wychrypiała. To było trzecie zrozumiałe słowo, jakie wypłynęło z jej ust.

- Złamię ci rękę.

- To złam. No jazda, złam! Jest mi to obojętne! - Twarz miała przepełnioną gniewem, dziką, szaloną furją. Nie sposób było przemówić jej do rozsądku. Doskonale.

Wykorzystując dźwignię na łokieć, przewróciłam ją na brzuch, wzmogłam nacisk na staw tak, że omal nie trzasnął, ale w pełni kontrolowałam sytuację. Złamanie ręki mogło nie zakończyć walki. A ja chciałam, aby to się wreszcie skończyło. Przyblokowałam wykręconą rękę Marguerite kolanem, po czym uklękłam na niej, przygniatając ją do ziemi. Chwyciłam ją drugą ręką za włosy i odciągnęłam do tyłu głowę. W chwilę później puściłam jej rękę i oplotłam ramieniem szyję, tak aby zginając rękę

w łokciu, zacisnąć arterie. Prawa dłoń na lewym nadgarstku zamknęła uchwyt. Spróbowała rozorać mi twarz paznokciami, ale wtuliłam się w nią tak, że nie zdołała mnie dosięgnąć. Zaczęła wydawać ciche, żalose jęki, bo na głośniejsze brakowało jej tchu. Przejechała mi paznokciami po prawym ramieniu, ale miałam na sobie gruby sweter. Zaczęła podciągać mi rękaw, a odsłoniwszy skórę, wpiła się w nią paznokciami.

Wtuliłam twarz mocniej w jej plecy i ścisnęłam za szyję tak, że aż zaczęły mi drżeć ramiona. Zacisnęłam zęby. Dałam z siebie wszystko, wpijając ramię w to szczupłe, niepokorne gardło.

Przestała rozdrapywać mi rękę. Jej dłonie jeszcze przez chwilę uderzały w moje ramię jak dogorywające motyle.

Przyduszenie kogoś, aby pozbać go przytomności, trwa dosyć długo. W filmach pokazują to w uproszczonej wersji, szybko, łagodnie, bez komplikacji. A wcale tak nie jest. To nie dzieje się ani szybko, ani łagodnie, ani tym bardziej bez komplikacji. Czujesz puls szyjny osoby, z której uporczywie starasz się wycisnąć życie. Poza tym osoba, z którą walczysz, stawia zwykle większy opór niż przeciwnicy bohaterów filmowych. A jeśli chcesz kogoś udusić, musisz utrzymywać uścisk jeszcze przez długi czas po tym, jak twój przeciwnik przestanie się szamotać.

Marguerite powoli zaczęła wiotczeć. Gdy stała się całkiem bezwładna, powoli puściłam ją. Leżała bez ruchu na podłodze. Nawet nie widziałam, czy oddycha. Czyżbym podduszała ją zbyt długo?

Dotknęłam jej szyi i wyczułam silny, regularny puls. Po prostu straciła przytomność, ale żyła. Doskonale. Wstałam i podeszłam do łóżka.

Yasmeen uklękła przy nieruchomej Marguerite.

- Moja ukochana, jedyna, czy ona zrobiła ci coś złego?

- Jest tylko nieprzytomna - zapewniłam. - Za parę minut dojdzie do siebie.

- Gdybyś ją zabiła, rozszarpałabym ci gardło.

Pokręciłam głową.

- Nie zaczynajmy od nowa. Jak na jedną noc mam po dziurki w nosie całego tego szajsu i pieprzonych gier.

- Krwawisz - odezwał się mężczyzna na łóżku.

Po moim prawym przedramieniu spływała krew. Marguerite by może nie zrobiła mi wielkiej krzywdy, ale niektóre z zadrapań wydawały się na tyle głębokie, że pozostaną mi blizny.

Pięknie, na dolnej części prawego ramienia miałam już długą, cienką bliznę od noża. Nawet licząc zadrapania, na prawym ręku miałam znacznie mniej blizn niż na lewym. To obrażenia wynikające z wykonywanego zawodu.

Krew wolno spływała mi po ręce, skapując na podłogę. Na czarnym dywanie nie było jej wcale widać. Czarne dywany bywają jednak przyteczne. Zwłaszcza jeśli zamierzasz sporo krwawić we własnym domu.

Yasmeen pomogła Marguerite wstać. Blondynka bardzo szybko doszła do siebie. Dlaczego? Ponieważ była ludzką służebnicą wampira. To oczywiste. No jasne.

Yasmeen zwróciła się w stronę łóżka. Zbliżyła się do mnie. Jej urocze oblicze wychudło tak, że spod skóry zdawały się prześwitywać nagie kości. Oczy miała świecące, nieomal gorejące jak rozżarzone węgle.

- Świeża krew. Dzisiejszej nocy jeszcze się nie pożywiałam.

- Panuj nad sobą, Yasmeen.

- Nie nauczyłeś swojej służebnicy dobrych manier, Jean-Claude - powiedziała Yasmeen. Spojrzała na mnie złowrogo.

- Daj jej spokój, Yasmeen. - Jean-Claude podniósł się.

- Każdego sługę należy okiełznać, Jean-Claude. Twoja pupilka zanadto się rozbestwiła.

Spojrzałam na niego ponad ramieniem Yasmeen.

- Okiełznać?

- To niezbędny element tego procesu - stwierdził. Powiedział to beznamiętnym tonem, jakby mówił o okiełznaniu wierzchowca.

- Niech cię diabli. - Wyjęłam pistolet. Ujęłam go oburącz. Nikomu nie pozwolę się okiełznać.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch po drugiej stronie łóżka. Ktoś wstał. Mężczyzna wciąż siedział wśród czarno-czerwonej pościeli. To była szczupła kobieta o skórze koloru kawy z mlekiem. Była naga. Skąd się tu wzięła, u licha?

Yasmeen stała metr ode mnie, oblizując językiem wargi - jej kły błyszcząły w świetle sufitowej lampy.

- Zabiję cię, czy to rozumiesz, zabiję cię - wycedziłam.

- Spróbuj szczęścia.

- Nie warto umierać z powodu jakichś gierek - dokończyłam.

- Po kilkuset latach to jedyne, dlaczego warto umrzeć.

- Jean-Claude, jeśli nie chcesz jej stracić, odwołaj ją! - W moim głosie pojawiła się wyraźna nuta zaniepokojenia.

Z tej odległości jedna kula mogła poczynić potworne spustoszenia w jej klatce piersiowej. Gdyby strzał okazał się celny, nie zdoła zregenerować uszkodzonych tkanek. Miała jednak ponad pięćset lat i jeden strzał mógł nie wystarczyć. Na szczęście miałam więcej niż jeden pocisk.

Kątem oka zauważyłam jakieś poruszenie. Zaczęłam się odwracać w tę stronę, gdy coś mnie powaliło i rozpląszczyło na podłodze. Czarnoskóra kobieta usiadła na mnie. Uniosłam broń do strzału. Nie obchodziło mnie, czy miałam przed sobą śmiertelniczkę, czy nie.

Schwyciła mnie za nadgarstki i ścisnęła. Zamierzała pogruchotać mi kości. Wyszczrzyła do mnie zęby i zawarczała groźnie. Ten dźwięk pasował do istoty porośniętej sierścią, z pyskiem pełnym ostrych kłów. Ludzkie twarze nie powinny tak wyglądać. Wyrwała mi browninga równie łatwo, jakby odbierała dziecku lizaka. Ujęła pistolet odwrotną stroną, jakby nie wiedziała, jak się go używa. W tej samej chwili silne ramię oplotło ją w pasie i zwlokło ze mnie. To był mężczyzna, który siedział dotąd na łóżku. Kobieta odwróciła się i warknęła na niego.

Yasmeen rzuciła się na mnie. Odpelzłam w tył, aż pod samą ścianę. Uśmiechnęła się.

- Bez broni nie jesteś już taka twarda, prawda?

I nagle ukłękła przede mną. Nie zauważyłam, kiedy się pojawiła, nawet nie dostrzegłam rozmytej smugi jej ciała. Po prostu pojawiła się przede mną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Oparła się o moje kolana, przygniatając mnie do ściany. Yasmeen wpiła palce w moje ramiona i pociągnęła ku sobie. Była niewiarygodnie silna. W porównaniu z nią czarnoskóra zmiennokształtna wydała mi się krucha i delikatna.

- Yasmeen, nie! - Jean-Claude wreszcie pospieszył mi z pomocą. Za późno. Yasmeen obnażyła kły, odchyliła głowę i szykowała się do ataku, a ja nic nie mogłam na to poradzić. Przyciągnęła mnie mocno do siebie, opasując ramionami. Gdyby ścisnęła mocniej, pogruchotałaby mi wszystkie kości.

Krzyknęłam:

- Jean-Claude!

Żar; coś zapłonęło pod swetrem, tuż nad moim sercem. Yasmeen zawahała się. Poczułam dreszcz, który targnął całym jej ciałem. Co się działo, u licha? Pomiędzy nami buchnął jęzor biało-niebieskiego ognia. Krzyknęłam. Yasmeen również. Krzyknęłyśmy obie i obie stanęłyśmy w ogniu.

Odskoczyła ode mnie. Po jej bluzce pełzały niebiesko-białe płomienie. Ogień lizał krawędzie otworu



w moim swetrze. Uwolniłam się od upręży kabury podramiennej i zrzuciłam z siebie sweter. Mój krzyżyk wciąż płonął silnym biało-niebieskim ogniem. Szarpnęłam łańcuszek, aż pękł. Cisnęłam nim na dywan, gdzie płomienie powoli zaczęły słabnąć, aż w końcu zgasły zupełnie. Na piersi tuż nad sercem miałam piękny ślad po oparzeniu, w kształcie krzyża. Na skórze pojawiły się już pierwsze pęcherze. Oparzenie drugiego stopnia.

Yasmeen zrzuciła z siebie bluzkę. Miała identyczne oparzenie, ale ponieważ była ode mnie wyższa, ślad pojawił się nieco niżej, pomiędzy piersiami.

Uklękałam na podłodze, ubrana tylko w stanik i dzinsy. Łzy spływały mi po twarzy. Na lewym przedramieniu miałam wcześniejszy ślad po oparzeniu, także w kształcie krzyża. Napiętnowali mnie w ten sposób poplecznicy pewnego wampira. Sądziły, że to zabawne. Bawiło ich to do czasu, kiedy ich nie pozabijałam. Oparzenia to paskudna sprawa. Bolał bardziej niż jakiekolwiek inne obrażenia.

Jean-Claude stanął przede mną. Krzyżyk rozjarzył się białym blaskiem, ale nie buchnął płomieniem. Jean-Claude go przecież nie dotknął. Uniosłam wzrok, żeby ujrzeć, jak osłania oczy ręką przed oślepiającym blaskiem.

- Schowaj to, *ma petite*. Tej nocy nikt cię już nie skrzywdzi. Masz na to moje słowo.

- Może byś się tak cofnął i pozwolił mi samej zdecydować, co mam dalej robić?

Westchnął.

- Postąpiłem głupio, pozwalając, aby sytuacja tak bardzo wyrwała się spod kontroli. Wybacz mi, Anito. Byłem nierozsądny.

Trudno mi było brać jego przeprosiny na serio, gdy tak stał, osłaniając oczy przed oślepiająco białym blaskiem gorejącego krzyżyka. Ale bądź co bądź przeprosił. Ze strony Jean-Claude'a to już było sporo.

Ujęłam krzyżyk za uszkodzony łańcuszek. Zrywając go z szyi, zniszczyłam zapięcie. Aby móc go znów założyć, będę potrzebować nowego łańcuszka. Drugą ręką podniosłam sweter. Na przodzie była wypalona wielka dziura. Sweter mogłam spisać na straty. Tylko pod co miałam włożyć świecący krzyżyk, skoro nie założyłam dziś bluzki? Jak miałam go ukryć?

Mężczyzna na łóżku oddał mi skózaną kurtkę. Napotkałam jego wzrok i dostrzegłam w nim zatroskanie przemieszane ze strachem. Jego brązowe oczy były tak bardzo ludzkie. To nie wiedzieć czemu znów wydało mi się pocieszające.

Uprząż kabury podramiennej zwieszała się na wysokości mojej talii jak zdjęte szelki. Nałożyłam ją. Dotyk upręży założonej na nagą skórę był co najmniej dziwny.

Mężczyzna oddał mi pistolet, kierując go kolbą w moją stronę. Czarna zmiennokształtna, wciąż naga, stała po drugiej stronie łóżka, łypiąc na nas gniewnie. Nie obchodziło mnie, w jaki sposób zdobył mój pistolet. Cieszyłam się, że odzyskałam broń.

Z browningiem w kaburze podramiennej poczułam się bezpieczniej, choć nigdy dotąd nie nosiłam jej na gołym ciele. Na pewno nabawię się przez to bolesnych otarć. Cóż, na tym świecie nie ma rzeczy doskonałych.

Mężczyzna podał mi kilka chusteczek higienicznych. Czerwona narzuta zsunęła się, odsłaniając aż po uda nagie ciało mężczyzny. Lada moment mogła opaść zupełnie.

- Twoje ramię - powiedział.

Spojrzałam na swoją prawą rękę. Wciąż trochę krwawiła. Ból był znacznie słabszy niż oparzenie, więc już zapominałam o tych zadrapaniach.

Wzięłam od niego chusteczki. Przez chwilę zastanawiałam się, co ten człowiek tu robił. Czy kochał się z tą nagą kobietą, zmiennokształtna? Nie widziałam jej w łóżku. Czyżby ukryła się pod nim?

Najlepiej jak umiałam, doczyściłam rękę, nie chciałam zbyt zakrwawić skórzanej kurtki.

Włożyłam ją, a wciąż świecący krzyżyk wrzuciłam do lewej kieszeni. Gdy tylko krzyżyk znalazł się wewnątrz, przestał świecić. Yasmeen i ja napytałyśmy sobie biedy tylko dlatego, że mój sweter był luźno tkany, a jej bluzka tak skąpa, że przesłaniała tylko wąski skrawek ciała. Poświęcony krzyżyk, dotykając ciała wampira, zawsze staje w ogniu. Reakcja jest bardzo gwałtowna. Gdy już schowałam krzyżyk, Jean-Claude spojrzał na mnie z przejęciem.

- Tak mi przykro, *ma petite*. Nie chciałem cię dziś przestraszyć. - Wyciągnął do mnie rękę. Jego skóra była bielsza niż koronka przy mankiecie koszuli.

Zignorowałam jego pomocną dłoń i wstałam, przytrzymując się łóżka.

Powoli opuścił rękę. Wpatrywał się we mnie niewzruszenie spokojnymi, ciemnoniebieskimi oczami.

- Gdy chodzi o ciebie, Anito, nic nigdy nie przebiega tak, jak to sobie zaplanuję. Czemu tak się dzieje?

- Może powinieneś wreszcie wbić to sobie do głowy i dać mi święty spokój.

Uśmiechnął się, prawie niedostrzegalnie rozchylając wargi.

- Obawiam się, że na to jest już za późno.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Drzwi otworzyły się na oścież tak gwałtownie, że uderzyły w ścianę i na powrót zaczęły się zamykać.

W progu stanął mężczyzna, oczy miał rozszerzone, po twarzy ściekały mu strużki potu.

- Jean-Claude... waż. - Wyglądało na to, że ma kłopoty z oddychaniem, jakby wbiegł po schodach na górę.

- Co z węzem? - spytał Jean-Claude.

Mężczyzna przełknął ślinę, jego oddech spowolnił się.

- On oszalał.

- Co się stało?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie wiem. Zaatakował swoją treserkę, Shaha. Ona nie żyje.

- Zaatakował ludzi?

- Jeszcze nie.

- Będziemy musieli dokończyć naszą rozmowę później, *ma petite*.

Ruszył w stronę drzwi, reszta wampirów pospieszyła za nim. Stephen również. Dobrze go wyszkolono.

Szczupła, czarna kobieta włożyła przez głowę luźną sukienkę, czarną w czerwone kwiaty. Założyła czerwone szpilki i już jej nie było.

Mężczyzna wstał z łóżka. Nagi. Nie było czasu na zażenowanie. Zaczął wkładać spodnie od dresu.

Co prawda to nie mój problem, ale co jeśli kobra zaatakuje publiczność? Nie moja sprawa.

Zasunęłam zamek kurtki na tyle, by nikt się nie zorientował, że nie mam na sobie bluzki, ale nie dość wysoko, by nie móc wydobyć broni.

Wyszłam z pomieszczenia i znalazłam się w jasno oświetlonym wnętrzu przestronnego namiotu, zanim bezimienny mężczyzna zdążył wciągnąć spodnie od dresu. Wampiry i zmiennokształtni znajdowali się na skraju areny, otaczając węża szerokim kręgiem. Na niedużej arenie cielsko ogromnego węża falowało rytmicznie, jego czarno-białe sploty pozostawały w ciągłym ruchu. Dolna połowa ciała mężczyzny w błyszczącej przepasce biodrowej znikła w gardzieli kobry. To dlatego gad jeszcze nie zaatakował tłumów na trybunach. Potrzebował czasu, aby się nażreć. Boże Święty.

Nogi mężczyzny zadrgały konwulsyjnie. Ten człowiek nie mógł przecież żyć. To niemożliwe. A jednak te nogi wciąż drgały i po chwili znikły w paszczy wielkiego gada. Proszę cię, Boże, spraw, aby to był tylko zwykły odruch. Mam nadzieję, że ten człowiek był już martwy. Ta myśl była gorsza

niż jakikolwiek mój koszmar, który mogłam sobie przypomnieć. A tak się składa, że mam w pamięci sporo koszmarnych wspomnień.

Potwór na arenie nie był moim problemem. Nie musiałam tym razem zgrywać bohaterki. Ludzie krzyczeli, biegali w tę i z powrotem z dziećmi na rękach, miażdżąc pod stopami pudełka z prażoną kukurydzą i watą cukrową. Weszłam w tłum i zaczęłam schodzić w stronę areny. U moich stóp przewróciła się jakaś kobieta niosąca na rękach małe dziecko. Przerazony mężczyzna omal się o nie potknął. Przeskoczył nad nim i pobiegł dalej. Pomogłam kobiecie wstać, wzięłam na ręce dziecko. Ludzie przepychali się obok nas. Fala ogarniętych paniką ludzi omal nas nie porwała. Poczułam się jak skała pośrodku rozszalałej rzeki. Kobieta spojrzała na mnie, miała obłęd w oczach. Oddałam jej dziecko i wcisnęłam ją między fotele. Schwyciłam za rękę najbliższego postawnego mężczyznę i wrzasnęłam mu prosto w twarz:

- Pomóż im.

Facet miał zdziwioną minę, jakbym odezwała się do niego w obcym języku, ale wyraz paniki z wolna zniknął z jego oblicza. Ujął kobietę za rękę i zaczął przedzierać się z nią ku wyjściu.

Nie mogłam pozwolić, aby wąż zaatakował tłum. Musiałam spróbować temu zapobiec. Musiałam coś zrobić.

Cholera, a jednak zamierzałam zgrywać bohaterkę. Zaczęłam brnąć pod prąd, w kierunku areny, podczas gdy wszyscy podążali w przeciwną stronę. W pewnej chwili ktoś trafił mnie łokciem w twarz. Poczułam w ustach smak krwi. Zanim przebiję się przez ten cholerny tłum, na pewno będzie już po wszystkim. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

7

Wydostałam się z tłumy tak, jakbym odsunęła na bok zasłonę. Skóra świerzbila mnie na wspomnienie przepychających się ciał, ale w końcu stanęłam sama na ostatnim stopniu. Rozwrzeszczany tłum był już tylko nade mną, kierując się ku wyjściom. Tu, tuż nad areną, nie było nikogo. Cisza otoczyła mnie jak kokon. Powietrze zgęstniało tak, że trudno było oddychać. Magia. Ale nie wiedziałam, czy to czary wampirów, czy kobry.

Stephen stanął tuż przy mnie, był bez koszuli, szczupły i na swój sposób elegancki. Yasmeen narzuciła jego niebieską koszulę, aby zasłonić nagą górną połowę ciała. Zawiązała poły, a tym samym odsłoniła gołe pośladki.

Marguerite zatrzymała się obok niej. Po prawej stronie Stephena stanęła czarnoskóra kobieta. Zrzuciła szpilki i stanęła boso na arenie.

Jean-Claude stanął po drugiej stronie kręgu w towarzystwie dwóch nowych, jasnowłosych wampirów. Odwrócił się i spojrzał na mnie z daleka. Poczułam jego dotyk w sobie, tam gdzie nigdy nie powinna znaleźć się niczyja dłoń. Coś ścisnęło mnie w gardle, moje ciało pokrył pot. W tej chwili nic nie mogłoby mnie zmusić, abym się do niego zbliżyła. Starał się coś mi powiedzieć. Coś osobistego i zbyt intymnego, aby można to wyrazić słowami.

Ochryply wrzask sprawił, że znów skierowałam swą uwagę na środek areny. Po jednej stronie leżało dwóch krwawiących, zmasakrowanych mężczyzn. Kobra unosiła się nad nimi niczym ruchoma wieża z łusek i mięśni. Zasycała na nas. To był głośny, drapieżny syk.

Dwaj mężczyźni leżeli na ziemi u stóp... albo raczej u ogona stwora. Jeden z nich zadrzał. Czy jeszcze żył? Aż do bólu zacisnęłam dłonie na barierce. Byłam tak przerażona, że czułam w gardle smak żółci. Moja skóra stała się lodowata. Mieliście kiedyś koszmary, w których wszędzie są węże, a jest ich tyle, że nie możecie zrobić kroku, aby na któregoś z nich nie nastąpić? Towarzyszy temu porażające uczucie klaustrofobii. Mój sen zawsze kończy się tym, że stoję pod drzewami, z gałęzi których sypie się na mnie grad węży i przeraźliwie krzyczę.

Jean-Claude wyciągnął do mnie białą, szczupłą rękę. Spod koronek widać było jedynie koniuszki jego palców. Wszyscy inni patrzyli na węża. Jean-Claude gapił się na mnie.

Jeden z rannych mężczyzn poruszył się. Spomiędzy jego ust dobył się zduszony jęk, który rozbrzmiał głośnym echem wewnątrz olbrzymiego namiotu. Czy to tylko iluzja, czy naprawdę usłyszałam ten dźwięk? To bez znaczenia. Facet żył i musieliśmy zrobić wszystko, aby tak już pozostało. My? Jak to my? Wejrzałam w ciemnogrnatowe oczy Jean-Claude'a. Jego twarz pozostawała nieodgadniona, odarta z wszelkich emocji. Nie zdołała mnie omamić tymi oczami. Nic z tego. Miałam to zagwarantowane dzięki posiadanym znakom, ale wciąż byłam podatna na jego sztuczki mentalne. Musiał tylko trochę się postarać. I właśnie to robił.

Poczułam silne pragnienie. Chciałam podejść, podbiec do niego. Poczuć gładki, mocny uścisk jego dłoni, delikatne muśnięcie koronek na skórze. Oparłam się o barierkę, zakręciło mi się w głowie. Zacisnęłam na niej dłoń, aby nie upaść. W co on ze mną pogrywał? W jakie mentalne gierki? Mieliśmy inne problemy, czyż nie? A może wcale nie przejmował się wężem? Może to wszystko było tylko sprytną sztuczką. Może to on rozkazał kobrze, aby zaatakowała ludzi. Ale dlaczego? I po co?

Wszystkie włosy na moim ciele stanęły dęba, jakby muśnięte jakimś niewidzialnym palcem. Zadrżałam i nie mogłam powstrzymać dreszczy.

Spojrzałam w dół na parę niebrzydkich czarnych butów, miękkich, z wysoką cholewką. Uniosłam wzrok i odnalazłam spojrzenie Jean-Claude'a. Obszedł kobrę, aby zbliżyć się do mnie. Nie przyszła góra... A poza tym tak było znacznie szybciej.

- Przyłącz się do mnie, Anito, a wspólnie zdołamy poskromić stwora. Możemy ocalić ludzi.

Zabił mi ćwieka. Chwila osobistej słabości przeciwko życiu dwóch mężczyzn. Ale wybór, nie ma co.

- Gdy wpuszczę cię do mojej głowy, łatwiej ci będzie wdrzeć się tam następnym razem. Nie zaprzędam duszy za czyjeś życie.

Westchnął.

- W porządku, wybór należy do ciebie.

Zaczął odwracać się ode mnie. Schwyciłam go za rękę, była ciepła, silna i bardzo, ale to bardzo realna. Spojrzał na mnie, oczy miał wielkie i bezdenne jak otchłań oceanu i jak ona zabójcze. Tylko jego moc utrzymywała mnie w ryzach. Gdyby nie ona, poddała bym się i na zawsze pograżyła w tej otchłani. Przełknęłam ślinę tak mocno, że aż zabolęło, po czym odsunęłam rękę. Miałam nieprzepartą chęć, aby wytrzeć dłoń o spodnie, jakbym dotknęła czegoś obrzydliwego. Może faktycznie tak było.

- Czy srebrne kule mogą to zranić?

Zamyślił się przez chwilę.

- Nie wiem.

Zaczerpnęłam głęboki oddech.

- Jeśli przestaniesz próbować ovladnąć moim umysłem, pomogę ci.

- Wolisz stawić czoło tej istocie z pistoletem w dłoni zamiast z moją pomocą? Wydawał się szczerze rozbawiony.

- Trafiłeś w sedno.

Odstąpił i gestem ręki zaprosił mnie na arenę.

Przeskoczyłam nad barierką i wylądowałam obok niego. Zignorowałam go na tyle, na ile to było możliwe, po czym ruszyłam w stronę stwora. Wyjęłam z kabury browninga. Miło było poczuć ten swojski ciężar w dłoni. Od razu zrobiło mi się lepiej.

- Starożytni Egipcjanie oddawali tej istocie cześć boską. Pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć, *ma petite*. To Edjo, królewski wąż. Obiekt czci, uwielbienia i trwogi.

- To nie jest żaden bóg, Jean-Claude.

- Jesteś pewna?

- Pamiętaj, że ja jestem baptystką. Dla mnie to po prostu jeszcze jedna nadnaturalna istota. Tyle że przerośnięta.

- Twoja sprawa, *ma petite*.

Znów odwróciłam się w jego stronę.

- Jakim cudem zdołałeś go przepchnąć przez kwarantannę?

Pokręcił głową.

- Czy to ważne?

Spojrzałam na istotę pośrodku areny. Zaklinaczka węży leżała obok wielkiego gada jak rzucona niedbale szmata. Nie została pożarta. Czy to oznaka czci, uwielbienia, czy zwykłego farta?

Kobra pełzła w naszą stronę, łuski na jej brzuchu to łączyły się, to znowu rozwierały. Stwór wił się ku nam po betonie przy wtórze suchego, nieprzyjemnego szurania.

Jean-Claude miał rację, to, w jaki sposób ten stwór się tu dostał, nie miało obecnie znaczenia.

Liczyło się, że był tu i teraz.

- Jak my to powstrzymamy?

Uśmiechnął się szeroko, błyskając kłami. Może dlatego, że powiedziałam „my”.

- Jeśli tylko unieruchomisz pysk gada, jakoś sobie z nim poradzimy.

Cielsko węża było grubsze niż słup telefoniczny. Pokręciłam głową.

- Skoro tak twierdzisz.

- Możesz zranić go w pysk?

Skinęłam głową.

- Jeśli tylko srebrne kule poskutkują, to tak.

- Moja mała snajperka - mruknął.

- Odpuść sobie sarkastyczne komentarze - ucięłam.

Pokiwał głową.

- Jeżeli chcesz do niego postrzelać, proponuję, abyś się pospieszyła, *ma petite*. Jeśli ten stwór dotrze do mojego ludu, będzie za późno na jakiekolwiek działania. - Jego oblicze pozostawało nieodgadnione. Nie wiedziałam, czy chciał, abym to zrobiła, czy nie.

Odwróciłam się i zaczęłam iść w poprzek przez arenę. Kobra znieruchomiała. Czekwała jak kołysząca się wieża. Stała tam, jeśli można tak określić istotę nie posiadającą nóg, i czekała na mnie, smakując powietrze smagnięciami długiego, rozwidlonego języka. Wyczuwała mój smak.

Jean-Claude znalazł się nagle tuż obok mnie. Nie usłyszałam, jak się zbliżał, nie wyczułam go.

Kolejna sztuczka mentalna. Miałam teraz inne kłopoty na głowie. Odezwał się, cicho i nagłaco - myślę, że tylko ja go usłyszałam.

- Uczynię, co w mojej mocy, aby cię ochronić, *ma petite*.

- W swoim gabinecie naprawdę świetnie się spisałeś.

Zatrzymał się. Ja nie.

- Wiem, że się tego boisz, Anito. Czuję twój strach aż w żołądku - rzucił miękko i ulotnie jak wiatr.

Odpowiedziałam szeptem, nie mając pewności, że mnie usłyszy.

- Trzymaj się z dala od mojego umysłu, do cholery.

Kobra obserwowała mnie. Trzymałam browninga oburącz, mierząc w łeb gada. Sądziłam, że znajdowałam się poza zasięgiem stwora, ale nie miałam co do tego pewności. Ile wynosi bezpieczny dystans w przypadku węża większego niż osiemnastokółowa ciężarówka? Dwa stany? A może trzy? Byłam dostatecznie blisko, by móc wejrzeć w płaskie, czarne ślepia węża, puste jak oczy lalki.

Słowa Jean-Claude'a przemknęły przez mój umysł jak płatki kwiatu. Mogłabym przysiąc, że poczułam zapach kwiatów. Jego głosowi nigdy dotąd nie towarzyszyły zapachy.

- Zmusz to, aby poszło za tobą i odsłoniło przed nami grzbiet, zanim zaczniesz strzelać.

Puls w mojej szyi był tak silny, że oddychanie sprawiało mi fizyczny ból. W ustach miałam sucho. Trudno mi było przełykać. Zaczęłam powoli, bardzo powoli oddalać się od wampirów i zmiennokształtnych. Gadzi łeb podążał za mną jak za zaklinaczką węży. Gdyby stwór zaatakował, strzeliłabym, ale póki tylko za mną sunął, postanowiłam dać JeanClaude'owi szansę dobrania mu się do grzbietu.

Naturalnie nie miałam pewności, że srebrne kule zdołają zranić tę istotę. Była tak wielka, że nawet cały magazynek browninga mógł ją jedynie rozdrażnić. Miałam wrażenie, jakbym została uwięziona w którymś z tych starych horrorów, gdzie wielki, oślizgły potwór zbliża się do ciebie, niezależnie od tego, ile wpakujesz mu kul. Miałam nadzieję, że był to tylko wymysł hollywoodzkich scenarzystów.

Jeśli kule nie zranią tego stwora, umrę. Przed oczami znów ujrzałam tę przerażającą scenę i drgające konwulsyjnie nogi pożeranego mężczyzny. Na ciele węża wciąż było widać spore wybrzuszenie, jakby dopiero co połknął wielkiego szczura.

Język wystrzelił do przodu. Jęknęłam w głos, tłumiąc krzyk cisnący mi się na usta. Boże, Anito, opanuj się, to tylko wąż. Wielka kobra-ludojud, ale tylko wąż. Tak właśnie.

Włosy stanęły mi dęba. Moc przywołana przez zaklinaczkę węży wciąż tutaj była. Jakby nie dość tego, że ten stwór był jadowity i miał kły, którymi mógłby przebić mnie na wylot, to jeszcze musiała tu działać magia. Potężna magia. Pięknie, po prostu pięknie.

Zapach kwiatów zgęstniał, przybliżył się. To jednak nie Jean-Claude. To kobra wypełniała powietrze aromatyczną wonią. Węże nie pachną kwiatami. Mają silną pleśniową woń, której, gdy raz poczujesz, nigdy już nie zapomnisz. Tak nie pachnie też żadne zwierzę pokryte sierścią. Wampirza trumna rozpacza zaś woń przywodzącą na myśl węże.

Kobra przez cały czas kierowała ogromny łeb w moją stronę.

- No, chodź jeszcze kawałek - mówiłam do węża. To rzecz jasna głupie, bo przecież węże są głuche. Woń kwiatów była słodka i bardzo silna. Zaczęłam okrążyć arenę, wąż podążał za mną jak cień. Może to taki nawyk. Byłam niska, ciemnowłosa, choć nie miałam tak długich włosów jak nieżyjąca już zaklinaczka. Może bestia zwyczajnie potrzebowała kogoś, za kim mogłaby podążać? - No dalej, wężyku, chodź do mamusi - wyszeptałam tak cicho, że moje usta prawie się nie poruszyły. Byłam tylko ja, wąż i mój głos. Nie odważyłam się spojrzeć na drugą stronę areny, na Jean-Claude'a. Nic się nie liczyło prócz stóp przesuwających się po podłożu, ruchów węża i pistoletu w moich dłoniach. To było jak egzotyczny taniec.

Kobra rozwarła szczęki, wysunęła język i pokazała mi kły, długie niczym bliźniacze kosy. Kobry mają stałe kły, a nie wysuwane jak na przykład grzechotniki. Miło wiedzieć, że zapamiętałam coś z wykładów z herpetologii. Choć założę się, że doktor Greenburg nigdy nie widział czegoś podobnego. Miałam potworną chęć, aby zacząć chichotać. Zamiast tego wymierzyłam z browninga w pysk stwora. Zapach kwiatów był nieomal namacalny. Ściągnęłam spust.

Łeb węża odskoczył do tyłu, krew zbryzgała arenę. Wystrzeliłam znowu i jeszcze raz. Miejsca postrzałów eksplodowały strzępami tkanek i odłamków kości. Kobra rozwarła uszkodzone szczęki i zasyczała. To chyba był okrzyk bólu. Ogromne cielsko zaczęło więc się po ziemi w przód i w tył. Czy mogłam zabić to coś? Czy aby to uśmiercić, wystarczy srebrne kule? Wpakowałam jeszcze trzy pociski w wielki okrwawiony łeb. Cielsko zapętleło się. Czarno-białe sploty upstrzone krwawymi rozbryzgami miały się po arenie jak szalone. Nagle pokryty łuską ogon pomknął w moją stronę i zwałił mnie z nóg. Podniosłam się na klęczki, podparłam jedną ręką, w drugiej trzymając pistolet.

Byłam gotowa, aby złożyć się do kolejnego strzału. Wielkie cielsko znów mnie zahaczyło. Miałam wrażenie, jakby wieloryb walnął mnie ogonem. Na wpół ogluszona leżałam pod splotem wążowego kilkaset kilogramów wężowego cielska. Jeden pasiasty splot przygniatał mnie do ziemi. Bestia uniosła się nade mną, z roztrzaskanych szczęk spływała krew i jasne krople jadu. Gdyby trucizna skapnęła na moje ciało, zabiłaby mnie. Było jej zbyt wiele, abym mogła się z tego wywinąć. Leżałam płasko na wznak, wąż wił się w poprzek mnie, gdy znowu zaczęłam strzelać. Ściągałam spust raz za razem, gdy wielki łeb opadł na mnie jak błyskawica.

Coś uderzyło w węża. Coś porośniętego sierścią wbiło kły i pazury w pokrytą łuską szyję kobry. To był wilkołak o porośniętych sierścią męskich ramionach.

Kobra dźwignęła się w górę, przygniatając mnie fragmentem swego cielska. Gładkie łuski brzuszne naparły na moją niemal nagą górną połowę ciała niczym wielka dłoń. Stwór mnie nie poźre, lecz zmiążdży swym ciężarem. Zrobi ze mnie placek!

Krzyknęłam i wypaliłam w korpus gada. Iglica broni trafiła na pustą komorę. Wystrzelałam cały magazynek! Cholera!

Jean-Claude pojawił się nade mną. Jego blade, przesłonięte koronką dłonie zwlokły ze mnie wężowy splot, jakby grube cielsko nie ważyło dobrych paręset kilo. Odczołgałam się pospiesznie do tyłu. Wycofywałam się rakiem, aż natrafiłam plecami na barierkę areny. Wyrzuciłam pusty magazynek i wyjęłam zapasowy z saszetki przy pasku. Nie pamiętam, abym wystrzeliła wszystkie trzynaście naboí, ale najwyraźniej tak było. Wprowadziłam nabój do komory i byłam gotowa na drugą rundę.

Jean-Claude wbił rękę po łokieć w cielsko węża. Wyszarpnął spomiędzy tkanek fragment błyszczącego wilgocią kręgosłupa, rozrywając węża na dwa kawałki.

Yasmeen rozszarpywała olbrzymiego węża jak szmacianą lalkę. Jej twarz i górna część ciała były skapanie w jego krwi. Wyszarpnęła długi splot gadzich trzewi i wybuchnęła śmiechem.

Czarna zmiennokształtna była wciąż w ludzkiej postaci. Skombinowała skądś nóż i radośnie kroíła nim cielsko gada.

Kobra walnęła łbem o betonową arenę, strącając wilkołaka. Wąż dźwignął się, ale zaraz opadł jak błyskawica. Uszkodzone szczęki wgrzyły się w bark czarnej kobiety. Krzyknęła przeraźliwie. Jeden kieł przebił ją na wylot. Zaostrzony szpic wyłonił się spod materiału sukienki. Z kła trysnął jad, spryskując podłozę. Jad i krew przesiąkły przez materiał sukienki.

Powoli, z wahaniem zaczęłam przesuwać się naprzód. Broń miałam gotową do strzału. Kobra kołysała łbem z boku na bok, usiłując uwolnić się od kobiety. Kieł wbił się zbyt głęboko, a szczęki były nazbyt uszkodzone. Kobra, podobnie jak kobieta, znalazła się w potrzasku.

Nie byłam pewna, czy zdołam trafić w łeb węża, nie raniąc przy tym kobiety. Czarnoskóra zmiennokształtna krzyczała, wyła. Pazurami bezradnie próbowała rozorać łeb węża. Musiała wcześniej upuścić nóż.

Wampir o włosach blond pochwycił czarną kobietę. Wąż unióśł cielsko w górę, dźwigając trzymaną w pysku kobietę i szarpiąc ją jak pies gumową kość. Wrzasnęła.

Wilkołak wskoczył na grzbiet węża, dosiadając go jak mustanga. Teraz nie mogłam strzelać, bo ktoś na pewno by oberwał. Cholera. Nie pozostało mi nic innego, jak stanąć z boku, obserwując dalszy rozwój wydarzeń.

Mężczyzna z łóżka przebiegł przez arenę. Czy tak długo zajęło mu założenie dresowych spodni i kurtki? Wiatrówkę miał rozpiętą, poły falowały, rozchylając się na boki i odsłaniając większość jego opalonego torsu. O ile mogłam stwierdzić, facet był nieuzbrojony. Na co on liczył? Co zamierzał? Cholera.

Ukląkł obok dwóch mężczyzn, którzy żyli, kiedy zaczął się cały ten szajs. Odciągnął jednego z nich z

pola walki. Dobrze to sobie wykombinował.

Jean-Claude schwycił kobietę. Zaciśnął dłoń na kle, który tkwił w jej ciele i odłamał go. Trzask był głośny jak huk wystrzału. Ramię kobiety odłączyło się od reszty ciała, kości i ścięgna pękły. Krzyknęła raz jeszcze i zwiotczała. Jean-Claude przeniósł ją do mnie i położył na ziemi. Jej prawe ramię zwisało na kilku strzępach mięśni. Uwolnił ją z paszczy węża, omal nie pozbawiając ją przy tym ręki.

- Pomóż jej, *ma petite*. - Zostawił ją u moich stóp, krwawiącą i nieprzytomną. Znałam się trochę na pierwszej pomocy, ale... Jezu... Nie sposób było założyć opaski uciskowej na taką ranę. Nie mogłam założyć na tę rękę łupków. Ręka nie była złamana. Została prawie oderwana od reszty ciała.

Przez wnętrze namiotu przetoczył się podmuch wiatru. Coś ścisnęło mnie w dołku. Jęknęłam i uniosłam wzrok, odrywając go od konającej dziewczyny. Jean-Claude stanął przy wężu. Wszystkie wampiry rozszarpywały wielkie cielsko, a mimo to gad wciąż żył. Wiatr poruszył koronkowym kołnierzem, zmierzwił falujące czarne włosy. Silny podmuch omiół moją twarz. Serce podeszło mi do gardła. Jedyne co słyszałam, to szum mojej własnej krwi. Ten dźwięk wypełniał moje uszy niczym grzmot wielkiego wodospadu.

Jean-Claude łagodnie postąpił naprzód. Ja natomiast poczułam, że wraz z nim poruszyło się coś we mnie. Zupełnie jakby dzierzył niewidzialną linię łączącą mnie z moim sercem, pulsem i krwią. Puls miałam tak szybki, że nie mogłam w ogóle oddychać. Co się działo?

Dopał węża, wbijając dłonie tuż poniżej wielkiego pyska. Poczułam, jakby moje dłonie zatapiały się w wijącym się cielsku. Jakby to moje dłonie usiłowały odnaleźć kość i strzaskać ją. Czułam jednak, jak moje ręce pograżyły się w żywym ciele aż po łokcie. Ciało było śliskie, wilgotne, ale nie ciepłe. To nasze wspólne ręce najpierw napierały, a potem zaczęły ciągnąć, aż ramiona napięły się z wysiłku.

Łeb gada został oderwany od reszty cielska i ciśnięty na drugi koniec areny. Pysk rozwarł się, szczęki instynktownie zakłapały, chwytając powietrze. Cielsko wciąż jeszcze walczyło, ale śmierć była blisko.

Osunęłam się na ziemię obok rannej kobiety. Wciąż trzymałam w dłoni browninga, ale pistolet nie mógł mi już w niczym pomóc. Znow słyszałam i odczuwałam normalnie. Moje ręce nie były umazane krwią i posoką. To nie były moje dłonie, lecz Jean-Claude'a. Boże Święty, co się ze mną działo? Wciąż czułam krew na swoich rękach. To było niesamowicie silne wrażenie. To uczucie! Boże!

Coś dotknęło mego ramienia. Odwróciłam się i omal nie wpakowałam znajdującemu się za mną mężczyźnie paru kulek. To był facet w szarym dresie. Ukląkł obok mnie, unosząc obie ręce w górę i wpatrując się w pistolet w moich dłoniach.

- Jestem po twojej stronie - powiedział.

Wciąż czułam puls w gardle. Bałam się coś powiedzieć, nie byłam pewna, czy dam radę coś z siebie wykrztusić, więc tylko pokiwałam głową i opuściłam broń.

Zdjął bluzę.

- Może uda nam się choć trochę zatamować nią krew.

Zmiał bluzę i przyłożył do rany.

- Przypuszczam, że ona jest w szoku - stwierdziłam. Mój głos wydawał się jakiś dziwny, pusty.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej.

I czułam się fatalnie. Jean-Claude wdarł się do mego umysłu i ciała. Zupełnie jakbyśmy byli jedną osobą. Zaczęłam dygotać i nie mogłam przestać. Może to szok.

- Wezwałem policję i karetkę - powiedział.

Spojrzałam na niego. Miał bardzo silne oblicze, o wydatnych kościach policzkowych i kanciastej



szczęce, ale delikatne wargi w znacznym stopniu łagodziły ostrość rysów twarzy. Falujące brązowe włosy okalały twarz jak miękka, gęsta kurtyna. Przypomniałam sobie innego mężczyznę o długich, brązowych włosach. Innego człowieka zadającego się z wampirami. Zginął okropną śmiercią, a ja nie mogłam go ocalić.

Dostrzegłam Marguerite po drugiej stronie areny. Stała, rozglądając się wokoło. Oczy miała rozszerzone, wargi lekko rozchylone. Dobrze się bawiła. Boże.

Wilkołak odstąpił od węża. Zmiennokształtny wyglądał kubek w kubek jak Lon Chaney w *Wilkołaku*, tyle że między jego nogami dostrzec można było atrybuty męskości. W filmach grozy wilkołaki zawsze były bezpłciowe jak lalki Barbie. Sierść wilkołaka miała ciemnomiodowy kolor. Jasnowłose wilkołak. Czyżby Stephen? Jeżeli nie, to oznaczało, że się ulotnił, a wątpię, aby Jean-Claude pozwolił mu na to.

Ktoś krzyknął:

- Niech nikt się nie rusza! - Po drugiej stronie areny pojawiło się dwóch mundurowych policjantów z patrołu, z dobytą bronią. Jeden z nich jęknął:

- Chryste Panie!

Podczas gdy tamci dwaj gapili się na wielkiego węża, schowałam pistolet do kabury. Cielsko gada wciąż jeszcze drżało, ale stwór już nie żył. U gadów konanie trwa dłużej niż u większości ssaków, ot wszystko.

Czułam się lekka jak piórko. Pusta. Wszystko wydawało mi się dziwnie nierealne. To nie przez węża. To skutek tego, co zrobił ze mną Jean-Claude. Pokręciłam głową, aby się z tego otrząsnąć.

Zjawiły się gliny. Miałam pewne obowiązki do wypełnienia. Musiałam się tym zająć. Wyłuskałam plastikową legitymację z saszetki i przypięłam ją do kołnierza kurtki. Zgodnie z treścią legitymacji należałam do Okręgowej Jednostki do spraw Dochodzeń Paranormalnych. Była niemal równie dobra jak blacha.

- Chodźmy pogadać z glinami, zanim zaczną, strzelać.

- Wąż nie żyje - powiedział.

Wilkołak rozdzierał truchło gada, wgryzając się w nie i wyszarpując wielkie ochłapy mięsa. Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok.

- Mogą pomyśleć, że wąż nie jest jedynym potworem na tej arenie.

- Ach tak - rzucił półgłosem, jakby wcześniej nie wpadło mu to do głowy. Co on, u licha, robił wśród potworów?

Podeszłam do policjantów, uśmiechając się szeroko.

Jean-Claude stał pośrodku areny, jego biała koszula była tak zakrwawiona, że przylepiała mu się do ciała, jakby wyjęto ją z wody; przez materiał prześwitywał zarys sterczącego sutka. Krew spływała mu też po jednej stronie twarzy, tworząc szkarłatne, rozmazane smugi. Ręce miał unurzane w posoce aż po łokcie.

Najmłodsza wampirzyca zanurzyła twarz we krwi węża. Potem przyłożyła do ust kawałek ociekającego krwią mięsa i zaczęła zlizywać posokę. Towarzyszyły temu odgłosy łapczywego ssania, głośniejsze niż mogłoby się wydawać.

- Jestem Anita Blake. Współpracuję z Okręgową Jednostką do spraw Dochodzeń Paranormalnych. Oto moja legitymacja.

- Kto jest z panią? - spytał jeden z mundurowych, wskazując na faceta w dresowych spodniach. Wciąż trzymał w dłoniach pistolet wymierzony w środek areny.

- Jak się nazywasz? - wyszeptałam półgębkiem.

- Richard Zeeman - odparł cicho.

- Richard Zeeman - powtórzyłam głośniej. - On jest niewinny. Nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

To ostatnie zapewne było kłamstwem. Czy można nazwać niewinnym człowieka pokładającego się na łóżku otoczonym przez wampiry i zmiennokształtnych?

Gliniarz pokiwał głową.

- A pozostali?

Spojrzałam w tę stronę co on. Nie wyglądało to najlepiej.

- Kierownik tego lokalu i jego ludzie. Stanęli do walki z tym gadem, aby szalejący stwór nie zaatakował publiczności.

- Ale oni nie są ludźmi, prawda? - zapytał.

- Nie - potwierdziłam jego obawy. - Nie są ludźmi.

- Chryste Panie, chłopaki z komendy na pewno nam nie uwierzą - rzucił jego partner.

Zapewne miał rację. Byłam tu, a przecież mnie samej trudno było w to uwierzyć. Gigantyczna kobra-ludojad. Chryste Panie. Kto by pomyślał? No właśnie, kto?

8

Siedziałam w niedużym holu służącym artystom za wejście do wielkiego namiotu. Światło wciąż było przyćmione, jakby niektóre z przechodzących tędy istot nie przepadały za nadmiernym oświetleniem. I tu wielka niespodzianka, nie było krzesel, a siedzenie na podłodze trochę mnie zmęczyło. Moje zeznanie spisał najpierw jakiś mundurowy, a następnie detektyw. Potem zjawili się chłopcy z Oddziału Duchów i przesłuchanie zaczęło się od nowa. Dolph skinął na mnie, a Zerbrowski strzelił do mnie na niby, układając palec wskazujący i kciuk na podobieństwo pistoletu. To było godzinę i piętnaście minut temu. Zaczynałam odczuwać znużenie faktem, że mnie ignorowano.

Naprzeciw mnie siedzieli Richard Zeeman i wilkołak Stephen. Richard złożył luźno dłonie na jednym kolanie. Miał białe adidasy z niebieskimi paskami, nie nosił skarpet. Nawet kostki miał opalone. Gęste włosy muskały jego nagie ramiona. Miał zamknięte oczy. Mogłam wpatrywać się w jego muskularny tors, jak długo zechcę. Brzuch miał płaski, a nad gumką dresowych spodni dostrzec można było trójkąt czarnych włosów. Tors miał gładki, bezwłosy, doskonały. To mi się podobało.

Stephen zwinął się w kłębek na podłodze i zasnął. Na lewej stronie jego twarzy rozkwitały ciemnopurpurowe i krwiście czerwone, okropnie wyglądające stłuczenia. Lewą rękę miał na temblaku, ale odmówił przewiezienia do szpitala. Owinął się szarym kocem otrzymanym od pielęgniarki. O ile mogłam to stwierdzić, nie miał na sobie nic więcej. Chyba stracił ubranie podczas przemiany. Jako wilkołak był wyższy i potężniejszy, a w dodatku jego nogi miały inny kształt. W tej sytuacji obcisłe dżinsy i śliczne kowbojki musiały przejść do historii. Może dlatego czarna zmiennokształtna była naga. Czy dlatego nagi był także Richard Zeeman? Czy był zmiennokształtnym?

Chyba nie. Jeśli nim był, ukrywał to lepiej niż pozostali. Poza tym, skoro był zmiennokształtnym, dlaczego nie przyłączył się do walki z kobrą? Zachował się tak, jak przystało na rozsądnego śmiertelnika: trzymał się z dala od kłopotów.

Stephen, który na początku wieczoru wyglądał dość atrakcyjnie, sprawiał teraz żalosne wrażenie. Długie blond włosy pozlepiane potem przywierały do twarzy. Pod zamkniętymi oczami widać było ciemne sińce. Oddychał szybko i płytko. Gałki oczne pod jego opuszczonymi powiekami poruszały się nerwowo. Śnił? A może miał koszmary? Czy wilkołaki śnią o zmiennokształtnych owcach?

Richard wciąż wyglądał zmysłowo, ale jego akurat wielka kobra nie próbowała wprasować w betonową podłogę. Otworzył oczy, jakby wyczuł, że mu się przyglądam. Odnalazł moje spojrzenie. Wzrok miał beznamiętny. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Miał wyraziste oblicze, silne

rysy, wydatne kości policzkowe i mocną, kanciastą szczękę. Ostrość rysów łagodził nieco dołeczek w brodzie, czyniąc go nieco zbyt doskonałym jak na mój gust. Nigdy nie czuję się pewnie w obecności tak atrakcyjnego faceta. Może to kwestia niskiej samooceny, a może urodziwe oblicze Jean-Claude'a nauczyło mnie cenić każdy przejaw zwykłej ludzkiej niedoskonałości.

- Nic mu nie będzie? - spytałam.

- Komu?

- Stephenowi.

Spojrzał na śpiącego. Stephen przez sen wydawał ciche, żalosne odgłosy bezradności i przerażenia. Tak, z całą pewnością dręczyły go koszmary.

- Czy nie powinienes go obudzić?

- Wybudzić go ze snu? - Spytał. - Skinęłam głową. Uśmiechnął się. - To byłoby miłe, ale on nie obudzi się jeszcze przez dobrych parę godzin. Moglibyśmy spalić tę budę, a on nawet by nie drgnął.

- Jak to?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jasne. Tak się składa, że obecnie nie mam nic lepszego do roboty.

Spojrzał w głąb wypełnionego ciszą korytarza.

- Święta racja.

Oparł się wygodnie o ścianę, jakby szukał najwygodniejszego miejsca dla swych szerokich, nagich pleców. Zmarszczył brwi. To wszystko, co mógł zrobić dla wygody.

- Stephen zmienił się z wilkołaka w człowieka w czasie krótszym niż dwie godziny oświadczył, jakby to wszystko tłumaczyło.

Niestety, to mi nie wystarczyło.

- No i co z tego? - spytałam.

- Zwykle zmiennokształtny pozostaje w zwierzęcej skórze przez osiem do dziesięciu godzin, po czym wraca do swej zwyczajnej postaci. Wcześniejsza transformacja wymaga ogromnej ilości energii.

Spojrzałam na śniącego zmiennokształtnego.

- A więc ta śpiączka jest czymś normalnym?

Richard pokiwał głową.

- Nie obudzi się do rana.

- Nie jest to zbyt bezpieczne. Mam na myśli kwestię przetrwania.

- Wielu lykantropów pożegnało się z tym światem po wpadnięciu w śpiączkę. Dopadli ich ludzcy myśliwi. To żadna sztuka zabić śpiącego wilkołaka.

- Skąd tyle wiesz o lykantropach?

- Na tym polega moja praca - odparł. - Jestem nauczycielem. Wykładam nauki ścisłe w college'u.

- Naprawdę? - Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- Jak najbardziej. - Uśmiechnął się. - Wyglądasz na zaskoczoną.

Pokręciłam głową.

- Co nauczyciel robi w takim miejscu, pośród wampirów i wilkołaków?

- To czysty przypadek, jak sądzę. I może jeszcze odrobina szczęścia.

Uśmiechnęłam się.

- To nie tłumaczy, skąd tyle wiesz o lykantropach.

- Miałem wykłady w college'u.

Pokręciłam głową.

- Ja również, ale nie wiedziałam, że zmiennokształtni po transformacji zapadają w śpiączkę.

- Masz dyplom z biologii nadnaturalnej? - zapytał.

- Taa.

- Ja również.

- Wobec tego może wyjaśnisz mi, skąd wiesz o lykantropach więcej niż ja?

Stephen poruszył się przez sen, wysuwając do przodu zdrową rękę. Koc zsunął się z jego ramienia, odsłaniając brzuch i fragment uda.

Richard ponownie przykrył śpiącego, otulając go jak małe dziecko.

- Stephen i ja przyjaźnimy się od dawna. Założę się, że ty wiesz o zombi o wiele więcej niż ja. Wykłady to nie wszystko.

- Prawdopodobnie - przyznałam. - Stephen nie jest nauczycielem, prawda?

- Nie. - Uśmiechnął się bez cienia radości. - Lykantropy nie są mile widziane na stanowiskach nauczycieli.

- Ale prawo tego nie zabrania.

- To prawda - mruknął. - Ostatni zmiennokształtny nauczyciel został potraktowany przez grupkę rozwścieczonych rodziców koktajlami Mołotowa. Ludzie nie chcą, aby lykantropy uczyły ich dzieci. A przecież zmiennokształtny w ludzkiej postaci nie może nikogo zarazić.

- Wiem.

Pokręcił głową.

- Przepraszam, to dla mnie bolesny temat.

Ja w wolnym czasie zajmowałam się prawami zombi, czemu Richard też nie mógł mieć swojego hobby? Problematyka zatrudnienia w świetle nietolerancji wobec kudłaczy. Całkiem niezłe.

- Jesteś wielce taktowna, *ma petite*. Nie posądzałem cię o to. - W holu pojawił się Jean-Claude. Nie słyszałam, jak się zbliżał. Ale byłam zajęta rozmową z Richardem. Tak. Na pewno dlatego.

- Czy następnym razem mógłbyś leciutko zatupać? Nie znoszę, gdy tak się podkradasz.

- Nie podkradłem się, *ma petite*. Byłaś po prostu pochłonięta rozmową z naszym przystojnym panem Zeemanem.

Głos miał delikatny, słodki jak miód, ale pobrzmiwała w nim groźna nuta. Na ten dźwięk poczułam na plecach lodowaty podmuch. Zrobiło mi się zimno.

- Co się stało, Jean-Claude? - spytałam.

- Nic. Skąd to przypuszczenie? - W jego głosie pojawiły się nagle gniew i gorzkie rozbawienie.

- Przestań, Jean-Claude.

- Niby co miałyby się stać, *ma petite*?

- Jesteś zły, dlaczego?

- Moja ludzka służebnica nie zna wszystkich moich nastrojów. Co za wstyd. - Ukląkł obok mnie. Krew na przodzie jego białej koszuli zaschła, tworząc wielką brązową plamę. Koronki przy mankietach wyglądały jak zwiędłe brązowe kwiaty. - Czy pożądasz Richarda, bo jest przystojny, czy dlatego, że jest człowiekiem? - Jego głos brzmiał jak szept, intymnie, jakby słowa zawierały całkiem inną treść. Jean-Claude umiał szeptać lepiej niż wszyscy, których znam.

- Nie pożądam go.

- Dajże spokój, *ma petite*. Daruj sobie te kłamstwa.

Nachylił się do mnie i wyciągnął dłoń o długich, smukłych palcach, żeby dotknąć mojego policzka. Jego ręka była umazana krwią.

- Masz krew pod paznokciami - zauważyłam.

Skrzywił się, zacisnął dłoń w pięść. Punkt dla mnie.

- Stale mnie odtrącasz. Dlaczego wciąż muszę to znosić?

- Nie wiem - odparłam zgodnie z prawdą. - Jeżeli chodzi o mnie, mam nadal nadzieję, że w końcu

znudzisz się mną.

- Liczę na to, że zostaniesz ze mną na zawsze, *ma petite*. Nie złożyłbym ci takiej propozycji, gdybym sądził, że możesz mi się znudzić.

- A ja jestem pewna, że ty byś mi się znudził.

Jego oczy leciutko się rozszerzyły. Chyba naprawdę się zdziwił.

- Drażnisz się ze mną.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak, ale to szczerą prawdą. Pociągasz mnie, ale cię nie kocham. Nie prowadzimy intrygujących rozmów. - Nie dręcę się przez pół dnia tym, że muszę sprzedać JeanClaude'owi ten dowcip albo opowiedzieć mu, co przydarzyło mi się tej nocy w pracy. - Kiedy tylko mogę, staram się cię ignorować. Jedyne, co nas łączy, to przemoc i umarli. To chyba kiepska podstawa udanego związku.

- Rany, ależ masz dziś filozoficzny nastrój. - Jego granatowe oczy znajdowały się zaledwie o parę centymetrów od moich. Rzęsy nadal wyglądały jak czarne koronki.

- Po prostu jestem szczerą.

- Wolelibyśmy, abyś nie przesadzała z tą szczerością - odparł. - Ale cóż, taka już jesteś. Wiem, że brzydzisz się kłamstwem.. - Spojrzał na Richarda. - I potworami.

- Dlaczego jesteś wściekły na Richarda?

- A jestem? - spytał.

- Wiesz dobrze, że tak.

- Być może, Anito, uświadamiam sobie, że nie potrafię dać ci jedynej rzeczy, której naprawdę pragniesz.

- To znaczy?

- Abym był człowiekiem - odparł półgłosem.

Pokręciłam głową.

- Jeżeli sądzisz, że twój jedyny minus polega na tym, że jesteś wampirem, to grubo się mylisz.

- Doprawdy?

- A tak. Jesteś egoistycznym, porywczym, napuszonym bufonem.

- Bufonem? - Wydawał się szczerze zdziwiony.

- Pragniesz mnie i nie możesz zrozumieć, jak to możliwe, że nie odwzajemniam twoich uczuć. Twoje potrzeby i pragnienia są ważniejsze niż to, co czuje ktoś inny.

- Jesteś moją ludzką służebnicą, *ma petite*. To komplikuje całą sprawę. I nasze życie.

- Nie jestem twoją służebnicą.

- Nazaczyłem cię, Anito. Jesteś moją służebnicą.

- Nie - odparłam. To było bardzo stanowcze „nie”, ale równocześnie poczułam silny ucisk w dołku, jakbym czuła, że ma rację i faktycznie nigdy się go nie pozbędę.

Spojrzał na mnie. Jego oczy wyglądały zwyczajnie, były ciemnogrnatowe, cudowne, błyszczące.

- Gdybyś nie była moją ludzką służebnicą, nie pokonałbym tak łatwo boga węży.

- Zgwałciłeś mnie mentalnie, Jean-Claude. Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłeś.

Na jego twarzy pojawił się grymas odrazy.

- Użyłaś słowa gwałt, a powinnaś wiedzieć, że nie jestem zwolennikiem brutalnych metod. To Nikolaos wzięła cię siłą. Próbowwała wedrzeć się do twojego umysłu. Gdybyś nie nosiła dwóch moich znaków, zniszczyłaby cię.

Poczułam narastający gniew, który jak fala żaru rozprzestrzenił się we mnie od brzucha w górę, poprzez kręgosłup, do ramion. Miałam olbrzymią chęć, aby go uderzyć.

- I z powodu tych znaków możesz wedrzeć się do mego umysłu, przejąć nade mną kontrolę.

Powiedziałeś, że to utrudni możliwość mentalnej manipulacji. Czyżby to było kolejne z twoich kłamstw?

- Powodowała mną dość ogromna potrzeba, Anito. Gdyby nikt nie powstrzymał tej istoty, zginęłoby wielu ludzi. Pobrałem moc z najbliższego dostępnego źródła.

- Czyli ode mnie.

- Tak, od mojej ludzkiej służebnicy. Sama twoja bliskość wzmacnia moją moc. Wiesz o tym.

Wiedziałaś, ale nie zdawałaś sobie sprawy, że potrafił przepuszczać moc przeze mnie jak przez wzmacniacz.

- Wiem, że jestem dla ciebie tym, czym chowaniec dla wiedźmy.

- Gdybyś pozwoliła mi nałożyć na siebie ostatnie dwa znaki, stałoby się to czymś więcej. Byłaby to więź krwi, ciała i ducha.

- Dobrze, że nie powiedziałaś duszy - wycedziłam.

Zawarczał gardłowo.

- Jesteś nieznośna. - Był naprawdę wściekły. Doskonale.

- Nigdy więcej nie wdzieraj się na siłę do mego umysłu.

- Bo co? - Powiedział to tak, jakby rzucił mi wyzwanie, gniewnie, z zakłopotaniem.

Uklękałam przy nim, nieomal spluwając mu w twarz. Musiałam się powstrzymać i wziąć parę głębokich oddechów, aby nie zacząć na niego wrzeszczeć. W końcu się odezwałam, spokojnie, cicho i ze złością:

- Jeśli to się jeszcze kiedyś powtórzy, zabiję cię.

- Możesz spróbować. - Nasze twarze nieomal się stykały. Zupełnie jakby nabierając powietrza, przyciągał mnie ku sobie. Jeszcze chwila i nasze usta się zetkną. Przypomniałam sobie, jak miękkie były jego wargi. Jak twardy był jego tors, gdy do niego przylgnęłam. Jak chropowata wydawała mi się w dotyku jego blizna w kształcie krzyża. Cofnęłam się i niemal zakręciło mi się w głowie.

To był tylko jeden pocałunek, a mimo to jego wspomnienie przepelniało moje ciało żarem, jak u bohaterki jakiegoś taniego romansidła.

- Zostaw mnie w spokoju - wysyczałam mu prosto w twarz, zaciskając dłonie w pięści. - Niech cię cholera! Niech cię wszyscy diabli!

Drzwi gabinetu nagle otworzyły się i pojawiła się w nich głowa policjanta.

- Co się tam dzieje? Coś się stało?

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na niego. Już chciałam udzielić mu bliższych wyjaśnień, gdy Jean-Claude odparł krótko:

- Nic się nie stało, panie władzo.

Skłamał, ale czy miałam powiedzieć mu prawdę? Że nałożono na mnie dwa wampirze znaki i że byłam o krok od utraty duszy. Nie chciałam, aby ta informacja trafiła do wiadomości publicznej. Gliny zawsze krzywo patrzą na ludzi zadających się z potworami.

Policjant wciąż przyglądał się nam wyczekująco. Pokręciłam głową.

- Nic się nie stało, naprawdę. Tyle tylko, że strasznie długo to wszystko trwa. Czy zechciałby pan spytać sierżanta Storra, czy mogę już pójść do domu?

- Jak pani godność?

- Anita Blake.

- Ulubiona animatorka Storra? Westchnęłam.

- Tak, to ja.

- Zapytam go. - Mundurowy jeszcze przez chwilę patrzył na naszą trójkę.

- Ma pan może coś do dodania? - Skierował pytanie do Richarda.

- Nie.

Policjant skinął głową.

- W porządku, ale nawet jeśli nadal nic się nie będzie działo, postarajcie się zachowywać trochę ciszej, dobrze?

- Oczywiście. Zawsze jestem rad, mogąc współpracować z policją - odparł JeanClaude.

Glina pokiwał głową z uznaniem i wrócił do gabinetu. Zostaliśmy w holu. Zmiennokształtny wciąż spał na podłodze. Szept jego oddechu nie tyle wypełniał, co raczej podkreślał panującą dokoła ciszę. Richard zastygł w bezruchu, wpatrując się ciemnymi oczami w Jean-Claude'a. Nagle uświadomiłam sobie, że od Jean-Claude'a dzieliły mnie zaledwie centymetry. Czulałam bliskość jego ciała niczym żar omiatający moją skórę. Zmierzył mnie wzrokiem. Pod rozpiętą kurtką miałam tylko biustonosz. Na ramionach i piersiach pojawiła mi się gęsia skórka. Moje sutki zeszywniały, jakby ich dotknął. Coś ścisnęło mnie w żołądku i bynajmniej nie było to nieprzyjemne uczucie.

- Przestań!

- Ja nic nie robię, *ma petite*. To co czujesz, to nie moje, lecz twoje własne pożądanie.

Przełknęłam ślinę i z trudem odwróciłam od niego wzrok. W porządku. Pragnęłam go. Świetnie. Ale to jeszcze nic nie oznacza. Tak właśnie. Odsunęłam się od niego i oparłszy plecami o ścianę, powiedziałam:

- Zjawiłam się tu dziś wieczorem, aby uzyskać pewną informację, a nie odgrywać rolę posługaczki dla Mistrza Miasta.

Richard odnalazł moje spojrzenie. Nie patrzył na mnie z zażenowaniem, lecz z zaciekawieniem, jakby nie całkiem potrafił mnie rozgryźć. To nie było nieprzyjemne spojrzenie.

- Posługaczka - rzekł Jean-Claude. Nie musiałam widzieć jego twarzy, wystarczyła mi nuta rozbawienia w jego głosie.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Nigdy dotąd nikt nie użył słowa „posługaczka” w takim kontekście.

- Przestań. Nie rób tego.

- Czego? - Spiorunowałam go wzrokiem, ale w jego oczach wciąż skrzyły się wesole iskierki. Na ustach pojawił się uśmiech. W tej krótkiej chwili wyglądał prawie jak człowiek. O czym chciałaś ze mną pomówić, *ma petite*? To musi być coś ważnego, skoro zechciałaś przyjść do mnie z własnej woli.

Próbowałam odnaleźć na jego twarzy grymas drwiny, gniewu czy jakichkolwiek innych emocji, lecz oblicze wampira było gładkie i niewzruszone, jakby wykute z marmuru. Uśmiech i błyszczące oczy z wesołymi iskierkami, to wszystko było jak maska. Nie potrafiłam stwierdzić, co się pod nią kryło. Nie byłam nawet pewna, czy chcę to wiedzieć. Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze ustami.

- W porządku. Gdzie byłeś ubiegłej nocy? - Spojrzałam na jego twarz, usiłując wychwycić każdą nawet najdelikatniejszą zmianę wyrazu.

- Tutaj - odparł.

- Przez całą noc?

Uśmiechnął się.

- Tak.

- Możesz to udowodnić?

Uśmiech poszerzył się.

- A muszę?

- Może.

Pokręcił głową.

- Daj spokój, *ma petite*. To do ciebie nie pasuje. To tyle, jeśli chodzi o spryt i próbę wydobycia informacji od Mistrza.

- Na pewno chcesz rozmawiać o tym publicznie?

- Chodzi ci o Richarda?

- Tak.

- Richard i ja nie mamy przed sobą tajemnic, *ma petite*. Ponieważ ty odmówiłaś, to on stał się moimi ludzkimi rękoma i oczami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Sądziłam, że nie możesz mieć więcej niż jednego ludzkiego sługet naraz.

- A więc jednak to powiedziałaś. - W jego głosie zabrzmiała nuta triumfu.

- To nie gra, Jean-Claude. Dzisiejszej nocy zginęli ludzie.

- Uwierz, *ma petite*, to czy przyjmiesz dwa ostatnie znaki i staniesz się moją ludzką służebnicą naprawdę, jest dla mnie czymś więcej niż grą.

- Wczorajszej nocy miało miejsce morderstwo - powiedziałam.

Może gdy skupię się na samej zbrodni, zdołam uniknąć uwikłania w gierki słowne.

- No i? - zapytał.

- To był atak wampira.

- Teraz już rozumiem, dlaczego raczyłaś wziąć mnie pod uwagę, *ma petite*.

- Cieszę się, że to cię bawi.

- Śmierć od ukąszenia wampira ma charakter przejściowy, *ma petite*. Zaczekaj do trzeciej nocy, przywołaj ofiarę i spytaj ją, kto był sprawcą zbrodni. - Wesołe iskierki zniknęły z jego oczu. - Czego mi nie mówisz?

- Na ofierze znalazłam ślady ukąszeń co najmniej pięciu różnych wampirów.

Coś przemknęło w głębi jego oczu. Nie byłam pewna, co to było. Z pewnością jednak zaobserwowałam u niego cień jakiejś emocji. Zdumienie? Strach? Poczucie winy? Coś na pewno.

- A zatem szukasz mistrza wampirów - odszczepieńca.

- Tak. Znasz jakiegoś?

Zaśmiał się. Cała jego twarz rozpromieniła się od wewnątrz, jakby ktoś zapalił świecę pod skórą. W jednej ulotnej chwili wydał mi się tak piękny, że aż boleśnie nierzeczywisty. Ale to nie jego uroda sprawiła, że zapragnęłam go dotknąć. Przypomniałam sobie tygrysa bengalskiego, którego widziałam kiedyś w zoo. Był tak wielki, że można by na nim jeździć jak na kucyku. Miał sierść zabarwioną w pomarańczowe, czarne i kremowo-białe pasy. I złote ślepia. Krążył miękko w tę i z powrotem na olbrzymich łapach, większych niż moja rozłożona dłoń, wzdłuż wydeptanego już na ziemi śladu. Jakiś geniusz ogrodził z przodu wybieg dla tygrysów parkanem z metalowych prętów. Gdybym zechciała, mogłabym przełożyć rękę pomiędzy nimi. Musiałam zacisnąć dłonie w pięści i włożyć je do kieszeni, tak mnie kusilo, żeby sięgnąć do klatki i pogłodzić tygrysa. Był tak blisko, taki piękny, taki dziki, taki... kuszący.

Przyciągnęłam kolana do piersi i splotłam dłonie. Tygrys odgryzłby mi wówczas rękę, ale jakaś część mnie żałowała po dziś dzień, że wtedy nie wsunęłam dłoni pomiędzy kraty. Patrzyłam na twarz Jean-Claude'a, a jego śmiech niczym atlas muskał moje plecy. Czy jakaś część mnie już zawsze będzie się zastanawiać, co by się stało, gdybym powiedziała „tak”? Zapewne. Ale jakoś to przeżyję.

Patrzył na mnie, rozbawienie znikło z jego oczu jak ostatnie promienie słońca z nadejściem nocy.

- O czym myślisz, *ma petite*?



- Nie potrafisz czytać w moich myślach? - zapytałam.
- Wiesz, że nie.
- Nic o tobie nie wiem, Jean-Claude. Jesteś dla mnie jedną wielką zagadką.
- Ty wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny w całym mieście.
- Włącznie z Yasmeen?

Spuścił wzrok, jakby z zażenowaniem.

- Jesteśmy bardzo starymi przyjaciółmi.
- Od jak dawna?

Odnalazł moje spojrzenie, ale jego twarz pozostała pusta, nieprzenikniona.

- Dostatecznie długo.
- To żadna odpowiedź.
- Tak, to wykręt.

A więc nie zamierzał odpowiedzieć na moje pytanie; w sumie nic nowego.

- Czy prócz ciebie, Malcolma i Yasmeen są w mieście jeszcze jacyś inni mistrzowie? Pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Zmarszczyłam brwi.

- Co to miało znaczyć?
- Dokładnie to, co powiedziałem.
- Jesteś Mistrzem Miasta. Czy nie powinieneś wiedzieć takich rzeczy?
- Sprawy trochę się skomplikowały, *ma petite*.
- Wyjaśnij.

Wzruszył ramionami; nawet, w okrwawionej koszuli wyglądał władczo.

- Zazwyczaj pomniejsze wampiry muszą zwracać się do mnie z prośbą o pozwolenie na pobyt w mieście, jestem w końcu Mistrzem Miasta, ale - znów wzruszył ramionami okazuje się, że są tacy, którzy uważają, że nie jestem dostatecznie potężny, aby utrzymać kontrolę nad metropolią.

- Rzucono ci wyzwanie?
- Powiedzmy, że się go spodziewam.
- Dlaczego? - spytałam.
- Inni mistrzowie obawiali się Nikolaos - odparł.
- Ale nie boją się ciebie. - To nie było już pytanie.
- Niestety, nie.
- Dlaczego nie?
- Znacznie trudniej im zaimponować niż tobie, *ma petite*.

Już chciałam odpowiedzieć, że wcale mi nie imponował, ale to nie byłaby prawda. Jean-Claude potrafił wyczuć kłamstwo, po co więc miałam się trudzić?

- Zatem w mieście może przebywać inny mistrz, o którego obecności jak dotąd nic nie wiesz.
- Tak.

- Czy nie powinniście wyczuwać się nawzajem?
- Może tak, może nie.
- Dzięki za dogłębne wyjaśnienie.

Potała skronie koniuszkami palców, jakby rozboleła go głowa. Czy wampiry cierpiały na bóle głowy?

- Nie mogę powiedzieć tego, czego nie wiem.
- Czy... - Szukałam odpowiedniego słowa, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Pośledniejsze wampiry mogłyby zabić kogoś bez twojej zgody?

- Pośledniejsze?

- Odpowiedz, do cholery.

- Owszem, mogłyby.

- Czy pięciu wampirów mogłoby polować stadnie bez mistrza sprawującego nad nimi kontrolę?

Pokiwał głową.

- Pięknie to ujęłaś, *ma petite*. Odpowiedź brzmi: „Nie”. O ile to możliwe, staramy się polować samotnie.

Skinęłam głową.

- Wobec tego stoisz za tym ty, Malcolm, Yasmeen lub jakiś inny, tajemniczy mistrz.

- Na pewno nie Yasmeen. Nie jest dość potężna.

- W porządku. W takim razie ty, Malcolm lub jakiś inny, tajemniczy mistrz.

- Czy naprawdę myślisz, że mogłem stać się odszczepieńcem?

Uśmiechał się do mnie, ale wzrok miał przeraźliwie poważny. Czy naprawdę zależało mu na mojej opinii? Miałam nadzieję, że nie.

- Nie wiem.

- Czy rozmawiałabyś ze mną, gdybyś wierzyła, że mogłem stracić zmysły?

To mało przekonujące.

- Jeśli nie podoba ci się odpowiedź, nie powinieneś zadawać pytania - odparłam.

- Fakt.

Drzwi do gabinetu otworzyły się. Wszedł Dolph z notesem w dłoni.

- Możesz już iść do domu, Anito. Jutro spiszę twoje zeznanie.

Pokiwałam głową.

- Dzięki.

- Hę, przecież wiem, gdzie mieszkasz. - Uśmiechnął się.

Odpowiedziałam uśmiechem.

- Dzięki, Dolph. - Wstałam.

Jean-Claude podniósł się jednym płynnym ruchem, jak marionetka pociągnięta za niewidzialne sznurki. Richard podźwignął się wolniej, przytrzymując się ściany, jakby ścierpły mu nogi. Był wyższy od Jean-Claude'a o prawie osiem centymetrów. Musiał mieć z metr osiemdziesiąt trzy. Trochę za wysoki jak na mój gust, ale przecież nikt mnie nie pytał o zdanie.

- Czy moglibyśmy jeszcze chwilę porozmawiać, Jean-Claude? - zapytał Dolph.

- Oczywiście, sierżancie - odparł. Ruszył w stronę gabinetu. Szedł dziwnie sztywnym krokiem. Czy wampir może mieć siniaki? Może został ranny podczas walki? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie. Absolutnie. Jean-Claude miał rację co do jednego: gdyby był człowiekiem, choćby nawet skończonym egoistą, szują i łajdakiem, może dałabym mu szansę. Nie mam uprzedzeń, ale, na Boga, facet, jaki by nie był, powinien przynajmniej żyć. Chodzące trupy, choćby najatrakcyjniejsze, jakoś mnie nie pociągają.

Dolph przytrzymał Jean-Claude'owi drzwi, po czym odwrócił się jeszcze, spojrzał na nas i powiedział:

- Pan także jest już wolny, panie Zeeman.

- A co z moim przyjacielem, Stephenem?

Dolph zerknął na śpiącego zmiennokształtnego.

- Proszę go zabrać do domu. Niech się prześpi. Przesłucham go jutro. - Spojrzał na zegarek. - A raczej dziś, późnym popołudniem.

- Powiem o tym Stephenowi, kiedy się obudzi.

Dolph pokiwał głową i zamknął drzwi. Zostaliśmy sami w rozbrzmiewającym ciszą holu. A może po prostu dzwoniło mi w uszach.

- Co teraz? - spytał Richard.

- Pojedziemy do domu - odparłam.

- Rashida poprowadzi.

Zmarszczyłam brwi.

- Kto?

- Ta zmiennokształtna, której oderwano rękę.

Skinęłam głową.

- Weź samochód Stephena.

- Rashida odwiezie nas oboje.

Pokręciłam głową.

- Potrzebujesz szofera.

- Na to wygląda.

- Mógłbyś wezwać taksówkę - odpowiedziałam.

- Nie mam forsy. - Prawie się uśmiechnął.

- Świetnie. Wobec tego ja odwiozę cię do domu.

- A co ze Stephenem?

- Jego też - odparłam. Uśmiechnęłam się i nie bardzo wiedziałam dlaczego, ale to było lepsze, niż gdybym miała płakać.

- Nawet nie wiesz, gdzie mieszkam. Równie dobrze może okazać się, że jestem z Kansas City.

- Jeśli miałabym mieć przed sobą dziesięć godzin jazdy w jedną stronę, będziesz musiał poradzić sobie sam - uciełam. - Ale jeśli to niezbyt daleko, to cię odwiozę.

- Czy Meramec Heights to dla ciebie za daleko?

- Może być.

- Poczekaj, zabiorę resztę swoich ciuchów - poprosił.

- Wydaje mi się, że już jesteś ubrany - odparowałam.

- Mam tu gdzieś płaszcz.

- Zaczekam tutaj.

- Popilnujesz Stephena? - Na jego twarzy i w oczach pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Czego się obawiasz? - zapytałam.

- Samolotów, broni palnej, dużych drapieżników i mistrzów wampirów.

- W dwóch przypadkach na cztery zgadzam się z tobą.

- Pójdę po ten płaszcz.

Usiadłam przy śpiącym wilkołaku.

- Zaczekamy.

- Zaraz wracam. - Uśmiechnął się. Miał bardzo miły uśmiech.

Po chwili wrócił w długim, czarnym płaszczu. Wyglądał, jakby był ze skóry. Poły rozchyłały się, odsłaniając nagi tors Richarda. Podobało mi się to. Zapiął guziki płaszcza i zawiązał pasek. Czarna skóra pasowała do jego długich włosów i atrakcyjnej twarzy, w przeciwieństwie do szarych spodni od dresu i adidasów. Ukłękł i wziął Stephena na rękę, po czym wstał. Skóra zaskrzypiała, gdy mięśnie jego ramion napięły się. Stephen był mojego wzrostu i zapewne nie ważył ode mnie więcej niż dziesięć kilo. Richard dźwignął go jak piórko.

- O rany, od czego masz takie silne ręce?

- Czy powinienem odpowiedzieć: „Aby cię nimi objąć”? - Patrzył na mnie z powagą.

Poczułam żar napływający do twarzy. Nie zamierzałam flirtować z Richardem, a w każdym razie nie rozmyślnie.

- To jak, podwieźć cię czy nie? - spytałam oschle. To skutek zażenowania i złości na mnie samą, jaka mnie przepełniła.

- Gdybyś mogła, byłbym zobowiązany - odparł.

- Nie musisz być sarkastyczny.

- Nie jestem.

Spojrzałam na niego. Oczy miał brązowe jak czekolada. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Richard pomaszerował za mną. Stephen, przytulony do jego piersi, przez sen okrył się szczelniej kocem.

- Gdzie zostawiłaś samochód? Daleko stąd?

- Parę przecznic. Czemu pytasz?

- Jest zimno, a Stephen nie ma nic na sobie.

Zmarszczyłam brwi.

- Mam pójść do samochodu i podjechać tu po was?

- Byłoby miło z twojej strony - odparł.

Już miałam zaoponować, ale powstrzymałam się. Cienki koc nie dawał dobrej ochrony przed chłodem, a Stephen ucierpiał między innymi dlatego, że próbował ocalić mi życie. Mogłam przecież tu po nich podjechać. Poprzestałam na burkliwym komentarzu:

- Nie do wiary, na co mi przyszło. Mam być taksjarką wilkołaka.

Richard albo tego nie usłyszał, albo puścił moje słowa mimo uszu. Przystojny, bystry nauczyciel z college'u, z dyplomem z biologii nadnaturalnej. Czyż mogłam prosić o coś więcej? Dajcie mi chwilę na zastanowienie. Na pewno coś wymyślę.

9

Auto sunęło przez swój własny tunel ciemności. Reflektory rzucały ruchome kręgi światła. Październikowa noc zamykała się za samochodem niczym drzwi za wchodzącym do domu.

Stephen spał na tylnym siedzeniu mojego chevroleta. Richard siedział na fotelu obok mnie przypięty pasami. Przekręcił się lekko, aby na mnie spojrzeć. To uprzejme, gdy ktoś, zwracając się do ciebie, równocześnie na ciebie patrzy. Byłam lekko zażenowana, gdyż musiałam obserwować drogę i nie mogłam odwzajemnić uprzejmości. Musiało wystarczyć, że tylko on na mnie patrzył.

- Co porabiasz w wolnym czasie? - zapytał Richard.

Pokręciłam głową.

- Nie mam wolnego czasu.

- Jakieś hobby?

- Chyba też nie.

- Musisz się czymś zajmować poza strzelaniem do wielkich węży - skwitował. Uśmiechnęłam się i krótko spojrzałam na niego. Przysunął się do mnie na tyle, na ile

pozwalał mu pas bezpieczeństwa. On także się uśmiechał, ale coś w jego oczach i postawie zdradzało niezwykłą powagę. Ciekawiło go, co odpowiem.

- Jestem animatorką - stwierdziłam.

Splótł dłonie, opierając lewy łokieć o fotel.

- W porządku, a co robisz, gdy nie ożywasz zmarłych?

- Współpracuję z policją przy rozwiązywaniu paranormalnych zagadek kryminalnych, zwykle gdy chodzi o morderstwa.

- I? - ciągnął.  
- I dokonuję egzekucji wampirzych odszczepieńców.  
- Co jeszcze?  
- To wszystko - odparłam. Znów na niego spoglądałam. W mroku nie mogłam dostrzec jego oczu, były za ciemne, ale czułam na sobie jego wzrok. A może to tylko moja wyobraźnia. Taa. Zbyt długo przebywałam w towarzystwie Jean-Claude'a. Woń skórzanej kurtki Richarda mieszała się ze słabym zapachem jego wody kolońskiej. To było coś słodkiego i drogiego. Przyjemnie komponowało się z zapachem skóry. - Pracuję. Ćwiczę. Spotykam się ze znajomymi. - Wzruszyłam ramionami. - A co ty robisz po lekcjach?  
- Nurkuję, wędruję po jaskiniach, obserwuję ptaki, uprawiam ogródek i pasjonuję się astronomią. - Jego uśmiech odznaczył się słabą bielą pośród mroku.  
- Musisz mieć znacznie więcej wolnego czasu ode mnie.  
- Prawdę mówiąc, nauczyciel ma więcej prac domowych niż jego uczniowie - odparł.  
- Przykro mi to słyszeć.  
Wzruszył ramionami, a jego skórzana kurtka wyraźnie zaskrzypiała i zaszeleściła. Dobra skóra przy każdym ruchu sprawiała wrażenie żywej.  
- Oglądasz telewizję? - zapytał.  
- Mój telewizor zepsuł się przed dwoma laty i jakoś nie miałam okazji kupić nowego.  
- Musisz coś robić dla rozrywki.  
Zastanowiłam się przez chwilę.  
- Zbieram pluszowe pingwinki.  
Niemal natychmiast pożałowałam tych słów. Uśmiechnął się do mnie.  
- Nareszcie do czegoś dochodzimy. Egzekutorka zbiera pluszowe zabawki. To mi się podoba.  
- Miło słyszeć. - Nawet mnie mój głos wydał się oschły i opryskliwy.  
- Co się stało? - zapytał.  
- Nie przepadam za pogawędkami - odparłam.  
- Dobrze ci idzie.  
Wiedziałam, że kłamię, ale nie chciałam powiedzieć mu tego wprost. Nie lubię rozmawiać o sobie z obcymi. Zwłaszcza z takimi, którzy mają pewne powiązania z Jean-Claudem.  
- Czego ode mnie chcesz? - zapytałam.  
- Tak po prostu, zabijałem czas.  
- Wcale nie. - Długie włosy opadły mu na twarz. Był wyższy, bardziej krępy, ale wyglądał podobnie. W półmroku bardzo przypominał Phillipa. Phillip był jedynym człowiekiem, którego znałam i który miał kontakty z potworami.  
Phillip zwisał bezwładnie, zakuty w łańcuchy. Krew jasnoczerwoną strugą spływała po jego torsie. Szkarłatne krople spadały na posadzkę jak deszcz. Blask pochodni pełgał po wilgotnej kości jego kręgosłupa. Ktoś rozszarpał mu gardło. Zatoczyłam się na ścianę, jakby ktoś mnie uderzył. Brakowało mi tchu. Ktoś raz po raz szeptał: „O Boże, o Boże”. To byłam ja. Zeszłam po schodach, przywierając plecami do ściany. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie mogłam oddychać. Nie mogłam płakać. Blask pochodni odbił się w jego oczach, wywołując złudzenie ruchu. W moich trzewiach wezbrał krzyk i wypłynął przez szeroko otwarte usta.  
- Phillipie!  
Coś zimnego prześlizgnęło się po moim kręgosłupie. Siedziałam w aucie, nękana przez widmowe wyrzuty sumienia. Nie byłam winna śmierci Phillipa. To nie ja go zabiłam, a jednak wciąż miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Ktoś powinien był go ocalić, a skoro oprócz mnie nie mógł liczyć na

nikogo innego, to na mnie spoczywał ten obowiązek. Poczucie winy ma wiele postaci.

- Czego ode mnie chcesz, Richardzie? - zapytałam.

- Niczego od ciebie nie chcę - odparł.

- To nieładnie kłamać.

- Dlaczego uważasz, że kłamię?

- Podpowiada mi to mój niezawodny instynkt - mruknęłam.

- Czy naprawdę od tak dawna nie miałaś okazji uciąć sobie z facetem zwykłej, niezobowiązującej pogawędki?

Chciałam na niego spojrzeć, ale pohamowałam się. Tak. To było bardzo dawno temu.

- Ostatnia osoba, która próbowała ze mną flirtować, została zamordowana. Trudno się dziwić, że zachowuję szczególną ostrożność.

Milczał przez chwilę.

- W sumie masz rację, ale i tak chciałbym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

Zapędził mnie w kozi róg.

- Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz zaprzyjaźnić się ze mną na polecenie JeanClaude'a?

- Czemu miałbym to robić? - Wzruszyłam ramionami. - W porządku, zacznijmy jeszcze raz.

Udawajmy, że poznaliśmy się w klubie fitness.

- W klubie fitness?

Uśmiechnął się.

- Właśnie. Uważam, że świetnie wyglądasz w skąnym kostiumie.

- W dresie - poprawiłam.

Pokiwał głową.

- Dobra. Nieźle wyglądasz w dresie.

- Wolalabym określenie „świetnie”.

- Gdy sobie ciebie wyobrażam, świetnie wyglądasz w kostiumie, a w dresie co najwyżej nieźle.

- Niech ci będzie.

- Skoro pogawędkę mamy już za sobą, chciałbym cię gdzieś zaprosić. Proponuję, abyśmy się jeszcze spotkali.

Spojrzałam na niego.

- Chcesz się ze mną umówić?

- Jak najbardziej.

Pokręciłam głową i przeniosłam wzrok na drogę.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

- A to czemu?

- Już mówiłam.

- To, że jeden z twoich znajomych został zabity, nie oznacza, że podobny los spotka każdego innego.

Zacisnęłam palce na kierownicy z taką siłą, że aż rozbolewały mnie dłonie.

- Miałam osiem lat, gdy zginęła moja matka. Gdy miałam dziesięć, ojciec ponownie się ożenił. -

Pokręciłam głową. - Ludzie odchodzą i już nie wracają.

- Brzmi przerażająco - zauważył półgłosem.

Nie wiem, co mnie podkusiło, aby to powiedzieć, z reguły nie opowiadam nieznajomym o matce, w ogóle nikomu o niej nie mówię.

- Przerazające - mruknęłam. - Tak, dobrze to ująłeś.

- Jeżeli nigdy nie pozwolisz nikomu się do ciebie zbliżyć, nie zostaniesz zraniona, mam rację?
- Trafiają się czasem bardzo oziębli mężczyźni między dwudziestką a trzydziestką.

Uśmiechnął się.

- Przyznaję. Podobnie jak atrakcyjne, inteligentne i niezależne kobiety. Ale jest ich niewiele.
- Odpuść sobie te komplementy albo się zarumienię.
- Nie wyglądasz mi na osobę, która często się rumieni.

Przed oczyma stanął mi obraz. Richard Zeeman, nagi, przy łóżku, pospiesznie wkładający spodnie dresowe. Wtedy nie czułam się zażenowana. Dopiero teraz, gdy był tak blisko, w ciepłym wnętrzu samochodu przypomniałam sobie tamtą sytuację. Poczułam żar napływający do twarzy. Zaczerwieniłam się w ciemnościach, zadowolona, że nie mógł mnie zobaczyć. Nie chciałam, żeby wiedział, że wyobrażałam go sobie bez ubrania. Zwykle tego nie robię. No cóż, zazwyczaj nie widuję faceta takim, jak go Pan Bóg stworzył, jeszcze przed pierwszą randką. Zamyśliłam się. Muszę przyznać, że nawet na pierwszej randce też nie oglądałam ich nago.

- Halo. Jesteśmy w klubie fitness, pijamy sok owocowy, a ja proponuję ci randkę. Nie odrywałam wzroku od drogi. Wciąż miałam przed oczami gładką linię jego ud i goleni. To żenujące, ale im bardziej starałam się o tym nie myśleć, tym wyraźniej to widziałam.

- Kino i kolacja? - spytałam.

- Nie - odparł. - Coś wyjątkowego. Wyprawa do jaskiń.

- Czołganie się po jaskiniach to według ciebie przepis na udaną pierwszą randkę?

- Wędrowałaś kiedyś po jaskiniach?

- Raz.

- Podobało ci się?

- Podkradaliśmy się wtedy do paru typów spod ciemnej gwiazdy. To miało raczej niewiele wspólnego z dobrą zabawą.

- Wobec tego powinnaś spróbować jeszcze raz. Ja urządzam sobie wypadki speleologiczne dwa razy w miesiącu. Ubierz się w stare, znoszone ciuchy, bo na pewno się pobrudzisz, ale przynajmniej nikt nie może zabronić ci taplania się w błoku.

- W błoku? - spytałam.

- Nie lubisz się czasem troszkę ubrudzić?

- W college'u byłam asystentką w laboratorium. Nieraz zdarzyło mi się. Nie brzydzi mnie to.

- Przynajmniej będziesz mogła powiedzieć, że wykorzystałaś w pracy swój dyplom.

Zaśmiałam się.

- Racja.

- Ja też wykorzystywałem swoje wykształcenie, ale ostatecznie postawiłem na wpajanie nauki młodym, nieoświeconym umysłom.

- Lubisz uczyć?

- I to bardzo. - Te słowa zawierały całe mnóstwo ciepła i entuzjazmu. Rzadko spotyka się tyle zapału, gdy ktoś opowiada o swojej pracy.

- Ja też lubię swoją robotę.

- Pomimo iż musisz borykać się na co dzień z zombi i wampirami?

Pokiwałam głową.

- Tak.

- Siedzimy w klubie fitness i właśnie zaproponowałam ci randkę. Co ty na to?

- Powinnam odmówić.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Wyczuwam w twoim głosie nieufność.

- Ten typ tak ma - odparłam.

- Niedobrze jest w ogóle nie podejmować ryzyka, Anito.

- Nie umawiam się na randki z własnego wyboru, a nie dlatego, że się boję. - Czułam się trochę przyparta do muru.

- Powiedz, że wybierzemy się w ten weekend na wyprawę do jaskiń.

Skórzana kurtka zaskrzypiała i zafalowała, gdy spróbował przysunąć się do mnie bardziej, niż pozwalał na to pas bezpieczeństwa. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć mnie. Po części tego chciałam i już to samo z siebie wydało mi się krępujące.

Chciałam odpowiedzieć: „Nie”, ale coś w moim wnętrzu nakłaniało mnie, abym się zgodziła. To głupie. Mimo to sprawiało mi przyjemność siedzenie w ciemnościach, gdy w nozdrzach czułam zapach skóry i ten słaby aromat wody kolońskiej. Nazwijcie to chemią, natychmiastowym pożądaniem. Jak zwał, tak zwał. Polubiłam Richarda. To mnie odmieniło. Już dawno nie czułam do nikogo prawdziwej sympatii.

Jean-Claude się nie liczył. Nie bardzo wiedziałam dlaczego, ale tak właśnie było. Może miał z tym coś wspólnego fakt, że był trupem.

- W porządku. Wybiorę się z tobą na wypad do jaskiń. Gdzie i kiedy?

- Świetnie. Spotkajmy się pod moim domem w sobotę, powiedzmy o dziesiątej.

- O dziesiątej rano? - spytałam.

- Nie jesteś rannym ptaszkiem?

- Nieszczególnie.

- Musimy wyruszyć bardzo wcześnie, w przeciwnym razie nie zdołamy dotrzeć do końca jaskini w jeden dzień.

- Co mam na siebie włożyć?

- Jakieś stare, znoszone ciuchy. Byle co. Ja zakładam dżinsowy kombinezon.

- Też mam taki. - Nie wspomniałam, że zakładam go, żeby nie poplamić ubrania krwią. Błoto to nic w porównaniu z posoką.

- Świetnie. Wezmę resztę sprzętu, którego będziesz potrzebować.

- Co jeszcze będzie mi potrzebne?

- Kask, latarka, może nakolanniki.

- Zapowiada się niezła pierwsza randka - przyznałam.

- I tak właśnie będzie zapewnił. Mówił cichym, łagodnym głosem, z lekką nutką zażyłości. To nie był Jean-Claude z jego magicznym głosem, jakim cudem więc tak na mnie podziałał?

- Skręć tutaj - rzekł, wskazując boczną uliczkę. - Trzeci dom po prawej.

Wjechałam na krótki, asfaltowy podjazd. Dom był jasny, z cegły. W ciemnościach trudno było stwierdzić, jaki miał kolor. Na ulicy nie było latarni. Człowiek szybko zapomina, jak ciemna może być noc, gdy nie rozświetla jej blask lamp i latarni.

Richard odpiął pas i otworzył drzwiczki.

- Dzięki za podwiezienie.

- Pomóc ci wnieść go do środka? - spytałam, dotykając równocześnie dłonią kluczyków.

- Nie, dzięki. Dam sobie radę. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co.

Spojrzał na mnie.

- Zrobiłem coś nie tak?



- Jeszcze nie - odparłam.

Uśmiechnął się, krótki błysk w ciemnościach.

- To świetnie.

Odblokował tylne drzwiczki i wysiadł. Pochylił się i dźwignął Stephena, otulając go kocem, aby się nie wyslizgnął. Przy podnoszeniu wykorzystał bardziej siłę nóg niż kręgosłupa, jak wprawny ciężarowiec. Ciało ludzkie jest znacznie trudniejsze do podźwignięcia niż sztanga. To kwestia wyważenia ciężaru.

Richard zatrzasnął drzwiczki plecami. Szczęknął zamek, a ja odpięłam pas, aby wcisnąć blokadę tylnych drzwiczek. Richard obserwował mnie przez otwarte drzwiczki po stronie pasażera. Pośród szumu pracującego na jałowym biegu silnika dobiegł mnie jego głos.

- Zamykasz się, aby do środka nie dostał się jakiś czarny lud?

- Ostrożności nigdy za wiele - odparłam.

Pokiwał głową.

- Taa. - W tym krótkim słowie zawierała się jakaś dziwna tęsknota, smutek i żal za utraconą niewinnością. Miło było pogadać z kimś, kto rozumiał moje rozterki. Dolph i Zerbrowski pojowali przemoc i bliskość śmierci, ale nie rozumieli potworów.

Zatrzasnęłam drzwiczki i usadowiłam się wygodnie za kółkiem. Zapięłam pas i wrzuciłam bieg. Snop światła reflektorów padł na Richarda i Stephena, który spoczywał bezwładnie w jego ramionach, z rozwianymi na wietrze złocistymi włosami. Richard wciąż na mnie patrzył. Pozostawiłam go w ciemnościach przed jego domem, pośród nocy przepelnionej tęsknym graniem jesiennych świerszczy.

**10**

Zatrzymałam samochód przed budynkiem, w którym mieszkałam, parę minut po drugiej w nocy. Zakładałam, że znacznie wcześniej położę się do łóżka. Nowe oparzenie w kształcie krzyża paliło żywym ogniem. Bolała mnie cała klatka piersiowa. Żebra i brzuch miałam obolałe, aż sztywne. Włączyłam podsufitową lampę w aucie i rozpięłam suwak skórzanej kurtki. W żółtym świetle sińce zdawały się rozpląwać po mojej skórze jak rozkwitające kwiaty. Przez moment nie mogłam przypomnieć sobie, gdzie to się stało; zaraz przyszło olśnienie i wizja przepelniającego po mnie cielska gigantycznego węża. Jezu, miałam szczęście, że skończyło się tylko na sińcach; przecież ten gad mógł mi pogruchotać żebra.

Zgaśliam lampkę i zapięłam kurtkę. Paski upręży podramiennej pocięły mi skórę, ale bardziej dokuczało mi oparzenie i siniaki; swędzący ból otarć był do zniesienia. Porządne poparzenie sprawia, że zapominasz o wszystkich innych dolegliwościach.

Na klatce schodowej nie było światła. Nie pierwszy zresztą raz. Będę musiała to zgłosić rano na portierni. Jeśli tego nie zrobię, nikt nie naprawi światła.

Pokonałam pierwsze trzy stopnie, gdy ujrzałam przed sobą mężczyznę. Siedział u szczytu schodów. Czekał na mnie. Krótkie, jasne włosy bieleły się w ciemnościach. Dłonie miał złożone na kolanach, uniesione wnętrzami do góry, jakby chciał mi pokazać, że nie ma broni. No cóż, na pewno nie trzymał broni w rękach. Edward miał przy sobie broń zawsze, chyba że ktoś mu ją akurat odebrał. Ze mną skądinąd było podobnie.

- Kopę lat, Edwardzie.

- Trzy miesiące - oświadczył. - Tyle, aby moja złamana ręka w pełni się zagoiła.

Skinęłam głową.

- Mnie dwa miesiące temu usunięto szwy. - Edward tylko siedział na schodach i wpatrywał się we mnie. - Czego chcesz, Edwardzie?

- Czy nie mogłem złożyć ci towarzyskiej wizyty? - Zaśmiał się półgłosem.

- Jest druga nad ranem. O tak bezbożnej porze nikt nie składa nikomu towarzyskich wizyt.

- Wolałabyś, aby chodziło o sprawy zawodowe? - powiedział cicho, lecz zdecydowanie.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie. - W przypadku Edwarda wolałam, aby nie chodziło o sprawy natury zawodowej. Ten niski blondyn specjalizował się w zabijaniu lykantropów, wilkołaków oraz wszelkich istot, które były kiedyś ludźmi, lecz już nie są. Zabijanie ludzi najzwyczajniej w świecie go znudziło. Było zbyt proste. - Czy chodzi o sprawy zawodowe? - spytałam spokojnym tonem, bez odrobiny zawahania.

Punkt dla mnie. Mogłabym sięgnąć po browninga, ale gdyby kiedyś faktycznie zdarzyło się, że staniemy naprzeciw siebie, dobywając broni, Edward by mnie zabił. Przyjaźń z nim przypominała kontakt z udomowionym lampartem. Mogłaś go głaskać i sądzić, że cię lubi, ale w głębi duszy czułaś, że gdyby poczuł dostatecznie silny głód albo gniew, rozszarpałby cię na strzępy. Zabiłby cię i pożarł bez mrugnięcia okiem.

- Dziś chodzi mi tylko o informację, Anito. To nic wielkiego.

- O jaką konkretnie informację ci chodzi? - spytałam.

Znów się uśmiechnął. Przyjazny Edward. No dobra.

- Może wejdziemy do środka i porozmawiamy o tym? Tu jest piekielnie zimno stwierdził.

- Gdy ostatnim razem byłeś w mieście, nie potrzebowałeś zaproszenia, aby włamać się do mojego mieszkania - odparłam.

- Założyłaś nowe zamki.

Uśmiechnęłam się.

- Nie udało ci się ich sforsować, zgadza się? - Byłam szczerze zadowolona.

Wzruszył ramionami. Może to tylko cienie, ale gdyby nie chodziło o Edwarda, powiedziałabym, że poczuł się zażenowany.

- Ślusarz powiedział, że te zamki powstrzymają każdego włamywacza - dodałam.

- Nie zabrałem z sobą przenośnego tarana - mruknął Edward.

- Chodź. Zaparzę kawę.

Ominęłam go. Wstał i poszedł za mną. Bez lęku odwróciłam się do niego plecami. Może któregoś dnia Edward wpakuje mi kulkę, ale teraz nie strzeliłby mi w plecy, skoro powiedział, że chce ze mną tylko porozmawiać. Edward nie był honorowy, ale miał swoje zasady. Gdyby zamierzał mnie zabić, nie kryłby się z tym. Powiedziałby, ilu ludzi zapłaciło mu za sprzątnięcie mnie. Syciłby się strachem w moich oczach. Tak, Edward miał swoje zasady. Tyle tylko, że wyznawał ich mniej niż większość ludzi. Jak dotąd nigdy nie złamał żadnej zasady, nie uchybił swemu skądinąd dość spaczonemu poczuciu honoru. Skoro stwierdził, że tej nocy nic mi nie grozi, to faktycznie tak było. Byłoby miło, gdyby również Jean-Claude miał swoje zasady.

W korytarzu panowała typowa dla środka tygodnia i środka nocy niezmacona cisza. Moi sąsiedzi spali smacznie w swych łózkach. Otworzyłam zamki w drzwiach i wpuściłam Edwarda do środka.

- Zmieniłaś styl? To taka nowa moda? - zapytał.

- Że co?

- Co się stało z twoją bluzką?

- Ach, to. - Bystre riposty, oto cała ja. Nie wiedziałam, co i jak mam powiedzieć.

- Znów zabawiałaś się z wampirami - stwierdził.

- Skąd to przypuszczenie? - spytałam.

- To oparzenie w kształcie krzyża na twojej... ee... piersi.

Ach, tak. Pięknie. Rozpięłam kurtkę i przełożyłam przez oparcie tapczanu. Stałam przed Edwardem tylko w biustonoszu i uprząży. Punkt dla mnie. Rozpięłam pas, odczepiłam kaburę podramienną, po

czym zabrałam ją z sobą do kuchni. Położyłam kaburę z pistoletem na kontuarze, wyjęłam z lodówki ziarna kawy. Miałam na sobie tylko džinsy i stanik. W obecności każdego innego faceta, żywego czy umarłego, poczułabym się skrępowana, ale nie przy Edwardzie. Między nami nigdy nie było napięcia seksualnego. Może któregoś dnia staniemy naprzeciw siebie i przekonamy się, które z nas jest szybszym strzelcem, ale nigdy nie pójdziemy z sobą do łóżka. Edwarda też bardziej od moich piersi interesowało widniejące na nich świeże oparzenie.

- Jak to się stało? - zapytał.

Zmieszałam porcję kawy w niedużym młynku elektrycznym, specjalnie do tego kupionym. Sam zapach świeżo zmielonej kawy poprawił mi nastrój. Włożyłam filtr do ekspresu, wsypałam kawę, wlałam wodę i wcisnęłam guzik. Na tym mniej więcej kończyły się moje kuchenne umiejętności.

- Muszę coś na siebie narzucić - powiedziałam.

- Lepiej, żeby do tego oparzonego miejsca nie przylegał żaden materiał - wtrącił Edward.

- Wobec tego narzucę bluzkę, ale nie będę jej zapinać. ..

- Opowiesz mi wtedy, skąd to masz?

- Tak.

Zabrałam pistolet i weszłam do sypialni. W głębi szafy miałam koszulę z długimi rękawami, która kiedyś była fioletowa, a teraz wyblakła i miała delikatny kolor bzu. Koszula była męska i sięgała mi prawie do kolan, ale czułam się w niej swobodnie. Podwinęłam rękawy do łokci i zapięłam połowę guzików. Miejsce oparzenia pozostawiłam odsłonięte. Przejrzałam się w lustrze. Niemal cały biust został ukryty. Doskonale.

Przez chwilę się wahałam, ale w końcu umieściłam browninga hi-powera w olstrze za wezłowiec łóżka. Edward i ja nie zamierzaliśmy tej nocy strzelać do siebie, a gdyby coś sforsowało drzwi zaopatrzone w nowe zamki, aby dotrzeć do mnie, musiałyby najpierw uporać się z Edwardem. Czułam się w miarę bezpieczna.

Siedział na moim tapczanie, z wyprostowanymi, skrzyżowanymi nogami. Rozsiadł się dość wygodnie.

- Czuj się jak u siebie - zaproponowałam.

Tylko się uśmiechnął.

- Opowiesz mi o tych wampirach?

- Tak, ale zastanawiam się właśnie, ile konkretnie mogę ci opowiedzieć.

Jego uśmiech poszerzył się.

- Oczywiście.

Wyjęłam z lodówki dwa kubki, cukier i śmietankę. Kawa spływała już do dzbanka. Zapach był silny, ciepły i zniewalający.

- Jaką kawę lubisz?

- Zrób taką jak dla siebie.

Spojrzałam na niego.

- Żadnych preferencji? - Zaprzeczył ruchem głowy opartej o podłokietnik tapczanu. W porządku. - Napełniłam kubki, dorzuciłam do każdego po trzy kostki cukru, nalałam hojnie śmietanki, zamieszałam i postawiłam na blacie małego stolika, typowego dla dwóch osób.

- Nie podasz mi kubka?

- U mnie nie pija się kawy na białym tapczanie - wyjaśniłam.

- Aha.

Podniósł się jednym płynnym ruchem, pełnym sprężystości i gracji. Gdyby nie to, że spędziłam większość nocy w towarzystwie wampirów, jego zwinność wywarłaby na mnie spore wrażenie.

Usiedliśmy naprzeciw siebie. Oczy miał barwy wiosennego nieba, ale ten ciepły błękit mógł w jednej chwili stać się odległy i lodowaty. Twarz miał całkiem miłą, ale obojętny wzrok bacznie obserwował każdy mój ruch.

Opowiedziałam mu o Yasmeen i Marguericie. Pominęłam Jean-Claude'a, zabójstwo dokonane przez wampiry i wielką kobrę, wilkołaka Stephena oraz Richarda Zeemana. Innymi słowy była to bardzo okrojona wersja zdarzeń.

Gdy skończyłam, Edward upił łyk kawy, nie odrywając ode mnie wzroku. Ja też się napiłam i spojrzałam na niego.

- To tłumaczy oparzenie - stwierdził.

- No właśnie - przyznałam.

- Ale sporo pominęłaś.

- Skąd wiesz?

- Bo cię śledziłem.

Spojrzałam na niego i zakrztusiłam się kawą. Gdy trochę doszłam do siebie, spytałam:

- Co takiego?

- Śledziłem cię - odparł. Wzrok wciąż miał beznamiętny i nadal ciepło się uśmiechał.

- Dlaczego?

- Wynajęto mnie, abym zabił Mistrza Miasta.

- W tym celu wynajęto cię trzy miesiące temu.

- Nikolaos zginęła, ale nowy Mistrz nie został unicestwiony.

- Nie ty zabiłaś Nikolaos - poprawiłam. - Ja to zrobiłam.

- Racja. Chcesz połowę honorarium? - Pokręciłam głową. - Czemu więc narzekasz? Złamałem rękę, pomagając ci ją unicestwić.

- A ja zarobiłam czternaście szwów, nie mówiąc o tym, że oboje zostaliśmy ukąszeni przez wampiry - odcięłam się.

- I oczyściliśmy się nawzajem wodą święconą - rzucił Edward.

- Która pali jak kwas - skwitowałam.

Edward pokiwał głową, sącząc kawę. Coś się poruszyło w głębi jego oczu, coś płynnego i niebezpiecznego. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, mogłabym przysiąc, ale ni stąd, ni zowąd trudno mi było znieść siłę jego spojrzenia.

- Dlaczego mnie śledziłaś, Edwardzie?

- Powiedziano mi, że dziś w nocy masz spotkać się z nowym Mistrzem.

- Kto ci powiedział?

Pokręcił głową, na jego ustach pojawił się drwiący uśmieszek.

- Byłem dziś w nocy w Cyrku Potępieńców, Anito. Widziałem, z kim byłaś. Zabawiałaś się z wampirami, a potem wróciłaś do domu, wobec tego jeden z tych krwiopiczów musi być Mistrzem.

Starałam się zachować kamienną twarz, kosztowało mnie to sporo wysiłku, ale przynajmniej nie dałam się ponieść panice. Edward mnie śledził, a ja nie miałam o tym pojęcia. Znał wszystkie wampiry, z którymi dziś mnie widział. To nie była długa lista. Domyśli się.

- Chwileczkę - rzekłam. - Widziałeś, że walczę z tym wielkim wężem i nie pospieszyłeś mi z pomocą?

- Zjawiłem się, gdy tłum opuścił już namiot. Gdy zajrzałem do środka, praktycznie było po wszystkim. - Dopiliśmy kawę, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej kabały. Edward miał kontrakt na zabicie Mistrza, a ja praktycznie doprowadziłam go do niego. Usilnie starałam się zachować pokerowe oblicze. Znów się do mnie uśmiechnął, tyle że tak, jak kot na widok kanarka. Dobrze się

bawił, w przeciwieństwie do mnie. - Widziałaś się dziś tylko z czterema wampirami: Jean-Claudem, tą egzotyczną ciemnowłosą ślicznotką, to zapewne Yasmeen, i jasnowłosą dwójką. Znasz ich imiona? Pokręciłam głową. Uśmiechnął się szerzej.

- Powiedziałaś mi, gdybyś знаła?

- Może.

- Ta jasnowłosa dwójka jest mało ważna - ciągnął. - Żadne z nich nie mogłoby być mistrzem wampirów.

Spojrzałam na niego, starając się zachować obojętny, przyjazny, czujny i pusty wyraz twarzy. Z tym ostatnim miewam pewne problemy, ale może gdybym trochę poćwiczyła...

- Pozostaje Jean-Claude i Yasmeen. Yasmeen jest nowa w mieście, czyli zostaje tylko Jean-Claude.

- Czy naprawdę uważasz, że pieprzony Mistrz Miasta pokazywałby się publicznie w taki sposób? - spytałam z udawanym przekąsem.

Nie byłam najlepszą aktorką świata, ale może się jeszcze nauczę. Edward spojrzał na mnie.

- To Jean-Claude, prawda?

- Jean-Claude nie jest dość potężny, by utrzymać w ryzach całe miasto. Wiesz o tym doskonale. Ile ma lat - nieco ponad dwieście, zgadza się? Nie jest dostatecznie stary.

Zmarszczył brwi. To dobrze.

- To na pewno nie jest Yasmeen.

- Zgadza się.

- Nie rozmawiałaś dziś chyba z innymi wampirami?

- Może i poszedł za mną do Cyrku, Edwardzie, ale nie podsłuchiwałaś przy wejściu, gdzie spotkałam się z Mistrzem. Zresztą to byłoby niemożliwe. Wampiry albo zmiennokształtni usłyszeli by cię. - Potaknął bezgłośnie. - Widziałam się dziś z Mistrzem, ale nie jest nim żaden z wampirów, które widziałeś podczas walki z wężem.

- Mistrz pozwolił swym poddanym ryzykować życie i nie przyszedł im z pomocą? Znowu się uśmiechnął.

- Fizyczna obecność Mistrza nie jest konieczna, może przekazywać swoją moc na odległość, o tym zresztą zapewne też wiesz.

- Nie. Nie wiem - przyznał.

Wzruszyłam ramionami.

- Możesz mi wierzyć lub nie.

W głębi duszy modliłam się, aby uwierzył. Wciąż miał posępną minę.

- Nigdy nie potrafiłaś przekonująco kłamać.

- Nie kłamię. - Mój głos brzmiał pewnie, spokojnie, zwyczajnie, szczerze. Oto cała prawda.

- Załóżmy, że Jean-Claude nie jest Mistrzem. Ty wiesz, kto nim jest, prawda?

Pytanie było podchwytliwe. Skoro już zaczęłam tę grę, musiałam brnąć dalej w gąszcz kłamstw. A co mi tam!

- Tak, wiem, kto nim jest.

- Powiedz mi - poprosił.

Pokręciłam głową.

- Mistrz zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że z tobą rozmawiałam.

- Moglibyśmy zabić go wspólnie, tak jak Nikolaos - zaproponował.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Byłam bliska wyjawienia mu prawdy. Nie chciałam, aby organizacja Najpierw Ludzie podjęła próbę unicestwienia Jean-Claude'a. Nie miałoby z nim szans. Edward to co innego. Moglibyśmy zabić go wspólnie, jako zespół. Moje życie stałoby się o wiele

prostsze. Pokręciłam głową i westchnęłam.

- Nie mogę, Edwardzie.

- Nie chcesz - poprawił mnie.

Skinęłam głową.

- I nie chcę.

- Jeśli miałbym ci uwierzyć, Anito, oznaczałoby to, że musisz mi zdradzić imię Mistrza. Bo w takiej sytuacji jesteś jedynym człowiekiem znającym jego tożsamość. - Ciepło odpłynęło z jego twarzy. Pozostał tylko beznamiętny chłód. Oczy stały się puste i bezlitosne jak zimowe niebo. W głębi tego domu nie było nikogo, z kim mogłabym pomówić. - Nie chcesz być jedyną osobą, która zna imię Mistrza, Anito.

Miał rację. Nie chciałam tego, ale cóż mogłam powiedzieć?

- To, czego chcę, to moja sprawa. Nic ci do tego, Edwardzie.

- Oszczędź sobie bezmiaru bólu, Anito, i zdradź mi jego imię.

Uwierzył. A niech to. Spuściłam wzrok, wlepiając go w dno kubka, tak aby Edward nie dostrzegł błysku triumfu w moich oczach. Gdy podniosłam wzrok, byłam już w pełni opanowana. Jak Meryl Streep.

- Wiesz, że groźby nie robią na mnie wrażenia.

Pokiwał głową. Dopił kawę i postawił kubek na środku stolika.

- Aby wypełnić ten kontrakt, jestem gotowy na wszystko. Zrobię to, co będzie konieczne.

- Nigdy w to nie wątpiłam - odparłam. Otwarcie zagroził, że aby wydobyć ze mnie żadaną informację, jest gotów wziąć mnie na tortury. Powiedział to prawie z żalem, niemniej jednak nie zawahałby się przed zadaniem mi cierpienia. Jedną z podstawowych zasad Edwarda brzmiała: „Zawsze dokończ zaczęta robotę”. Nie pozwoliliby, aby przyjaźń zniweczyła jego dotychczasowe rekordowe osiągnięcia.

- Ocaliłaś mi życie i vice versa - stwierdził. - Dług spleciony. Rozumiemy się?

Skinęłam głową.

- Jak najbardziej.

- To świetnie. - Wstał. Ja również. Spojrzeliśmy na siebie. Pokręcił głową. - Znajdę cię dziś wieczorem i raz jeszcze zadam to samo pytanie.

- Nie zmusisz mnie do mówienia, Edwardzie. - Zaczynałam się wkurzać. Przyszedł do mnie, aby uzyskać informację i nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczął mi grozić. Nie zamierzałam dłużej hamować gniewu. Mogłam dać upust złości. Nie musiałam już dłużej grać. Koniec z udawaniem.

- Twarda jesteś, Anito, ale nie dość twarda.

Wzrok miał obojętny, ale czujny, jak wilk, którego widziałam kiedyś w Kalifornii. Obeszłam drzewo i zobaczyłam go, jak tam stał. Zamarłam w bezruchu. Do tej pory nie wiedziałam, co znaczy prawdziwa obojętność. Wilkowi było obojętne, czy mnie skrzywdzi, czy nie. Wybór należał do mnie. Gdybym mu zagroziła, zaatakowałby. Gdybym pozwoliła mu spokojnie się oddalić, nic by się nie stało. Jemu było to obojętne, był przygotowany na każdą ewentualność. To mnie serce podeszło do gardła i tłukło się tak szybko, że myślałam, iż lada chwila umrę. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, jaką decyzję podejmie. Po chwili ogromny zwierz znikł wśród drzew, a ja ponownie odzyskałam zdolność oddychania i gdy moje serce nieco się uspokoiło, wróciłam do obozu. Byłam przerażona i już na zawsze zapamiętałam niesamowity wyraz tych bladoszarych wilczych ślepi. Widziałam je za każdym razem, kiedy zamykałam oczy. Tylko obcując z drapieżnikiem na swobodzie, gdy nie dzielą was żadne kraty, możesz poczuć coś takiego. To było cudowne.

Spojrzałam na Edwarda i ta konfrontacja także na swój sposób wydała mi się cudowna. Niezależnie

czy dysponowałabym żadaną przez niego informacją, czy też nie, nie zdradziłabym mu jej. Nikt nie będzie wyduszał ze mnie niczego groźbami. Nikt. To była jedna z moich zasad.

- Nie zmuszaj mnie, abym cię zabiła, Edwardzie.

Uśmiechnął się.

- Ty miałabyś mnie zabić? - Śmiał się ze mnie.

- Możemy się założyć - odparowałam. W jednej chwili przestał się uśmiechać. Jego twarz wyglądała teraz jak woskowa maska. Utkwił we mnie spojrzenie tych obojętnych oczu drapieżcy. Przełknęłam ślinę i upomniałam samą siebie w duchu, że powinnam przez cały czas oddychać, powoli i regularnie. Edward zabiłby mnie. Może. A może nie. - Czy Mistrz jest wart śmierci jednego z nas? - zapytałam.

- To kwestia zasad - odparł.

Skinęłam głową.

- Ja też mam swoje.

- Wobec tego oboje wiemy, na czym stoimy - stwierdził.

- Taa.

Podszedł do drzwi. Pomaszerowałam za nim, odblokowałam zasuwki i otworzyłam przed nim drzwi.

Przystanął w progu.

- Masz czas do zmierzchu.

- Odpowiedź będzie ta sama.

- Wiem - mruknął. Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Odprowadziłam go wzrokiem, dopóki nie zszedł po schodach. Wówczas zamknęłam drzwi i przekręciłam zasuwki. Oparłam się o drzwi plecami i gorączkowo zaczęłam zastanawiać się, jak mam wybrnąć z tej kabały.

Gdybym opowiedziała o tym Jean-Claude'owi, być może udałoby mu się zabić Edwarda, ale mam zasadę, że nie wydaję ludzi potworom. Nigdy. Przenigdy. Niezależnie od okoliczności.

Mogłam powiedzieć Edwardowi o Jean-Claudzie. Może nawet udałoby mu się unicestwić Mistrza. Kto wie, może ja sama przyłożyłabym do tego rękę. Mogłabym mu pomóc. Spróbowałam wyobrazić sobie doskonałe ciało Jean-Claude'a podziurawione kulami, okrwawione, twarz zmasakrowaną wystrzałem ze śrutówki. Pokręciłam głową. Nie mogłam tego zrobić. W gruncie rzeczy nie wiedziałam dlaczego, ale nie potrafiłam wydać JeanClaude'a Edwardowi.

Nie mogłam zdradzić żadnego z nich. Co oznaczało, że miałam poważny problem. Problem? Ugrzęzłam w kłopotach po same uszy. Ale w gruncie rzeczy to dla mnie nic nowego, nieprawdaż?

**11**

Stałam na brzegu, pod czarnym baldachimem drzew. Fale czarnego jeziora nadpływały i oddalały się w mrok. Na niebie wisiał wielki srebrzysty księżyc. Jego blask tworzył na wodzie migoczące wzory. Jean-Claude wyłonił się z wody. Z włosów i koszuli spływały srebrne strużki. Wilgotne włosy pozlepiały się w poskręcane strąki. Biała koszula przywarła do ciała; a przez materiał przezierały sterczące sutki. Wyciągnął do mnie rękę.

Miałam na sobie długą suknię. Była ciężka i tak też się w niej czułam. Pod spódnicą było coś, co nadawało jej kształt dzwonu i sprawiało, że czułam się szersza niż zazwyczaj. Na ramionach nosiłam ciężki płaszcz. Była jesień, pora pełni.

Jean-Claude powiedział:

- Chodź do mnie.

Zeszłam z brzegu i weszłam do wody. Spódnica i rąbek płaszcza nasiąkły wodą, stały się jeszcze cięższe. Zrzuciłam płaszcz i po chwili straciłam go z oczu. Woda była ciepła jak do

kąpieli albo jak krew. Uniosłam dłoń ku światłu księżycy i ujrzałam, że ściekający po niej płyn był gęsty, ciemny i wcale nie przypominał wody. Stałam na płyciźnie, w sukni, jakiej nigdy sobie wcześniej nie wyobrażałam, na nieznanym brzegu i wpatrywałam się w przepięknego potwora, który sunął w moją stronę pełen gracji, cały unurzany we krwi.

Obudziłam się, z trudem łapiąc oddech i mocno zaciskając dłonie na pościeli. Trzymałam się jej kurczowo jak liny ratunkowej.

- Obiecałeś nie nawiedzać mnie już więcej w snach, sukinsynu - wyszeptałam.

Spojrzałam na zegarek przy łóżku. Druga po południu. Przespałam dziesięć godzin. Powinnam czuć się lepiej, ale tak nie było. Czułam się, jakbym uciekała przed kolejnymi koszmarami i tak naprawdę nie odpoczęła ani chwili. Zapamiętałam tylko ten ostatni sen. Jeśli pozostałe były równie upiorne, wolałam ich nie pamiętać.

Dlaczego Jean-Claude znów zaczął nawiedzać mnie w snach? Przecież dał słowo. Ale może jego słowo nie było warte funta kłaków. Może.

Rozebrałam się przed lustrem w łazience. Na brzuchu i żebrach miałam rozległe, prawie fioletowe sińce. Przy każdym oddechu czułam ucisk w piersiach, ale nic nie było złamane. Oparzelina na piersi wydawała się świeża; skóra, poza miejscami gdzie były pęcherze, całkiem szerniała. Oparzenia są piekielnie bolesne, masz wrażenie, jakby ból przenikał cię od skóry aż do kości. To chyba jedyne z obrażeń, które przypomina mi, że pod skórą mam całe mnóstwo zakończeń nerwowych. Jak inaczej coś takiego mogłoby powodować równie koszmarny ból?

Spotkałam się z Ronnie w klubie fitness, o piętnastej. Ronnie to skrót od Veronica. Powiedziała, że będzie lepiej, jeśli klienci poszukujący usług prywatnego detektywa będą myśleć, że firmę prowadzi mężczyzna. Smutne, ale prawdziwe. Wspólnie ćwiczyłyśmy na siłowni i biegałyśmy. Nałożyłam ostrożnie czarny elastyczny top, aby nie urazić poparzonego miejsca. Co prawda elastyczny materiał uciskał skórę i posiniaczone ciało, ale poza tym wszystko było w porządku. Posmarowałam oparzenie maścią antyseptyczną i założyłam opatrunek z gazy. Na top narzuciłam jeszcze męski czerwony podkoszulek z obciętymi rękawami i wyciętym dekoltem. Ubioru dopełniły czarne obcisłe spodenki, grube skarpety z cienkim czerwonym paskiem i czarne adidas.

Spod koszulki widać było opatrunek, ale sińce pozostawały zasłonięte. Większość klientów klubu przywykła już, że przychodzę na treningi posiniaczona albo nawet w gorszym stanie. Od jakiegoś czasu o nic mnie już nie pytają. Ronnie twierdzi, że to dlatego, iż byłam wobec nich opryskliwa. No i dobrze. Lubię mieć święty spokój.

Włożyłam kurtkę i sięgnęłam po sportową torbę, kiedy zadzwonił telefon. Zastanawiałam się przez chwilę, ale ostatecznie podniosłam słuchawkę.

- Mów - rzuciłam półgłosem.

- To ja, Dolph.

Coś ścisnęło mnie w żołądku. Czyżby kolejne morderstwo?

- Co się stało, Dolph?

- Zidentyfikowaliśmy tego faceta, którego obejrzałaś.

- Ofiarę wampira?

- Tak. - Powoli wypuściłam powietrze. Żadnych nowych zabójstw i najwyraźniej spory krok naprzód, prawdziwy postęp. Czyż można chcieć czegoś więcej? - Calvin Barnabas Rupert, koledzy nazywali go Cal. Dwadzieścia sześć lat, od czterech lat mąż Denise Smythe Rupert. Nie mieli dzieci. Pracował w firmie ubezpieczeniowej. Nie wydaje nam się, aby miał jakieś powiązania z wampirami.

- Może po prostu znalazł się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu.

- Przypadkowe zabójstwo? - Zabrzmiało to jak pytanie.



- Może.
  - Skoro to przypadek, to wciąż nie mamy żadnego schematu, nic, na czym moglibyśmy się oprzeć.
  - Zastanawiasz się, czyja czasem nie zdołałabym odkryć jakichś powiązań między Calem Rupertem a wampirami?
  - Tak - przyznał.
- Westchnęłam.
- Spróbuję. To wszystko? Mam spotkanie i jestem już spóźniona.
  - Tak, to tyle. Zadzwoń, jeśli się czegoś dowiesz. - Głos miał posepnny.
  - Powiedziałbyś mi, gdyby odkryto kolejne ciało, prawda?
- Parsknął śmiechem.
- Pewno, że tak. I zmusiłbym cię, abyś pofatygowała się na miejsce zbrodni w celu dokonania oględzin i pomiaru ukąszeń. Czemu pytasz?
  - Bo masz taki ponury głos.
  - To ty powiedziałaś, że będą kolejne zabójstwa. Czyżbyś zmieniła zdanie? - W jego tonie nie było już śladu rozbawienia.

Chciałam odpowiedzieć, że tak, że zmieniłam zdanie, ale powstrzymałam się.

- Jeżeli gdzieś tam krąży grupa wampirów-odszczepieńców, na pewno wkrótce pojawią się nowe trupy.
- Czy twoim zdaniem możemy mieć do czynienia z czymś innym niż z wampirami? zapytał.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym odparłam:

- Nie, raczej nie.
- Świetnie, pogadamy później. - Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, w słuchawce pozostał głuchy sygnał. Dolph nie zawracał sobie głowy powitaniem i pożegnaniem.

W kieszeni kurtki miałam mój drugi pistolet, firestar kalibru dziewięć mm. Do stroju treningowego nigdy nie zakładałam kabury podramiennej. Firestar był mniejszy i mieścił tylko osiem naboí, podczas gdy browning trzymał tyle że wystawał mi z kieszeni i przyciągał uwagę ludzi, a tego akurat chciałam uniknąć. Poza tym jeśli nie uda mi się załatwić potencjalnych przeciwników ósmioma kulami, dodatkowe pięć i tak zapewne wiele by mi nie pomogły. Naturalnie w kieszonce w sportowej saszetce miałam jeszcze zapasowy magazynek. W tych niebezpiecznych czasach ostrożności nigdy za wiele. Dziewczyna powinna umieć o siebie zadbać sama.

## 12

Ronnie i ja trenowałyśmy u Vica Tanny'ego. Były tam dwa pełne zestawy do ćwiczeń, a o piętnastej czternaście w czwartek na sali prawie nie było ludzi. Ja wykonywałam zestaw ćwiczeń na biodra. Przesunięcie dźwigni powoduje ruch urządzenia. Sam przyrząd wygląda dość obscenicznie, jak ginekologiczne narzędzie tortur. To jedna z przyczyn, dla których podczas treningu nigdy nie noszę szortów. Ronnie zresztą też nie.

Skupiłam się na zwieraniu ud w taki sposób, aby nie spowodować brzęku odważników. Taki dźwięk oznacza, że albo źle wykonujesz ćwiczenie, albo używasz zbyt dużych obciążeń. Miałam nałożone trzydzieści kilogramów. Niezbyt dużo.

Ronnie leżała na brzuchu, ćwicząc nogi, zginała je w kolanach, nieomal dotykając piętami pośladków. Mięśnie łydek przeżyły się płynnie pod skórą. Nie jesteśmy napakowane, ale ogólnie wyglądamy dość solidnie. Wyobraźcie sobie Linde Hamilton w Terminatorze 2. Skończyła przede mną i krążyła wśród urządzeń, czekając, aż opuściłam ostatni raz odważniki, z cichutkim brzękiem. Gdy już kończysz, możesz sobie na to pozwolić.

Odeszłyśmy od zestawów i zaczęłyśmy biec po owalnym torze. Granicę toru wyznaczała szklana

ściana, za którą rozpościerał się błękitny basen. Jakiś mężczyzna w goglach i niebieskim czepku zaliczał kolejne długości. Z drugiej strony miałyśmy siłownię i salę do aerobiku.

Na końcach toru umieszczono lustra, podczas biegu więc zawsze możesz się widzieć. Gdy miałam kiepski dzień, wolałam nie patrzeć, w te lepsze dni przyglądanie się sobie było całkiem przyjemne. Mogłam upewnić się, że zachowuję równy krok i moje ramiona pracują jak należy.

Podczas biegu opowiedziałam Ronnie o ofercie wampirów. To oznaczało, że nie biegłyśmy zbyt szybko. Przyspieszyłam kroku i w dalszym ciągu mogłam mówić. Gdy regularnie biegasz osiem kilometrów w typowym dla St. Louis upale, minitor u Vica Tanny'ego nie jest dla ciebie wielkim wyzwaniem. Zrobiłyśmy prawie dwa okrążenia i zaraz miałyśmy wrócić do ćwiczeń.

- Jak miała na imię ofiara? - Jej głos brzmiał normalnie, bez cienia zdenerwowania.

Przyspieszyłam do sprintu. Ostatnia prosta. Nie mogłam złapać tchu. Teraz ćwiczenia na mięśnie ramion. Ja na bicepsy, Ronnie na mięśnie barków. Obie ćwiczymy na atlasach. Kiedy już mogłam mówić, odpowiedziałam jej:

- Calvin Rupert.

Zrobiłam dwanaście powtórzeń z pięćdziesięcioma kilogramami obciążenia. Akurat to ćwiczenie jest dla mnie najłatwiejsze. Dziwne, no nie?

- Cal Rupert? - spytała.

- Tak go nazywali przyjaciele - odparłam. - Czemu pytasz?

Pokręciła głową.

- Znam Cala Ruperta.

Patrzyłam na nią, pozwalając, by moje ciało wykonywało samoistnie kolejne powtórzenia. Wstrzymałam oddech, a to nie jest wskazane. Przypomniałam sobie o oddechu i rzuciłam:

- Mów.

- Poznałam go, gdy wypytywałam wśród członków LPW w związku z tymi tajemniczymi zabójstwami wampirów. Cal Rupert należał do LPW.

- Opisz mi go.

- Blondyn, oczy niebieskie lub szare, nie za wysoki, dobrze zbudowany, atrakcyjny.

W St. Louis mogło być kilku Galów Rupertów, ale jakie istniały szanse, że żyło tam dwóch bliźniaków?

- Każę to sprawdzić Dolphowi, ale skoro Cal należał do LPW, możemy domniemywać, że mamy do czynienia z egzekucją dokonaną przez wampiry.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Niektórzy spośród członków LPW uważają, że jedyny dobry wampir to martwy wampir. - Myślałam o niewielkiej organizacji Najpierw Ludzie, założonej przez Jeremy'ego Ruebensa. Czy mieli już na koncie zabójstwo wampira? Czy to była akcja odwetowa? Muszę wiedzieć, czy Cal był nadal członkiem LPW, czy też może przyłączył się do nowej, bardziej radykalnej grupy o nazwie Najpierw Ludzie.

- Chwytna - przyznała Ronnie.

- Sprawdzisz to dla mnie? Jeśli ich odwiedzę, aby zadać im kilka pytań, gotowi spalić mnie na stosie.

- Zawsze z przyjemnością pomagam mojej najlepszej przyjaciółce i policji zarazem. Prywatny detektyw nigdy nie wie, kiedy może mu się przydać, że ma dług u stróżów prawa.

- To fakt - mruknęłam.

Tym razem to ja musiałam zaczekać na Ronnie. Ona była szybsza przy ćwiczeniu nóg. Moją specjalnością były górne partie ciała.

- Zadzwoń do Dolpha, gdy tylko skończymy. Może to jakiś trop? W przeciwnym razie musiałyby to być niesamowity zbieg okoliczności.

Znów zaczęłyśmy biec po torze, gdy Ronnie spytała:

- To jak, wiesz już, za kogo się przebierzesz na przyjęcie halloweenowe u Catherine?

Spojrzałam na nią i omal się nie potknęłam.

- Cholera - wycedziłam przez zęby.

- Coś mi się zdaje, że w ogóle zapomniałaś o imprezie. A jeszcze dwa dni temu tak na nią narzekałaś.

- Byłam trochę zajęta, jasne? - burknęłam.

Zrobiło mi się głupio. Catherine Maison-Gillett to jedna z moich najlepszych przyjaciółek. Na jej ślubie miałam na sobie różową sukienkę z krótkimi bufiastymi rękawami. Wyglądałam jak maturzystka. To było takie upokarzające. Poczęstowano mnie tymi samymi kłamstwami co wszystkie druhny, w stylu: „Sukienkę można skrócić i będzie ją pani mogła nosić na co dzień”. Akurat. Nic z tego. Albo: „Może też pani zakładać ją na szczególne okazje”. Tylko ile tych okazji nadarza się po maturze? Zero. A w każdym razie mnie nie trafiła się żadna szczególna okazja, na którą miałabym ochotę włożyć różową sukienkę z krynoliny, z bufiastymi rękawami, w której wyglądałam jak statystka w *Przeminęło z wiatrem*.

Catherine po raz pierwszy, odkąd wyszła za mąż, urządziła imprezę dla znajomych. Bal halloweenowy zaczynał się na długo przed zmierzchem, abym mogła się na nim pokazać. Kiedy ktoś zadaje sobie dla ciebie tyle trudu, musisz to docenić. Musisz tam być. Cholera.

- Umówiłam się na sobotę - powiedziałam.

Ronnie zatrzymała się i spojrzała na moje odbicie w lustrze. Wciąż biegłam, jeśli chce mnie o coś zapytać, musi mnie najpierw dogonić. I dogoniła.

- Umówiłaś się? Na randkę? - Skinęłam głową, oszczędzając oddech na przebieżkę. Odpowiedz, Anito. - Jej głos zabrzmiał dość groźnie.

Uśmiechnęłam się do niej i zrelacjonowałam skróconą wersję spotkania z Richardem Zeemanem. Nie pominęłam zbyt dużo.

- Leżał w łóżku nagi, kiedy ujrzałaś go po raz pierwszy? - Wydawała się szczerze oburzona. Pokiwałam głową. - Spotykasz facetów w niezwykłych i fascynujących miejscach przyznała.

Znów biegłyśmy obok siebie.

- Kiedy ja ostatni raz poznałam jakiegoś faceta?

- A co z Johnem Burkiem?

- Jego nie liczę. - Frajerzy się u mnie nie liczą.

Zastanawiała się przez chwilę. Pokręciła głową.

- Dawno temu. Bardzo dawno.

- Taa - mruknięłam.

Zaliczyłyśmy ostatni zestaw ćwiczeń, ostatnie dwa okrążenia, potem rozciąganie, prysznic i to wszystko. Nie przepadam za ćwiczeniami. Podobnie jak Ronnie. Ale obie musiałyśmy być w dobrej formie, gdybyśmy musiały gonić jakichś łotrów lub przed nimi uciekać. Choć muszę przyznać, że ostatnio rzadko zdarzało mi się ścigać przestępców. Częściej musiałam salwować się ucieczką.

Zajęłyśmy miejsce w przejściu pomiędzy salą do racquetballa a solarium. Tylko tam było dostatecznie dużo miejsca do ćwiczeń rozciągających. Zawsze rozciągałam się przed i po treningu. Zaniedbanie tego i brak ostrożności mogą prowadzić do groźnych w skutkach kontuzji. Zaczęłam od powolnych ruchów głową, Ronnie wykonywała te same czynności co ja.

- Chyba będę musiała odwołać randkę.

- Ani się waż - rzuciła Ronnie. - Zaproś go na imprezę.

Spojrzałam na nią.

- Chyba żartujesz. Pierwsza randka w otoczeniu gromady nieznanymi mu osób.

- A kogo ty znasz oprócz Catherine? - zapytała.

Święta racja.

- Poznałam jej męża.

- Byłaś na ślubie - mruknęła Ronnie.

- N-no tak.

Ronnie łypnęła na mnie spod łba.

- Bądź poważna, zaproś go na bal, a na przyszły tydzień umów się z nim na wyprawę po jaskiniach.

- Dwie randki z jednym facetem? - Pokręciłam głową. - A jeśli nie będziemy się wspólnie dobrze bawić?

- Żadnych wymówek - ucięła Ronnie. - Od dobrych paru miesięcy nie byłaś na randce. Nie spieprz tego.

- Nie umawiam się na randki, bo nie mam na nie czasu.

- Spać też nie masz czasu, a jednak jakoś sobie radzisz - zauważyła.

- No dobrze, zaproszę go, ale nie wiem, czy się zgodzi. Zresztą sama też nie mam ochoty na tę zabawę.

- A to czemu?

Rzuciłam jej powłóczyście spojrzenie. Wyglądała całkiem niewinnie.

- Jestem animatorką, królową zombi. Moja obecność na halloweenowej zabawie to gruba przesada.

- Nie musisz zwierzać się ludziom, czym się zajmujesz.

- Nie wstydzę się tego.

- Wcale tak nie twierdzą - odparowała Ronnie.

Pokręciłam głową.

- Zapomnijmy o tym. Złożę Richardowi kontrpropozycję i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Będzie ci potrzebny jakiś kostium - dodała Ronnie. - Najlepiej coś seksownego.

- Dzięki, ale nie - zaoponowałam.

- Właśnie, że tak. - Zaśmiała się.

- No dobra, dobra, jakiś seksowny kostium w moim rozmiarze, o ile zdołam coś dla siebie wyszukać na trzy dni przed Halloweenem.

- Pomogę ci. Na pewno coś znajdziemy.

Pomoże mi. Znajdziemy coś. To zabrzmiało złowrogo. Stres przedrandkowy. Chyba byłam zdenerwowana. Kto? Ja? Ależ skąd!

**13**

Kwadrans po siedemnastej zadzwoniłam do Richarda.

- Cześć, Richard, mówi Anita Blake.

- Miło mi usłyszeć twój głos. - Miałam wrażenie, że uśmiecha się do mnie przez telefon. Nieomal czułam, jak promienieje radością.

- Zapomniałam, że w sobotę po południu byłam umówiona na imprezę halloweenową.

Zaczynają jeszcze za dnia, abym mogła się pojawić, nie mogę nie przyjść.

- Rozumiem - stwierdził. Jego głos był ostrożnie neutralny, ale neutralnie wesoły.

- Czy chciałbyś wybrać się ze mną na tę imprezę? W nocy rzecz jasna pracuję, ale dzień mielibyśmy dla siebie.

- A wyprawa speleologiczna?

- Przełożymy na kiedy indziej - odparłam.

- Dwie randki. To nie może być prawda.  
- Nabijasz się ze mnie - mruknęłam.  
- W życiu.  
- To jak, chcesz pójść ze mną czy nie?  
- Jeśli obiecasz, że w przyszłą sobotę wybierzemy się na wędrowkę po jaskiniach.  
- Masz na to moje słowo - powiedziałam.  
- Wobec tego umowa stoi. - Milczał przez chwilę. - Ale na tę imprezę nie będę się musiał przebierać, prawda?  
- Niestety, tak - odparłam.  
Westchnął.  
- Wycofujesz się?  
- Nie, ale za takie upokorzenie przed obcymi będziesz mi winna nie jedną, ale dwie randki.  
Uśmiechnęłam się i ucieszyłam, że nie mógł tego zobaczyć. Byłam zbyt zadowolona.  
- Niech będzie.  
- Za kogo się przebierzesz? - zapytał.  
- Jeszcze nie wiem. Mówiłam ci, że zupełnie zapomniałam o tej imprezie. Naprawdę tak było.  
- Hmm - mruknął. - Myślę, że dobór kostiumu sporo mówi o człowieku, prawda?  
- Do Halloween tak blisko, że będziemy mieli szczęście, jeśli znajdziemy jakieś kostiumy, które będą na nas pasować.  
Roześmiał się.  
- Możliwe, że mam asa w rękawie.  
- Co takiego? Znowu się zaśmiał.  
- Nie bądź taka podejrzliwa. Mam przyjaciela, który ma bzika na punkcie wojny secesyjnej. On i jego żona szyją kostiumy z tamtej epoki.  
- Dokładne kopie?  
- Tak.  
- Myślisz, że będą mieć coś w sam raz dla nas?  
- Jaki nosisz rozmiar?  
To było osobiste pytanie jak dla kogoś, kto nigdy mnie nawet nie pocałował.  
- Siódemkę - odparłam.  
- Sądziłem, że coś mniejszego.  
- Mam za dużo w biuście na szóstkę, a sześć i pół nie robią.  
- Za dużo w biuście, ho, ho!  
- Przestań.  
- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać - mruknął.  
Rozległ się sygnał mojego pagóra.  
- Cholerka!  
- Co to za dźwięk?  
- Mój pager - odparłam. Wcisnęłam guzik i odczytałam numer: to z policji. - Muszę oddzwonić. Mogę zadzwonić do ciebie ponownie za parę minut, Richardzie?  
- Będę czekał z zapartym tchem.  
- Skrzywiłam się. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.  
- Dzięki za radę. Zaczekam przy aparacie. Oddzwoń, gdy już uporasz się ze swoimi

(chlip!) obowiązkami.

- Przestań, Richardzie.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Na razie, Richardzie. Do usłyszenia niebawem.

- Będę czekał - zapewnił.

- Pa. - Rozłączyłam się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Te jego żarciki były żalotne, a najgorsze jest to, że zwykle mnie śmieszyły. Cóż, widać coś jest nie tak z moim poczuciem humoru.

Zadzwoiłam do Dolpha.

- Anita?

- Taa.

- Mamy kolejną ofiarę wampira. Wygląda tak samo jak pierwsza, z tym że jest to kobieta.

- Cholera - wycedziłam.

- Znalezliśmy ją w De Soto. Właśnie tam jesteśmy.

- To dalej na południe niż Arnold - stwierdziłam.

- No i co? - spytał.

- No i nic. Powiedz, jak tam dojechać - mruknęłam.

Powiedział.

- Dotarcie tam zajmie mi co najmniej godzinę - rzuciłam.

- Denatka nigdzie się nie wybiera, my zresztą też nie. - Wydawał się zniechęcony.

- Rozchmurz się, Dolph. Może mam pewien trop.

- Mów.

- Veronica Sims skojarzyła nazwisko Cala Ruperta. Opis się zgadza.

- Co ci wpadło do głowy, aby rozmawiać o tym z prywatnym detektywem? - spytał podejrzliwym tonem.

- Trenujemy razem, a skoro to dzięki niej mamy pierwszy trop, na twoim miejscu wykazałabym nieco więcej optymizmu. I odrobinę wdzięczności.

- Tak, tak. No jasne. Niech żyje sektor prywatny. A teraz mów.

- Cal Rupert był członkiem LPW, jeszcze jakieś dwa miesiące temu. Opis się zgadza.

- Zabójstwo z zemsty? - zapytał.

- Być może.

- Jakaś częśćka mnie ma nadzieję, że to jednak będzie trop. Mamy przynajmniej punkt zaczepienia. Coś, od czego możemy zacząć.

Wydał z siebie ni to chichot, ni to parsknięcie.

- Powiem Zerbrowskiemu, że wpadłaś na trop. To na pewno mu się spodoba.

- Nie ma to jak dobra, metodyczna policyjna robota. Uczyłeś się tego, czytając komiksy o Dicku Tracym? - spytałam.

- Jak na to wpadłaś, Sherlocku? - Byłam pewna, że uśmiechał się do telefonu. - Jeżeli natrafisz na kolejne takie tropy, daj nam znać.

- Taa jest, sierzancie.

- Odpuść sobie ten sarkazm.

- Ależ proszę, zawsze oferuję wyłącznie świeży sarkazm, puszkowanego nie prowadzimy.

Jęknął.

- Pofatyguj się do nas możliwie jak najszybciej, żebyśmy mogli wreszcie wrócić do domu. - W słuchawce zapanowała cisza. Połączenie zostało przerwane.

Richard Zeeman odebrał przy drugim sygnale.

- Halo.

- To ja, Anita.

- Co się stało?

- Otrzymałam wiadomość od policji. Potrzebują mojej ekspertyzy.

- Nadnaturalna zbrodnia? - zapytał.

- Taa.

- Czy to coś groźnego?

- Dla ofiary zabójstwa na pewno.

- Wiesz, że nie o to mi chodziło - odparował.

- To moja praca, Richardzie. Jeśli to ci nie pasuje, może nie powinniśmy się w ogóle spotykać.

- Ejże, nie wycofuj się. Chciałem tylko wiedzieć, czy tobie nic nie grozi. - W jego głosie pobrzmiwało oburzenie.

- No dobrze. Muszę już kończyć.

- A co z kostiumami? Mam dzwonić do przyjaciela?

- Jasne.

- Mogę wybrać dla ciebie kostium? Możesz zaufać mi do tego stopnia? - zapytał. Zastanawiałam się nad tym przez kilka uderzeń serca. Czy mogłam mu zaufać w

kwestii doboru kostiumu dla mnie? Nie. Czy miałam czas, aby samemu załatwić dla siebie kostium? Raczej nie.

- Czemu nie? - odparłam. Czasami człowiek nie ma po prostu wyboru.

- Jakoś przetrwamy tę imprezę, a w przyszłym tygodniu wybierzemy się, aby potapać się w błocie.

- Nie mogę się doczekać - odparłam.

Wybuchnął śmiechem.

- Ja również.

- Muszę kończyć, Richardzie.

- Przywiozę kostiumy do twojego mieszkania, abyś mogła je obejrzeć. Powiedz mi, jak tam dojechać.

Powiedziałam mu.

- Mam nadzieję, że kostium ci się spodoba.

- Też na to liczę. Pogadamy później. - Odłożyłam słuchawkę na widełki i wlepiłam wzrok w aparat. To by było zbyt proste. Za łatwo poszło. Na pewno wybierze dla mnie jakiś koszmarny kostium. Oboje będziemy się okropnie bawić i w dodatku będziemy skazani na kolejną randkę w przyszłym tygodniu. Okropność!

Ronnie podała mi puszkę soku owocowego i upiła łyk ze swojej. Ona piła sok z żurawin, ja z grejpfruta. Nie znoszę żurawin.

- I co powiedziało to twoje ciacho?

- Proszę, nie nazywaj go tak - mruknęłam.

Wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, tak mi się jakoś wysnęło. - Udała zażenowanie. Wyszło jej to całkiem niezłe.

- Wybaczam ci. Ten jeden jedyny raz.

Uśmiechnęła się, a ja zorientowałam się, że wcale nie było jej przykro. No cóż, ja też bardzo często pokpiwałam sobie z jej facetów. Czyż można się zatem dziwić, że przy pierwszej lepszej okazji chciała mi odpłacić pięknym za nadobne? Zemsta jest rozkoszą bogów.

**14**

Słońce tonało w karmazynowej smudze jak w świeżej, krwawiącej ranie. Na zachodzie zbierały się purpurowe chmury. Wiał silny wiatr, niosący z sobą zapach deszczu.

Ruffo Lane było wąską, zwirowaną drogą. Ledwie zmieściłyby się na niej dwa mijające się samochody. Czerwonawy żwir chrzęścił pod stopami. Wiatr kołysał wysokimi, suchymi trawami na poboczu. Droga znikła za masywem pagórka. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż jednej strony drogi stały policyjne auta, zarówno radiowozy, jak i samochody bez oznaczeń. Ich sznur ciągnął się aż za wzgórze. W hrabstwie Jefferson było sporo wzgórz.

Miałam już na sobie czysty kombinezon, czarne adidas i rękawiczki chirurgiczne, gdy usłyszałam brzęczyk pagera. Po chwili manipulowania przy suwaku zdołałam go rozsunąć i wyjąć to cholerne urządzenie. Nie musiałam sprawdzać numeru. Do zmierzchu zostało jeszcze pół godziny, może trochę dłużej. Mój szef zastanawiał się, gdzie się podziewam i dlaczego nie ma mnie w pracy. Ciekawe, czy Bert naprawdę mógłby mnie zwolnić. Spojrzałam na trupa i przestałam przejmować się czymkolwiek.

Kobieta leżała skulona na boku, osłaniając ramionami obnażone piersi, jakby nawet po śmierci chciała zachować odrobinę przyzwoitości. Brutalna śmierć to ostateczne pogwałcenie czyjejś prywatności. Ofierze robi się całą masę zdjęć, nagrywa na wideo, mierzy, rozcina, waży i zszywa z powrotem. Żadna część ciała, nawet organy wewnętrzne nie pozostają nietknięte. To nie w porządku. Powinniśmy raczej nakryć zwłoki kocem, ale to nie zapobiegłoby popełnieniu następnego morderstwa. A ono nastąpi. Dowodem na to były drugie zwłoki.

Zlustrowałam wzrokiem zespół policyjno-medyczny czekający na odwiezienie ciała. Nie licząc trupa, byłam tu jedyną kobietą. Zwykle tak było, ale do dziś jakoś się tym nie przejmowałam. Jej długie do pasa włosy spływały jasną kaskadą pomiędzy żdźbła traw. Jeszcze jedna blondynka. Zbieg okoliczności? A może nie? Dwie ofiary to za mało dla ustalenia schematu. Ale jeśli trzecia też będzie mieć jasne włosy, trzeba to będzie brać pod uwagę.

Jeśli ofiary będą rasy białej, jasnowłose i na dodatek wszystkie należały kiedyś do LPW, będziemy mieć poszukiwany przez nas wzorzec. Wzorce pomagają w rozwiązywaniu spraw kryminalnych. Miałam nadzieję, że i w tej sytuacji będzie podobnie.

Wzięłam w zęby ołówkową latarkę i zmierzyłam ślady ukąszeń. Tym razem nie było ran na nadgarstkach. Dostrzegłam natomiast otarcia po sznurze. Związali ją, może nawet podwiesili pod sufitem jak poćiec mięsa. Nie istnieje coś takiego jak dobry wampir żywiący się ludźmi. Nie wiercie w to, że wampir wysączy tylko troszkę. Że to nie boli. Równie dobrze możesz wierzyć, że twój chłopak zdąży go wyjąć na czas. Tylko mu zaufaj. A zobaczysz.

Po obu stronach szyi widniały zgrabne ślady nakłuć. Brakowało też fragmentu tkanek z lewej piersi, jakby coś łapczywie ugryzło ją tuż nad sercem. Miała rozszarpane zgięcie prawego łokcia. W świetle latarki ujrzałam odsłonięte kości stawu. Różowawe, napięte ścięgna z trudem utrzymywały rozdarte ramię w jednym kawałku.

Ostatni seryjny morderca, przy sprawie którego pracowałam, rozdierał ofiary na strzępy. Zdarzyło mi się stąpać po dywanie tak przesiąkniętym krwią, że aż chlupało pod butami. Obracałam w dłoniach fragment jelit, poszukując jakichś tropów. To była nowa najgorsza rzecz, jaką zdarzyło mi



się widzieć.

Spojrzałam na martwą kobietę i cieszyłam się, że tej nie rozerwano na kawałki. Bynajmniej nie dlatego, że moim zdaniem była to spokojniejsza śmierć, choć miałam taką nadzieję. To dlatego, że nie chciałam już więcej oglądać tak potwornie zmasakrowanych zwłok. Na ten rok limit już został wyczerpany.

To prawdziwa sztuka, trzymać latarkę w ustach i dokonywać pomiaru ran tak, aby się nie obślinić. Mnie się udało. Tajemnica polega na tym, że od czasu do czasu trzeba possać koniuszek latarki.

Cienki promyk światła padł na jej uda. Chciałam zobaczyć, czy tak jak w przypadku mężczyzny także miała okaleczone krocze. Chciałam mieć pewność, że to było dzieło tych samych zabójców. Byłby to niesamowity zbieg okoliczności, gdyby w tej okolicy działały niezależne od siebie dwie grupy wampirycznych odszczepieńców, ale cóż, istniała też taka możliwość. Musiałam mieć pewność, że chodzi tylko o jedną grupę. Jedna to już sporo, dwie to byłby istny koszmar. Piekło na ziemi. Bóg nie byłby aż tak surowy, chociaż... musiałam sprawdzić, czy krocze tej kobiety zostało okaleczone. Na rękach mężczyzny nie było śladów po sznurze. Albo wampiry były coraz lepiej zorganizowane, albo miałam do czynienia z inną grupą.

Jej ramiona były jakby przyspawane do piersi, unieruchomione przez stężenie pośmiertne. Dopóki nie ustąpi rigor mortis, nic prócz paru ciosów siekierą nie poruszyłoby tych podkulonych nóg, czyli że miałam jeszcze dwie doby. Nie mogłam czekać tak długo, ale nie zamierzałam też porąbać tych zwłok na kawałki. Przykucnęłam przed ciałem. Przeprosiłam za to, co musiałam zrobić, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Cienki promyk latarki przesunął się drżąc po jej udach, jak światło punktowca. Wsunęłam palce w wąską szczelinę pomiędzy jej udami, usiłując wyczuć potencjalne obrażenia. Mogło się wydawać, jakbym pieściła trupa, ale nie potrafiłam zrobić tego w inny, godniejszy sposób. Uniosłam wzrok, starając się nie zwracać uwagi na trupią sztywność skóry i tkanek.

Na zachodzie słońce rzucało ostatnie krwawe odblaski, przywodzące na myśl żar dogasającego ogniska. Niebo zaczęło ciemnieć, jakby rozlewał się po nim atrament.

I wtedy nogi kobiety poruszyły się pod moimi palcami. Drgnęłam nerwowo. Omal nie połknęłam latarki. Czyżby nerwy? Ależ skąd! Ciało kobiety było miękkie, delikatne. Żadnego poruszenia. Usta miała rozchylone. Czy jeszcze przed chwilą nie były zamknięte? To szaleństwo. Nawet gdyby stała się wampirem, powstałaby dopiero trzeciej nocy po śmierci. A ona umarła na skutek wielokrotnego ukąszenia podczas jednej wampirzej uczy. Ta kobieta była martwa, nie żyła i już.

Jej skóra bielila się w ciemnościach. Niebo zasnuła czerń, jeżeli gdzieś tam, nade mną widniała tarcza księżycy, ja jej nie widziałam. A jednak skóra tej kobiety skrzyła się, jakby skąpana w księżycowym blasku. Może nie całkiem lśniła, ale skojarzenie wydawało się dość trafne. Jej włosy błyszczały jak pajęczyna rozpięta pośród traw. Minutę temu była martwa, teraz wydawała się... piękna.

Dolph stanął nade mną. Jako że mierzył ponad dwa metry, górował nade mną, nawet gdy stałam przed nim wyprostowana. Kiedy klęczałam, wydawał się wręcz gigantyczny. Podniosłam się, zdjęłam jedną chirurgiczną rękawiczkę i wyjęłam z ust latarkę. Nigdy nie dotykaj niczego, co wkładasz potem do ust, rękoma, którymi dotykałaś otwartych ran nieznanego osoby. Rozumiecie, AIDS. Włożyłam latarkę do kieszonki kombinezonu na piersi. Zdjęłam drugą rękawiczkę i włożyłam obie do kieszeni na biodrze.

- No i? - zapytał Dolph.

- Czy twoim zdaniem wygląda inaczej? - spytałam.

Zmarszczył brwi.

- Co?

- Trup. Czy wygląda inaczej?

Wlepił wzrok w blade ciało.

- Teraz, gdy zwróciłaś mi na to uwagę... wydaje się, jakby spała. - Pokręcił głową. Będziemy musieli wezwać karetkę, aby lekarz stwierdził zgon.

- Ona nie oddycha.

- Czy chciałabyś, aby brak oddechu był jedynym kryterium stwierdzenia czyjegoś zgonu?

Zamyśliłam się przez chwilę.

- Nie, chyba nie.

Dolph przewertował swój notes.

- Mówiłaś, że osoba zmarła wskutek licznych ukąszeń przez wampira nie może powstać z martwych jako wampir. - Rzucił mi prosto w twarz moje własne słowa. Sama ukręciłam na siebie bicz.

- To prawda. Przynajmniej w większości przypadków.

Spojrzał na denatkę.

- Ale nie w tym.

- Niestety, nie - przyznałam.

- Wyjaśnij to. - Nie wyglądał na zadowolonego. Wcale mu się nie dziwiłam.

- Niekiedy wystarczy tylko jedno ukąszenie, aby trup ożył i stał się wampirem. Czytałam na ten temat kilka artykułów. Poza tym wyjątkowo potężny mistrz może skazić niemal każdą ukąszoną przez siebie ofiarę.

- Gdzie czytałaś te artykuły?

- W kwartalniku „Wampir”.

- Nigdy o nim nie słyszałem - burknął.

Wzruszyłam ramionami.

- Mam dyplom z biologii nadnaturalnej. Czytam na ten temat wszystko, co mi wpadnie w ręce. - Nagle przyszła mi do głowy wyjątkowo posępna myśl. - Dolph.

- Taa.

- Ten mężczyzna, pierwszy denat, to jego trzecia noc.

- Jego ciało nie świeciło w ciemnościach - zaoponował Dolph.

- Trup tej kobiety nie wyglądał podejrzanie, dopóki nie zapadł zmrok.

- Sądzisz, że ten facet ożyje? - spytał.

Pokiwałam głową.

- Cholera - wycedził.

- Otóż to - mruknęłam.

Pokręcił głową.

- Chwileczkę. Przecież w tej sytuacji on będzie mógł nam powiedzieć, kto go zabił.

- Nie powróci jako zwyczajny wampir - zaoponowałam. - Zmarł wskutek wielokrotnych ukąszeń, Dolph; gdy ożyje, będzie bardziej zwierzęciem niż człowiekiem.

- Wy tłumacz.

- Gdyby ciało zostało przewiezione do głównego szpitala miejskiego w St. Louis, umieszczono by je za stalowymi drzwiami, gdzie nikomu by nie zagrażało, jeśli jednak wzięto pod uwagę moje sugestie, trafiło do zwyczajnej kostnicy. Zadzwoń do kostnicy i każ im ewakuować budynek.

- Mówisz serio - zauważył.

- Jak najbardziej.

Nie próbował się ze mną spierać. To ja byłam ekspertem do spraw paranormalnych i moje opinie

traktowano jak słowa wyroczni dopóty, dopóki nie okazałoby się, że się pomyliłam. Dolph nie pytał nikogo o zdanie, jeśli nie zamierzał się z nim liczyć. Był dobrym szefem. Wsiadł do swego samochodu, stojącego rzecz jasna najbliżej miejsca zbrodni i skontaktował się z kostnicą. Wychylił się przez otwarte drzwiczki auta.

- Ciało wysłano do głównego szpitala miejskiego, to rutynowe postępowanie w przypadku ofiar wampirów. Nawet tych, które zdaniem naszego eksperta do spraw paranormalnych są uważane za nieszkodliwe. - Mówiąc to, uśmiechnął się szeroko.

- Zadzwoń do szpitala i upewnij się, że ciało trafiło do specjalnego bunkra.

- Czy to możliwe, aby ciało przewiezione do wampirzej kostnicy nie trafiło do tego... bunkra? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. Ale odetchnę z ulgą, jeśli się upewnisz.

Wziął głęboki oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Dobra. - Wystukał numer. Znał go na pamięć. Już samo to świadczyło, jaki był ten rok dla Dolpha. Stałam przy otwartych drzwiczkach auta, nasłuchując. Nic nie usłyszałam. Nikt nie podniósł słuchawki. Dolph siedział, wsłuchując się w odległy dźwięk sygnału. Po chwili spojrzał na mnie. W jego oczach malowało się pytanie.

- Ktoś powinien tam być - rzuciłam.

- Taa - mruknął.

- Ten mężczyzna, kiedy ożyje, będzie jak dzika bestia - dodałam. - Zabije wszystko, co stanie mu na drodze, chyba że uspokoi go mistrz, który go stworzył, albo ktoś go unicestwi. To wampir animalistyczny. Nie ma na nie określenia potocznego. Pojawiają się zbyt rzadko.

Dolph odłożył słuchawkę i wysiadł z samochodu, wołając:

- Zerbrowski!

- Tu jestem, sierżancie. - Zerbrowski podbiegł truchtem. Gdy Dolph woła, przybiega się co sił w nogach lub ryzykuje srogą reprymendę.

- Co słysząc, Blake?

Co miałam odpowiedzieć, żeby lepiej nie pytał? Wzruszyłam ramionami i odparłam:

- Wszystko gra.

Znów rozległ się mój pager.

- Cholera, Bert!

- Pogadaj z szefem - rzekł Dolph. - Powiedz mu, żeby się odwalił.

Nieglupia myśl. Dolph zaczął wydawać rozkazy na lewo i prawo. Jego podwładni uganiali się jak w ukropie. Wsiadłam do wozu Dolpha i zadzwoniłam do Berta. Odebrał po pierwszym sygnale, to zły znak.

- Mam nadzieję, że to ty, Anito.

- A jeżeli nie? - spytałam.

- Gdzie jesteś, do licha?

- Na miejscu zbrodni, mamy tu świeże zwłoki - wyjaśniłam.

To na chwilę odebrało mu mowę.

- Nie zdążysz do pierwszego klienta.

- Niestety.

- Wyjątkowo ci daruję.

- Coś podobnego - mruknęłam. - Nie jesteś dziś sobą. Co się stało?

- Nic wielkiego, pomijając to, że dwa pierwsze twoje zlecenia przejął nasz nowy pracownik.

Nazywa się Lawrence Kirkland. Spotkasz się z nim w miejscu realizacji trzeciego zlecenia. Wykonasz je i pokażesz młodemu, na czym polega ta robota.

- Zatrudniłeś kogoś? Jakim cudem znalazłeś pracownika tak szybko? Animatorzy to prawdziwa rzadkość, zwłaszcza tacy, którzy potrafią ożywić dwóch zombi jednej nocy.

- Wynajdywanie talentów to moja specjalność.

Dolph wsiadł do samochodu, a ja przesiadłam się na fotel pasażera.

- Powiedz szefowi, że musisz już kończyć.

- Muszę już kończyć, Bert.

- Zaczekaj, masz zlecenie na zakołkowanie wampira w szpitalu miejskim w St. Louis. To sprawa priorytetowa.

Coś ścisnęło mnie w dołku.

- Jak brzmi nazwisko?

Milczał przez chwilę, wreszcie przeczytał:

- Calvin Rupert.

- Cholera.

- Co się stało? - zapytał.

- Kiedy przyjąłeś zlecenie?

- Dziś po południu, około piętnastej, czemu pytasz?

- Cholera, cholera, cholera.

- Co się stało, Anito? - spytał Bert.

- Dlaczego to takie pilne? - Zerbrowski zajął miejsce na tylnym siedzeniu nieoznakowanego auta.

Dolph wrzucił bieg, włączył syrenę i koguta. Za nami pojawił się radiowóz, barwne światła rozcięły mrok. Jechaliśmy z prawdziwą pompą. Syreny i koguty, ale czad.

- Rupert miał klauzulę w testamencie - rzekł Bert. - W przypadku ukąszenia przez wampira miał zostać zakołkowany.

To typowe dla osoby należącej do LPW. Zresztą ja też zawarłam podobną klauzulę w moim testamencie.

- Czy mamy sądowy nakaz egzekucji?

- Jest potrzebny wyłącznie, gdy denat powstanie już jako wampir. Mamy natomiast zezwolenie od najbliższego krewnego, musimy tam pojechać i zakołkować ożywieńca.

Zacisnęłam dłonie na desce rozdzielczej, bo na wąskiej drodze wozem okropnie trzęsło. Spod kół sypał się żwir. Ścisnęłam słuchawkę telefonu pomiędzy podbródkiem i ramieniem, po czym zapiełam pas bezpieczeństwa.

- Jadę teraz do kostnicy - rzuciłam.

- Nie mogłem się z tobą skontaktować, więc wysłałem tam Johna - rzekł Bert.

- Dawno tam pojechał?

- Zadzwoń do niego po tym, jak dałem ci sygnał na pager, na który nie odpowiedziałas.

- Odwołaj go, niech tam nie jedzie.

Mój głos musiał zabrzmieć podejrzanie, ponieważ Bert zapytał:

- Co się stało, Anito?

- W kostnicy nikt nie odbiera telefonu.

- I co z tego?

- Możliwe, że wampir już ożył i wymordował cały personel. John zmierza prosto w paszczę lwa.

- Zadzwoń do niego - rzucił Bert. Połączenie zostało przerwane, a ja odłożyłam słuchawkę.

Wjechaliśmy na autostradę 21.

- Gdy już będziemy na miejscu, możemy zabić wampira - powiedziałam.

- To byłoby morderstwo - uciął Dolph.

Pokręciłam głową.

- Nie, o ile Calvin Rupert miał w swoim testamencie specjalną klauzulę.

- A miał?

- Taa.

Zerbrowski trzasnął pięścią w oparcie fotela.

- Wobec tego rozwalimy sukinkota.

- Taa - przytaknęłam.

Dolph tylko pokiwał głową. Zerbrowski uśmiechał się. W dłoniach ścisnął policyjną strzelbę.

- Masz do tego pociski ze srebrnym śrutem? - spytałam.

Zerbrowski spojrzał na strzelbę.

- Nie.

- Powiedzcie, że nie jestem w tym aucie jedyną osobą mającą broń na srebrne naboje.

Zerbrowski uśmiechnął się, a Dolph stwierdził:

- Srebro jest droższe od złota. Miasto nie ma dość funduszy.

Domyślałam się tego, ale miałam nadzieję, że się mylę.

- Co byście zrobili, gdyby przyszło się wam zmierzyć z wampirami albo wilkołakami?

Zerbrowski nachylił się do mnie.

- To samo co w przypadku, gdy mamy przeciwko sobie gang nastolatków uzbrojonych w uzi.

- To znaczy? - spytałam.

- Wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje - odparł Zerbrowski.

Nie wyglądał na rozbawionego. Mnie też nie było do śmiechu. Miałam nadzieję, że pracownicy szpitalnej kostnicy najzwyczajniej w świecie uciekli, opuścili budynek, ale w głębi duszy wcale na to nie liczyłam. Gnębiły mnie złe przeczucia, które z każdą chwilą pogarszały mój i tak już nie najlepszy nastrój.

**15**

W moim zestawie do gromienia wampirów znajdowała się strzelba - obrzynek na srebrne śruciny, kołki, drewniany młotek i tyle krzyży oraz wody święconej, że można by w niej utopić każdego krwiopijcę. Niestety, zestaw do gromienia został w szafie, w mojej sypialni. Wcześniej wozilałam go w bagażniku, bez obrzynka ma się rozumieć, bo posiadanie go jest nielegalne. Gdyby złapano mnie z zestawem w dłoni, a bez sądowego nakazu egzekucji w kieszeni, automatycznie trafiłabym za kratki. Nowe prawo zaczęło funkcjonować zaledwie kilka tygodni temu. Miało powstrzymać garstkę nadpobudliwych i nazbyt zapalczywych egzekutorów, którzy cechowali się tym, że najpierw wbijali kołek, a potem półgębkiem rzucali cichutkie: „Przepraszam”. Jeżeli chodzi o mnie, na pewno nie można mnie zaliczyć do ich grona. Serio.

Dolph wyłączył syrenę jakieś dwa kilometry przed szpitalem. Wjechaliśmy na ciemny, cichy parking. Z tyłu za nami jechał wóz patrolowy. Drugi już na nas czekał na parkingu. Przy samochodzie, z rewolwerami w rękach kulili się dwaj funkcjonariusze w mundurach.

Wysiedliśmy z wyciągniętą bronią. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się na planie filmu z Clintem Eastwoodem. Nie zauważyłam samochodu Johna Burke'a. Co oznaczało, że John sprawdzał pager częściej ode mnie. Jeśli okaże się, że wampir wciąż przebywał wśród bezpiecznych metalowych ścian, obiecuję, że odtąd będę natychmiast odpowiadać na każdą przesłaną mi wiadomość. Daję słowo. Tylko proszę, nie pozwól, Boże, aby ktoś zapłacił życiem za moje zaniedbanie. Amen.

Jeden z tych mundurowych, którzy na nas czekali, podszedł na ugiętych nogach do Dolpha i powiedział:

- Panie sierżancie, odkąd się tu zjawiliśmy, nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Cisza i spokój.

Dolph pokiwał głową.

- Świetnie. Oddział specjalny dotrze tu najszybciej, jak będzie mógł. Jesteśmy na ich liście.

- Co to znaczy, że jesteście na ich liście? - spytałam.

Dolph spojrzał na mnie.

- Oddział specjalny ma srebrne kule. Zjawią się tu możliwie szybko.

- Będziemy na nich czekać? - spytałam.

- Nie.

- Panie sierżancie, w sytuacji nadnaturalnego zagrożenia zaleca się czekanie na przybycie oddziału specjalnego - rzekł mundurowy.

- Nie, jeśli należymy do Okręgowej Jednostki do spraw Dochodzeń Paranormalnych stwierdził.

- Powinniście mieć srebrne kule - wtrąciłam.

- Złożyłem stosowne zamówienie - odparł Dolph.

- Zamówienie na pewno bardzo się nam przyda.

- Jesteś cywilem. Musisz zaczekać na zewnątrz. Więc nie marudź - burknął.

- Jestem także legalną egzekutorką wampirów na stan Missouri. Gdybym odpowiedziała na wezwanie pagera, zamiast ignorować jego sygnał w celu zdenerwowania Berta, wampir zostałby już zakołkowany i nie musielibyśmy robić tego wszystkiego. Nie możesz mnie z tego wykluczyć. To bardziej moja robota niż twoja.

Dolph przyglądał mi się przez kilka chwil, po czym bardzo wolno pokiwał głową.

- Powinnaś trzymać buzię na kłódkę - rzucił Zerbrowski. - I zaczekać w samochodzie.

- Nie chcę czekać w samochodzie.

Spojrzał na mnie.

- A ja chciałbym.

Dolph zaczął iść w stronę drzwi. Zerbrowski pomaszerował za nim.

Ja ubezpieczałam tyły. Byłam wszak policyjną ekspertką do spraw nadnaturalnych. Gdyby tej nocy sprawy przybrały kiepski obrót, mogłabym się wykazać i udowodnić niebieskim swoją przydatność.

Wszystkie ofiary wampirów, nawet te spoza hrabstwa, przywożono do starego szpitala miejskiego w St. Louis i umieszczano w piwnicy. Nie ma aż tylu kostnic przystosowanych do obsługi świeżo powstałych wampirów. Mają tam specjalne pomieszczenie o ścianach wzmocnionych grubymi stalowymi płytami i drzwiami zabezpieczonymi od zewnątrz przez krzyże. Jest tam nawet zbiornik, którego zawartością ożywieńcy mogą zaspokoić pierwszy głód. Szczury, króliki, świnki morskie. Ot, przekąska dla uspokojenia nowo powstałych.

W normalnych okolicznościach denat trafiłby do pomieszczenia dla wampirów i mielibyśmy problem z głowy, ale ja zapewniłam tutejszych pracowników, że mężczyzna jest niegroźny. Miał być całkiem nieszkodliwy. Przemawiał za mną autorytet eksperta, egzekutorki, którą wezwano w celu zakołkowania trupa. Skoro powiedziałam, że denat jest niegroźny, to znaczy, że naprawdę tak powinno być. Uwierzono mi. A ja się pomyliłam. Boże, dopomóż mi, pomyliłam się.

**16**

Szpital miejski w St. Louis wznosił się niczym przysadzisty ceglany olbrzym, czający się pośrodku strefy działań wojennych. Kilka przecznic na południe stąd możesz obejrzeć najlepsze, nagradzane musicale rodem z Broadwayu. Tu byliśmy jak po ciemnej stronie księżyca. O ile na księżycu istniały slumsy.

Szkoło z wytluczonych okien walało się po ziemi jak powybijane zęby. Szpital, jak większość tego typu placówek, nie miał funduszy i musiał zostać zamknięty. Pozostawiono jednak czynną kostnicę, gdyż miasta nie było stać na przeniesienie pomieszczenia dla wampirów. Pokój ten został zaprojektowany na początku XX wieku, kiedy ludziom wciąż się wydawało, że potrafią znaleźć lekarstwo na wampiryzm. Zamknąć wampira w specjalnym pomieszczeniu, obserwować, jak powstaje i spróbować go z tego wyleczyć. Wiele wampirów poszło na ten układ, bo chciało zostać uleczonych. Doktor Henry Mulligan był pionierem badań nad lekiem dla wampirów. Program jednak zawieszono, kiedy jeden z pacjentów pozbawił doktora Mulligana twarzy. To tyle, jeśli chodzi o pomoc dla biednych, niewłaściwie rozumianych wampirów.

Pomieszczenie wciąż było używane. Właśnie tu trafiała większość ofiar wampirów. To było rutynowe postępowanie, gdyż ostatnimi czasy przy powstającym wampirze czuwał specjalny doradca, mający za zadanie wprowadzić ożywieńca do społeczności krwiopijców.

Zupełnie zapomniałam o tym doradcy. To był pionierski program, wprowadzony przed miesiącem. Czy starszy wampir potrafi zapanować nad wampirem animalistycznym, a może taką kontrolę mógł sprawować jedynie prawdziwy mistrz? Nie wiedziałam. Po prostu nie wiedziałam.

Dolph wyjął już broń i trzymał ją w gotowości. Bez powlekanych srebrem kul pistolet nie przyda mu się na wiele, ale lepsze to niż nic. Zerbrowski trzymał strzelbę tak pewnie, jakby wiedział, jak jej używać. Za plecami miałam czterech mundurowych. Wszyscy z bronią w rękach, gotowi odstrzelić nieumarłemu łeb. Czemu więc nie czułam się ani trochę pewniej? Bo nikt z nas, oprócz mnie, nie miał srebrnych kul.

Podwójne przeszklone drzwi otwarły się ze świstem. Siedem luf skierowało się w stronę drzwi, gdy stanęły przed nami otworem. Zaczęły mi cierpnąć palce, to cud, że odruchowo nie pociągnęłam za spust. Jeden z mundurowych stłumił śmiech cisnący mu się na usta. Nerwy.

- W porządku - rzekł Dolph. - Słuchajcie uważnie. Wewnątrz są cywile. Starajcie się nie zastrzelić żadnego z nich.

Jeden z mundurowych był blondynem. Jego partner był starszy, ciemnoskóry. Dwaj pozostali funkcjonariusze mieli po dwadzieścia kilka lat - jeden chudy, wysoki, ze sterczącym jabłkiem Adama, drugi niski, blady, z oczyma przepełnionymi przerażeniem.

Każdy z policjantów miał spinkę do krawata w kształcie krzyża. To najnowsza moda i obecnie standardowe wyposażenie dla policji St. Louis. Krzyże mogły pomóc, a kto wie, może nawet ocalić im życie.

Nie miałam czasu, aby wymienić łańcuszek przy moim krzyżyku. Nosiłam bransoletkę z kilkoma małymi krzyżykami. Miałam także łańcuszek na kostce, nie tylko dlatego, że pasował do bransoletki, po prostu w razie gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego, mogłam potrzebować sekretnej broni. Bywają sytuacje nieprzewidywalne, kiedy nie wiesz, co przyda ci się bardziej - pistolet czy krzyżyk. Lepiej mieć jedno i drugie.

- Anito, masz jakieś sugestie, jaką powinniśmy teraz obrać taktykę? - zapytał Dolph.

Jeszcze nie tak dawno w ogóle nikt nie wzywałby policji do takiego przypadku. W dobrych starych czasach wampiry pozostawały w gestii garstki zagorzałych ekspertów. Wówczas dobry wampir oznaczało zakółkowany wampir. W sytuacji kryzysowej pojawiał się egzekutor i robił porządek z krwiopijcą. Byłam jedną z wybranych, należałam do elity, byłam dumną, dzielną egzekutorką.

- Możemy uformować krąg i ruszyć z bronią gotową do strzału. W tej formacji na pewno wampir nie zdoła nas zaskoczyć.

- Nie usłyszymy, jak się zbliża? - spytał jasnowłosy funkcjonariusz.

- Nieumarli nie robią hałasu - odparłam.

Jego oczy rozszerzyły się.

- Hej, ja tylko żartowałam - próbowałam go uspokoić.

- No, no - burknął pod nosem. Wydawał się urażony. W sumie wcale mu się nie dziwiłam.

- Przepraszam - powiedziałam.

Dolph łypnął na mnie spode łba.

- Przecież przeprosiłam, no nie?

- Nie drażnij żółtodziobów - rzekł Zerbrowski. - Idę o zakład, że to jego pierwszy wampir.

Czarnoskóry gliniarz wydał z siebie coś między chichotem a parsknięciem.

- Jego pierwszy dzień. Dajcie spokój.

- Jezu - mruknęłam. - Może powinien poczekać w radiowozie?

- Dam sobie radę - odparł blondyn.

- Nie o to chodzi - powiedziałam - tyle tylko, że o ile mnie pamięć nie myli, związki zagwarantowały wam, że nie musicie już pierwszego dnia służby stykać się z wampirami. Nie chcę, żebyś łamał należne ci prawa.

- Poradzę sobie - odburknął.

Pokręciłam głową. Pieprzony pierwszy dzień służby. Powinien był kierować gdzieś ruchem ulicznym, a nie bawić się w berka z nieumarłym.

- Pójdę pierwszy - powiedział Dolph. - Anita po mojej prawej. - Dwoma palcami wskazał czarnego i blondyna. - Wy dwaj po lewej. - Wskazał dwóch ostatnich mundurowych.

- Idziecie za panną Blake. Zerbrowski, osłaniaj tyły.

- Ee, dzięki, sierżancie - wykrztusił.

Już miałam odpuścić, ale nie mogłam sobie darować.

- Tylko ja mam srebrne kule. To ja powinnam iść pierwsza - oznajmiłam.

- Nie możesz, Anito. Jesteś cywilem - odparował Dolph.

- Od lat nie jestem cywilem i wiesz o tym doskonale.

Patrzył na mnie przez dobrych kilka sekund, po czym skinął głową.

- Dobra, idź przodem, ale pamiętaj, że jeżeli dasz się zabić, będę skończony.

Uśmiechnęłam się.

- Postaram się o tym nie zapomnieć.

Zajęłam pozycję z przodu, tuż przed resztą grupy. Pozostali utworzyli zwartą formację przypominającą nierówny krąg.

Zerbrowski uniósł w moją stronę dłoń z odchylnym do góry kciukiem. Na ten widok na moich ustach pojawił się uśmiech. Dolph lekko skinął głową. Nadszedł czas, aby wejść do budynku. Pora zapolować na krwiopijcę.

17

Ściany były pomalowane na dwa odcienie zieleni: u dołu na ciemnozielone, u góry na seledynowo. Przemysłowa zieleń, równie przyjemna jak bolący ząb. Wzdłuż ścian ciągnęły się olbrzymie przewody parowe. One również były pomalowane na zielono. Rury sprawiały, że korytarz wydawał się piekielnie wąski.

Rury z przewodami elektrycznymi przypominały wąskie, srebrne cienie rur odprowadzających parę. Trudno zelektryfikować budynek, który nie był do tego celu zaprojektowany.

Na ścianach widniały wybrzuszenia, miejsca gdzie przed nałożeniem nowej warstwy nie zdrapano starej farby. Gdyby ktoś zechciał trochę tu się pomęczyć, ujrzaliby ukryte jedną pod drugą warstwy różnych kolorów, jak warstwy gleby odsłaniane podczas badań archeologicznych. Każda barwa miała własną historię, swoje własne bolesne wspomnienia.



Miałam wrażenie, jakbym znalazła się wewnątrz wielkiego statku. Tyle że zamiast ryku silników słycać było niemal rozdzierające brzmienie ciszy. Są takie miejsca, w których zalega grobowa cisza. Jednym z nich jest szpital miejski w St. Louis.

Gdybym była przesądna, a nie jestem, powiedziałabym, że szpital to idealna przystań dla duchów. Są różne rodzaje zjaw. Te pospolite to dusze zmarłych, pozostające na miejscu, choć w gruncie rzeczy powinny być odejść do nieba albo do piekła.

Teologowie od stuleci spierają się, co oznacza istnienie duchów dla Boga i Kościoła. Nie sędzę, aby Bóg się tym specjalnie przejmował, ale Kościół najwyraźniej ma z tym spory problem.

W tym miejscu zmarło tyle osób, że od duchów powinno się roić, ale ja nigdy dotąd żadnego nie widziałam. W tej sytuacji dopóki nie poczuję na swoim ciele dotyku lodowatych widmowych dłoni, nie zamierzam uwierzyć w duchy.

Istnieje wszelako inny rodzaj duchów. Mentalne odczucia, silne emocje wtopione w podłogi i ściany budynków. Można by porównać to z emocjonalnym magnetofonem. Czasami pojawiają się zarejestrowane obrazy, kiedy indziej dźwięki, innym razem znowu, mijając pewne miejsca, czujesz tylko lodowaty dreszcz na plecach. W starym szpitalu takich miejsc było całe mnóstwo. Jeżeli o mnie chodzi, niczego nie ujrzałam ani nie usłyszałam, ale gdy tak szłam korytarzem, wiedziałam, że gdzieś tam, na wyciągnięcie ręki coś się czało. Było tam, niewidoczne, niesłyszalne, blisko i daleko zarazem. Tej nocy zapewne owym zagrożeniem był przyczajony wampir.

Jedynymi odgłosami w korytarzu było szuranie stóp i szelest materiału, towarzyszący naszym krokom. Nie było słycać nic więcej. Gdy dokoła jest cicho, zaczynasz zwracać uwagę na rozmaite rzeczy, na przykład na szum krwi w uszach.

W oddali przede mną pojawił się pierwszy załom korytarza. Szłam na przedzie. Zgłosiłam się na ochotnika. Pierwsza pokonam ten załom. Cokolwiek się za nim znajdowało, zmierzę się z tym pierwsza. Nie cierpię zgrywać bohaterki.

Przyklękłam na jedno kolano, ujęłam pistolet dwiema rękami i wycelowałam. Wysunięcie samego pistoletu zza załomu muru nic by nie dało. Nie da się trafić czegoś, czego nie widzisz. Są różne szkoły, jeżeli chodzi o pokonywanie załomów korytarza, każda z nich ma swoje plusy i minusy. Chodzi głównie o to, czy bardziej boisz się, że ktoś może zacząć do ciebie strzelać, czy próbować cię złapać. Jako że tym razem chodziło o wampira, w grę wchodziła raczej ta druga ewentualność.

Przylgnęłam prawym ramieniem do ściany, wzięłam głęboki oddech i rzuciłam się naprzód. Nie wykonałam przewrotu w przód, aby wturlać się do korytarza. Przewróciłam się na lewy bok i uniosłam przed siebie trzymany oburącz pistolet. Mogę was zapewnić, to najszybszy sposób na pokonanie z bronią załomu korytarza. Choć nie doradzam go w sytuacji, gdyby potwory także dysponowały bronią i zechciały odpowiedzieć ogniem.

Leżałam w korytarzu, w uszach mi dudniło. Na szczęście w zasięgu wzroku nie było żadnych wampirów. Niestety, opodal leżało czyjeś ciało.

Podniosłam się na jedno kolano, wciąż przepatrując mroczny korytarz w poszukiwaniu jakichś oznak ruchu. Gdy w grę wchodzi wampir, czasami nic nie widzisz i niczego nie słyszysz, ale wyczuwasz go w mięśniach karku i sztywnieniu na nim drobnych włosków. Twoje ciało reaguje na bodźce starsze niż myśl. W gruncie rzeczy w takich sytuacjach myślenie zamiast działania może cię wpędzić do grobu.

- Droga czysta - stwierdziłam. Wciąż klęczałam pośrodku korytarza, z bronią gotową do strzału.

- Nie będziesz się turlać dalej? - zapytał Dolph. Spojrzałam na niego, po czym znów skierowałam wzrok w głąb korytarza. Nic tam nie było. Wszystko gra. Świetnie. Naprawdę.

Ciało odziane było w bladoniebieski mundur. Złoto-czarną naszywkę na mundurze zdobił napis

OCHRONA. Mężczyzna miał siwe włosy, obwisłe policzki, gruby nos, rzęsy jak z białej koronki i bladą skórę. Rozerwane gardło wyglądało okropnie. Kręgosłup błyszczał w świetle jarzeniówek. Krew na ścianach przypominała upiorne plamy Rorschacha. W prawej ręce trzymał pistolet. Przywarłam plecami do ściany po lewej i jeszcze raz przejrzałam korytarz, od jednego końca do drugiego. Niech gliny obejrzą ciało. Moim zadaniem tej nocy było utrzymać nas przy życiu. Dolph przykląkł obok ciała. Nachylił się, jakby zamierzał robić pompki, nieomal dotykając twarzą pistoletu.

- Z tej broni strzelano.

- Nie czuję zapachu prochu przy ciele - stwierdziłam. Mówiąc to, nie spojrzałam na Dolpha. Byłam zbyt zajęta przepatrywaniem korytarza.

- Z tej broni strzelano - powtórzył. Głos miał zduszony, ochrypły.

Spojrzałam na niego. Ramiona miał zeszywniałe, ciało stężełe, jakby przeppełnił go niewysłowiony ból.

- Znałeś go, prawda? - spytałam.

Dolph skinął głową.

- Jimmy Dugan. Był moim partnerem przez kilka miesięcy, gdy miałem trochę mniej lat niż ty teraz. Odszedł ze służby, ale chciał zarobić na emeryturę, więc znalazł sobie robotę tutaj. - Dolph potrząsnął głową. - Cholera.

Cóż mogłam powiedzieć? Że przykro mi? To banał. Że cholernie mi przykro? Zabrzmiałoby trochę lepiej, ale też nie oddawało wszystkiego. Żaden właściwy komentarz nie przychodził mi do głowy. Nic, co zrobię, już tego nie naprawi. Dlatego stałam tam, w zbryzganym krwią korytarzu, nie robiąc nic i nie mówiąc ani słowa.

Zerbrowski ukląkł obok Dolpha. Położył mu dłoń na ramieniu. Dolph uniósł wzrok. W jego oczach pojawił się błysk silnych emocji: gniewu, bólu, smutku. To wszystko i zarazem nic. Spojrzałam na martwego mężczyznę, który wciąż trzymał w ręku pistolet i zastanawiałam się nad jakimś konstruktywnym stwierdzeniem.

- Czy tutejszym strażnikom dają srebrne kule?

Dolph spojrzał na mnie. Tym razem nie miałam wątpliwości, był wściekły.

- Dlaczego pytasz?

- Strażnicy powinni mieć srebrne kule. Niech jeden z was weźmie jego rewolwer, będziemy już mieli dwie spluwy ze srebrną amunicją.

Dolph tylko zerknął na broń.

- Zerbrowski.

Zerbrowski delikatnie wyluskał rewolwer z dłoni trupa, jakby bał się, że mógłby go obudzić. Ale ta ofiara ataku wampira już nie ożyje. Głowa mężczyzny przechyliła się na bok, mięśnie i ścięgna pękły. Wyglądało, jakby ktoś wielką łyżką wybrał mięso i skórę wokół kręgosłupa. Zerbrowski sprawdził bębenek.

- Srebro. - Zatrzasnął bębenek i wstał, z rewolwerem w prawej dłoni. W lewej luźno trzymał strzelbę.

- Zapasowa amunicja? - spytałam.

Zerbrowski ponownie ukląkł, ale Dolph tylko pokręcił głową. Sam obszukał ciało. Gdy skończył, dłonie miał unurzane we krwi. Próbował zetrzeć zasychającą krew białą chustką, ale posoka wypełniła linie na jego dłoniach i zagłębienia wokół paznokci. Bez mydła i szorowania nie zdoła tego zmyć.

- Wybacz, Jimmy - rzekł półgłosem. Wciąż miał suche oczy. Ja już bym się rozplakała. Ale kobiety są

bardziej podatne na łzy. Płaczymy częściej niż mężczyźni. Taka chemia. Naprawdę. - Nie ma zapasowej amunicji. Chyba Jimmy sądził, że w tej kretyńskiej ochronie pięć kul w zupełności wystarczy. - W jego głosie pobrzmiwał gniew. Lepszy gniew niż płacz. O ile umiesz nad nim zapanować.

Wciąż przepatrywałam korytarz, ale raz po raz powracałam wzrokiem do nieboszczyka. Ten człowiek zginął, bo nie wypełniłam jak należy swego zadania. Gdybym nie powiedziała kierowcom karetki, że trup jest niegroźny, umieszcziliby go w bunkrze, a Jimmy Dugan byłby teraz żywy. Nie znoszę, gdy z mojej winy zdarza się tragedia.

- Ruszaj - rzucił Dolph.

Pomaszerowałam w głąb korytarza. Kolejny załom. Powtórzyłam wypad z przykłąku. Wylądowałam na boku, z pistoletem trzymany oburącz i skierowanym w głąb korytarza. Znów nic. Zero ruchu. Tylko pusty, zielony korytarz. Ale na podłodze coś leżało. Najpierw zobaczyłam dolną część ciała strażnika. Nogi w jasnoniebieskich, przesiąkniętych krwią spodniach. Głowa z długimi, brązowymi włosami upiętymi w kucyk leżała obok ciała jak zapomniana bryła mięsa.

Wstałam, wodząc pistoletem z boku na bok i wypatrując czegoś, w co mogłabym wymierzyć. Nic się nie poruszało, nie licząc krwi, która wciąż spływała po ścianach. Skapywała powoli jak deszcz, gęstniejąc i krzepnąc z każdą chwilą coraz bardziej.

- Jezu. - Nie byłam pewna, który z mundurowych to powiedział, ale w zupełności się z nim zgadzałam.

Górna część ciała została rozdarta, jakby wampir wbił obie ręce w klatkę piersiową dziewczyny i mocno szarpnął. Jej kręgosłup rozleciał się w drobny mak. Strzępy ciała, kości i krew rozbryznięły się po korytarzu jak płatki upiornych kwiatów.

Poczułam w ustach smak żółci. Oddychałam miarowo, głęboko, przez usta. To był błąd. Powietrze miało smak krwi, gęsty, ciepły, słonawy. Czuć też było kwaśny posmak, efekt rozdarcia trzewi. Świeży trup cuchnie jak połączenie rzeźni i wychodka. Śmierć ma zapach fekaliów i krwi.

Zerbrowski rozglądał się po korytarzu, trzymając w dłoni rewolwer strażnika. Zostały mu cztery naboje. Ja miałam trzynaście, plus dodatkowy magazynek w sportowej torbie. Gdzie się podziała broń strażniczki?

- Gdzie jest jej rewolwer? - zapytałam.

Zerbrowski spojrział na mnie, na trupa, po czym powiódł wzrokiem w głąb korytarza.

- Nie widzę go nigdzie.

Nigdy dotąd nie spotkałam wampira, który używałby broni palnej, ale cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz.

- Dolph, gdzie rewolwer strażniczki?

Dolph ukląkł w kałuży krwi, usiłując przeszukać ciało. Zaczął obracać zmasakrowane zwłoki. Kiedyś na widok takiej potworności natychmiast zwróciłabym całą zawartość żołądka, ale teraz już nie robiło to na mnie wrażenia. Czy to zły znak, że już nie wymiotowałam na zwłoki? Być może.

- Rozejrzyjcie się. Poszukajcie broni. Może leży gdzieś niedaleko - rozkazał Dolph.

Czterej mundurowi rozeszli się po korytarzu i zaczęli szukać rewolweru. Blondyn miał twarz jak popiół i mocno przełykał ślinę, ale jakoś dawał sobie radę. To dobrze o nim świadczyło. Pierwszy pękł ten wysoki, z wyraźnym jabłkiem Adama. Poślizgnął się na strzępach ciała i wylądował na tyłku w kałuży zakrzepłej krwi. Zerwał się na kolana i zwymiotował pod ścianą.

Oddychałam szybko i płytko. Krew i widok rozszarpanego ciała mnie nie ruszały, ale w połączeniu z odgłosami mdłości nawet ja mogłam nie wytrzymać. Przywarłam plecami do ściany i ruszyłam w stronę kolejnego załomu. Nie zwymiotuję. Nie zwymiotuję. Boże, proszę, nie pozwól mi

zwymiotować. Próbowaliście kiedyś celować z pistoletu, gdy targają wami silne mdłości? To prawie niewykonalne. Dopóki nie skończycie, jesteście całkiem bezradni. Bezbronni. Po tym, co ten wampir zrobił ze strażnikami, nie chciałam być ani przez chwilę bezradna.

Jasnowłosa glina oparł się o ścianę. Twarz miał błyszczącą od potu. Spojrzał na mnie i wyczytałam to w jego oczach.

- Nie - wyszeptałam - błagam, nie.

Żółtodziób osunął się na klęczki i to była kropla, która przepełniła czarę. Wyrzuciłam z siebie wszystko, co zjadłam tego dnia. Przynajmniej nie zwróciłam na trupa. Raz mi się to zdarzyło i Zerbrowski nigdy mi tego nie zapomniał. Potraktowano to wówczas jako naruszenie materiałów dowodowych.

Gdybym była wampirem, zaatakowałabym, podczas gdy połowa naszej gromadki wyrzygiwała z siebie wnętrzności. Ale zza rogu nic się nie wyłoniło. Nic nie wypadło z wrzaskiem z ciemności. Dopisywało nam szczęście.

- Jak skończycie - rzekł Dolph - musimy znaleźć jej spluwę i to, co ją załatwiło.

Otarłam usta rękawem kombinezonu. Był cały wilgotny, ale nie miałam czasu, aby go zdjąć. Podeszwy moich czarnych adidasów przylepiały się do podłogi i były całe we krwi. Może jednak powinnam zostać w kombinezonie. Chciałam nałożyć na siebie coś lżejszego, ale mogłam jedynie iść naprzód, w głąb ohydneho zielonego korytarza, zostawiając za sobą krwawe ślady. Obejrzałam podłogę i zobaczyłam je, ślady odchodzące od ciała w stronę pierwszego strażnika.

- Dolph? - rzuciłam.

- Widzę.

Słabo widoczne ślady wiodły od miejsca zbrodni za załom muru, oddalając się od nas. Może to i dobrze, choć nie byłam o tym do końca przekonana. Znaleźliśmy się tu, aby położyć kres koszmarowi. Cholera.

Dolph ukląkł przy największym fragmencie ciała.

- Anito.

Podeszłam do niego, omijając krwawe ślady. Nie należy nigdy zacierać tropów. Gliny tego nie lubią. Dolph wskazał na poczerniały strzęp odzieży. Ukląkłam ostrożnie, zadowolona, że wciąż miałam na sobie kombinezon. Nawet gdybym dłużej klęczała w kałużach krwi, nie zapaskudzę sobie ubrania. Zawsze gotowa, jak na wzorową skautkę przystało.

Koszula kobiety była zwęglona i poczerniała. Dolph dotknął materiału koniuszkiem ołówka. Materiał rozsypał się na płaty. Dolph przebił się przez kolejne warstwy. Kruszyły się jak popiół z papierosa. Czuć było woń popiołów i ostry, kwaśny fetor bijący z ciała.

- Co się jej stało, u diabła? - spytał.

Przełknęłam ślinę i poczułam w gardle smak wymiocin. Niedobrze.

- To nie jest ubranie.

- A co?

- Ciało.

Dolph spojrział na mnie. Trzymał ołówek tak, jakby chciał go złamać.

- Ty nie żartujesz.

- Oparzenia trzeciego stopnia - oznajmiłam.

- Co je spowodowało?

- Mogę pożyczyć twój ołówek? - spytałam.

Wręczył mi go bez słowa. Zaczęłam dłubać w tym, co pozostało z jej torsu. Ciało było tak spalone, że koszula wtopiła się w nie. Rozsunęłam kolejne warstwy, zanurzając ołówek coraz głębiej. Ciało

wydawało się potwornie bliskie i kruche, jak przypalona skórka kurczaka. Dopiero gdy zanurzyłam ołówek do połowy w cieple, natrafiłam na coś twardego. Wydobyłam to z wydrążonego otworu. Następnie dwoma palcami wyłuskałam grudkę zniekształconego metalu ze spalonego ciała.

- Co to takiego? - spytał Dolph.

- Tyle pozostało z jej krzyżyka.

- Nie.

Bryłka stopionego srebra błyszczała wśród popiołów.

- To był jej krzyżyk, Dolph. Wtopił się w ciało i zapalił ubranie. Nie pojmuję, dlaczego wampir nie puścił gorejącego metalu. Powinien być nieźle poparzony albo spłonąć tak jak ona, a jednak nie ma go tutaj.

- To znaczy - mruknął Dolph.

- Animalistyczne wampiry są jak narkomani na kwasie. Nie czują bólu. Sądzę, że wampir przycisnął ją do siebie, krzyżyk dotknął jego ciała, buchnął płomieniem, ale wampir wciąż ją przytrzymywał, rozdierając na strzępy, podczas gdy ogień ogarnął ich oboje. Przeciwno zwykłym wampirom krzyżyk na pewno by poskutkował.

- A zatem tego krzyże nie powstrzymają - skostatował.

Czterej mundurowi z jakby nieco większym niepokojem zerkali w głąb korytarza. Nie pisali się do zadania, przy którym krzyże okazały się nieskuteczne. Ja zresztą też. Ta wzmianka o nieczułości na ból mogła stanowić dodatek do pokaźnego artykułu. Nikt dotąd nie zasugerował, że odporność na ból może zniwelować ochronę, jaką daje człowiekowi krzyż. Jeśli przeżyję, wysmażę o tym artykuł do „Wampira”. Krzyże wtapiające się w ciało, nieźle, co?

Dolph wstał.

- Trzymajcie się w zwartej grupie.

- Krzyże nie skutkują - rzekł jeden z mundurowych. - Musimy wrócić i poczekać na oddział specjalny.

Dolph spiorunował go wzrokiem.

- Wracaj, jeśli chcesz. - Spojrzał na zabitą strażniczkę. - Niech idą ze mną tylko ochotnicy. Reszta może poczekać na zewnątrz na jednostkę specjalną.

Wysoki skinął tylko głową i dotknął ramienia partnera. Ten przełknął ślinę, zerknął na Dolpha, po czym przeniósł wzrok na zwęglone zwłoki. Nie protestował, gdy partner pociągnął go ku wyjściu. Wracali na zewnątrz. Tam będą bezpieczni. Nie groziła im utrata zmysłów. Może powinniśmy wszyscy pójść za ich przykładem? Tyle tylko, że nie mogliśmy pozwolić uciec temu potworowi.

Nawet gdybym nie miała nakazu egzekucji, musieliśmy to zabić, aby nawet przypadkiem nie wydostało się z budynku.

- A co z tobą i żółtodziobem? - Dolph zwrócił się do Murzyna.

- Nigdy nie uciekam przed potworami. Jeżeli chodzi o niego, może wyjść stąd jak tamci dwaj.

Blondyn pokręcił głową, jego dłoń z pistoletem wyraźnie drżała.

- Zostaję.

Czarny uśmiechnął się do niego. To znaczyło więcej niż jakiegokolwiek słowa. Młodziak dokonał męskiego wyboru. Został. I tylko to się liczyło.

- Za następnym zakrętem powinniśmy już zobaczyć bunkier - poinformowałam.

Dolph spojrział w tę stronę. Jego wzrok odnalazł moje spojrzenie. Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co spotkamy za rogiem. Ten wampir dokonywał rzeczy, które dotąd uznałabym za niemożliwe. Reguły zostały zmienione i bynajmniej nie na naszą korzyść.

Przystanąłam przy ścianie, przed załomem muru. Odsunęłam się powoli i wychyliłam zza rogu. Miałam przed sobą krótki, prosty odcinek korytarza. Na podłodze leżał rewolwer. Czy należał do

strażniczki? Być może. W ścianie po lewej powinny znajdować się wielkie stalowe drzwi zapieczętowane krzyżami. Stalowe odrzwia zmieniły się w wyrwaną z zawiasów stertę pogiętego żelastwa. A więc jednak umieścili ciało w specjalnym pomieszczeniu. Strażnicy nie zginęli z mojej winy. Powinni być bezpieczni. Zero jakiegokolwiek ruchu. W bunkrze było ciemno. Jeśli wampir czaił się w środku, ja go nie widziałam. Rzecz jasna nie byłam dostatecznie blisko. Ale wolałam już się bardziej nie zbliżać.

- Wygląda na to, że jest czysto - rzuciłam.

- Powiedziałaś to jakoś niepewnie - odparł Dolph.

- Bo tak też się czuję - skwitowałam. - Wyrzrzyj zza rogu i zobacz, co ten drań zrobił z drzwiami.

Dolph nie wyrzwał, lecz wyszedł zza rogu i spojrzął. Zagwizdał cichutko.

- Jezu - mruknął Zerbrowski.

- No właśnie - wycedziłam przez zęby.

- Czy on jest tam, w środku? - spytał Dolph.

- Chyba tak.

- Ty jesteś ekspertem. Powinnaś wiedzieć takie rzeczy - poskarżył się Dolph.

- Gdybyś mnie spytał, czy wampir może przebić się przez pięciocalowe drzwi ze stali posrebrzanej, w dodatku zapieczętowane krzyżami, powiedziałabym, że to niemożliwe. Wlepiłam wzrok w ciemny otwór wejścia. - A jednak on to zrobił.

- Czy to oznacza, że jesteś równie zbita z tropu jak my wszyscy? - spytał Zerbrowski.

- Taa.

- Wobec tego wdepnęliśmy w niezłe szambo - dokończył.

Niestety, musiałam mu przyznać rację.

**18**

Na wprost nas znajdował się grobowiec. Mroczne podziemne pomieszczenie z czekającym wewnątrz szalonym wampirem. Ciemno, choć oko wykol i szajbnięty krwiopijca do kompletu. To jest to, co tygrysy lubią najbardziej. A jak.

- Teraz ja pójdę pierwszy - rzekł Dolph.

W dłoniach ścisnął broń drugiego strażnika. Nie zauważyłam jego własnego pistoletu, musiał go schować. Miał teraz srebrne kule, mógł pójść przodem. Dolph był w tym dobry. Nigdy nie kazał swoim ludziom robić czegoś, czego sam nie potrafiłby uczynić. Szkoda, że Bert nie był taki. Bert raczej gotów był sprzedać twoje pierworodne dziecko, pytając cię o zdanie dopiero po fakcie.

Dolph zawahał się przy wejściu do podziemi. Mrok był tak gęsty, że chyba można by kroić go nożem. Ciemność absolutna, jak w jaskini, taka, w której możesz dotknąć palcami gałek ocznych i nie zamrugać.

Przywołał nas machnięciem ręki, w której trzymał pistolet, ale przez cały czas szedł przed siebie, zanurzając się coraz głębiej w mrok korytarza. Na podłodze widać było krwawe ślady stóp. Ciągnęły się przez cały korytarz i znikwały za rogiem. Miałam już dość tych załomów muru.

Zerbrowski i ja zajęliśmy pozycje po obu stronach Dolpha. Poczulałam, jak napinają mi się mięśnie karku, szyi i ramion. Wzięłam głęboki oddech i wolno, bardzo wolno wypuściłam powietrze. Już lepiej. No proszę, nawet nie trzęsły mi się ręce.

Dolph nie wyskoczył zza załomu muru i nie przetoczył się po podłodze, strzelając na prawo i lewo. Zrobił krok w bok, trzymając w dłoniach pistolet uniesiony do strzału. Był gotowy na spotkanie z oszalałym wampirem.

- Nie strzelajcie - rozległ się czyjś głos. - Ja jeszcze żyję.

Znałam ten głos.

- To John Burke. Jest ze mną.

Dolph spojrział na mnie.

- Pamiętam go.

Wzruszyłam ramionami; lepiej mieć się na baczności, niż potem żałować. Liczyłam na to, że Dolph nie zastrzeli Burke'a, choćby przez przypadek, ale było tu dwóch gliniarzy, których nie znałam. Jeżeli chodzi o broń palną, zawsze należy zachować wyjątkową ostrożność. Dzięki temu można uniknąć nieodwracalnych błędów. To pozwala żyć trochę dłużej.

John był wysoki, szczupły, o śniadej cerze. Jego krótkie, kruczoczarne włosy przecinało z przodu szerokie pasemko siwizny. To zdumiewające połączenie. Zawsze był przystojny, ale teraz, kiedy zgolił brodę, nie przypominał już hollywoodzkiego szwarccharakteru, a raczej gwiazdora kina akcji. Wysoki, ciemnowłosy, atrakcyjny i w dodatku umiał zabijać wampiry. Czegóż można chcieć więcej? Sporo, ale to już całkiem inna historia.

John wyłonił się zza załomu korytarza. Uśmiechał się. W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej, co za ulga, zestaw do unicestwiania wampirów.

- Przyszedłem dopilnować, żeby wampir nie uciekł przed waszym przyjazdem.

- Dzięki, John - powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Staralem się jedynie chronić dobro publiczne.

Tym razem to ja wzruszyłam ramionami.

- Skoro tak twierdzisz.

- Gdzie wampir? - zapytał Dolph.

- Śledziłem go - odparł John.

- W jaki sposób? - zapytałam.

- Krwawe ślady stóp.

Ślady bosych stóp. Jezu. Trup był boso, John nosił buty. Odwróciłam się w stronę podziemi. Za późno, zbyt wolno, sfuszerowałam na całego.

Wampir wyprysnął z ciemności zbyt szybko, żeby można było podążyć za nim wzrokiem. Był jak rozmyta szara plama, która uderzyła w żółtodzioba i pchnęła go na ścianę. Gliniarz wrzasnął, wbijając broń w pierś wampira. Huk wystrzału rozbrzmiał w całym korytarzu, odbijając się echem od rur. Kule przebiły ciało wampira, jakby było utkane z mgły. Magia.

Rzuciłam się naprzód, usiłując wycelować tak, aby nie trafić żółtodzioba. Wciąż wrzeszczał, to był jeden niekończący się krzyk. Krew trysnęła w górę, rozpryskując się dokoła jak ciepły, letni deszcz. Strzeliłam wampirovi w głowę, ale uchylił się, był niewiarygodnie szybki, cisnął policjanta na przeciwległą ścianę, rozdzierając mu szyję kłami. Słysząc było przeraźliwy krzyk i odgłosy szamotaniny, ale wszystko wydawało się bardzo odległe i spowolnione. Za parę chwil będzie po wszystkim. Tylko ja byłam w miarę blisko i miałam srebrne kule. Wkroczyłam do akcji, nieomal przylgnęłam całym ciałem do ciała wampira i przyłożyłam mu pistolet do potylicy. Normalny wampir nie pozwoliłby mi na to. Pociągnęłam za spust, ale stwór odwrócił się, dźwignął policjanta w górę i cisnął nim we mnie. Kula chybiła celu, a ja i gliniarz zwaliliśmy się na podłogę. Na chwilę straciłam dech, gdy ciężar dwóch dorosłych mężczyzn wycisnął mi powietrze z płuc. Żółtodziób leżał na mnie, krzycząc, krwawiąc, umierając. Znów przytknęłam pistolet do potylicy wampira i wypaliłam. Tył czaszki krwiopijcy rozprysnął się na zewnątrz w strudze krwi, kości i gęstszych, wilgotnych tkanek. Wampir wciąż wpijał się w gardło mężczyzny. Powinien już nie żyć, ale on wciąż jeszcze walczył. Odchylił się do tyłu, szeroko rozwierając okrwawione szczęki. Znieruchomiał jak ktoś, kto nabiera tchu pomiędzy kolejnymi przełknięciami śliny. Wepchnęłam mu lufę pistoletu do ust. Zęby zgrzytnęły

o metal. Twarz, od górnej wargi aż po wierzchołek czaszki, przestała istnieć. Żuchwa poruszyła się, ale nie było już górnej szczęki, aby zęby mogły coś pochwycić. Bezgłowe ciało uniosło się na rękach, jakby usiłowało wstać. Przytknęłam pistolet do piersi stwora i pociągnęłam za spust. Z przyłożenia jedną kulą mogłam roznieść jego serce na strzępy. Nigdy dotąd nie próbowałam unicestwić wampira tylko za pomocą pistoletu. Zastanawiałam się, czy to mi się uda. I co się ze mną stanie, jeśli to okaże się trudniejsze, niż sądziłam. Całym ciałem istoty wstrząsnął silny dreszcz. Rozległo się długie, nieartykułowane westchnienie.

Dolph i Zerbrowski odciągnęli stwora do tyłu. Chyba był już martwy, ale na wszelki wypadek dobrze było zachować ostrożność. Ucieszyłam się, że mi pomogli. John oblał wampira wodą święconą. Płyn zaczął dymić i skwierczeć, wypalając ciało dogorywającego krwiopijcy. Wampir naprawdę umierał. To nie ulegało wątpliwości.

Żółtodziób nie poruszał się. Jego partner ściągnął go ze mnie, tuląc do piersi jak dziecko. Krew przylepiała jasne włosy do jego twarzy. Blade oczy były rozszerzone, niewidzące. Umarli zawsze są ślepi, w ten czy inny sposób. To by odważny, dobry dzieciak, choć miał niewiele mniej lat ode mnie. A jednak wpatrując się w jego blade, martwe oblicze, czułam się starsza od niego o miliony lat. Był martwy, tak po prostu. Odwaga nie uchroni cię przed potworami. Co najwyżej może nieco zwiększyć twoje szanse.

Dolph i Zerbrowski rozłożyli wampira na podłodze.

John usiadł na nim okrakiem z drewnianym młotkiem i kołkiem w dłoni. Nie używałam kołka od lat. Wolałam strzelbę. Ale cóż, byłam postępową pogromczynią. Wampir był martwy. Nie wymagał zakołkowania, ale ja usiadłam spokojnie pod ścianą i czekałam. Lepiej zachować ostrożność, niż żałować. Kołek wszedł łatwiej niż zwykle, bo wywaliłam w piersi stwora nie lada dziurę. Wciąż trzymałam w dłoni pistolet. Nie musiałam go chować. W podziemiach nadal panowała niepokojąca czerń, a gdzie jest jeden wampir, często czyhają następne. Między innymi dlatego nie schowałam broni.

Dolph z Zerbrowskim weszli do zrujnowanego grobowca z pistoletami w dłoniach. Powinnam była wstać i pójść z nimi, ale teraz wiele rzeczy wydawało mi się od tego ważniejszych, na przykład oddychanie. Czułam pulsowanie krwi w żyłach, brzmiało przeraźliwie głośno. Cieszyłam się, że żyję, szkoda, że nie udało mi się ocalić dzieciaka. Taa, wielka szkoda.

John ukląkł przy mnie.

- Dobrze się czujesz?

Skinęłam głową.

- Jasne. - Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, ale nic więcej nie powiedział. Nie był w ciemność bity.

Mrok przeciął snop światła latarki. Silny, żółty, ciepły jak słoneczny dzień.

- Je-ezu - rzucił Zerbrowski.

Wstałam i omal nie wywinęłam orła. Trzęsły mi się nogi. John złapał mnie za rękę, a ja łypnęłam na niego spode łba, aż wreszcie mnie puścił. Uśmiechnął się półgębkiem.

- Nadal twarda z ciebie sztuka.

- Jak zawsze - przytaknęłam.

Dzieliły nas dwie randki. To był błąd. Taka sytuacja utrudniała współpracę, a ja nie wyobrażałam sobie siebie jako jego żeńskiej odpowiedniczki. Odnosił się do kobiet jak przystało na południowca. Co za tym idzie, kobieta w jego mniemaniu nie powinna nosić broni i spędzać większości czasu, babrząc się we krwi, pośród trupów. Na takie podejście wobec mnie reagowałam w jeden sposób. Wiecie, jak.

Pod jedną ścianą leżały szczątki potłuczonego akwarium. Trzymano w nim świnki morskie, szczury



lub króliki. Teraz wewnątrz zostało tylko parę plam krwi i kilka kłaków sierści. Wampiry nie jedzą mięsa, ale jeśli włożysz do akwariium parę małych zwierzątek i ciśniesz nim o ścianę, zostanie z nich marmolada, którą można wylizać. To, co pozostało wśród resztek, można by nabrać na łyżeczkę do herbaty.

Opodał szczątków spoczywała głowa. Chyba głowa mężczyzny, sądząc po fryzurze i krótkich włosach. Nie podeszłam bliżej, aby to sprawdzić. Nie chciałam zobaczyć twarzy. I tak byłam dziś dostatecznie odważna. Nie musiałam już niczego udowadniać. Ciało było w jednym kawałku. No, prawie. Wyglądało, jakby wampir wbił obie ręce w jego pierś i uchwyciwszy za żebra, pociągnął. Klatka piersiowa została rozdarta niemal na dwoje, trzymała się już tylko na strzępie różowych mięśni oraz jelit.

- Ten tutaj ma kły - oznajmił Zerbrowski.

- To wampirzy doradca.

- Co się stało?

Wzruszyłam ramionami.

- Przypuszczam, że doradca pochylał się nad wampirem, kiedy ten ożył. Młody zabił go szybko i brutalnie.

- Dlaczego miałby zabijać swego doradcę? - zapytał Dolph.

Ponownie wzruszyłam ramionami.

- Ten stwór był bardziej zwierzęciem niż człowiekiem, Dolph. Obudził się w obcym miejscu i ujrzał nad sobą nieznanego wampira. Zareagował jak zwierzę schwyte w potrzask, próbował się bronić.

- Dlaczego doradca nad nim nie zapanował? Po to tu był.

- Animalistycznego wampira może kontrolować tylko ten, kto go stworzył. Doradca nie był dostatecznie silny, aby tego dokonać.

- I co teraz? - zapytał John. Schował pistolet. Ja jeszcze nie. Trzymając go w ręce, czułam się znacznie lepiej. Nie potrafię powiedzieć dlaczego.

- A teraz muszę już lecieć. Jestem umówiona. Na trzecie zlecenie na ożywianie zombi tej nocy.

- Tak po prostu?

Spojrzałam na niego, wzbierała we mnie wściekłość. Nie byłam zła na niego. Byłam zła w ogóle. Akurat na niego trafiło.

- A co miałabym zrobić? Zacząć krzyczeć? Histeryzować? To nie wskrzesi umarłych, a mnie może co najwyżej zdenerwować.

Westchnął.

- A już myślałem, że nigdy nie tracisz zimnej krwi.

Włożyłam pistolet do kabury podramiennej, uśmiechnęłam się do niego i wycedziłam:

- Pieprz się.

Wiecie już, jak reaguję w takich sytuacjach.

**19**

W łazience w kostnicy zmyłam większość krwi z twarzy i dłoni. Zakrwawiony kombinezon trafił do bagażnika samochodu. Byłam umyta i doprowadzona do porządku na tyle, na ile to było obecnie możliwe. Bert mówił, że miałam spotkać się z nowym pracownikiem na miejscu trzeciego zlecenia. Czyli na cmentarzu Oakglen o wpół do jedenastej w nocy. Do tego czasu teoretycznie żółtodziób miał ożywić dwóch zombi i cierpliwie czekać, aż przywołam trzeciego. Spóźniłam się. Cholera. Nowy animator na pewno będzie pod wrażeniem, że już nie wspomnę o naszej klientce. Pani Doughal niedawno owdowiała. Dokładniej mówiąc, przed pięcioma dniami. Jej świętej pamięci małżonek nie

pozostawił testamentu. Miał go sporządzić i w ogóle, ale wiecie, jak to jest: stale odkładał tę czynność na później. Miałam ożywić pana Doughala w obecności dwóch adwokatów, dwóch świadków oraz trójki dorosłych dzieci państwa Doughalów, aby dopełnić formalności. Zgodnie z nowymi przepisami prawa osoba zmarła nie dalej jak przed tygodniem może zostać ożywiona, aby osobiście wydała wszelkie rozporządzenia dotyczące pozostawionego przez siebie spadku. Dzięki temu Doughalowie zaoszczędziliby sporo grosza. Pomijając honoraria prawników, ma się rozumieć.

Przy poboczu wąskiej, żwirowej drogi stał sznur samochodów. Mocno stratowały trawę, ale gdyby wozy zaparkowano na żwirowej drodze, całkiem by ją zablokowały. Ale, nawiasem mówiąc, kto szwenda się po cmentarnych alejkach o wpół do jedenastej w nocy? Animatorzy, kapłani voodoo, nastolatki palący trawę, nekrofile, sataniści. Musisz być zrzeszonym członkiem towarzystwa wyznaniowego i mieć specjalne zezwolenie, aby móc po zmierzchu przebywać na cmentarzu. Albo być animatorem. My nie potrzebowaliśmy zezwoleń. Przede wszystkim dlatego, że nie postrzegano nas jako oszołomów składających ofiary z ludzi. Wystarczyło zaledwie parę czarnych owiec, aby wszyscy wyznawcy voodoo zyskali sobie złą renomę. Jako chrześcijanka nie przepadam za wyznawcami satanizmu. Bądź co bądź to ci, co stoją po przeciwnej stronie barykady, nieprawdaż?

Poczułam to, gdy tylko postawiłam stopy na żwirze. Magia. Ktoś próbował ożywiać umarłych i ten ktoś był niedaleko.

Żółtodziób przywołał już dwóch zombi. Czy mógł ożywić trzeciego? Charles i Jamison potrafili w ciągu jednego wieczoru ożywić zaledwie po dwóch. Gdzie Bert tak szybko znalazł kogoś równie utalentowanego?

Minęłam pięć aut, nie licząc mojego. Wokół grobu stało około dwunastu osób. Kobiety w kostiumach, mężczyźni w garniturach. Zdumiewające, ilu ludzi ubiera się elegancko, idąc na cmentarz. Większość przychodzi tu tylko z jednego powodu: na pogrzeb. Przeważnie ubierają się w elegancką czerń.

Po chwili dobiegł mnie donośny męski głos, powtarzający:

- Powstań, Andrew Doughalu. Przybądź do nas, Andrew Doughalu. Przyjdź do nas.

Magia nagromadzona w powietrzu napierała na mnie jak niewidzialna ściana. Aż trudno było oddychać. Przepęłniała przestrzeń wokół, ale choć silna, brakowało jej pewności. Czułam to wahanie jak podmuch chłodnego powietrza. Kiedyś będzie potężny, ale był jeszcze młody.

Jego magii brakowało dyscypliny i odpowiedniego treningu. Jeżeli miał więcej niż dwadzieścia jeden lat, zjem swój kapelus.

Stałam z dala, pod jednym z wysokich drzew. Animator był niski, zaledwie o jakieś pięć centymetrów wyższy ode mnie, mierzył góra metr sześćdziesiąt dwa. Nosił białą koszulę i czarne spodnie z materiału. Zaschnięta krew tworzyła już na koszuli niemal czarne plamy. Będę musiała nauczyć go, jak ma się ubierać. Tak jak mnie nauczył tego Manny. Ożywianie zmarłych to w dalszym ciągu fach oparty na nieformalnym związku mistrz-uczeń. Nie uczą tego na studiach czy specjalnych kursach.

Wydawał się bardzo gorliwy, gdy tak stał, przywołując z grobu Andrew Doughala. Przy mogile stała gromadka prawników i krewnych zmarłego. W kręgu, obok nowego animatora nie było członka rodziny. Zazwyczaj każesz stanąć za nagrobkiem krewnemu drogiego nieobecnego, aby on lub ona mogli przejąć kontrolę nad zombi. W tej sytuacji jedynie animator mógł nad nim zapanować. To nie było przeoczenie, takie były wymogi prawa. Zmarli mogli być ożywiani i nakłaniani do wyrażenia ustnie swej ostatecznej woli, ale tylko w sytuacji, gdy kontrolę nad nim sprawował animator lub jakaś neutralna osoba trzecia.

Pagórek kwiatów zatrzęsł się i z ziemi wyłoniła się blada dłoń, gorączkowo zaciskając palce. Po

chwili były już dwie dłonie i czubek głowy. Zombi wysuwał się z mogiły, jakby wyciągały go stamtąd niewidzialne sznurki.

Nowy animator zachwiał się. Ukląkł na miękkiej ziemi wśród zwiędłych kwiatów. Magia osłabła, straciła moc. Animator ugryzł więcej, niż był w stanie przełknąć. O jednego zombi za dużo. Truposz wciąż wypełzał z mogiły. Nadal próbował uwolnić nogi, ale nikt go już nie kontrolował. Lawrence Kirkland przywołał nieboszczyka, lecz nie potrafił nad nim zapanować. Zombi prawie wydostał się z grobu, ale nie podlegał niczyjej władzy. Nie został spętany mocą animatora. To właśnie tacy jak ten zombi, pozbawiony wszelkiej kontroli, przydawali naszej profesji złej renomy. Jeden z adwokatów zapytał:

- Nic panu nie jest?

Lawrence Kirkland pokiwał głową, ale był zbyt wyczerpany, aby móc mówić. Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, co się stało? Czy wiedział, co zrobił? Chyba nie. Nie był dostatecznie przerażony. Podeszłam do grupki zebranej przy grobie.

- Nie mogliśmy się pani doczekać, panno Blake - rzekł jeden z adwokatów. - Pani... współpracownik wydaje się być w kiepskiej formie.

Posłałam im szeroki, zawodowy uśmiech. Nic złego się nie dzieje. Ten zombi nie wyrwie się z kręgu i nie zacznie szaleć. Możecie mi zaufać. Podeszłam do granicy krwawego kręgu. Poczułam, że mnie od siebie odpycha. To było jak podmuch wiatru. Krąg został zamknięty, a ja byłam na zewnątrz. Nie wejść do środka, dopóki Lawrence sam mnie nie wpuści. Tymczasem młody osunął się na czworakach, jego dłonie znikły wśród kwiatów pokrywających mogiłę. Głowę zwiesił nisko, jakby był zbyt wyczerpany, aby ją unieść. Zapewne tak właśnie było.

- Lawrensie - przemówiłam półgłosem. - Lawrensie Kirklandzie.

Powoli, jak w zwolnionym tempie odwrócił głowę. Nawet w ciemnościach dostrzegłam w jego bladych oczach potworne zmęczenie. Trzęsły mu się ręce. Boże, dopomóż nam.

Wchyliłam się w jego stronę, aby zebrani przy mogile nie usłyszeli moich słów. Spróbujemy tak długo, jak się da, zachować pozory spokoju. Niech klientka myśli, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Może się uda. Jeśli los będzie nam sprzyjał, zombi po prostu odejdzie. W przeciwnym razie komuś stanie się krzywda. Zmarli są zwykle tolerancyjni wobec żyjących i potrafią przebaczać, ale to nie jest regułą. Jeżeli Andrew Doughal nienawidził kogoś ze swych krewnych, ta noc mogła niebawem spłynąć krwią.

- Lawrensie, musisz przełamać krąg i wpuścić mnie do środka - powiedziałam. Tylko na mnie popatrz, wzrok miał mętny, chyba nie rozumiał, co do niego mówiłam. Cholera. Przerwij krąg, Lawrensie, zrób to teraz.

Zombi uwolnił się już do kolan. Jego biała, odświętna koszula odcinała się wyraźnie na tle czarnej marynarki. Wieczność pełna niewygód. Jak na nieboszczyka Doughal prezentował się całkiem nieźle. Był blady, miał gęste, siwe włosy. Skóra, choć pomarszczona i blada, pozbawiona była oznak zgnilizny. Dzieciak nieźle się spisał jak na trzeciego truposza przywołanego w ciągu jednej nocy. Gdyby jeszcze tylko zdołał nad nim zapanować, byłoby bosko i moglibyśmy raz dwa wrócić do domu.

- Lawrensie, proszę cię, przerwij krąg! - Powiedział coś, zbyt cicho, abym go mogła dobrze usłyszeć. Nachyliłam się na tyle, na ile pozwalała mi bariera krwi. - Co takiego? spytałam z niedowierzaniem.

- Larry, mam na imię Larry.

Uśmiechnęłam się. To było tak absurdalne, że aż śmieszne. Obok niego z mogiły wypełzał niekontrolowany przez nikogo zombi, a ten chłopak obruszał się, że nie zwracam się do niego w należyty sposób. Może te przeżycia okazały się zbyt silne dla jego psychiki. Oby nie.

- Otwórz krąg, Larry - rzekłam.

Podpełzł bliżej, nieomal osuwając się twarzą w stertę kwiatów. Przesunął dłonią w poprzek krwawej linii. Czar prysnął. Krąg mocy przestał istnieć. Ot tak, i już. Teraz wszystko zależało ode mnie.

- Gdzie masz nóż? - Chciał obejrzeć się przez ramię, ale był na to za słaby. W świetle księżyca dostrzegłam błysk ostrza leżącego po drugiej stronie grobu. - Odpoczywaj poradziłam chłopakowi. - Ja się tym zajmę.

Zwinał się w kłębek, otulając się ramionami, jakby było mu chłodno. Staralam się nie zwracać na niego uwagi. Teraz najważniejszy był dla mnie zombi.

Nóż leżał obok zarżniętego kurczaka, którego wykorzystał, aby przywołać zombi. Wzięłam nóż do ręki i spojrzałam na nieboszczyka. Andrew Doughal opierał się o swój nagrobek i usiłował zorientować się w sytuacji. Dla zmarłego to wcale nie jest proste. Potrzeba kilku minut, aby pobudzić martwe komórki mózgowe. Umysł nie całkiem wierzy, że powinien pracować. A jednak w końcu zaczyna funkcjonować.

Podwinęłam rękaw mojej skórzanej kurtki i wzięłam głęboki oddech. To był jedyny sposób, ale nie musiałam go lubić. Przeciągnęłam ostrzem po nadgarstku. Pojawiła się cienka, ciemna kreska. Skóra rozszczepiła się i popłynęła krew, niemal czarna w blasku księżyca. Ból był ostry, palący. Drobne skaleczenia zawsze bolą bardziej niż te poważne, przynajmniej na początku. Rana była nieduża, nie pozostanie nawet blizna. Jedynie rozcinając sobie lub komuś innemu nadgarstek, mogłam ponownie zamknąć krąg. Było już za późno, aby zdobyć drugiego kurczaka i powtórzyć rytuał. Musiałam uratować, ile się da, w przeciwnym razie zombi uwolni się zupełnie i zaczną szaleć. Szalejący zombi, nad którymi nikt nie panuje, mają skłonność do pożerania ludzi.

Zombi wciąż siedział na nagrobku. Wpatrywał się w przestrzeń pustymi oczami. Gdyby Larry był dość silny, Andrew Doughal mógłby mówić, a nawet myśleć samodzielnie. Teraz był jedynie trupem oczekującym na wydanie rozkazu lub pojedynczą zbłąkaną myśl.

Wspięłam się na pagórek mieczyków, chryzantem i goździków. Zapach kwiatów mieszał się z trupim odorem. Stałam po kolana wśród schnących kwiatów i pomachałam krwawiącą ręką tuż przed twarzą nieboszczyka. Blade oczy podążyły za moją dłonią. Przypominały oczy śniętej ryby. Andrew Doughala nie było w tym ciele, ale było tam coś innego, coś co wyczuło krew i знаło jej wartość.

Wiem, że zombi nie mają dusz. Prawdę mówiąc, mogą ożywiać zmarłych dopiero po trzech dniach od ich śmierci. Tyle potrzeba, aby dusza odeszła w zaświaty. I tyle samo potrzeba czasu, aby powstał wampir. Zdziwiający zbieg okoliczności, prawda? Skoro jednak nie dusza ożywia trupa, to co? Magia. Moja lub Larry'ego. Może. A jednak w tym ciele coś było. Po odejściu duszy coś wypełniło pustkę. Przy udanej animacji pustkę wypełniała magia. A teraz? Nie miałam pojęcia. Nie byłam nawet pewna, czy chcę to wiedzieć. Czy to istotne? Grunt, żebym zdołała zapobiec tragedii. Otóż to. Właśnie. Może, jeśli powtórzę to dostatecznie dużą ilość razy, zdołam w to nawet uwierzyć.

Podsunęłam trupowi krwawiący nadgarstek. Stwór zawahał się przez chwilę. Gdyby się nie skusił, miałabym nielichy problem. Zombi patrzył na mnie. Upuściłam nóż i ścisnęłam skórę wokół rany. Pocięła gęsta, lepka krew. Zombi schwycił mnie za rękę. Blade palce były chłodne i silne. Stwór przyłożył usta do rany i zaczął ssać. Przywarł do mego nadgarstka, jego szczęki poruszały się konwulsyjnie, przełykał tak szybko, jak tylko mógł. Zostanie mi po nim rekordowa malinka. Ale to nic. Spróbowałam uwolnić dłoń, lecz w odpowiedzi zombi tylko zaczął ssać mocniej. Nie chciał mnie puścić. No to pięknie.

- Larry, możesz wstać? - spytałam półgłosem.

Wciąż udawaliśmy, że nie stało się nic złego. Zombi przyjął krew. Teraz ja go kontrolowałam, rzecz

jasna o ile zdołam uwolnić się od tej pijawki. Larry spojrział na mnie w zwolnionym tempie.

- Jasne - odparł. Aby się podnieść, musiał wesprzeć się o nagrobek. Był na nogach. Co teraz? - spytał.

Dobre pytanie.

- Pomóż mi się od niego uwolnić. - Spróbowałam wyszarpnąć rękę, ale truposz, wpił się w nią ze wszystkich sił. Larry oplótł nieboszczyka rękami i pociągnął. Bez powodzenia. Spróbuj złapać za głowę - poradziłam.

Pociągnął trupa za włosy, ale umarli nie odczuwają bólu. Larry wetknął w końcu palec pod przytknięte do nadgarstka usta, odrywając je od mego ciała z cichym plaśnięciem. Miałam wrażenie, że lada moment zwymiotuje. Biedaczysko. A przecież to była moja ręka. Otarł palec o spodnie, jakby dotknął czegoś śluzowatego i obrzydliwego. Nie współczułam mu.

Zombi stanął na swoim grobie i spojrział na mnie. W jego oczach pojawiły się iskierki życia. Ktoś tam jednak był. Pytanie brzmiało, czy była to właściwa osoba.

- Czy ty jesteś Andrew Doughal? - zapytałam.

Oblizął wargi i ochrypłym głosem odparł:

- Tak, to ja.

To był władczy, surowy głos. Nie zrobił na mnie wrażenia. Odzyskał zdolność mówienia dzięki mojej krwi. Umarli naprawdę są niemi, zapominają, kim i czym są, dopóki nie posmakują świeżej krwi. Homer miał rację, można by się zastanawiać, co jeszcze w Iliadzie było prawdą.

Docisnęłam drugą rękę do rany na nadgarstku i odstąpiłam od mogiły.

- Teraz możecie państwo zadawać pytania. On na nie odpowie - stwierdziłam. - Tylko żeby były proste. Ten człowiek jest śmiertelnie zmęczony.

Adwokaci nie uśmiechnęli się. W sumie nie mogłam im się dziwić. Przywołałam ich gestem ręki w stronę grobu. Nie podeszli. Bojaźliwi prawnicy? To sprzeczność sama w sobie. Pani Doughal szturchnęła adwokata w ramię.

- Do diabła. To nas kosztuje fortunę.

Już miałam powiedzieć, że nie liczymy naszych honorariów od minuty, ale znając Berta, mogłam się domyślać, że poinformował klientkę, iż stawka za nasze usługi będzie tym wyższa, im dłużej nieboszczyk będzie przebywał poza grobem. W gruncie rzeczy to niegłupi pomysł. Andrew Doughal był dzisiejszej nocy jak nowo narodzony. Odpowiadał na pytania spokojnym, zrównoważonym głosem. Pomijając lekki błysk skóry w świetle księżyca, wyglądał jak żywy. Na razie. Ale zobaczylibyście go za parę dni lub tygodni. Zacząłby się rozkładać jak oni wszyscy. Jeżeli Bert wpadł na sposób, aby skłonić naszych klientów, żeby składali na powrót swych drogich krewnych do grobów, zanim zaczną odpadać im kawałki ciała, to tym lepiej. Dla wszystkich.

Nie ma nic smutniejszego niż rodzina powracająca na cmentarz z ukochaną mamusią oblaną zawartością flakonu drogich perfum, które mają zabić dławiący fetor rozkładu. Najgorsza była klientka, która przed złożeniem do grobu postanowiła wykąpać małżonka. Większość jego tkanek musiała przynieść w plastikowym worku na śmieci. W ciepłej wodzie mięso po prostu samo odeszło od kości.

Larry cofnął się i potknął o wazon na kwiaty. Złapałam go i osunął się na mnie; wciąż jednak chwiały się na nogach. Uśmiechnął się.

- Dzięki... za wszystko. - Spojrział na mnie. Nasze twarze były oddalone od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Strużka potu ściekała mu po twarzy w tę chłodną październikową noc.

- Masz kurtkę?

- W samochodzie.

- Idź po nią i załóż. Jest tak zimno, że jeszcze mi się tu przeziębisz.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wedle rozkazu, szefowo. - Oczy miał rozszerzone, wzrok mętnawy. - Zawróciłaś mnie z dalekiej podróży. Nie zapomnę ci tego.

- Wdzięczność to wspaniała rzecz, mały, ale idź już po tę kurtkę. Nie będziesz mógł pracować, jeśli złapiesz grypę i na dobre się rozłożysz.

Larry pokiwał głową i powoli ruszył w stronę samochodów. Wciąż chwiał się na nogach, ale dziarsko szedł przed siebie.

Krew już prawie przestała się sączyć z mojego skaleczonego nadgarstka. Zastanawiałam się, czy mam w aucie plaster z opatrunkiem. Wzruszyłam ramionami i ruszyłam w ślad za Larrym w stronę parkingu. W tę październikową noc rozbrzmiewały donośne, zaprawione w sądowych bojach głosy prawników. Echo wypowiedzianych słów odbijało się od ściany drzew. Na kim, u licha, ci faceci chcieli wywrzeć wrażenie? Komu chcieli zaimponować? Nieboszczyk miał ich wszystkich w serdecznym poważaniu.

**20**

Larry i ja usiedliśmy na chłodnej, jesiennej trawie, obserwując prawników spisujących ostatnią wolę nieboszczyka.

- Są tacy poważni - stwierdził.

- Taką mają pracę - odparłam.

- Czy być prawnikiem oznacza nie mieć poczucia humoru?

- Jak najbardziej.

Uśmiechnął się. Krótkie, kręcone włosy miał tak rude, że prawie pomarańczowe. Niebieskie oczy były łagodne jak wiosenne niebo. Zarówno włosom, jak i oczom przyjrzałam się jeszcze w samochodzie, w świetle podsufitowej lampki. W ciemnościach wydawało się, że ma szare oczy i kasztanowe włosy. Nie cierpię opisywać wyglądu kogoś, kogo widziałam tylko w półmroku.

Larry Kirkland, jak niektórzy rudzielec, miał mleczno-białą cerę. Wyglądu dopełniały liczne złociste piegi. Mimo to wyglądał milusio. Byłam pewna, że nie życzył sobie, aby ktoś właśnie w ten sposób skwitował jego wygląd. Zwłaszcza że był niski, bardzo niski jak na faceta. Tacy mężczyźni nie lubią określenia milusi. Ja nie lubiłam, gdy ktoś tak mnie określał. Podejrzewam, że gdyby wszyscy niscy ludzie mogli zagłosować w tej sprawie, słówko „milusi” zostałyby wykreślone z wszystkich słowników. Ja wiem, na co oddałabym mój głos.

- Jak długo jesteś animatorem? - zapytałam.

Zerknął na podświetlaną tarczę swego zegarka.

- Jakies osiem godzin.

Spojrzałam na niego.

- To było twoje pierwsze zlecenie? Pierwsze w życiu?

Pokiwał głową.

- Pan Vaughn nie opowiadał o mnie?

- Bert mówił tylko, że zatrudnił nowego animatora nazwiskiem Lawrence Kirkland.

- Jestem na drugim roku studiów na Uniwersytecie Waszyngtońskim, w tym semestrze muszę zaliczyć staż.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia, a bo co?

- Nawet nie jesteś jeszcze pełnoletni - stwierdziłam.

- Nie mogę pić ani chodzić do kin porno. I co z tego? Niewielka strata, chyba że trzeba byłoby

wykonać zlecenie w którymś z powyższych miejsc. - Spojrzał na mnie i nachylił się. Czy zdarzają się zlecenia w kinach porno?

Oblicze miał beznamiętne i nie potrafiłam stwierdzić, czy żartował, czy pytał serio. Postawiłam na to pierwsze.

- Dwadzieścia lat jest w porządku. - Potrząsnęłam głową.

- No, nie wydaje mi się - odparował.

- Nie martwi mnie twój wiek - stwierdziłam.

- Wobec tego co?

Nie wiedziałam, jak ująć to w słowa, ale w jego obliczu było coś ciepłego i radosnego. Ta twarz знаła więcej uśmiechów niż łez. Wydawał się niewinny, czysty i pogodny. Nie chciałam, aby to się zmieniło. Nie chciałam być tą, która go zepsuje i unurza w szlamie życia.

- Straciłeś kogoś bliskiego? Członka rodziny?

Spoępniał. Wyglądał teraz jak zasmucony mały chłopiec.

- Pyta pani serio?

- Jak najbardziej - przyznałam.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Po prostu odpowiedz na pytanie. Czy straciłeś kogoś bliskiego?

Pokręcił głową.

- Nawet mam jeszcze wszystkich dziadków.

- Czy widywałeś przemoc? Miałeś z nią styczność?

- Zdarzało mi się brać udział w bójkach.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się.

- Niektórym się zdaje, że niski oznacza słaby.

Ja też się uśmiechnęłam.

- A ty udowadniałeś im, że jest inaczej.

- Ależ skąd, przez cztery lata pomiatali mną jak szmatą. - Uśmiechnął się.

- Wygrałeś kiedyś jakąś walkę?

- Kilka - odparł.

- Ale w gruncie rzeczy nie chodziło o wygraną - ciągnęłam.

Patrzył na mnie z przejęciem i powagą.

- Nie, wcale nie.

W tej krótkiej chwili doskonale rozumieliśmy się. Tak bywa, gdy jest się najmniejszym dzieckiem w klasie. Gdy przez lata koledzy nabijają się i drwią z ciebie. Gdy pomiatają tobą i biją cię. Stajesz się automatycznie celem dla klasowych osiłeków. Przez niski wzrost stajesz się zajadły i wredny. Byłam przekonana, że doskonale się zrozumieliśmy, ale jako kobieta musiałam obrócić to w słowa. Faceci mogą czytać w myślach i w ogóle, ale w takich sytuacjach o pomyłkę nietrudno. Ja musiałam wiedzieć.

- Ważne jest to, że choć obrywasz, mimo wszystko nie poddajesz się.

Pokiwał głową.

- Dostaję lanie, ale dalej robię swoje.

Może wyrażenie tego wszystkiego słowami zepsuło niepowtarzalny moment wzajemnego zrozumienia, ale ja byłam naprawdę zadowolona.

- A poza szkołą... czy miałeś jeszcze styczność z przemocą?

- Bywam na koncertach rockowych.

Pokręciłam głową.

- To nie to samo.

- Do czego pani pije? - spytał.

- Nie powinieneś był próbować ożywiać trzeciego zombi.

- Ale udało mi się, prawda?

Sprawiał wrażenie, jakby się asekurował, ale ja wciąż naciskałam. Gdy do czegoś zmierzam, to osiągnę swój cel, choćby po trupach. Jestem nieugięta.

- Ożywiłeś go, ale utraciłeś nad nim kontrolę. Gdybym się nie zjawiała, zombi uwolniłby się i zrobił komuś krzywdę.

- To tylko zombi. Oni nie atakują ludzi.

Spojrzałam na niego, bo wydawało mi się, że żartuje. Nie żartował. Cholera.

- Ty naprawdę nic nie wiesz?

- O czym?

Ukryłam twarz w dłoniach i policzyłam wolno do dziesięciu. Nie wściekałam się na Larry'ego, lecz na Berta, ale Larry był tuż obok i mogłam się na nim wyżyć. Aby wyładować się na Bercie, musiałam zaczekać do jutra. Na razie musiałam zadowolić się Larrym. Co za szczęście.

- Zombi wyrwał się spod twojej kontroli, Larry. Gdybym się nie zjawiała i nie nasyciła go własną krwią, poszukałby jej sam. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Chyba nie.

Westchnęłam.

- Zombi rzuciłby się na kogoś. Ugryzłby kogoś.

- Przecież zombi atakujący ludzi to tylko zabobony, opowieści o duchach.

- Czy tego was uczą w college'u? - spytałam.

- Tak.

- Pożyczę ci parę archiwalnych numerów „Animatora”. Uwierz mi, Lany, zombi atakują ludzi.

Widziałam kilka ich ofiar.

- Chce mnie pani przestraszyć.

- Lepiej, żebyś się bał, niż kozakował jak głupiec.

- Ożywiłem go. Czego pani właściwie ode mnie chce? - Wydawał się zupełnie zbity z tropu.

- Chcę, abyś zrozumiał, co nieomal dziś się tu stało. Chcę, abyś pojął, że to, co robimy, nie jest grą.

To nie salonowe sztuczki. To rzeczywistość, która może być niebezpieczna.

- W porządku.

Zbyt łatwo się poddał. Nie uwierzył. Lekceważył mnie. Cóż, pewnych rzeczy nie da się przekazać samymi tylko słowami. Dana osoba musi nauczyć się tego na własnej skórze. Czasami takie lekcje bywają bolesne. Chciałam móc owinać Larry'ego w celofan i postawić na półkę, gdzie byłby bezpieczny i nietknięty, ale w życiu nigdy nie było tak łatwo. Jeśli pozostanie w tym fachu dostatecznie długo, okrzepnie i dotrze się. Nie sposób przemówić do rozsądku komuś, kto ma dwadzieścia lat i nigdy nie został napiętnowany przez śmierć. Tacy ludzie nie wierzą w upiory. Nie boją się Czarnego Luda. Gdy miałam tyle lat, mogłam uwierzyć we wszystko. Nagle poczułam się stara. Larry wyjął z kieszeni kurtki paczkę papierosów.

- Proszę, powiedz, że nie palisz - rzuciłam.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- A pani nie pali?

- Nie.



- Nie lubi pani, gdy ktoś pali w pani obecności - zapytał.

- Nie - odparłam.

- Ale widzi pani, marnie się czuję. Muszę zapalić, OK?

- Musisz?

- Tak, muszę.

Trzymał papierosa pomiędzy dwoma palcami prawej dłoni. Paczka znikła w kieszeni, pojawiła natomiast się jednorazowa zapalniczka. Larry przyglądał mi się z uwagą. Jego dłonie drżały leciutko. Cholera. Pierwszej roboczej nocy ożywił trzech truposzy, a ja szykowałam się do rozmowy z Berthem na temat wysłania Larry'ego w pojedynkę do realizacji dzisiejszych zleceń. Poza tym byliśmy na cmentarzu.

- A pal sobie.

- Dzięki.

Zapalił. Wciągnął do płuc gęsty kłąb smołowo-nykotynowego dymu. Wydmuchnął go nosem, siwe smugi wyglądały jak bliźniacze zjawy.

- Już mi lepiej - stwierdził.

Wzruszyłam ramionami.

- Tylko nie pal przy mnie w samochodzie.

- Nie ma sprawy - mruknął. Koniuszek jego papierosa rozjarzył się pomarańczowo, gdy znów się zaciągnął. Przeniósł wzrok gdzieś w dal, wydmuchnął kłąb dymu ustami i powiedział:

- Ktoś nas woła.

Odwróciłam się i zobaczyłam machających do nas adwokatów. Poczulałam się jak dozorczyń, którą ktoś woła, aby posprzątała nieczystości na klatce schodowej. Wstałam. Larry zrobił to samo.

- Na pewno dasz sobie radę? - spytałam.

- Nie ożywiłbym nawet mrówki, ale chyba mogę popatrzeć na panią w akcji.

Miał sińce pod oczami i napiętą skórę w kącikach ust, ale skoro chciał zgrywać twardziela, czyż mogłam mu tego zabronić?

- Doskonale, zrobmy to.

Wyjęłam z bagażnika sól. Przewożenie przyborów do ożywiania zmarłych nie było sprzeczne z prawem. Podejrzewam, że maczetę, której używałam do dekapitacji kurczaków, można by uznać za broń, ale pozostałe rzeczy były w zasadzie niegroźne. To dowód na to, na ile nasz system prawny zna się na zombi.

Andrew Doughal doszedł już do siebie. Wciąż miał trochę woskową cerę, ale jego oblicze wydawało się żywe, pełne powagi i zatroskania. Przyglądał dłońią poły marynarki. Spojrzał na mnie z góry, nie dlatego, że był wyższy, po prostu przywykł do spoglądania na innych w ten właśnie sposób. Niektórzy ludzie są z natury protekcyjnalni. To ich wrodzony talent.

- Czy wie pan, co się dzieje, panie Doughal? - spytałam żywego trupa.

Łypnął na mnie, lekko unosząc w górę dumny, patrycjuszowski nos.

- Wracam do domu z moją żoną.

Westchnęłam. Nie cierpię, kiedy zombi nie potrafią uświadomić sobie, że nie żyją. Zachowywali się wtedy tak... po ludzku.

- Panie Doughal, czy pan wie, dlaczego znajduje się na cmentarzu?

- Co się dzieje? - spytał jeden z mecenasów.

- Zapomniał, że nie żyje - odparłam półgłosem.

Zombi patrzył na mnie, uosobienie doskonałej arogancji. Za życia musiał być nielicho upierdliwy, ale nawet takie ziółko od czasu do czasu wzbudza w innych litość.

- Nie wiem, o czym pani mówi - rzekł żywy trup. - Bez wątpienia cierpi pani na chorobę psychiczną.  
- Czy może pan wyjaśnić, dlaczego znajduje się pan na cmentarzu? - zapytałam.  
- Niczego nie muszę pani wyjaśniać - odparował.  
- Czy pamięta pan, w jaki sposób znalazł się pan na cmentarzu?  
- My... przyjechaliśmy tu. To oczywiste. - W jego głosie po raz pierwszy pojawiła się nuta wahania i niepewności.

- Snuje pan domysły, panie Doughal. Nie pamięta pan wcale, jak pan tu dotarł, prawda?  
- Ja... ja... - Spojrzał na swoją żonę i dorosłe dzieci, ale oni szli już w stronę czekających samochodów. Żadne z nich się nie obejrzało. Był martwy, bez dwóch zdań, ale rzadko która rodzina odchodziła ot tak, bez pożegnania. Ludzie reagowali w różny sposób. Widziałam przerażenie, smutek, a nawet odrazę, ale nigdy obojętność. Doughalowie dostali to, po co przyszli, testament został spisany zgodnie z prawem, a teraz najzwyczajniej w świecie odchodzili. Mieli już spadek. Teraz kochany tatuś mógł powrócić do grobu, gdzie jego miejsce.

- Emily? - zawołał.  
Zawahała się, zamarła w bezruchu, ale zaraz jeden z synów ujął ją za rękę i pociągnął w stronę samochodu. Czy stary Doughal był skonsternowany, czy raczej przerażony?

- Chcę wrócić do domu - zawołał za nimi. Arogancja opuściła go, pozostał jedynie dojmujący strach, rozpaczliwa niemożność uwierzenia w to, co nieuchronne i nieuniknione. Czuł, że żyje. Jak to możliwe, aby był martwy?

Jego żona nieznacznie się odwróciła.

- Przykro mi, Andrew.  
Dzieci podprowadziły ją do najbliższego samochodu. Zachowywali się jak kierowcy grupy przestępczej, która właśnie napadła na bank. Sprawiali wrażenie, jakby chcieli uciec stąd jak najszybciej. Adwokaci i ich asystenci oddalili się tak szybko, jak pozwalała im na to zawodowa przyzwoitość. Wszyscy dostali już to, po co przyszli. Skończyli z tym nieboszczykiem. Kłopot w tym, że on odprowadzał ich wzrokiem jak porzucone dziecko zagubione pośród nocy. Dlaczego nie mógł pozostać tym aroganckim, władczym sukinsynem?

- Dlaczego oni wszyscy odchodzą? Czemu mnie tu zostawili?  
- Pan nie żyje, panie Doughal. Umarł pan prawie tydzień temu.  
- Nie. To nieprawda.

Larry stanął obok mnie.  
- Pan naprawdę nie żyje, panie Doughal. Sam pana ożywiłem.  
Otaksował nas wzrokiem. Zaczynało mu brakować wymówek.

- Nie czuję się martwy.  
- Proszę nam zaufać, panie Doughal, jest pan martwy - zapewniłam.  
- Czy to będzie bolało?

Wielu zombi pytało, czy powrót do grobu będzie bolesny.

- Nie, panie Doughal, to nie będzie bolało. Obiecuję.

Wziął głęboki, drżący wdech, po czym skinął głową.

- Ja nie żyję, naprawdę nie żyję?

- Tak.

- Wobec tego proszę mnie odesłać z powrotem.

Wziął się w garść i odzyskał dawną godność. To istny koszmar, kiedy zombi nie chce uwierzyć, że nie żyje. Nawet w takiej sytuacji można ich odesłać, ale zwykle bardzo się wtedy wrywają i klienci muszą przytrzymywać ich przy mogile. Do tej pory miałam dwa takie przypadki, lecz każdy z nich

pamiętani tak wyraźnie, jakby zdarzyło się to ubiegłej nocy. Pewnych rzeczy nawet czas nie zdoła zatrzeć. Sypnęłam trochę soli na jego pierś. Towarzyszył temu odgłos przywodzący na myśl grad tłukący o blaszany dach. W dłoni wciąż trzymałam okrwawiony nóż. Otarłam krzepnącą krew o jego wargi. Nie cofnął się. Uwierzył.

- Poprzez krew i stal odprawiam cię, Andrew Doughalu. Wróć do swego grobu. Spoczywaj w spokoju i nie stąpaj już więcej po tej ziemi.

Zombi ułożył się spokojnie na pagórku z kwiatów. Po chwili kwiaty spowiły go jak lotne piaski. Zanurzył się w nich, po czym z równą łatwością pograżył się w ziemi i zniknął, powracając do swej mogiły.

Staliśmy jeszcze przez chwilę na pustym cmentarzu. Słysząc było jedynie szum wiatru w koronach drzew i melancholijne granie ostatnich tego roku świerszczy. W Charlotte's Web świerszcze śpiewały: „Lato przeminęło, nadszedł jego kres, lato już odchodzi, jesień prawie jest. Lato dogorywa, nadszedł jego czas”. Pierwsze przymrozki i będzie po nich. Akurat w tym przypadku świerszcze miały rację. Nagle ich muzyka ucichła, jakby ktoś wyłączył magnetofon. Wstrzymałam oddech, wyteżyłam słuch. Nie było słyszeć nic oprócz wiatru, a jednak... mięśnie moich ramion napięły się aż do bólu.

- Larry?

Spojrzał na mnie niewinnym wzrokiem.

- Co?

I nagle, trzy drzewa na lewo od nas, ujrzałam sylwetkę mężczyzny, skąpaną w blasku księżyca. Wychwyciłam też kątem oka ruch z prawej strony. Postaci było parę. Ciemność ożyła. Pojawiło się w niej kilka par oczu. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Zasłaniając się ciałem Larry'ego, wyjęłam broń, przesuwając ją tuż przy nodze, aby nie zwracać uwagi. Larry aż wybałuszył oczy.

- Jezu, co się dzieje? - Jego głos brzmiał jak ochryply szept.

Nie wydał nas. To dobrze o nim świadczyło. Zaczęłam kierować go w stronę samochodów, powoli, jak przystało na parę kolegów po fachu, którzy zakończyli nocną robotę i wybierali się do domu na zasłużony odpoczynek.

- Tam są jacyś ludzie.

- Chodzi im o nas?

- Powiedziałyby, że raczej o mnie - odparłam.

- Jak to?

Pokręciłam głową.

- Nie czas na wyjaśnienia. Gdy powiem: „Biegnij”, pędź ile sił w nogach w stronę aut.

- Skąd pani wie, że mają wobec nas złe zamiary?

W jego oczach malowało się przerażenie. Teraz on także ich spostrzegł. Przybliżające się cienie, ludzie w ciemnościach.

- A skąd wiesz, że nie mają złych zamiarów? - odparowałam.

- Racja - przytaknął. Oddychał szybko i płytko. Od samochodów dzieliło nas jakieś sześć metrów.

- Biegnij - rzuciłam.

- Co? - zapytał jakby trochę zakłopotany.

Złapałam go za rękę i pociągnęłam w stronę samochodów. Wycelowałam broń w ziemię, wciąż łudziłam się, że ktokolwiek się tam czaił, nie spodziewał się, iż będę uzbrojona. Larry biegł sam, trochę zasapał się ze strachu, poza tym palił i chyba nie pokonywał regularnie, co drugi dzień, ośmiu kilometrów. Jogging nie był jego mocną stroną.

Zza samochodów wyłonił się mężczyzna. W dłoni trzymał wielki rewolwer. Mój browning już unosił się w górę. Wypaliłam, zanim jeszcze złożyłam się dobrze do strzału. Jasny błysk i huk rozdarły ciemność. Mężczyzna drgnął, nie przywykł do tego, że ktoś do niego strzela. Jego kula świsnęła obok nas i znikła w mroku. Mężczyzna zamarł na chwilę, a ja tymczasem wycelowałam i ponownie ściągnęłam spust. Facet osunął się na ziemię i już się nie podniósł.

- Cholera - jęknął Larry.

Ktoś krzyknął.

- Ona ma broń.

- Gdzie Martin?

- Załatwiła go.

Martin to chyba był ten typ z rewolwerem. Nadal się nie poruszał. Nie wiedziałam, czy go zabiłam. Chyba było mi to obojętne, grunt żeby nie wstał i nie zaczął znów do nas strzelać. Mój wóz stał bliżej. Wcisnęłam Larry'emu do ręki kluczyki.

- Otwórz drzwiczki, potem drugie, po stronie pasażera i uruchom wóz. Rozumiemy się?

Pokiwał głową, piegi na jego bladej twarzy były wyraźne jak plamy z atramentu. Musiałam uwierzyć, że nie spanikuje i nie odjedzie beze mnie. Nie zrobiłby tego z premedytacją, co najwyżej ze strachu.

Ze wszystkich stron zbliżały się kolejne postaci. Było ich z tuzin, może więcej. Pośród szumu wiatru słychać było szelest stóp biegnących po trawie.

Larry przestąpił ciało. Kopnięciem wybiłam rewolwer ze zwiotczającej dłoni. Broń znikła pod samochodem. Gdybym się nie spieszyła, sprawdziłabym, czy ma wyczuwalny puls. Lubię wiedzieć, czy kogoś zabiłam. To ułatwia przeprawę z policją i sporządzenie raportu. Larry otworzył auto i przechylił się, aby odblokować drzwiczki po stronie pasażera. Wymierzyłam w jedną z biegnących postaci i ściągnęłam spust. Postać zachwiała się, upadła i zaczęła krzyczeć. Pozostałe zawahały się. Nie przyzwyczajone, że ktoś do nich strzela. Biedactwa. Wślizgnęłam się do samochodu i wrzasnęłam:

- Jedź, jedź, jedź! - Larry ruszył ostro, spod opon trysnęły fontanny żwiru. Wozem zarzuciło, promienie reflektorów zakółysały się jak szalone. - Tylko nie wpakuj nas na drzewo.

Zerknął na mnie.

- Przepraszam.

Wóz zwolnił, szybkość zmniejszyła się z wywracającej flaki do zmuszającej do złapania się uchwytu. Wciąż lawirowaliśmy między drzewami, to już coś. Snopy światła przesuwwały się po pniach drzew; błyskały bielą nagrobki. Wóz z piskiem opon, rozbryzgując żwir, pokonał zakręt. Pośrodku drogi stał mężczyzna. Jeremy Ruebens z organizacji Najpierw Ludzie stał jak posąg w świetle reflektorów. Gdybyśmy tylko zdołali go ominąć, wyjedziemy na autostradę i będziemy bezpieczni. Wóz zwalniał.

- Co robisz? - rzuciłam.

- Przecież go nie przejadę - odparł Larry.

- To się jeszcze okaże.

- Akurat! - W jego głosie nie brzmiał gniew, lecz przerażenie.

- On tylko się z nami drażni, Larry. Chce sprawdzić, kto z nas jest twardszy. Odskoczy. Mówię ci, że odskoczy.

- Jesteś pewna? - zapytał cichutko, jak mały chłopiec lękający się potworów czyhających w szafie.

- Jestem pewna, a teraz gaz do dechy i zabierz nas stąd.

Wcisnął pedał gazu do deski. Wóz wyrwał do przodu, sunąc w kierunku niedużej, wyprostowanej postaci Jeremy'ego Ruebensa.

- Ani drgnie - rzekł Larry.

- Usunie się - zapewniłam.

- Na pewno?

- Zaufaj mi.

Zerknął na mnie i ponownie przeniósł wzrok na drogę.

- Obyś miała rację - wyszeptał.

Byłam pewna, że Ruebens się usunie. Naprawdę. Ale nawet jeśli nie blefował, nie mieliśmy wyboru. Mogliśmy go ominąć lub przejechać. Wybór należał do Ruebensa. Reflektory samochodu skąpały go w powodzi białego światła. Jego małe, ciemne oczy spoglądały w naszą stronę. Łypał na nas gniewnie. Stał w całkowitym bezruchu.

- Ani drgnie - powtórzył Larry.

- Ruszy się - odparowałam.

- Cholera - warknął Larry. Trafnie to ujął.

Światła reflektorów otoczyły Jeremy'ego Ruebensa białym kręgiem i w tej samej chwili mężczyzna rzucił się w bok. Rozległ się szelest materiału, gdy jego płaszcz prześlizgnął się po boku auta. Niewiele brakowało.

Larry przyspieszył i pokonawszy ostatni zakręt, wyprowadził wóz na ostatnią prostą. Wypadliśmy na szosę z piskiem opon, spod których pryskały fontanny żwiru. Ale wyjechaliśmy z cmentarza. Udało się nam. Dzięki ci, Boże. Dłonie Larry'ego, zaciśnięte na kierownicy, były kredowobiałe.

- Możesz już zwolnić - powiedziałam. - Jesteśmy bezpieczni. - Larry przełknął ślinę tak głośno, że to usłyszałam, po czym skinął głową. Wóz zaczął powoli zwalniać do prędkości dozwolonej. Na twarzy chłopaka perlił się pot, który całkiem nie pasował do tego chłodnego październikowego wieczoru. - Wszystko w porządku?

- Nie wiem. - Jego głos wydawał się pusty. Szok.

- Dobrze się spisałeś.

- Myślałem, że go przejadę. Że zabiję tego człowieka. Byłem pewien, że wpadnie mi pod koła.

- On też tak sądził, w przeciwnym razie nie uskoczyłby - stwierdziłam.

Spojrzał na mnie.

- A gdyby nie uskoczył?

- Przecież uskoczył.

- Ale gdyby tego nie zrobił?

- Przejechałbyś go i też wyjechalibyśmy na autostradę. Tak czy owak jesteśmy bezpieczni.

- Pozwoliłabyś, abym go przejechał, prawda?

- W tej grze najważniejsze jest przetrwanie, Larry. Tylko to się liczy. Jeśli nie potrafisz się z tym pogodzić, powinieneś znaleźć sobie inną robotę.

- Do animatorów się nie strzela.

- To byli członkowie prawicowego ugrupowania Najpierw Ludzie, skupiającego najróżniejszego autoramentu fanatyków i oszołomów pałających nienawiścią do wszystkiego co nadnaturalne.

Nie wspomniałam ani słowem o wizycie, jaką złożył mi Jeremy Ruebens. To, czego ten chłopak nie wiedział, nie mogło go zranić. Spojrzałam na jego blade oblicze. Miał zapadnięte, podkrążone oczy. Dzisiejszej nocy ujrzał potwora, to nie był jeszcze najstraszniejszy z potworów, ale gdy raz zetkniesz się z prawdziwą przemocą, to przeżycie pozostawia w tobie trwałe ślady. Odtąd nic już nie jest takie samo. Gdy stajesz przed wyborem: życie albo śmierć, my lub oni, zachodzi w tobie nieodwracalna zmiana. Nie ma już odwrotu. Spojrzałam na przepelnioną trwogą twarz Larry'ego, młodego chłopaka w ciężkim szoku, i żałowałam, że wypadki nie potoczyły się inaczej. Tak bardzo chciałam, aby pozostał nieskalany, czysty, pełen wiary i nadziei. Babcia Blake mawiała: „Gdyby życzenia były

rumakami, wszyscy jeźdźliby wierzchem”.

Larry poznał dziś po raz pierwszy prawdę o moim świecie. Posmakował go. Pytanie brzmiało, czy zechce zgłosić się po dokładkę, czy raczej się wycofa. Iść naprzód czy uciekać, zostać czy walczyć - pytania stare jak świat.

Nie byłam pewna, jaki wybór dokonany przez Larry'ego uznałabym za korzystniejszy, zarówno dla niego, jak i dla mnie. Gdyby trzymał się z dala ode mnie, mógłby pożycić dłużej. Chociaż kto to wie? W tej grze decyzje i ich skutki były równie przypadkowe jak rzut monetą: orzeł - wygrasz, reszka - tracisz wszystko.

21

- Co z moim samochodem? - spytał Larry.

Wzruszyłam ramionami.

- Masz ubezpieczenie, prawda?

- Tak, ale...

- Ponieważ nie mogli skasować nas, mogą chcieć skasować twój samochód. Spojrzał na mnie, jakby nie był pewien, czy żartuję. Nie żartowałam. Nagle z ciemności tuż przed maską wychynął nieduży rowerek. W świetle reflektorów

pojawiła się blada, dziecięca twarzączka.

- Uważaj!

Larry ponownie przeniósł wzrok na drogę, żeby ujrzeć rozszerzone, przepelnione zdumieniem oczy dziecka. Zapiszczały hamulce i dziecko znikło z wąskiego pasma światła. Coś chrupnęło, łupnęło i wóz stanął. Larry ciężko oddychał, ja wstrzymałam oddech.

Po prawej mieliśmy cmentarz. Dystans był zbyt krótki, abyśmy dążyli się zatrzymać, ale, cholera, to przecież było dziecko.

Wyjrzałam przez tylną szybę. Rower był w opłakanym stanie. Dziecko leżało skulone, w bezruchu. Boże, oby tylko żyło.

Wątpiłam, aby to Najpierw Ludzie podsunęli nam to dziecko „na przynętę”. Ci ludzie nie mieli dość wyobraźni. Jeśli to była pułapka, to całkiem udana, bo nie zamierzałam pozostawić tego maleństwa leżącego bezwładnie przy drodze.

Larry ścisnął kierownicę tak mocno, że aż trzęsły mu się ręce. Jeżeli wcześniej wydawał się blady, to musiałam się pomylić. Teraz wyglądał jak upiór.

- Czy... coś mu się stało? - wykrztusił ochryple, jakby tłumiąc łzy.

Wiedziałałam, o co naprawdę chciał zapytać. Czy ono nie żyje. Ale nie mógł wypowiedzieć tego na głos. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Zostań w samochodzie - rzuciłam.

Larry nie odpowiedział. Po prostu siedział za kółkiem, gapiąc się na swoje dłonie. Nie patrzył na mnie. Ale, cholera, to przecież nie była moja wina. Nie z mojej winy w ciągu tej jednej nocy utracił całą swą niewinność. Czemu więc miałam wyrzuty sumienia?

Wysiadłam z auta z brownie w dłoni, na wypadek gdyby te oszołomy mimo wszystko postanowiły nas ścigać. Brałam pod uwagę, że mogłoby dojść z nimi do wymiany ognia.

Dzieciak nie poruszył się. Byłam zbyt daleko, aby móc ujrzeć, czy jego klatka piersiowa unosi się i opada. Tak, no jasne. Byłam jakiś metr od niego. Proszę cię, żyj. Dzieciak leżał na brzuchu, z jedną ręką uwięzioną pod ciałem, zapewne była złamana. Uklękłam przy ciele i zaczęłam przepatrywać ciemny cmentarz. Nie dostrzegłam żadnych postaci wybiegających z mroku. Dzieciak miał na sobie prostą, pasiastą koszulkę, szorty i tenisówki. Dlaczego był tak lekko ubrany w tak chłodną noc? Przecież lato dawno się już skończyło. Kto go tak ubrał? Matka, kobieta, która go kochała, tęskniła i

wysłała na śmierć. Miał delikatne, jedwabiste włoski, kręcone i kasztanowe. Skóra szyi była chłodna w dotyku. Szok? Uplętnęło zbyt mało czasu, aby mógł być aż tak zimny. Spróbowałam wyczuć puls na jego szyi. Bez powodzenia. Dzieciak był martwy. Boże, proszę cię, Boże.

Nagle uniósł głowę i spomiędzy jego warg wypłynął jakiś dźwięk. A więc żył. Dzięki ci, Boże. Spróbował się odwrócić, ale osunął się ciężko na drogę. Krzyknął.

Larry wyszedł z samochodu i podszedł do nas.

- Nic mu nie jest?

- Żyje - stwierdziłam.

Chłopiec wciąż próbował się odwrócić, więc ujęłam go za ramiona i pomogłam mu. Przycisnęłam jego prawe ramię do ciała. Zobaczyłam wielkie, okrągłe, brązowe oczy, pulchną dziecięcą twarzyczkę i ogromny rzeźnicki nóż, który ścisnął w prawej dłoni.

Wyszeptał:

- Każ mu podejść. Niech ci pomoże. - Spomiędzy dziecięcych warg wychynęły nieduże kły.

Nóż wpił się w mój brzuch powyżej sportowej szaszetki. Czubek ostrza wślizgnął się pod skórzaną kurtkę i dotknął znajdującej się pod nią bluzki. Poczułam się jak w sennym koszmarze, kiedy wszystko toczy się w zwolnionym tempie. Miałam całą wieczność, aby zdecydować, czy mam zdradzić Larry'ego, czy umrzeć. Nie poddawać się potworom, to podstawowa zasada. Otworzyłam usta i krzyknęłam:

- Uciekaj!

Wampir nie dźgnął mnie nożem. Zastygł w bezruchu. Chciał mnie żywą, dlatego mnie nie ukąsił, lecz zaszantażował nożem. Wstałam, a wampir wciąż tylko na mnie patrzył. Nie miał planu awaryjnego. Doskonale.

Samochód był tak blisko, że światło płynące z jego wnętrza rozpraszało mrok. W blasku reflektorów poczułam się jak na deskach teatralnej sceny. Larry stał jak wryty, nie wiedział, co ma zrobić.

- Do samochodu! - krzyknęłam.

Ruszył w stronę otwartych drzwiczek auta. W świetle reflektorów pojawiła się kobieta. Miała na sobie rozpięty, długi, biały płaszcz, a pod nim kremowy kostium. Otworzyła usta i wyszczerzyła kły w drapieżnym grymasie.

Ruszyłam biegiem, wrzeszcząc:

- Za tobą!

Larry spojrzał w moją stronę, przeniósł wzrok poza mnie. Jego oczy rozszerzyły się. Usłyszałam za sobą tupot małych stóp. Na twarzy Larry'ego pojawił się wyraz przerażenia. Czy to był pierwszy wampir, jakiego zobaczył?

Wyjęłam broń, ale nie zwolniłam tempa. Strzelając w biegu, prawie na pewno w nic nie trafisz. Miałam wampira przed i za sobą. Mogłam rzucać monetą.

Wampirzyca wskoczyła na maskę samochodu i długim, miękkim susem wylądowała na Larrym, przewracając go na ziemię. Nie mogłam do niej strzelić, nie ryzykując, że trafię Larry'ego. Odwróciłam się w ostatniej chwili i wycelowałam prosto w twarz małego wampirka.

Dzieciak aż wybałuszył oczy. Wypaliłam z przyłożenia. Coś rąbnęło mnie w plecy. Kula chybiła celu, a ja wylądowałam na brzuchu, na drodze, przygnieciona jakimś „niewidocznym ciężarem. Impet uderzenia wydusił mi powietrze z płuc. Mimo to odwróciłam się, usiłując wymierzyć w coś, co siedziało na moich plecach. Jeżeli nie zrobię czegoś już teraz, kwestia oddychania już wkrótce stanie się dla mnie nieistotna.

Chłopak rzucił się na mnie, tnąc nożem z góry na dół. Wymierzyłam w niego, ale trochę się spóźniłam. Gdyby nie to, że zabrakło mi powietrza, krzyknęłabym. Nóż zagłębił się w rękawie mojej

kurtki. Poczulałam, jak ostrze pograża się w asfalcie. Moje ramię zostało unieruchomione. Nacisnęłam spust, a kula z wizgiem, nie czyniąc nikomu szkody, pomknęła w mrok. Odwróciłam głowę, aby ujrzeć, kto lub co siedziało mi na karku. Pytanie powinno było brzmieć: „Co?”.

W czerwonym blasku światła stopu oblicze stwora było nieludzko płaskie, wysoko osadzone kości policzkowe podkreślały wąskie, prawie skośno oczy i długie, proste włosy. Wyglądał jak model dla typowych azteckich płaskorzeźb przedstawiających indiańskie bóstwa w otoczeniu węży. Zacisnął dłoń na mojej prawej ręce, tej przyszpilonej do asfaltu, w której wciąż trzymałam pistolet. Ścisnął mocno, nieomal miażdżąc mi kości o metal.

- Puść pistolet albo połamię ci wszystkie kości. - Jęknęłam z bólu.

Larry krzyknął wysoko, żałościwie. Gdy brakuje innych alternatyw, zaczynasz krzyczeć. Przeszorowałam lewym rękawem kurtki o nawierzchnię drogi, odsłaniając zegarek i bransoletkę z amuletami. W blasku księżyca błysnęły trzy nieduże krzyżyki. Wampir zasyczał, ale nie puścił uzbrojonej ręki. Przeciągnęłam bransoletką po jego dłoni. W powietrzu rozszedł się odór palonego ciała, następnie wyciągnął drugą rękę w stronę mojej lewej. Zacisnął palce na rękawie i wykręcił mi rękę do tyłu, abym nie mogła dosięgnąć go krzyżykami. Gdyby był młodym wampirem, na sam widok krzyży pierzchnąłby z krzykiem, ale on był nie tylko starym krwiopijcą, był wręcz... pradawny. Aby się od niego uwolnić, będę potrzebować czegoś więcej niż poświęconych krzyżyków.

Larry znów wrzasnął. Ja też krzyknęłam, bo nie mogłam zrobić nic innego. Kurczowo ścisnęłam w rękę pistolet i pozwalałam miażdżyć sobie dłoń. To niezbyt produktywne. Napastnicy nie chcieli mojej śmierci. Pragnęli natomiast, abym cierpiała. Chcieli sprawić mi ból. W porządku. Mógł rozgnieść mi rękę na miazgę. Wypuściłam broń i wrzasnęłam, usiłując uwolnić się od noża, który przyszpilał rękaw mojej kurtki do asfaltu, a równocześnie szarpałam lewą rękę, chcąc potraktować mego oponenta palącym pocałunkiem poświęconych krzyżyków.

Nad naszymi głowami huknął strzał. Zamarliśmy w bezruchu i skierowaliśmy wzrok w stronę cmentarza.

Jeremy Ruebens i spółka odzyskali rewolwer i zaczęli do nas strzelać. Czy uważali, że jesteśmy w znowie z potworami? Czy przejmowali się tym, do kogo strzelają?

Kobieta krzyknęła:

- Pomocy, Alejandro! - Krzyk rozległ się za naszymi plecami. Wampir przyszpilający mnie do ziemi niespodziewanie zniknął. Nie wiem, dlaczego i było mi to obojętne. Zostałam sam na sam ze stojącym nade mną dzieckiem potworem, łypiącym na mnie wielkimi, ciemnymi oczami.

- To cię nie boli? - zapytał.

Pytanie było tak nieoczekiwane, że odparłam bez wahania:

- Nie.

Wydawał się rozczarowany. Przykucnął obok mnie, opierając dłonie na udach.

- Chciałem ci zranić, aby napić się twojej krwi. - Jego głos był wciąż głosem małego chłopca i już taki pozostanie, ale wiedza zawarta w jego oczach spowijała moją skórę falami żaru. Był starszy od Jean-Claude'a, dużo starszy.

Kula strzaskała światło stopu w moim aucie, przelatując tuż nad głową chłopaka. Dzieciak odwrócił się w stronę strzelających i warknął jak dzikie zwierzę. Spróbowałam wyszarpnąć nóż z asfaltu, ale ostrze wbiło się za głęboko. Nawet nie drgnęło.

Chłopak popętlzył w mrok, znikając wśród poszumu wiatru. Zamierzał zaatakować fanatyków. Boże, miej ich w opiece.

Obejrzałam się przez ramię. Larry leżał na ziemi, przygnieciony przez kobietę o długich, falujących brązowych włosach. Ten, który zaatakował mnie i jeszcze jedna wampirzyca szarpali się z tą



siedzącą okrakiem na Larrym. Chciała go zabić, a oni próbowali temu zapobiec. To mi się podobało. Nad moją głową przeleciała kolejna kula. Jeszcze jedno pudło. Potem na wpół zduszony krzyk i już nikt więcej nie strzelał. Czy chłopak załatwił uzbrojonego fanatyka? Czy Larry był ranny? I co, u licha, mogłam zrobić, aby pomóc i jemu, i sobie?

Wampiry najwyraźniej miały pełne ręce roboty. Jeżeli miałam coś zrobić, to właśnie teraz. Spróbowałam lewą ręką rozsunąć suwak skórzanej kurtki, ale zamek zaciął się w połowie. Pięknie. Chwyciłam zębami kołnierz kurtki i ponownie pociągnąwszy za suwak, w końcu go rozpięłam. W porządku, jedno miałam z głowy. Co teraz? Zębami zsunęłam lewy rękaw kurtki przez dłoń, po czym przesunęłam go pod biodrem i uwolniłam rękę. Uwolnienie prawej ręki z rękawa przyszpilonego do ziemi było już fraszką.

Alejandro zwłókł ciemnowłosą kobietę z Larry'ego i cisnął nią ponad samochodem. Poszybowała w mrok, ale nie usłyszałam, aby grzmotnęła o ziemię. Może umiała latać. Jeżeli tak, wołałam o tym nie wiedzieć.

Larry był prawie niewidoczny zza zasłony jasnych włosów. Druga kobieta pochylała się nad nim jak księżę pragnący obudzić pocałunkiem śpiącą królową. Alejandro schwycił ją za te długie, jasne włosy i bezceremonialnym szarpnięciem poderwał na nogi. W chwilę później pchnął ją na bok samochodu. Zachwiała się, ale nie upadła, szczerząc się do niego jak pies na łańcuchu.

Ominęłam ich szerokim łukiem, trzymając przed sobą krzyżyki, jak bohaterka starych horrorów. Tyle tylko, że nigdy nie widziałam pogromczyni wampirów atakującej bransoletką z amuletami.

Larry klęczał, kołysząc się w przód i w tył. Jęczał. Był bliski hysterii. Powtarzał raz po raz:

- Ja krwawię, ja krwawię.

Dotknęłam jego ramienia. Podskoczył, jakbym go ugryzła. Miał przerażony wzrok. Krew spływała mu po szyi.

W świetle księżycy krew wydawała się czarna. Ugryzła go. Boże święty, ta wampirzyca go ugryzła.

Błada kobieta wciąż usiłowała utorować sobie drogę do Larry'ego.

- Nie czujesz zapachu krwi? - pytała błagalnie.

- Opanuj się albo sam cię utemperuję - warknął groźnie Alejandro. Gniew w jego głosie ciał bezlitośnie jak nóż.

Błada kobieta znieruchomiała.

- Już wszystko dobrze. - W jej głosie zabrzmiała nuta strachu.

Nigdy dotąd nie widziałam, aby jeden wampir... śmiertelnie obawiał się innego. Niech rozstrzygną to między sobą. Miałam ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład wymyślić, w jaki sposób ominąć pozostałe wampiry i dostać się do samochodu.

Alejandro jedną ręką przypierał wampirzycę do auta.

Trzymałam pistolet w lewym ręku. Odpięłam też bransoletkę z krzyżykami, którą nosiłam na kostce. Nie masz szans, aby podkraść się do wampira. Nawet młodzi krwiopijcy są bardziej czujni niż kot o długim ogonie w pokoju pełnym bujanych foteli. Skoro nie mogłam się do niego niepostrzeżenie podkraść, postanowiłam zwrócić się wprost do wampira.

- Ona go ugryzła, ty sukinsynu. Ugryzła go! - Aby zwrócić jego uwagę, pociągnęłam go za kołnierz. I wrzuciłam mu za koszulę bransoletkę z krzyżykami.

Krzyknął.

Przeciągnęłam drugą bransoletką po jego dłoni. Upuścił broń. Schwyciłam ją. Jęzory niebieskich płomieni spowiły jego plecy. Wyginał się w łuk i próbował dosięgnąć zranionych miejsc dłońmi, ale nie mógł wydobyć krzyżyków spod koszuli. Płoń, maleńki, płoń. Zawirował jak fryga, wrzeszcząc na całe gardło. Uderzył otwartą dłonią na odlew, trafiając mnie w bok głowy. Pofrunęłam do tyłu. Po

krótkim locie ciężko wylądowałam na wznak na asfalcie. Świat zawirował, przed oczami ujrzałam ciemne plamy. Gdy odzyskałam zdolność widzenia, ujrzałam przed sobą blade oblicze, długie, żółtobiałe włosy barwy kukurydzy omiotły mój policzek, gdy wampirzyca przyklęła obok mnie, aby się posilić. Wciąż trzymałam w dłoni browninga. Pociągnęłam za spust. Wampirzyca pofrunęła do tyłu, jakby ktoś pociągnął ją za ramiona. Upadła na asfalt, a ociekająca krwią rana wlotowa na jej brzuchu była niczym w porównaniu z otworem wylotowym. Miałam nadzieję, że strzaskałam jej kręgosłup. Chwiejnie stanęłam na nogi.

Wampir Alejandro zrzucił z siebie koszulę. Krzyżyki spadły na asfalt w niedużej kałuży błękitnego ognia i roztopionego metalu. Plecy mężczyzny były czarne, zwęglone, tu i ówdzie można było dostrzec jaśniejsze plamy wielkich pęcherzy. Odwrócił się do mnie, a ja wpakowałam mu kulę w pierś. Strzeliłam trochę za szybko i nawet go nie spowolniłam.

Larry chwycił wampira za kostkę. Mimo to Alejandro wciąż sunął naprzód, wlokąc za sobą Larry'ego po asfalcie niczym krnąbrne dziecko. Złapał go za ramię i pociągnawszy w górę, postawił na nogi. Larry zarzucił wampirovi na szyję łańcuszek. Ciężki, srebrny krzyż buchnął jasnym płomieniem. Alejandro wrzasnął.

- Do samochodu, szybko! - krzyknęłam.

Larry wślizgnął się za kierownicę, ale zaraz przesunął się na fotel pasażera. Zatrzasnął drzwiczki i wcisnął blokadę, choć nie zdałaby się ona na wiele. Wampir zerwał łańcuszek i cisnął krzyżyk między drzewa rosnące przy drodze. Srebrny krucyfiks przeciął mrok i zniknął jak spadająca gwiazda.

Wsiadłam do samochodu, zamknęłam drzwiczki i wdusiłam blokadę. Przekręciłam bezpiecznik browninga i wsunęłam sobie pistolet między uda.

Alejandro wił się z bólu, za bardzo cierpiał, aby mógł nas ścigać. Doskonale. Tym lepiej dla nas.

Wrzuciłam bieg i ruszyłam na pełnym gazie. Wozem zarzuciło. Zwolniłam z nadświetlnej do prędkości światła, a samochód wyrównał kurs i zjechał na środek drogi. Sunęliśmy przez ciemny tunel, pośród migoczących świateł i cieni drzew. Przy jego końcu pojawiła się postać w bieli o długich, rozwianych na wietrze brązowych włosach. To była wampirzyca, która zaatakowała Larry'ego. Stała pośrodku drogi jak wrośnięta w ziemię. Nawet nie drgnęła. Już wkrótce mieliśmy się przekonać, co było twardsze, samochód czy wampirzyca. W gruncie rzeczy bardzo mnie to ciekawiło. Wdusiłam pedał gazu aż do deski. Wóz wyrwał do przodu. Wampirzyca stała w kompletnym bezruchu, podczas gdy samochód sunął na nią jak burza. Dopiero w ostatniej chwili zorientowałam się, że wampirzyca jednak nie usunie się nam z drogi, ale było już za późno, aby ją ominąć. A więc jednak przyjdzie nam sprawdzić poziom wytrzymałości samochodu i wampirzego ciała. Gdzie jest srebrny samochód, kiedy go potrzeba?

Blask świateł samochodu padł na wampirzycę jak promień scenicznego reflektora. Ujrzałam białą twarz, brązowe włosy i wyszczerzone ostre kły. Wpadliśmy na nią z prędkością stu kilometrów na godzinę. Wóz zadygotał. Wampirzyca w przeraźliwie zwolnionym tempie przetoczyła się po masce, a mimo to stało się to zbyt szybko, abym mogła cokolwiek zrobić. Walnęła w przednią szybę z ostrym, drapieżnym trzaskiem. Zgrzytnął metal. Na szkle pojawiła się misterna pajęczyna pęknięć. Odniosłam wrażenie, jakbym spoglądała przez niewłaściwy koniec popękanego pryzmatu. Bezpieczna przednia szyba spełniła swoje zadanie. Nie rozprysła się i nie pocięła nas na strzępy. Po prostu pękła i nic już nie mogłam przez nią zobaczyć. Nie widziałam, gdzie jadę. Dałam po hamulcach.

Silna ręka przebiła szybę, zasypując Larry'ego deszczem lśniących odłamków. Chłopak wrzasnął. Dłoń zacisnęła się na jego koszuli i zaczęła ciągnąć w stronę najeżonej ostrymi odłamkami przedniej szybie.

Skręciłam kierownicę ostro w lewo. Wozem zarzuciło, a ja jedynie mogłam odpuścić trochę gazu, nie dotykać hamulca i jechać dalej.

Larry z całej siły zaciskał palce na uchwycie drzwi i zagłówku. Krzyczał przeraźliwie, stawiając opór ręce ciągnącej go w stronę strzaskanej szyby.

Zmówiłam krótką modlitwę i puściłam kierownicę. Wóz wszedł w poślizg. Przyłożyłam krzyżyk do ręki wampirzycy. Skóra zaczęła dymić i pokryła się bąblami. Dłoń puściła Larry'ego i znikła w otworze w szybie.

Złapałam kierownicę, ale było już trochę za późno. Wóz zjechał z drogi do rowu. Metal zazgrzytał, gdy coś w podwoziu pękło, coś dużego. Rzuciło mnie na drzwiczki. Larry zwałił się na mnie, a potem oboje poleciliśmy w przeciwną stronę. I nagle było po wszystkim. Cisza całkowita. Miałam wrażenie, jakbym ni stąd, ni zowąd ogłuchła. W moich uszach rozbrzmiewał biały szum.

Ktoś powiedział:

- Bogu dzięki - To byłam ja.

Drzwiczki od strony pasażera zostały otwarte jak skorupa orzecha. Cofnęłam się w głąb samochodu. Larry był zdezorientowany. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. W chwilę później został wywleczony z samochodu. Oparłam się o deskę rozdzielczą, celując w miejsce, gdzie zniknął Larry. Spoglądałam w górę, na ciało Larry'ego, wokół szyi którego zaciskała się czarna dłoń. Nie wiedziałam, czy mógł jeszcze oddychać. Wymierzyłam pistolet w śniadą twarz wampira Alejandro. Jego oblicze pozostawało nieodgadnione, gdy powiedział:

- Rozerwę mu gardło.

- Odstrzelę ci głowę - mruknęłam. Przez otwór w przedniej szybie wsunęła się dłoń. Cofnij się albo stracisz tę śliczną buźkę.

- On umrze pierwszy - wycedził wampir. Mimo to dłoń znikła. W głosie wampira pojawił się obcy akcent. To skutek silnych emocji.

Oczy Larry'ego były nazbyt rozszerzone, nazbyt wybałuszone. Oddychał płytko i zdecydowanie za szybko. Będzie tak dyszał, jeśli tego dożyje.

- Decyduj - rzucił wampir. Głos miał beznamiętny, odarty z wszelkich uczuć.

Przepełnione przerażeniem oczy Larry'ego mówiły aż nazbyt wymownie za ich obu. Zabezpieczyłam broń i podałam mu, kiedy wyciągnął ręki, po pistolet. Wiedziałam, że popełniam błąd, ale wiedziałam też, że nie mogę siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak wampir rozdziera Larry'emu gardło. Są rzeczy ważniejsze niż fizyczne przetrwanie. Choćby to, abym rano mogła spokojnie przejrzeć się w lustrze. Oddałam broń z tego samego powodu, dla którego zatrzymałam się dla tamtego dziecka. Nie miałam wyboru. Stałam po stronie dobra. Wybrałam swoją ścieżkę. To oznacza zdolność do poświęceń. I podejmowania często niepopularnych decyzji. Cóż, tak to po prostu bywa. Trzeba przestrzegać pewnych zasad.

Twarc Larry'ego przypominała krwawą maskę. Żadna z ran nie wyglądała na poważną, ale nic tak nie krwawi jak płytkie zadrapanie na czaszce. Bezpieczne szkło przedniej szyby samochodu nie było wampiroadporne. Może powinnam napisać w tej sprawie do producenta.

Krew sączyła się po dłoni Alejandro, wciąż zaciśniętej na szyi Larry'ego. Wampir wcisnął sobie mój pistolet z tyłu za pasek spodni. Obchodził się z bronią, jakby umiał jej używać. Szkoda. Większość wampirów nie cierpi wszelkich przejawów techniki. Dzięki temu czasami miewamy nad nimi drobną przewagę.

Krew Larry'ego, spływająca po ręce wampira, była lepka i ciepła jak z wolna tężejąca galaretka. Wampir nie zareagował na krew. Żelazna samokontrola. Wejrzałam w jego niemal czarne oczy i poczułam moc zawartych w nich stuleci, otulającą mnie jak mroczne, błoniaste skrzydła. Świat

zawirował. Wnętrze mojej głowy zapadało się i rozprzestrzeniało. Wyciągnęłam rękę, aby się czegoś schwycić, omal nie upadłam. Dłoń pochwyciła moją. Skóra była chłodna i gładka. Odskokczyłam do tyłu, osuwając się na samochód.

- Nie dotykaj mnie! Nigdy, przenigdy mnie nie dotykaj!

Wampir stał niezdecydowany. Jedną okrwawioną ręką trzymał Larry'ego za gardło, drugą wyciągnął do mnie. To był bardzo ludzki gest. Larry'emu oczy wychodziły z orbit.

- Dusisz go - powiedziałam.

- Przepraszam - odparł wampir. Puścił go.

Larry, ciężko dysząc, osunął się na kolana. Jego pierwszy oddech brzmiał jak błagalny krzyk o choćby odrobinę powietrza.

Chciałam spytać Larry'ego jak się czuje, ale nie zrobiłam tego. Moim zadaniem było wydostać nas stąd żywych, o ile to tylko możliwe. Poza tym wiedziałam, co musiał teraz czuć Larry. Cierpiał. Zadawanie głupich pytań w tej sytuacji miało się z celem. No dobrze, może powinnam zadać przynajmniej jedno głupie pytanie.

- Czego chcesz? - spytałam.

Alejandro spojrzał na mnie, ja natomiast pohamowałam w sobie chęć zerknięcia na niego. To nie było łatwe. Ostatecznie skupiłam wzrok na dziurze po mojej kuli, widniejącej w jego klatce piersiowej. Otwór był bardzo mały, krwawienie już ustało. Czy tak szybko zdrowiał? Cholera. Wyteżyłam wzrok, wpatrując się w ranę. Zwalczałam w sobie przemożną chęć nawiązania kontaktu wzrokowego. Ciężko być twardą, gdy gapisz się na czyjś tors. Ja jednak miałam parę lat treningu, zanim Jean-Claude postanowił podzielić się ze mną swym... darem. Trening czyni... Zresztą sami wiecie. Wampir nie odpowiedział, toteż powtórzyłam pytanie stanowczym, spokojnym tonem. Nie chciałam okazać po sobie choćby cienia strachu. Punkt dla mnie.

- Czego chcesz?

Poczułam, że wampir zmierzył mnie wzrokiem, zupełnie jakby przesunął palcem po ciele. Zadrżałam i już nie zdołałam tego powstrzymać. Larry podpełzł do mnie ze zwieszoną głową, ociekając krwią. Uklękałam przy nim. I zanim zdążyłam ugryźć się w język, wyrzuciłam z siebie kretyńskie pytanie.

- Nic ci nie jest?

Spojrzał na mnie cały zakrwawiony. Po chwili odparł:

- Parę szwów i będę jak nowy. - Próbował obrócić to wszystko w żart.

Miałam ochotę go uściskać i zapewnić, że najgorsze już minęło. Lepiej jednak nie składać obietnic bez pokrycia.

Wampir ani drgnął, ale coś w nim znów przykuło moją uwagę. Stał po kolana wśród jesiennych chwastów. Moje oczy znajdowały się na poziomie sprzączki jego paska, co oznaczało, że był mojego wzrostu. Niski jak na faceta. Biały Anglosas rodem z XX wieku. Sprzączka u pasa rozbliła złociście, była wyrzeźbiona na kształt kanciastej, stylizowanej postaci ludzkiej. Zarówno ta postać, jak i oblicze wampira miały rysy azteckie.

Znów poczułam chęć, aby unieść wzrok i spojrzeć mu w oczy. Zanim się połapałam, zaczęłam unosić głowę. Cholera. Ten wampir mieszał mi w głowie, a ja w ogóle tego nie czułam. Nawet teraz, gdy wiedziałam, że coś mi robi, także tego nie wychwytywałam. Byłam głucha i ślepa jak zwykła śmiertelniczka. No, może nie całkiem. Jak dotąd nie zostałam ugryziona, co oznaczało, że najwyraźniej wampiry chciały ode mnie czegoś więcej niż krwi. W innym wypadku byłabym już martwa, podobnie jak Larry. Oczywiście wciąż miałam przy sobie poświęcone krzyżyki. Co zrobiłyby ze mną ten stwór, gdyby pozbawił mnie relikwii? Nie chciałam wiedzieć.

Żyliśmy. To oznaczało, że chcieli od nas czegoś, czego nie otrzymaliby, zabijając nas oboje. O co im

mogło chodzić?

- Czego chcesz, do cholery?

W zasięgu mego wzroku pojawiła się jego dłoń. Chciał pomóc mi wstać. Podniosłam się o własnych siłach i stanęłam, osłaniając swoim ciałem Larry'ego.

- Powiedz mi, kim jest twój mistrz, dziewczyno, a nic ci się nie stanie.

- Tylko mnie?

- Sprytnie, ale obiecuję, że puszczę was wolno, jeśli tylko podasz mi jego imię.

- Po pierwsze: nie mam mistrza. Nie jestem nawet pewna, czy jest ktoś, kogo uznałabym za równego sobie. - Zwalczyłam w sobie pragnienie spojrzenia na niego i przekonania się, czy rozumiał ten mały żart. Jean-Claude na pewno by go załapał.

- Stroisz sobie ze mnie żarty? - W jego głosie pobrzmiwało zdumienie graniczące z wściekłością. Dobrze ci tak, pomyślałam.

- Nie mam mistrza - stwierdziłam. Mistrzowie potrafią wyczuć, czy ktoś kłamie, czy mówi prawdę.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, oszukujesz samą siebie. Nosisz dwa znaki mistrza. Podaj mi jego imię, a unicestwię go dla ciebie. Uwolnię cię od tego... kłopotu.

Zawahałam się. Był starszy od Jean-Claude'a. Znacznie starszy. Mógłby, jak sądzę, zabić Mistrza Miasta. Rzecz jasna tym samym to on przejąłby kontrolę nad wszystkimi wampirami w mieście. On i trójka jego pomocników. Cztery wampiry, o jednego mniej niż liczyła grupa mordująca ludzi, ale mogłam się założyć, że gdzieś tam był również piąty. W jednym średniej wielkości mieście nie może być aż tylu wampirzych mistrzówodszczepieńców. Nie byłoby dobrze, gdyby nad miejscowymi krwiopijcami przejął kontrolę mistrz lubujący się w mordowaniu ludzi. Może to dziwne, ale nie lubię drastycznych zmian. Pokręciłam głową.

- Nie mogę.

- Przecież chcesz się od niego uwolnić...

- I to bardzo.

- Uwolnię panią od niego. Tylko proszę dać mi szansę. Niech pani pozwoli sobie pomóc.

- Tak jak ty pomogłeś tym ludziom w przeniesieniu się na tamten świat?

- Ja ich nie zabiłem - odparł. Powiedział to bardzo stanowczo.

Oczy miał tak głębokie, że można by w nich utonąć, ale głosowi mogłabym to i owo zarzucić. Temu głosowi brakowało magii. Jean-Claude był pod tym względem lepszy. Yasmeen zresztą też. Miło wiedzieć, że nawet czas nie może wyszlifować niektórych umiejętności. Wiek to nie wszystko.

- A więc nie ty zadałeś ostateczny cios. I co z tego? Twój podwładni wykonują otrzymane od ciebie rozkazy, nie działają samodzielnie.

- Zdziwiłabyś się, wiedząc, ile mają swobody.

- Przestań - warknęłam.

- Co?

- Nie mów do mnie takim tonem. Jeżeli wydaje ci się, że pokonasz mnie siłą spokoju, to się mylisz.

Roześmiał się.

- Woląabyś, żebym wrzeszczał i wściekał się jak szalony?

Owszem, tak, ale nie wypowiedziałam tego na głos.

- Nie podam ci jego imienia. I co teraz?

Podmuch powietrza omiółł moje plecy. Spróbowałam się odwrócić, stawić czoło temu wiatrowi. Kobieta w bieli rzuciła się na mnie. Wyszczерzone kły, palce zakrzywione w szpony, unurzane we krwi niewinnych ludzi. Opadła na mnie jak burza. Runęłyśmy na ziemię. Wylądowałam na wznak wśród traw i chwastów, a wampirzyca przygniotła mnie swym ciężarem. Rzuciła mi się do szyi jak

waż. Trzasnęłam ją lewą ręką w twarz, jeden z krzyżyków musnął jej usta. Błysnęło, rozszedł się swąd palonego ciała i wampirzyca z przeraźliwym wrzaskiem znikła w ciemnościach. Nigdy dotąd nie widziałam wampira, który poruszałby się tak szybko. Czy to mentalna magia? Czy nawet pomimo użycia przeze mnie krzyżyka zdołała mnie omamić? Ile może być w grupie wampirów liczących sobie ponad pięćset lat? Miałam nadzieję, że dwa. Jeszcze jeden i znaleźlibyśmy się w mniejszości. Podniosłam się z ziemi. Mistrz klęczał na czworakach przy wraku samochodu.

Larry'ego nigdzie nie było widać. Poczułam w piersiach przyływ lodowatej paniki, ale zaraz zorientowałam się, że Larry wczłogał się pod samochód, aby nie stać się ponownie zakładnikiem wampirów. Gdy wszystko inne zawiedzie, schowaj się. W przypadku królików to się sprawdza. Pokryte pęcherzami plecy wampira były boleśnie wygięte, gdy krwiopijca starał się wywlec Larry'ego spod samochodu.

- Jeśli stamtąd nie wyleziesz, wyrwę ci ramię ze stawu!

- Mówisz jak do kota, który schował się pod łóżkiem - mruknęłam.

Alejandro odwrócił się. I drgnął, jakby coś go zabolalo. Świetnie.

Z tyłu za mną coś się poruszyło. Nie tłumiałam w sobie instynktownych reakcji. Może to tylko nerwy. Odwróciłam się z krzyżykami w gotowości. Miałam za sobą dwa wampiry, w tym jedną jasnowłosa kobietę. Chyba jednak nie trafiłam w kręgosłup. Szkoda. Drugi wampir, mężczyzna, mógłby być jej bratem bliźniakiem. Oba zasyczały i zaczęły osłaniać oczy przed krzyżykami. Miło ujrzeć znajomą i jakże pożądaną reakcję.

Mistrz podszedł do mnie z tyłu, ale usłyszałam go. Albo poparzenia dawały mu się we znaki, czyniąc go niezdarnym, albo pomogły mi krzyżyki. Stałam pomiędzy trójką wampirów, trzymając je w szachu dzięki relikwiom. Jasnowłosa para zerkała sponad uniesionych ramion, ale krzyżyki budziły w nich paralizujący strach. Mistrz nie zawahał się ani chwili. Skoczył na mnie z przerażającą szybkością. Zrejterowałam, osłaniając się krzyżykami, ale i tak schwycił mnie za lewe przedramię. Unieruchomił je, choć krzyżyki zwisały o kilka centymetrów od jego ciała.

Szarpnęłam się, odsuwając się od niego możliwie jak najdalej, po czym z całej siły rąbnęłam go w splot słoneczny. Stęknął cicho i smagnął dłonią na odlew. Zatoczyłam się do tyłu i poczułam smak krwi w ustach. Ledwie mnie dotknął, ale zrozumiałam aluzję. Gdybym chciała z nim powalczyć, wytarłby mną podłogę. Trzasnęłam go w gardło. Zakrztusił się i wybałuszył oczy ze zdumienia. Lepsze sponiewieranie niż ugryzienie. Wolałam śmierć niż krwawy pocałunek ostrych kłów.

Jego dłoń zacisnęła się na mojej prawej pięści i ścisnęła tak, abym mogła poczuć jego siłę. Wciąż tylko mnie ostrzegał, nie starał się zrobić mi krzywdy. Punkt dla niego. Uniósł obie ręce, przyciągając mnie ku sobie. Wcale tego nie chciałam, ale nic na to nie mogłam poradzić. No, chyba że wampiry miały przyrodzenie. Alejandro odczuł cios w szyję. Spojrzałam na niego. Był tak blisko, że gdybym zechciała, mogłabym go pocałować. Nachyliłam się do niego, starając się równocześnie zyskać trochę miejsca. Wciąż przyciągał mnie do siebie. Impet jego ruchu zdecydowanie mi się przysłużył. Walnęłam go kolanem, z całej siły wbijając je w jego jądra i rozgniatając je o jego ciało. To nie był słaby cios.

Alejandro zgiął się wpół, ale nie puścił moich rak. Nie uwolniłam się, ale był to całkiem niezły początek. Poza tym poznałam odpowiedź na stare jak świat pytanie. Tak, wampiry mają jaja. Wykręcił mi ręce do tyłu, przygniatając mnie całym ciałem. Wydawało się niebywale mocne i twarde, jak wykute z kamienia. A przecież nie dalej jak przed chwilą było ciepłe, miękkie i delikatne. Co się stało?

- Zdejmij to z jej nadgarstka - rzucił. Nie mówił do mnie. Spróbowałam się odwrócić i zobaczyć, kto do mnie podszedł, ale nic nie dostrzegłam. Dwa jasnowłose wampiry wciąż kuliły się i zasłaniały

oczy przed krzyżykami. Coś dotknęło mojego nadgarstka. Drgnęłam, ale wampir mnie przytrzymał. - Jeśli będziesz się szarpać, on cię skaleczy. - Obróciłam głowę tak daleko, jak tylko mogłam i ujrzałam przed sobą okrągłe oczy chłopczyka-wampira. Odzyskał swój nóż i starał się rozerwać jego ostrzem bransoletkę.

Dłonie mistrza ścisnęły moje ramiona tak, że miałam wrażenie, iż lada chwila pogruchocze mi kości. Chyba jęknęłam z bólu, bo ni stąd, ni zowąd odezwał się:

- Nie zamierzałem cię dziś skrzywdzić - wyszeptał mi wprost do ucha. - Ty o tym zadecydowałaś.

Bransoletka pękła z cichym trzaskiem. Po chwili usłyszałam, jak ląduje wśród traw. Mistrz wampirów wziął głęboki oddech, jakby ta czynność przychodziła mu teraz z większą łatwością. Był ode mnie wyższy o jakieś pięć centymetrów, ale przytrzymał mnie za oba nadgarstki jedną ręką, drobne, szczupłe palce opasywały je z miażdżącą siłą. Sprawiał mi ból i z trudem powstrzymywałam się, aby nie zacząć pojękiwać. Drugą ręką przeczesał mi włosy, po czym schwycił ich pęk i szarpnięciem odchylił mi głowę, aby móc spojrzeć prosto w oczy. Jego gałki oczne były całkiem czarne, białka zniknęły.

- Podasz mi jego imię, Anito, w ten czy inny sposób. - Splunęłam mu w twarz. Wrzasnął, wzmagając uścisk na moich nadgarstkach tak, że aż krzyknęłam. - Można było po dobroci, ale chyba teraz chcę, abyś cierpiała. Spójrz mi w oczy, śmiertelniczko i poznaj, co to rozpacz. Posmakuj mego spojrzenia, a między nami nie będzie już żadnych sekretów. - Jego głos przeszedł w najcichszy szept. - Może wysącze twój umysł, jak inni sączą czyjaś krew i nie pozostawię po tobie nic prócz bezmyślnej, pustej powłoki.

Spojrzałam w mrok będący jego oczami i poczułam, że się zapadam, niewiarygodnie szybko i bezradnie, coraz dalej i dalej w głąb czystej, absolutnej czerni, w otchłani której nigdy nie zagościła nawet iskierka światłości.

## 24

Ujrzałam nad sobą nieznajome oblicze. Ten ktoś przykładał do czoła zakrwawioną chustkę. Krótkie włosy, jasne oczy, piegi.

- Cześć, Larry - powiedziałam. Mój głos wydawał się odległy i dziwny. Nie potrafiłam zrozumieć dlaczego.

Wciąż było ciemno. Larry doprowadził się trochę do porządku, ale rana wciąż krwawiła. Nie mogłam stracić przytomności na tak długo. Byłam nieprzytomna? Pamiętałam tylko oczy, czarne oczy. Zbyt szybko usiadłam. Larry złapał mnie za ramię. Gdyby nie to, upadłabym.

- Gdzie są...

- Wampiry - dokończył za mnie.

Oparłam się o jego ramię i wyszeptałam:

- Tak.

Wokół nas, w ciemnościach byli ludzie, stłoczeni w małych grupkach szeptali między sobą. Blask policyjnych kogutów rozcinał ciemność. Przy radiowozie stali dwaj mundurowi, rozmawiając z mężczyzną, którego imienia nie potrafiłam sobie przypomnieć.

- Karl - wychrypiałam.

- Co? - spytał Larry.

- Karl Inger, ten wysoki facet, który rozmawia z glinami.

Larry skinął głową.

- Zgadza się.

Obok nas przyklęknął niski, ciemnowłosy mężczyzna. Jeremy Ruebens z organizacji Najpierw Ludzie, który, o ile dobrze pamiętałam, ostatnio do nas strzelał. Co się działo, u licha? Jeremy

uśmiechnął się do mnie. Wyglądało na to, że szczerze.

- Od kiedy to stałeś się wobec mnie tak przyjazny?

Jego uśmiech poszerzył się.

- Ocaliliśmy cię.

Odsunęłam się od Larry'ego, aby usiąść o własnych siłach. Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale zaraz doszłam do siebie. No jasne. Twarda ze mnie sztuka.

- Mów, Larry.

Zerknął na Jeremy'ego Ruebensa, a potem na mnie.

- Oni nas uratowali.

- Jak to?

- Oblali wodą święconą tę, co mnie ugryzła. - Wolną ręką mimowolnie dotknął szyi, ale zauważył, że dostrzegłam ten gest. - Czy ona będzie teraz mieć nade mną władzę?

- A czy kiedy cię ugryzła, wdarała się równocześnie do twego umysłu?

- Nie wiem - odparł. - Skąd mam wiedzieć?

Już chciałam udzielić mu dokładniejszych wyjaśnień, ale powstrzymałam się. Jak wyjaśnić to, co wymyka się wszelkim wytłumaczeniom?

- Gdyby Alejandro, mistrz wampirów, ugryzł mnie wtedy, gdy wszedł do mego umysłu, znajdowałabym się teraz w jego mocy.

- Alejandro?

- To ten, którego tamte wampiry nazywają mistrzem.

Pokręciłam głową, ale świat dokoła mnie zawirował czarnymi falami i musiałam przełknąć ślinę, aby nie zwymiotować. Co on mi zrobił? Miałam już wcześniej do czynienia z mentalnymi gierkami, ale nigdy dotąd nie przejawiałam podobnych reakcji.

- Karetka już jedzie - rzekł Larry.

- To nie będzie konieczne.

- Była pani nieprzytomna przeszło godzinę, panno Blake - stwierdził Ruebens. - Gdy nie zdołaliśmy pani docucić, poprosiliśmy policję, aby wezwała pogotowie.

Ruebens był tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, abym mogła go dotknąć. Wydawał się wyjątkowo przyjazny, wręcz emanował ciepłem, jak panna młoda w dniu swego ślubu. Od kiedy zmienił front i postanowił się ze mną zaprzyjaźnić?

- A zatem oblali wodą święconą wampirzycę, która cię ugryzła. Co było potem? spytałam Larry'ego.

- Przepędzili resztę krwiopijców krzyżami i amuletami.

- Amuletami?

Ruebens wyjął łańcuszek ze zwisającymi zeń dwoma miniaturowymi, oprawnymi w metal książeczkami. Obie swobodnie zmieściłyby się na jednej mojej dłoni i zostałyby jeszcze trochę wolnego miejsca.

- To nie amulety, Larry. To miniaturowe egzemplarze Tory.

- Myślałem, że symbolem Żydów jest gwiazda Dawida.

- Gwiazda nie działa, ponieważ jest symbolem rasy, a nie religii.

- A więc to miniaturowe Biblie?

Uniosłam brwi.

- Tora to nie cała Biblia, a jedynie pierwsze księgi Starego Testamentu, jeśli chodzi o ścisłość.

- Czy Biblia poskutkowałaby w przypadku nas, chrześcijan?

- Nie wiem. Być może. - Tak się składa, że podczas żadnego ataku wampirów nie miałam pod ręką Biblii. Moja wina. Kiedy ostatni raz czytałam Pismo Święte? Czyżbym stawała się wierzącą



niepraktykującą? O moją duszę będę się martwić później, gdy moje ciało poczuje się nieco lepiej. - Odwołajcie pogotowie, nic mi nie jest.

- Ale kiepsko pani wygląda - rzekł Ruebens. Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć. Spojrzałam na niego. Zastygł w bezruchu. - Proszę, panno Blake, chcemy tylko pani pomóc. Mamy wspólnych wrogów.

Zauważyłam zmierzających w naszą stronę policjantów. Towarzyszył im Karl Inger; mówił coś półgłosem do funkcjonariuszy.

- Czy policja wie, że wcześniej do nas strzelaliście? - Przez twarz Ruebensa przemknął cień. - Nie wiedzą, prawda?

- Panno Blake, ocaliliśmy panią od losu gorszego niż śmierć. Popelniłem błąd, podnosząc na panią rękę. Ożywia pani zmarłych, ale jeśli faktycznie jest pani wrogiem wampirów, czyni to nas sojusznikami.

- Wróg mego wroga jest moim przyjacielem, tak?

Skinął głową. Policja była tuż-tuż, jeszcze parę kroków i usłyszą, o czym rozmawiamy.

- W porządku, ale jeśli jeszcze raz wymierzy pan we mnie broń, zapomnę, że ocalił mi pan życie.

- To już się nie powtórzy, panno Blake, ma pani moje słowo.

Chciałam mu jeszcze przyciąć, ale gliniarze byli za blisko. Usłyszeliby moje słowa. Nie zamierzałam wydać im Ruebensa ani jego organizacji, musiałam więc zachować moją ciętą ripostę na następną okazję. Znajac Ruebensa, szansa jeszcze się nadarzy.

Szłam do policji o tym, czego dokonali Najpierw Ludzie, i szłam o tym, czego chciał ode mnie Alejandro. Był to po prostu kolejny przykład bezsensownej napaści, dwa podobne ataki zakończyły się śmiercią ofiar. Później wyznam prawdę Dolphowi i Zerbrowskiemu, teraz jednak nie miałam ochoty tłumaczyć zawilości tej sprawy całkiem obcym glinom. W gruncie rzeczy nie byłam pewna, czy nawet Dolphowi opowiem o wszystkim. Zamierzałam pominąć pewne drobne szczegóły. Jak choćby to, że niemal bezsprzecznie byłam ludzką służebnicą Jean-Claude'a. Nie, lepiej o tym nikomu nie wspominać.

25

Samochód Larry'ego okazał się najnowszym modelem mazdy. Członkowie organizacji Najpierw Ludzie byli do tego stopnia zaabsorbowani wampirami, że nie zdążyli skasować auta. Mieliśmy szczęście, jako że mój wóz do niczego się już nie nadawał. Czekala mnie jeszcze przeprawa z pracownikami firmy ubezpieczeniowej i długie wyczekiwanie na ich ekspertyzę, której orzeczenie będzie zapewne brzmiało, iż samochód nadaje się do kasacji, ale uszkodzeniu musiał ulec jakiś istotny element podwozia, wyciekał stamtąd płyn ciemniejszy od krwi. Przód wozu wyglądał jak po zderzeniu ze słoniem. Potrafię na pierwszy rzut oka rozpoznać samochód nadający się tylko do kasacji.

Ostatnie kilka godzin spędziliśmy na ostrym dyżurze. Pielęgniarki z karetki uparły się, że muszę trafić do lekarza, a Larry'emu trzeba było założyć na czole trzy szwy. Kosmyki jego rudych włosów opadły, przesłaniając ranę. Pierwsza blizna. Pierwsza z wielu, jeśli nie rzuci tego fachu i będzie się trzymał blisko mnie.

- Od ilu godzin pracujesz? Od czternastu? I co o tym sądzisz? - zapytałam.

Zerknął na mnie z ukosa, po czym przeniósł wzrok na drogę. Uśmiechnął się, ale nie wyglądał na rozbawionego.

- Nie wiem.

- Chcesz zostać animatorem czy nie?

- Wydawało mi się, że chcę - odparł.

Szczerłość, rzadka cecha.

- Nie masz już pewności?

- Chyba nie.

Nie kontynuowałam tematu. Instykt podpowiadał mi, żeby zniechęcić go do tego fachu. Chłopak powinien znaleźć sobie jakąś dobrą, normalną robotę. Mimo to wiedziałam, że ożywianie zmarłych nie było czymś, co robiło się z wyboru. Jeżeli twój dar był dostatecznie silny, ożywianie umarłych stawało się koniecznością, w przeciwnym razie moc powracała do ciebie w najmniej odpowiednich momentach. Co wam mówi określenie „przejechane zwierzę”? Dla mojej macochy, Judith, te słowa mówiły aż za dużo. To oczywiste, że nie przepadała za moją pracą. Uważała ją za coś okropnego. Cóż mogłam powiedzieć? Miała rację.

- Osoba z dyplomem z biologii nadnaturalnej mogłaby znaleźć dla siebie bardziej adekwatne zajęcie.

- Jakie? Eksterminator w zoo?

- Nauczyciel - odparłam - strażnik leśny, przyrodnik, biolog, badacz.

- Który z tych zawodów może zapewnić mi równie wysokie zarobki? - spytał.

- Czy pieniądze to jedyny powód, dla którego chcesz zostać animatorem? - Poczulałam się rozczarowana.

- Chcę coś zrobić, aby pomagać ludziom. Czy może być coś lepszego, niż wykorzystać moje szczególne umiejętności, aby usunąć z tego świata najgroźniejszych nieumarłych?

Spojrzałam na niego. W ciemnym wnętrzu auta widziałam tylko jego profil podświetlony słabym światłem deski rozdzielczej.

- Nie chcesz być animatorem, lecz zabójcą wampirów. - Nie starałam się ukryć zdziwienia w moim głosie.

- Tak, to mój nadrzędny cel.

- Dlaczego?

- A czemu ty to robisz?

Pokręciłam głową.

- Ty mi odpowiedz, Larry.

- Chcę pomagać ludziom.

- Wobec tego zostań policjantem, oni tam potrzebują ludzi, którzy znają się na istotach nadnaturalnych.

- Wydawało mi się, że spisałem się dziś całkiem nieźle.

- To prawda.

- W takim razie czemu próbuje mi pani to odradzić?

Zastanawiałam się nad możliwą odpowiedzią zawierającą się w monologu, który trwałby krócej niż dziesięć minut.

- To, co stało się dzisiejszej nocy, było potworne, ale będzie jeszcze gorzej.

- Dojeżdżamy do Olive, co dalej?

- Skręć w lewo.

Wóz zjechał na pas do skrętu. Zatrzymaliśmy się na światłach, sygnalizator jarzył się w ciemnościach.

- Nie wiesz, w co się pakujesz - powiedziałam.

- Wobec tego powiedz mi - odparował.

- Zrobię coś więcej. Pokażę ci.

- Co to miało znaczyć?

- Przy trzecich światłach skręć w prawo. - Wjechaliśmy na parking. - Pierwszy budynek po prawej. -

Larry zatrzymał wóz na jedynym wolnym miejscu na parkingu. Na moim miejscu. Ale mój mały, biedny nova już nigdy tu nie wróci. W ciemnym wnętrzu auta powoli, z trudem zdjęłam kurtkę. - Zapal podsufitowe światło - rozkazałam. Wykonał polecenie. Był w tym zdecydowanie lepszy ode mnie. A skoro wykonywał moje polecenia, nie miałam nic przeciwko temu. Pokazałam mu blizny na rękach. - Tę w kształcie krzyża otrzymałam od ludzkich sług pewnego wampira, którzy uznali, że to może być zabawne. Bliznowate tkanki w zgięciu ramienia to pamiątka po wampirze, który wgryzł mi się w ramię. Fizjoterapeuta mówi, że to cud, że w ogóle odzyskałam władzę w ręce. Czternaście szwów od ludzkiego sługi i to licząc tylko te na rękach.

- Masz ich więcej? - Jego twarz w świetle podsufitowej lampki wyglądała blado i dziwnie.

- Wampir wbił mi w plecy fragment złamanego kołka. - Skrzywił się. - Równocześnie z poszarpaną ręką miałam także zgruchotany obojczyk.

- Próbujesz mnie wystraszyć.

- Jeszcze jak - mruknęłam.

- Nie przestraszysz mnie.

Dzisiejszej nocy Larry powinien był dowiedzieć się, czym jest prawdziwy strach, nie musiałam nawet pokazywać mu swoich blizn. A jednak tak się nie stało. Niech to diabli. Ten chłopak był twardszy, niż przypuszczałam. Uda mu się, chyba że zginie.

- W porządku, zostajesz do końca semestru, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz polować na wampiry beze mnie.

- Ale pan Burke...

- Pomaga przy egzekucjach wampirów, lecz nie poluje na nie w pojedynkę.

- Jaka jest różnica między egzekucją a polowaniem?

- Przy egzekucji mamy do czynienia ze zwłokami, które wymagają zakołkowania, lub z wampirem, który zakuty w łańcuchy czeka potulnie na zadanie ostatecznego ciosu.

- Czym zatem jest polowanie? - zapytał.

- Kiedy wrócę, aby zająć się wampirami, które omal nas dziś nie zabiły, to będzie polowanie.

- Pani zdaniem pan Burke nie nauczy mnie polować?

- Nie ufam panu Burke'owi. Wątpię, aby zdołał utrzymać cię przy życiu. - Larry wybałuszył oczy. - Nie chodzi mi o to, że mógłby cię skrzywdzić rozmyślnie. Wydaje mi się tylko, że nie naraziłby własnego życia w twojej obronie. Jeżeli o to chodzi, u fum wyłącznie sobie.

- Myśli pani, że może dojść do tak drastycznych sytuacji?

- Dziś przecież stanęliśmy oko w oko ze śmiercią.

Milczał przez dłuższą chwilę. Spojrzał na swoje dłonie, którymi powoli odruchowo gładził kierownicę.

- Obiecuję, że nie wybiorę się na polowanie na wampiry z nikim innym oprócz ciebie.

Spojrzał na mnie, niebieskie oczy lustrowały moje oblicze.

- Nawet z panem Rodriguezem? Pan Vaughn mówił, że on był pani mentorem.

- Manny był moim nauczycielem, ale on już nie poluje na wampiry.

- Dlaczego?

Odnalazłam jego spojrzenie i odparłam:

- Jego żona za bardzo się o niego boi, a poza tym Manny ma czworo dzieci.

- Pani nie ma męża, pan Burke żony i żadne z was nie ma dzieci.

- Zgadza się.

- To tak jak ja.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Czy ja też byłam kiedyś równie zapalczywa? Nie.

- Nie bądź zbyt pewny siebie, Larry. Pamiętaj, że gdy Bóg chce kogoś ukarać, to na początek odbiera mu rozum.

Uśmiechnął się i przez moment wyglądał na trzynastolatka. Jezu, dlaczego po wydarzeniach dzisiejszej nocy nie miał ochoty zrezygnować i znaleźć sobie jakiegoś innego, bezpieczniejszego zajęcia? Czemu ja wciąż robię to, co robię? Nie znałam odpowiedzi na te pytania, a na pewno takich, które wydałyby mi się sensowne. Dlaczego ja to robiłam? Bo byłam w tym dobra. Ot i wszystko. Może Larry także kiedyś będzie w tym dobry. O ile pożyje dostatecznie długo. W przeciwnym razie będzie co najwyżej dobrym trupem.

Wysiadłam z samochodu i oparłam się o otwarte drzwiczki, pochylając głowę, aby zajrzeć do środka.

- Jedź prosto do domu, a jeśli nie masz dodatkowego krzyżyka, kup go jutro z samego rana.

- W porządku - powiedział.

Zatrzasnęłam drzwiczki, wciąż mając przed oczami wyraz jego twarzy, pełen szczerego zapału i gorliwości. Weszłam po schodach, ani razu nie oglądając się za siebie. Nie patrzyłam, jak odjeżdża, wciąż cały i zdrowy po swoim pierwszym starciu z potworami. Wciąż żywy. Byłam od niego tylko cztery lata starsza. Cztery lata. Miałam wrażenie, jakby dzieliła nas przepaść całych stuleci. Ja nigdy nie byłam takim żółtodziobem. Zawdzięczałam to śmierci mojej matki, gdy miałam zaledwie osiem lat. Wczesna utrata rodziców czyni cię twardą i odbiera połysk nawet najbardziej lśniącej zbroi niewinności.

W dalszym ciągu będę starała się wybić Larry'emu z głowy karierę zabójcy wampirów, ale jeśli to mi się nie uda, będę z nim współpracować. Są tylko dwa rodzaje pogromców wampirów - dobrzy i martwi. Może dzięki memu skromnemu wsparciu Larry stanie się jednym z tych dobrych. Alternatywa wydawała się, delikatnie mówiąc, nie do przyjęcia.

**26**

Był piątkowy rano, trzecia trzydzieści cztery. Miałam za sobą długi, ciężki tydzień. Ale czy w tym roku zdarzył się choć jeden w miarę spokojny? Powiedziałam Bertowi, aby zatrudnił więcej ludzi. Zatrudnił Larry'ego. Dlaczego mnie to nie cieszyło? Ponieważ Larry był jeszcze jedną ofiarą czekającą na swojego potwora. Proszę cię, Boże, miej go w swej opiece. Na moim koncie figurowało już dostatecznie dużo niewinnych ofiar.

W korytarzu było ciemno, choć oko wykol. Słyszałam tylko cichy szum grzejników i stłumione szuranie po wykładzinie swoich adidasów. Za późno, aby moi sąsiedzi byli jeszcze na nogach i za wcześnie, aby zdążyli już wstać. Nie ma to jak odrobina wymarzonej prywatności.

Otworzyłam mój nowy, bezpieczny zamek i weszłam do tonącego w ciemnościach mieszkania. Rzuciłam kurtkę na kuchenny blat. Była zbyt brudna, żeby kłaść ją na białym łóżku. Cała byłam ubabrana błotem i trawą. Ale krwi było niewiele, tej nocy dopisało mi szczęście. Poczułam to dopiero, zdejmując uprząż kabury podramiennej. Prądy powietrza zmieniły się, jakby coś się wśród nich poruszało. Jakby prócz mnie w mieszkaniu był ktoś jeszcze. Dotknęłam dłonią kolby pistoletu, gdy z ciemności sypialni dobiegł mnie głos Edwarda.

- Nie, Anito.

Znieruchomiałam z palcami na okładzinie kolby.

- Bo co?

- Bo cię zastrzelę. Wiesz, że nie zawahałbym się tego zrobić.

W jego miękkim, łagodnym tonie dało się wychwycić drapieżne brzmienie. Miał taki sam głos, gdy unicestwiał wampiry za pomocą miotacza płomieni. Gładki i spokojny jak droga do piekła.

Odsunęłam dłoń od pistoletu. Gdybym go zmusiła, Edward by mnie zastrzelił. Lepiej nie kusić

losu. Jeszcze nie teraz. To nie było konieczne. Na razie. Nie czekając na polecenie, splotłam palce dłoni na czubku głowy. Może zarobię parę punktów, jeśli będę się zachowywać, jak na dobrego jeńca przystało. A niech to.

Edward wyłonił się z ciemności niczym jasnowłosy duch. Cały był na czarno, jeśli nie liczyć krótkich włosów i bladej twarzy. Na dłoniach nosił czarne, skórzane rękawiczki. Trzymał w nich berettę kalibru dziewięć milimetrów wymierzoną w moją pierś.

- Nowy pistolet? - spytałam.

Kąciki jego ust wykrzywił widmowy uśmiech.

- Tak, podoba ci się?

- Beretta to fajna broń, ale przecież mnie znasz.

- Miłośniczka browninga - stwierdził. Uśmiechnął się. Rozmawialiśmy jak dwójka przyjaciół podczas zakupów w supermarkecie. Przystawił mi przy tym lufę pistoletu do ciała i odebrał browninga. - Oprzyj się i rozstaw nogi.

Oparłam się o łóżko, podczas gdy Edward starannie mnie obszukał. Nie znajdzie niczego, ale on nie mógł o tym wiedzieć. Zawsze był skrupulatny i drobiazgowy. Miedzy innymi dlatego nadal żył. A poza tym był bardzo, ale to bardzo dobry.

- Mówiłeś, że nie potrafisz sforsować tego zamka - rzuciłam.

- Przyniosłem lepsze narzędzia.

- A więc zamek wcale nie jest taki bezpieczny.

- Większość pospolitych włamywaczy nie poradziłaby sobie z nim.

- Ale nie ty.

Spojrzał na mnie, jego oczy były puste i martwe jak zimowe niebo.

- Nie jestem pospolitym facetem.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

- To na pewno.

Rzucił mi posępne spojrzenie.

- Podaj mi imię Mistrza, a oszczędzisz mnie i sobie niepotrzebnych przykrości.

Pistolet ani trochę nie zadrżał. Edward wsunął sobie browninga z przodu, za pasek spodni. Miałam nadzieję, że nie zapomniał zabezpieczyć broni. A może ja to zrobiłam.

Otworzyłam usta, zamknęłam i spojrzałam na niego. Nie mogłam wydać JeanClaude'a Edwardowi. Ja byłam nazywana Egzekutorką, ale Edwarda wampiry określały jako Śmierć. Zasłużył sobie na ten przydomek.

- Spodziewałam się, że będziesz mnie dzisiaj śledził.

- Wróciłem do domu po tym, jak byłem świadkiem ożywienia przez ciebie zombi. Chyba powinienem był zostać dłużej. Kto rozkwaśił ci usta?

- Niczego się ode mnie nie dowiesz. I doskonale o tym wiesz.

- Każdego można złamać, Anito, każdego.

- Nawet ciebie?

Powrócił ten dziwny, widmowy uśmiech.

- Nawet mnie.

- Któż może być lepszy od Śmierci? Opowiedz mi o tym!

Uśmiech poszerzył się.

- Innym razem.

- Miło wiedzieć, że będzie inny raz - mruknęłam.

- Nie przyszedłem, aby cię zabić.

- A jedynie zastraszyć mnie, ewentualnie wziąć na tortury, abym tylko wyjawiała ci imię Mistrza, zgadza się?

- Jak najbardziej - odparł cichym, łagodnym tonem.

- Miałam nadzieję, że zaprzeczysz.

Zachnął się.

- Wydaj mi Mistrza Miasta, Anito, a zaraz sobie pójdę.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Wiesz, że musisz to zrobić, bo w przeciwnym razie czeka cię długa noc.

- W takim razie zapowiada mi się długa noc, bo nie dowiesz się ode mnie niczego.

- Groźby nie zdadzą się na nic?

- Raczej nie.

Pokręcił głową.

- Odwróć się, oprzyj o tapczan i daj ręce do tyłu.

- Po co?

- Zrób to.

- Abyś mógł związać mi ręce?

- Zrób to, ale już!

- Nic z tego.

Znów zmarszczył czoło.

- Mam ci wpakować kulkę?

- Nie, ale nie zamierzam dać ci się związać.

- Wiązanie nie boli.

- Martwi mnie raczej to, co zamierzasz zrobić ze mną potem.

- Wiedziałaś, co cię czeka, jeśli mi nie pomożesz.

- No to do dzieła.

- Odmawiasz współpracy.

- Tak mi przykro.

- Anito.

- Nie mam zwyczaju pomagać komuś, kto zamierza mnie torturować. Nie widzę tu co prawda bambusowych drzazg, ale sytuacja jest w miarę oczywista. A nawiasem mówiąc, jak chciałeś mnie torturować, skoro nie masz drzazg z bambusa do wbijania pod paznokcie?

- Przestań. - Wydawał się zagniewany.

- O co ci chodzi? - Wybałuszyłam oczy i zrobiłam niewinną minę bezbronnego dziecka. Wyglądałam raczej jak żaba Kermit z *Muppet Show*.

Edward wybuchnął śmiechem, łagodnym i dźwięcznym, a po chwili przykucnął na podłodze i luźno trzymając pistolet w dłoni, spojrzał na mnie. Miał błyszczące oczy.

- Jak mogę cię torturować, skoro przyprawiasz mnie o atak śmiechu?

- Nie możesz, taki był plan.

Pokręcił głową.

- Wcale nie. Próbujesz wystrychnąć mnie na dudka. Jak zawsze zresztą. Niezła z ciebie cwaniara.

- Miło, że to zauważyłeś.

Uniósł dłoń do góry.

- Już dość. Wystarczy. Proszę.

- Będę cię rozśmieszać, aż zaczniesz błagać o litość.

- Po prostu podaj mi to imię, Anito. Błagam. Pomóż mi. - Wesołe błyski znikły z jego oczu jak słońce

chylące się za nieboskłon. Patrzyłam, jak wraz z rozbawieniem Edward traci resztki swego człowieczeństwa. Ostatecznie jego oczy znów stały się zimne i puste jak u lalki.

- Nie zmuszaj mnie, abym cię skrzywdził - wycodził.

Sądziłam, że jestem jedyną przyjaciółką Edwarda, ale to nie powstrzymałoby go od zrobienia mi krzywdy. Edward wyznawał tylko jedną zasadę: zrobić wszystko co konieczne dla osiągnięcia wytyczonego celu. Gdybym zmusiła go, aby wziął mnie na tortury, z ciężkim sercem co prawda, ale zrobiłby to.

- A teraz, skoro tak ładnie mnie prosisz, powtórz z łaski swojej pierwsze pytanie.

Przymrużył lekko powieki i spytał:

- Kto ci rozkwasił usta?

- Mistrz wampirów - odparłam półgłosem.

- Opowiedz mi o tym. Co się właściwie stało? - Zabrzmiało to jak dla mnie trochę nazbyt władczo, ale choć nie lubię, gdy mi się rozkazuje, to Edward miał oba pistolety.

Opowiedziałam mu wszystko, co się wydarzyło. Wszystko o Alejandro. O Alejandro, który wydał mi się tak stary, że od mentalnego z nim kontaktu rozboleły mnie wszystkie kości. Dorzuciłam też jedno drobne kłamstewko zakamuflowane pośród prawdy. Powiedziałam Edwardowi, że to Alejandro był Mistrzem Miasta. Jeden z moich bardziej błyskotliwych pomysłów, nie uważacie?

- I naprawdę nie wiesz, gdzie znajduje się jego dzienna kryjówka?

Pokręciłam przecząco głową.

- Powiedziałałabym ci, gdybym wiedziała.

- Czemu tak nagle zmieniłaś zdanie?

- Próbował mnie dziś zabić. To zmienia układy między nami. Nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.

- Nie wierzę.

To było zbyt dobre kłamstwo, abym mogła je zmarnować, więc próbowałam uratować to, co jeszcze nadawało się do ocalenia.

- Poza tym stał się odszczepieńcem. On i jego poplecznicy zabijają ludzi. Nie mogę pozwolić, aby przez takiego jak on ginęły niewinne osoby.

Na dźwięk słowa „niewinne” Edward uśmiechnął się z przekąsem, ale nie skomentował.

- Jak sądzę, kierują tobą altruistyczne pobudki. Gdybyś nie była taka miękka, mogłabyś być naprawdę niebezpieczna.

- Mam na ten temat swoje zdanie, Edwardzie.

Jego puste niebieskie oczy spojrzały na mnie. Po chwili dostrzegłam lekkie skinienie głową.

- Nie wątpię.

Oddał mi pistolet, kierując go kolbą w moją stronę. Wielka, zbita lodowata gula w moim żołądku zaczęła się powoli roztopiać. Mogłam oddychać swobodniej. Odetchnęłam z ulgą.

- Jeżeli dowiem się, gdzie za dnia ukrywa się ten Alejandro, chciałabyś, abym idąc na akcję, zabrał cię ze sobą?

Zamyśliłam się nad tym przez chwilę. Czy miałam ochotę stawić czoło pięciu wampirom-odszczepieńcom, w tym dwóm mającym ponad pięćset lat? Nie miałam. Czy chciałam wystawić przeciwko nim tylko jednego egzekutora, choćby nawet był nim Edward? Nie. Absolutnie. Co oznaczało, że...

- Tak, jasne, że chcę wziąć w tym udział.

Edward uśmiechnął się szeroko i promiennie.

- Uwielbiam swój fach.

- Ja też - przytaknęłam z uśmiechem.

27

Jean-Claude leżał pośrodku wielkiego łóżka z białym baldachimem. Jego skóra była tylko o odcień ciemniejsza od pościeli. Miał na sobie koszulę nocną. Koronki zdobiące krótki kołnierzyk opadały miękką falą na jego tors. Te na rękawach przesłaniały jego dłonie. To wszystko powinno wydawać się bardzo kobiece, lecz Jean-Claude sprawiał, że wyglądał w tym wyjątkowo męsko. Jakim cudem facet mógł ubierać się w koszulę nocną z koronkami i nie wyglądać w niej głupio? Oczywiście Jean-Claude nie był zwykłym facetem. To chyba dlatego. Jego czarne, kręcone włosy spletały się z koronką. Aż chciało się ich dotknąć. Pokręciłam głową. Nigdy w życiu. Nawet we śnie. Miałam na sobie coś długiego i jedwabistego. Odcień niebieskiego niemal tak samo ciemny jak jego oczy. Na tym tle moje ręce wyglądały przeraźliwie biało. Jean-Claude ukląkł i wyciągnął do mnie rękę. To było zaproszenie. Pokręciłam głową.

- To tylko sen, *ma petite*. Nawet tu nie chcesz do mnie podejść?

- Gdy chodzi o ciebie, to nigdy nie jest tylko sen. To zawsze oznacza coś więcej. Jego dłoń opadła na narzutę, koniuszki palców pieszczotliwie gładziły materiał.

- Co ty usiłujesz mi zrobić, Jean-Claude?

Spojrzał na mnie z powagą.

- Uwieść, ma się rozumieć.

Ma się rozumieć. Ależ ze mnie głupia gaska. Przy łóżku zadzwonił telefon. Aparat był elegancki, wytworny, biały ze złotymi dodatkami. Jeszcze przed chwilą go tam nie było. Zadzwonił ponownie i nagle sen zaczął się rwać. Obudziłam się, sięgając po słuchawkę aparatu.

- Halo.

- Co jest, obudziłem cię? - zapytał Irving Griswold.

Zamrugałam, spoglądając na aparat.

- Taak. Która godzina?

- Dziesiąta. Wolałem wcześniej nie dzwonić. Za dobrze cię znam.

- Czego chcesz, Irving?

- Coś ty taka nie w sosie? Wstałaś lewą nogą czy jak?

- Późno wróciłam. I jeszcze nie zdążyłam wstać. Mów, o co ci chodzi, tylko się streszczaj.

- Otóż ja, twój ulubiony reporter, postanowiłem, że z dobroci serca wybaczę ci to opryskliwe powitanie, jeśli tylko odpowiesz mi na kilka pytań.

- Pytań? - powtórzyłam, zaciskając palce na słuchawce. - O czym ty mówisz?

- Czy to prawda, że Najpierw Ludzie ocalili cię wczorajszej nocy, bo tak właśnie twierdzą?

- Tak twierdzą? Czy mógłbyś mówić trochę jaśniej?

- W porannych wiadomościach na Kanale 5 gościem był Jeremy Ruebens. Oznajmił, że on i członkowie organizacji Najpierw Ludzie ubiegłej nocy uratowali ci życie. Ocalili cię przed Mistrzem Miasta.

- To nieprawda.

- Czy mogę cię zacytować?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Nie.

- Potrzebuję cytatu do mojego artykułu. Daję ci szansę przedstawienia twojej wersji wydarzeń.



- Odkąd to interesuje cię moja wersja wydarzeń?
  - Daj spokój, jestem reporterem. To wynika z mojego zawodu.
  - Rozumiem. To wiele tłumaczy.
  - To jak, usłyszę twoją wersję wydarzeń czy nie?
- Zamyśliłam się nad jego propozycją. Irving był moim przyjacielem i dobrym reporterem. Skoro Ruebens od rana puszył się w telewizji ze swoją wersją wypadków, przydałoby się, abym ja również się wypowiedziała.
- Dasz mi kwadrans, abym mogła zaparzyć kawę i ubrać się?
  - Jeżeli będę miał wywiad na wyłączność, nie ma sprawy.
  - Wobec tego zgoda. - Odłożyłam słuchawkę i w te pędy pognałam w stronę ekspresu. Kiedy Irving zadzwonił ponownie, miałam już na sobie bawełniane skarpety, dzinsy i przyduży podkoszulek, w którym zresztą spałam, a na stoliku przy aparacie stała filiżanka aromatycznej kawy, cynamonowo-orzechowej, ze sklepu z herbatą i przyprawami na Olive Boulevard. Nie ma nic lepszego, jak rozpocząć dzień od filiżanki gorącego naparu.
  - Dobra, mów - zaczął bez ogródek.
  - Co jest, Irving, odpuszczasz grę wstępną?
  - Do rzeczy, Blake, gonią mnie terminy. Opowiedziałam mu wszystko. Musiałam potwierdzić, że Najpierw Ludzie ocalili moją skórę. Niech to szlag.
  - Nie mogę potwierdzić, że wampirem, którego przegnali, był Mistrz Miasta.
  - Ejże, wiem, że Mistrzem Miasta jest Jean-Claude. Przeprowadziłem z nim wywiad, pamiętasz?
  - Pamiętam.
  - I wiem, że ten Indianin to nie Jean-Claude.
  - Ale Najpierw Ludzie tego nie wiedzą.
  - Tyle ważnych informacji w jednym artykule. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Nie ma to jak robić z tobą wywiad na wyłączność.
  - Nie. Nie pisz, że Alejandro nie jest Mistrzem.
  - Dlaczego?
  - Na twoim miejscu wolałabym najpierw ustalić to wszystko z Jean-Claudem. Odchrząknął.
  - Tak, to niezły pomysł. - Wydawał się zdenerwowany.
  - Czy Jean-Claude sprawia ci kłopoty?
  - Nie. Czemu pytasz?
  - Jak na reportera kiepsko kłamiesz.
  - Mamy z Jean-Claudem pewne sprawy. Ale nie dotyczą one Egzekutorki.
  - Jasne, uważaj na siebie, dobra?
  - Pochlebiam ci, że się o mnie martwisz, Anito, ale uwierz mi, dam sobie radę. Nie próbowałam oponować. Chyba byłam w dobrym nastroju.
  - Skoro tak twierdzisz...
- Odpuścił ten temat, ja również. Nikt nie potrafił manipulować Jean-Claudem, ale to nie była moja sprawa. To Irvingowi zależało na wywiadzie. Sprawa była bardziej złożona, niż mogło się wydawać, manipulacje, ukryte znaczenia. Nie zdziwiło mnie to, ale nie próbowałam drażnić tematu. Naprawdę.
- Artykuł znajdzie się na pierwszej stronie gazety porannej. Pogadam z Jean-Claudem, czy powinienem wspomnieć, że ten nowy wampir nie jest Mistrzem Miasta.
  - Naprawdę wolałabym, abyś się z tym wstrzymał.

- Dlaczego? - W jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości.
- Może to nie takie głupie, aby Najpierw Ludzie uwierzyli, że to Alejandro jest Mistrzem.
- Ale dlaczego?
- Aby nie zabili Jean-Claude'a.
- Aha - mruknął.
- No właśnie.
- Będę miał to na względzie - dodał.
- Mam nadzieję.
- Muszę kończyć. Rozumiesz, terminy.
- W porządku, Irving, pogadamy później.
- Cześć, Anito, dzięki. - Odłożył słuchawkę. Zaczęłam powoli sączyć wciąż jeszcze gorącą kawę.

Z pierwszą filiżanką kawy danego dnia nigdy nie należy się spieszyć. Gdybym zdołała przekonać organizację Najpierw Ludzie, że to Alejandro jest Mistrzem, jeśli kupią ten sam kit co Edward, nikt już nie będzie polować na Jean-Claude'a. To Alejandro stanie się zwierzyną łowną. Wampir mordujący ludzi. Jeżeli do polowania przyłączy się także policja, wampiryodszczepieńcy znajdą się w mniejszości. Tak, to wszystko podobało mi się coraz bardziej. Sęk w tym, czy wszyscy kupią tę bajeczkę? Nie wiesz tego na pewno, dopóki nie spróbujesz.

**28**

Dopiłam kawę i ubrałam się, gdy znów zadzwonił telefon. Są takie dni...

- Słucham.
- Pani Blake? - W głosie brzmiała spora niepewność.
- Przy telefonie.
- Mówi Karl Inger.
- Przepraszam za tak oschłe powitanie. Co słysząc, panie Inger?
- Mówiła pani, że możemy porozmawiać, jeśli obmyślimy lepszy plan. I oto jest oznajmił.
- Plan zabicia Mistrza Miasta?
- Tak.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze, tak żeby nie było tego słychać przez telefon.

- Panie Inger...
- Proszę mnie wysłuchać. Zeszłej nocy uratowaliśmy pani życie. To z pewnością musi być coś warte.

Zapędził mnie w kozi róg.

- Co to za plan?
- Wolałbym przedstawić go pani osobiście.
- Będę w biurze dopiero za kilka godzin.
- Czy mógłbym odwiedzić panią w domu?
- Nie - odparłam stanowczo. Odruchowo.
- Nie przyjmuje pani klientów w domu?
- Staram się tego unikać.
- Jest pani podejrzliwa.
- Z natury.

- Może spotkalibyśmy się gdzieś indziej? Chciałbym kogoś pani przedstawić.
- Kogo i dlaczego?
- Jego imię nic pani nie powie.
- Proszę spróbować.
- Pan Oliver.
- To imię czy nazwisko?
- Nie wiem.
- W porządku. Czemu miałabym go poznać?
- Bo opracował przemyślny plan zgładzenia Mistrza Miasta.
- Co?
- Nie, chyba jednak będzie lepiej, jeśli pan Oliver przedstawi go pani osobiście. Ma większy dar przekonywania niż ja.
- Dobrze panu idzie - pochwaliłam.
- A więc spotka się pani ze mną?
- Oczywiście, dlaczego nie?
- To cudownie. Czy wie pani, gdzie leży Arnold?
- Tak.
- Pod Arnold, przy Tesson Ferry Road znajduje się sztuczne jezioro, w którym za opłatą można łowić ryby. Wie pani, gdzie to jest?
- Miałam wrażenie, że mijałam je, jadąc na miejsce dwóch zbrodni. Wszystkie drogi prowadzą do Arnold.
- Znajdę.
- Jak szybko moglibyśmy się tam spotkać? - zapytał.
- Za godzinę.
- Doskonale, będę czekał.
- Czy wspomniany pan Oliver także przyjedzie nad jezioro?
- Nie, zawiozę panią do niego. Pojedziemy stamtąd.
- Po co ta cała tajemniczość?
- To nie tajemniczość - odparł z lekkim zażenowaniem. - Po prostu nie najlepiej wychodzi mi objaśnianie tras. Będzie łatwiej, jeżeli osobiście zawiozę panią na miejsce.
- Wolalabym pojechać tum swoim autem. Najwyżej pojedę za panem.
- Ależ, panno Blake, mam nieodparte wrażenie, że mi pani nie ufa.
- Proszę nie brać tego do siebie, panie Inger, ale z natury bywam nieufna. I jak dotąd dobrze na tym wychodzę.
- Nie ufa pani nawet swoim wybawcom?
- Nawet im.
- Zmienił temat i chyba dobrze, że się tak stało.
- Wobec tego do zobaczenia za godzinę nad jeziorem.
- Oczywiście.
- Dziękuję, że zgodziła się pani przyjechać, panno Blake.
- Mam wobec pana dług. Dał mi pan do zrozumienia, że nie powinnam o nim zapominać.
- Wyczuwam w pani głosie rezerwę. I złość. Naprawdę nie chciałem pani urazić.
- Westchnęłam.
- Nie czuję się urażona, panie Inger. Tyle tylko, że nie lubię mieć długów u kogokolwiek.
- Dzisiejsze odwiedziny u pana Olivera sprawią, że będziemy kwita, panno Blake.

- Trzymam pana za słowo, panie Inger.

- Do zobaczenia za godzinę - powtórzył.

- Przyjadę - zapewniłam.

Przerwaliśmy połączenie. Cholera. Zapomniałam, że nic dziś jeszcze nie jadłam. Gdybym wcześniej sobie o tym przypomniała, umówiłabym się z nim za dwie godziny. Teraz będę musiała zjeść coś po drodze. Nie znoszę jeść w samochodzie. Ale cóż znaczy tak drobny kłopot, gdy ma się coś zrobić dla przyjaciół? Albo kogoś, kto właśnie ocalił ci życie? Dlaczego tak się przejmowałam długiem, jaki miałam wobec Ingera? Pewnie dlatego, że ten facet był prawicowym fanatykiem. Zelotą. Nie mam zwyczaju zadawać się z takimi oszołomami. I nie robię z nimi interesów. A już na pewno nie cierpię mieć wobec nich żadnych długów. Nie mówiąc o tym, że miałabym zawdzięczać któremuś z nich życie.

No cóż, klamka zapadła, spotkam się z nim i będziemy kwita. Przecież sam tak powiedział. Czemu więc w to nie wierzyłam?

Jezioro Chip Away to jakieś pół akra stworzonego ludzką ręką zbiornika wodnego i wąskiego brzegu. Nad jeziorem stała nieduża buda, w której sprzedawano przynęty i coś na ząb. Zbiornik wodny otoczony był płaskim, żwirowanym parkingiem. Przy drodze stał jakiś stary model samochodu, z napisem: NA SPRZEDAŻ na szybie. Płatne jezioro, gdzie można pomoczyć kij, i handel używanymi samochodami - dwa w jednym. Sprytnie pomyślane.

Na prawo od parkingu rozpościerał się rozległy trawnik. Za nim widać było niedużą, rozlatującą się budę, a obok niej pozostałości sporego grilla. W oddali majaczył skraj lasu ciągnącego się aż na pobliskie wzgórze. Lewy brzeg jeziora graniczył z rzeką Meramec. To zabawne, że prawdziwa rzeka płynęła tak blisko sztucznego jeziora.

W to chłodne jesienne popołudnie na parkingu stały tylko trzy auta. Obok lśniącego samochodu marki Chrysler le Baron w kolorze burgund stał Inger. Kilku wędkarzy moczyło kije w wodzie. Musiały tu być niezłe brania, skoro komuś chciało się siedzieć na takim zimnie.

Zaparkowałam przy samochodzie Ingera. Mężczyzna podszedł do mnie, uśmiechając się i wyciągając rękę jak handlarz nieruchomościami, zadowolony, że zechciałam przyjechać i zobaczyć oferowaną przez niego posiadłość. Tylko że ja nie chciałam niczego, co mógłby mi zaoferować. Byłam tego niemal stuprocentowo pewna.

- Panna Blake, jak się cieszę, że panią widzę. - Ujął moją dłoń w dwie swoje, serdeczny, dobroduszny, nieszczerzy.

- Czego pan chce, panie Inger?

Jego uśmiech wyraźnie przygasł.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi, panno Blake.

- Ależ doskonale pan rozumie.

- Niestety, obawiam się, że nie.

Spojrzałam w jego przepełnione zakłopotaniem oblicze. Może spędziłam zbyt wiele czasu wśród rozmaitych typów spod ciemnej gwiazdy. Po jakimś czasie zapominasz, że na świecie są jeszcze inni ludzie, niekoniecznie zepsuci, dwulicowi i fałszywi jak ci, wśród których się obracasz. Cóż, takie podejście wiele ułatwia. Pozwala ci być przygotowaną na najgorsze.

- Przepraszam, panie Inger. Chyba... poświęcam zbyt wiele czasu na łapanie bandziorów. Człowiek staje się przez to cyniczny. - Wciąż nie rozumiał, o co mi chodzi. Nieważne, panie Inger. Możemy jechać na spotkanie z tym Oliverem.

- Z panem Oliverem - poprawił.

- Jasne.

- Pojedziemy moim autem? - Wskazał swój samochód.

- Pojadę swoim. Niech pan prowadzi.

- Nie ufa mi pani.

Wydawał się urażony. Chyba większość ludzi nie lubi, gdy podejrzewa się ich o niecne zamiary przed faktycznym popełnieniem jakiegokolwiek złego uczynku. Co prawda prawo zakłada domniemanie niewinności, jeśli jednak ujrysz dostatecznie dużo bólu, cierpienia i śmierci, z natury rzeczy uważasz każdego człowieka za winnego, dopóki on sam nie udowodni, że jest inaczej.

- W porządku, pojadę z panem.

Był wyraźnie ucieszony, że zmieniałam decyzję. Wprost promieniał ze szczęścia.

Co mi tam, miałam przecież, przy sobie dwa noże, trzy krzyżyki i pistolet. Winny czy nic, byłam przygotowana. Nie sądziłam, aby broń była mi potrzebna podczas spotkania z panem Oliverem, ale później mogła okazać się niezbędna. Otóż to, później. W tych dniach rozsądek nakazywał mi, abym zawsze, niezależnie od pory dnia i nocy, była uzbrojona po zęby, stale czujna i gotowa na konfrontację z każdym potencjalnym zagrożeniem, czy będzie to niedźwiedź, smok, czy może wampir. Inger dotarł wzdłuż Old Highway 21 do East Rock Greek. Rock Greek była wąską, krętą drogą, na której z trudem mogłyby się minąć dwa samochody. Jechał dość wolno z uwagi na zakręty, ale na tyle szybko, że nie można się było zanudzić.

Opodal widać było ферmy stojące tam od lat i nowe domy na działkach, gdzie ziemia była świeża i czerwona jak rana. Inger skręcił w jedną z takich nowych działek. Stało tam wiele dużych, bardzo nowoczesnych i drogich, przynajmniej z wyglądu, domów. Wzdłuż zwirowanej drogi stały podwiązane do tyczek młode, chude drzewka. Żałośnie drżały na jesiennym wietrze, a z ich cienkich, wiotkich gałązek zwisało nawet kilka małych listków. Kiedyś na tym terenie rósł las. Potem zjawily się buldożery. Dlaczego architekci i budowlańcy niszczą całe połacie starych drzew, a potem sadzą tam młode, które naprawdę dobrze będą wyglądać dopiero wiele lat później?

Zatrzymaliśmy się przed chatą imitującą budynek z bali drewna, większą niż typowe drewniane domki tego typu. Za dużo szkła, podwórze z ubitej ziemi o barwie rdzy. Biały żwir do wysypania podjazdu przywieziono tu z daleka. W tej okolicy żwir miał tę samą barwę co gleba.

Inger obszedł samochód, aby otworzyć mi drzwiczki. Tak mi się wydawało. Uprzedziłam go i zrobiłam to sama. Trochę się speszył, ale musiał się z tym pogodzić. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego normalni, zdrowi ludzie nie mogli sami otwierać sobie drzwi. Zwłaszcza gdy chodziło o drzwiczki samochodu, kiedy mężczyzna musiał obejść pojazd, a kobieta siedziała w środku, czekając w bezruchu jak jakiś... manekin.

Inger wszedł po schodach na ganek. To był ładny ganek, dość szeroki, aby można przesiadywać na nim w letnie wieczory. Był cały z drewna, z dużym oknem widokowym z zasłonami w czerwono-brązowe wizerunki starych farmerskich wozów. Bardzo rustykalne.

Zapukał do rzeźbionych drewnianych drzwi. Pośrodku znajdowało się witrażowe okienko, barwne i błyszczące, bardziej dekoracja niż judasz. Nie zaczekał, aż ktoś mu otworzy, lecz użył klucza i wszedł do środka. Skoro nie spodziewał się żadnej reakcji, to dlaczego pukał? Dzięki grubym zasłonom w domu panował miły półmrok, kotary były zaciągnięte, aby nie wpuścić do środka nawet odrobiny słońca. Na polerowanych parkietach nie stało zupełnie nic. Puste było także obramowanie kominka. W kominku nie płonął ogień. Dom pachniał świeżością. Był całkiem nowy, jak zabawka dopiero co wyjęta z pudełka znalezionej pod choinką.

Inger nie wahał się ani chwili. Wszłam za nim do drewnianego korytarzyka. Nie obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy za nim idę. Najwyraźniej uznał, że skoro nie życzę sobie, aby otwierał przede mną drzwi, wszelka kurtuazja wobec mnie jest całkowicie zbędna. No i dobrze.

W korytarzu po obu stronach, w równych odstępach widniały solidne drewniane drzwi. Inger zastukał do trzecich po lewej.

- Wejść - rozległo się w odpowiedzi.

Inger otworzył drzwi i wszedł do środka. Przytrzymał je też dla mnie, stając przy nich na baczność. To nie był wyraz kurtuazji. Zachowywał się jak żołnierz. Kto taki znajdował się w pokoju, że Inger w jednej chwili zaczął się tak zachowywać? Mogłam dowiedzieć się tego tylko w jeden sposób. Weszłam do pokoju.

Od strony północnej zobaczyłam rząd okien z zaciągniętymi grubymi zasłonami. Smużka światła sącząca się do pokoju przecinała na dwoje pusty blat pokaznego biurka. Za biurkiem w obszernym fotelu siedział mężczyzna.

Był nieduży, jak karzeł. Przywiódł mi na myśl karła, ale nie był nim. Nie miał wysuniętej szczęki ani krótkich ramion. W dobrze skrojonym garniturze wyglądał całkiem normalnie. Jego ciało wydawało się proporcjonalne. Prawie nie miał podbródka, a czoło było spadziste; ten drobny szczegół zwracał uwagę na szeroki nos i wydatne łuki brwiowe. W jego obliczu było coś znajomego, jakbym go gdzieś już wcześniej widziała, a mimo to nigdy dotąd go nie spotkała. W przeciwnym razie wiedziałabym o tym. Takiej twarzy się nie zapomina.

Spojrzałam na niego. Byłam zażenowana i wcale mi się to nie podobało. Odnalazłam jego spojrzenie; miał doskonale brązowe, wesołe oczy. Ciemne, brązowe włosy były idealnie wymodelowane, musiał fortunę zapłacić za tę fryzurę. Siedział w fotelu za pustym, lśniącym biurkiem i uśmiechał się do mnie.

- Panie Oliver, to Anita Blake - rzekł Inger, wciąż stojąc na baczność przy drzwiach.

Wstał z fotela i obszedł biurko, aby podać mi drobną, kształtną dłoń. Nie mógł mieć więcej wzrostu niż metr dwadzieścia parę. Uścisk dłoni miał pewny i mocniejszy, niż się spodziewałam. Jeden szybki ruch i poczułam moc tkwiącą w tym niskim cieple. Nie wyglądał na mocno umięśnionego, ale siła odzwierciedlała się w jego twarzy i postawie. Był niski, ale nie uważał tego za defekt. To mi się podobało. Podzielałam jego opinię. Uśmiechnął się, nie rozchylając warg i wrócił do wielkiego fotela.

Inger wziął krzesło stojące w kącie i postawił je przed biurkiem. Usiadłam. On zaś powrócił na swoje miejsce przy drzwiach. Ponownie przyjął postawę zasadniczą. Zapewne był to z jego strony wyraz szacunku wobec mężczyzny na fotelu. Chyba mogłabym go polubić. To dla mnie coś nowego. Zwykle jestem nieufna wobec nowo poznanych osób. Zorientowałam się, że się uśmiecham. Gdy tak siedziałam naprzeciw niego, było mi ciepło i wygodnie, jakby był moim ukochanym, godnym zaufania wujkiem. Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego. Co się ze mną działo, u licha?

- Co jest grane? - zapytałam.

Uśmiechnął się, w jego oczach rozbłysły ciepłe iskielki.

- O co konkretnie pani chodzi, panno Blake?

Głos miał delikatny, słodki i płynny jak śmietanka do kawy. Nieomal czułam jego smak. To był miód dla moich uszu. Znałam tylko jeden głos, który miał na mnie podobny wpływ.

Spojrzałam na cienkie pasmo promieni słońca oddalone zaledwie parę centymetrów od ręki Olivera. Był środek dnia. On nie mógł być... A może jednak? Utkwiłam wzrok w jego jakże żywym obliczu. Nie dostrzegłam w nim śladów obcości, tak pospolitej u wampirów. Ten głos, to wrażenie ciepła, to wszystko nie było normalne. Nigdy nie zaufałam ani nie polubiłam nikogo ot tak, na pierwszy rzut oka. Nie zamierzałam zmieniać swoich przyzwyczajzeń.

- Dobry jesteś - przyznałam. - Bardzo dobry.

- Co chce pani przez to powiedzieć, panno Blake? - Ciepło w jego głosie otuliło mnie jak miękki

koc.

- Przestań.

Spojrzał na mnie pytająco, jakby poczuł się zakłopotany. Grał doskonale, a ja nagle zrozumiałam dlaczego: to wcale nie była gra. Miałam już styczność z pradawnymi wampirami, ale nigdy nie spotkałam takiego jak ten, który mógł z powodzeniem uchodzić za człowieka. Można było zabrać go dokądkolwiek i nikt by się nie zorientował. No, powiedzmy, prawie nikt.

- Proszę mi wierzyć, panno Blake. Nie mam złych zamiarów.

Przełknęłam ślinę. Czyżby? Czy był tak potężny, że mentalne sztuczki i głos wykorzystywał automatycznie? Nie, skoro Jean-Claude potrafił to kontrolować, to i on także.

- Opuść sobie mentalne gierki i sztuczki z głosem, dobra? Jeśli chcesz pogadać o interesach, to mów, ale odtąd już żadnych numerów.

Jego uśmiech poszerzył się, ale wciąż nie pokazał mi kłów. Po paruset latach nabierają wprawy w uśmiechaniu się w taki sposób. I wtedy wybuchnął śmiechem; to było cudowne, jak ciepła woda spływająca z dużej wysokości. Można by do niej wskoczyć i wykąpać się. To byłoby naprawdę wspaniałe.

- Przestań, przestań! - zawołałam.

Gdy przestał chichotać, dostrzegłam błysk jego kłów.

- To nie wampiry znaki pozwoliły ci przejrzeć moje, jak je nazywasz - sztuczki. To naturalny, wrodzony talent, nieprawdaż?

Pokiwałam głową.

- Mają go prawie wszyscy animatorzy.

- Ale nie w takim stopniu jak pani. Bo pani ma również moc. Czuję jej fale przepływające po mojej skórze. Jest pani nekromantką.

Chciałam zaprzeczyć, ale nie zrobiłam tego. Okłamywanie takiej istoty miało się z celem. Ten stwór był starszy niż wszystko, o czym śniłam, starszy niż najgorszy z koszmarów, jaki kiedykolwiek miałam. Ale nie przyprawił mnie o ból w kościach; to było przyjemne, przyjemniejsze niż w przypadku Jean-Claude'a, przyjemniejsze niż wszystko, czego doświadczyłam.

- Mogłam być nekromantką. Zrezygnowałam z tego z własnej woli.

- Nie, panno Blake, umarli reagują na panią. Wszyscy, bez wyjątku. Nawet ja czuję tę moc. Przyciąga mnie z wielką siłą.

- Czy to ma znaczyć, że mam również pewną władzę nad wampirami?

- Gdyby nauczyła się pani panować nad swoimi talentami, panno Blake, posiadłaby pani sporą władzę nad wszelkimi umarłymi w każdej z ich licznych postaci.

Już miałam zapytać, jak mogłabym tego dokonać, ale ugryzłam się w język. Mistrz wampirów z pewnością nie zechce pomóc mi w zdobyciu władzy nad jego poplecznikami.

- Drażnisz się ze mną.

- Zapewniam panią, że mówię całkiem serio. To pani moc, jej potencjał przyciągnął do pani Mistrza Miasta. On pragnie kontrolować tę kształtującą się potęgę w obawie, aby nie została wykorzystana przeciwko niemu.

- Skąd wiesz?

- Czuję jego smak poprzez znaki, które na panią nałożył.

Patrzyłam na niego. Czuł smak Jean-Claude'a. Cholera.

- Czego ode mnie chcesz?

- Jest pani bezpośrednia. To mi się podoba. Życie ludzkie jest za krótkie, aby marnować je na rzeczy trywialne.

Czy to była groźba? Wpatrując się w to uśmiechnięte oblicze, nie potrafiłam tego stwierdzić. W jego oczach wciąż było widać wesołe iskierki, wciąż emanował niezwykłym ciepłem i życzliwością. Kontakt wzrokowy. Wiedziałam swoje. Wlepiłam wzrok w blat biurka i poczułam się lepiej, choć gorzej równocześnie. Teraz już mogłam się bać.

- Inger mówił, że masz pewien plan, sposób na usunięcie Mistrza Miasta. Może zdradzisz mi, na czym on polega? - powiedziałam, wpatrując się w biurko.

Tak bardzo chciałam unieść wzrok, że aż swędziała mnie skóra. Pragnęłam znów spojrzeć mu w oczy, poczuć zalewającą mnie od stóp do głów falę ciepła i spokoju. To ułatwiłoby mi podejmowanie decyzji. Pokręciłam głową.

- Precz z mojego umysłu albo kończymy to spotkanie.

Znów się zaśmiał, ciepło i prawdziwie. Poczułam na rękach gęsią skórę.

- Naprawdę jest pani dobra. Od stuleci nie spotkałem śmiertelniczki, która mogłaby pani dorównać. Nekromantka, czy zdaje pani sobie sprawę, jak rzadki jest to talent?

Nie wiedziałam, ale zaryzykowałam:

- Oczywiście.

- Proszę, panno Blake, niech pani nie próbuje mnie okłamywać.

- Nie spotkaliśmy się, aby rozmawiać o mnie. Chcę poznać twój plan albo już mnie tu nie ma.

- Ja jestem tym planem, panno Blake. Czuje pani moją moc, pływ energii nagromadzonej przez stulecia, potęgi, o której pani żalosny mistrz może jedynie pomarzyć. Jestem starszy niż sam czas. - W to akurat nie uwierzyłam, ale puściłam to zdanie mimo uszu. Był stary, to nie ulegało wątpliwości. O ile to tylko możliwe, nie zamierzałam się z nim kłócić. - Wydaj mi swego mistrza, a ja uwolnię cię od jego znaków.

Uniosłam wzrok, ale zaraz znów go opuściłam. Wciąż się do mnie uśmiechał, ale jego uśmiech nie wyglądał już prawdziwie. To była gra, jak cała reszta. Ale była to gra na najwyższym poziomie.

- Skoro czujesz smak mego mistrza dzięki moim znakom, to czemu sam nie możesz go odnaleźć?

- Czuję smak jego mocy, potrafię oszacować, jakże godnym byłby dla mnie przeciwnikiem, ale jego imię i miejsce, gdzie się ukrywa, pozostają dla mnie nieodgadnione. Głos miał bardzo poważny, nie próbował ze mną pogrywać. A przynajmniej nie odnosiłam takiego wrażenia. Może to też była jakaś sztuczka.

- Czego ode mnie chcesz?

- Jego imię i miejsce, gdzie ukrywa się za dnia.

- Nie znam położenia jego dziennej kryjówki. - Cieszyłam się, że powiedziałam prawdę, wyczułby, gdybym skłamała.

- Wobec tego zdradz mi jego imię.

- Niby z jakiej racji?

- Ponieważ chcę zostać Mistrzem Miasta, panno Blake.

- Po co?

- Tak wiele pytań. Czy nie wystarczy, że uwolnię panią spod jego władzy? Pokręciłam głową.

- Nie.

- Co panią obchodzi los innych wampirów?

- Nie obchodzi mnie, ale zanim oddam ci władzę nad wszystkimi wampirami w całym mieście, chcę wiedzieć, co zamierzasz z nią zrobić, jak ją wykorzystasz...

Znowu się zaśmiał. Tym razem zwyczajnie. Starał się.

- Jest pani najbardziej upartą kobietą, jaką spotkałem od bardzo dawna. Lubię upartych ludzi, tacy zwykle osiągają zamierzone cele.



- Odpowiedz mi na pytanie.

- Uważam, że błędem jest przyznanie wampirom statusu pełnoprawnych obywateli. Chcę, aby było tak jak dawniej.

- Dlaczego chcesz, aby wampiry znów były ścigane?

- Są zbyt potężne, jeśli nikt nie będzie kontrolować ich liczebności, dojdzie do tragedii. Zyskując prawa obywatelskie i prawo głosu, zdominują i zniszczą rodzaj ludzki szybciej, niż gdyby posunęły się w tym celu do przemocy.

Przypomniałam sobie Kościół Wiecznego Życia, najszybciej powiększający się liczebnie zbór nieumarłych w całym kraju.

- Dajmy na to, że masz rację. Jak zamierzasz położyć temu kres?

- Zakazując wampirom głosować i odmawiając im wszelkich konstytucyjnych praw.

- W mieście są inni mistrzowie.

- Na przykład Malcolm, przywódca Kościoła Wiecznego Życia?

- Tak.

- Obserwowałem go. Nie będzie mógł kontynuować swej samotnej krucjaty o uzyskanie praw dla wampirów. Zakażę wampirom tworzenia zborów i rozwiążę ten Kościół. Z pewnością podobnie jak ja postrzega pani ten Kościół jako bardzo poważne zagrożenie. Faktycznie tak było, ale nie zamierzałam zgadzać się z pradawnym mistrzem wampirów. To wydawało mi się niewłaściwe. - St. Louis jest głównym ośrodkiem działalności politycznej i artystycznej wampirów. Należy to powstrzymać. Jesteśmy drapieżcami, panno Blake. Nic, co uczynimy, nie potrafi tego zmienić. Musimy powrócić do sytuacji, gdy byliśmy ścigani, kiedy na nas polowano, w przeciwnym razie rasa ludzka będzie zgubiona. Z całą pewnością podziela pani moje zdanie.

Nie dało się ukryć. Podzielałam jego zdanie.

- Co cię obchodzi los ludzi? Sam przecież już się do nich nie zaliczasz.

- Moim obowiązkiem, jako najstarszego żyjącego wampira, jest utrzymanie równowagi, panno Blake. Ta afery z prawami obywatelskimi wydostaje się spod kontroli i należy położyć jej kres. Ludzie mają własne, ludzkie prawa. W dawnych czasach zdołały przetrwać jedynie najsilniejsze i najinteligentniejsze wampiry lub te, którym dopisywało szczęście. Ludzcy zabójcy wampirów wypleniali te, które były głupie, nieostrożne albo lubowały się w przemocy. Obawiam się, że bez zachowania poprzedniego status quo za kilka dziesięcioleci może dojść do tragedii.

Zgadzałam się z nim z całego serca i to mnie trochę przerażało. Przyznawałam rację najstarszej żyjącej istocie, jaką kiedykolwiek spotkałam. Miał rację. Czy mogłam mu wydać Jean-Claude'a? Czy powinnam mu go wydać?

- Zgadza się z panem, panie Oliver, ale nie mogę go wydać ot tak, ni stąd, ni zowąd. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię się na to zdobyć.

- Lojalność, szlachetna cecha, przyznaję. Niech się pani nad tym zastanowi, panno Blake, ale proszę nie zwlekać zbyt długo. Muszę wprowadzić swój plan w czyn najszybciej jak to możliwe.

Skinęłam głowę.

- Rozumiem... panie Oliver. Pozna pan moją odpowiedź w ciągu najbliższych kilku dni. Jak mogę się z panem skontaktować?

- Inger przekaże pani wizytówkę z numerem. Może pani rozmawiać z nim równie swobodnie jak ze mną.

Odwrociłam się i spojrzałam na Ingera, który wciąż warował przy drzwiach.

- Jesteś jego ludzkim sługą, prawda?

- Mam ten zaszczyt.

Pokręciłam głową.

- Muszę już wracać.

- Proszę nie wyrzucać sobie, że nie wyczuła pani, iż Inger jest moim sługą. To nie jest coś, co rzuca się w oczy, jak znaki na ciele. Jak ci ludzie mogliby być naszymi oczami i uszami, gdyby wszyscy potrafili ich rozpoznać i zorientować się, komu służą?

Miał rację. W tej i wielu innych kwestiach. Wstałam. On także. Podał mi rękę.

- Przykro mi, ale wiem, że dotyk ułatwia mentalną manipulację.

Opuścił dłoń do boku.

- Nie muszę pani dotykać, aby manipulować panią mentalnie, panno Blake. - Głos miał cudowny, skrzący się i rześki jak świąteczny poranek. Coś ścisnęło mi gardło i sprawiło, że łzy napłynęły do oczu. Cholera, cholera, cholera, cholera.

Wycofałam się do drzwi, Inger otworzył je przede mną. Pozwalali mi odejść. Pan Oliver nie zamierzał dokonać mentalnego gwałtu i wydobyć ze mnie żądane imię. Naprawdę pozwalał mi odejść. Ten fakt bardziej niż cokolwiek innego zdawał się świadczyć na jego korzyść. Bo przecież gdyby chciał, mógłby zrobić mi z mózgu sieczkę. A jednak postanowił mnie puścić.

Inger powoli, z namaszczeniem zamknął za nami drzwi.

- Ile on ma lat? - zapytałam.

- Nie potrafi pani tego stwierdzić?

Pokręciłam głową.

- Ile ma lat?

Inger uśmiechnął się.

- Ja mam ponad siedemset. Pan Oliver był już pradawny, kiedy go poznałem.

- Ma ponad tysiąc.

- Skąd to przypuszczenie?

- Spotkałam wampirzycę, która miała nieco ponad tysiąc lat. Była przerażająca, ale nie dysponowała aż taką mocą.

Uśmiechnął się.

- Jeśli chce pani poznać jego prawdziwy wiek, musi pani sama go o to zapytać.

Przez chwilę wpatrywałam się w uśmiechnięte oblicze Ingera. Przypomniałam sobie, gdzie widziałam twarz podobną do oblicza Olivera. W college'u miałam zajęcia z antropologii. W książce był rysunek kogoś, kto wyglądał jak Oliver. Rysunek przedstawiał rekonstrukcję czaszki pitekanropa. To by oznaczało, że Oliver liczył sobie około miliona lat.

- Boże - jęknęłam.

- Co się stało, panno Blake?

Pokręciłam głową.

- On nie może być aż tak stary.

- To znaczy?

Nie chciałam powiedzieć tego głośno, jakby w obawie, że moje dywagacje mogłyby się ziścić. Milion lat. Jak potężny może stać się wampir w ciągu miliona lat?

W tej samej chwili z głębi domu wyłoniła się i podeszła do nas kobieta. Szła kołyszącym się krokiem, boso, paznokcie u dłoni i stóp miała pomalowane na szkarłatne. Sukienka, przepasana w talii, była tego samego koloru. Nogi miała długie i blade, ale bladość ta z pewnością ustąpiłaby, gdyby kobieta przebywała dostatecznie długo na słońcu. Włosy sięgające poniżej pasa były gęste, lśniące i kruczoczarne. Miała doskonały makijaż, wargi umalowane szkarłatną szminką. Uśmiechnęła się do mnie, błyskając kłami. Mimo to nie była wampirzycą. Nie miałam pojęcia, czym była, ale na

pewno nie zaliczała się do krwiopijców. Zerknęłam na Ingera. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Czy nie powinniśmy już iść? - spytałam.

- Tak - odparł.

Wycofał się w stronę drzwi frontowych. Pospieszyłam za nim. Żadne z nas nie oderwało wzroku od zębatej ślicznotki sunącej korytarzem w naszą stronę. Przemieszczała się płynnie i przeraźliwie szybko. Tak szybkie są między innymi lykantropy, ale do nich ona także się nie zaliczała. Wyminęła Ingera i ruszyła w moim kierunku. Przestałam zgrywać twardzielkę i pognałam tyłem w stronę drzwi. Okazała się jednak dla mnie za szybka, byłaby zresztą za szybka dla każdego śmiertelnika. Schwyciła mnie za prawe przedramię. Zdziwiła się. Poczowała pochewkę z nożem, którą miałam przypiętą powyżej nadgarstka. Nie wiedziała, co to takiego. Punkt dla mnie.

- Czym jesteś? - spytałam spokojnym tonem. Bez lęku. Patrzcie, jaka ze mnie twarda pogromczyni wampirów. Nic mnie nie zmoże. No jasne.

Otworzyła usta szerzej, przesunęła językiem po zębach. Kły miała dłuższe niż u wampira, dziwiłam się, że może zaniknąć normalnie usta.

- Co się dzieje z tymi kłami, kiedy zamykasz usta? - spytałam.

Zamrugła, uśmiech znikł z jej twarzy. Przesunęła językiem po kłach i zobaczyłam, jak odchylają się w górę, do podniebienia.

- Wysuwane kły. Ekstra - przyznałam.

Na jej twarzy malowała się powaga.

- Cieszę się, że podobało ci się widowisko, ale to nie koniec. Czeka cię jeszcze wiele wrażeń.

Kły znów się wysunęły. Rozwarła usta, nieomal ziewnęła, błyskając kłami w słabych promieniach słońca przenikających przez szpary między zasłonami.

- Panu Oliverowi nie spodoba się, że jej grozisz - powiedział Inger.

- Robi się słaby, sentymentalny. - Wbiła palce w moje ramię silniej, niż to było konieczne.

Trzymała mnie za prawą rękę, nie mogłam więc sięgnąć po pistolet. Noże odpadały z tych samych powodów. Może powinnam nosić przy sobie więcej spluw. Syknęła na mnie, gwałtowną eksplozją powietrza, której nie mogło wydać żadne ludzkie gardło. Język miała rozdwojony jak wąż.

- Rany boskie, co z ciebie za stwór?

Zaśmiała się, ale ten dźwięk, może z uwagi na jej rozdwojony język, zabrzmiał fałszywie. Źrenice zwęziły się w szparki, tęczówki przybrały żółtozłotą barwę.

Szarpnęłam mocno prawą rękę, ale jej palce były jak ze stali. Upadłam na podłogę. Opuściła moją rękę, ale nie puściła. Przetoczyłam się na lewy bok, podciągnęłam kolana do piersi i z całej siły obunóż kopnęłam ją w prawe kolano. Noga załamała się pod nią. Kobieta krzyknęła i runęła na podłogę. W końcu mnie puściła.

Coś dziwnego działo się z jej nogami. Wyglądało, jakby się zrastały, pokrywały łączącą je skórą. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś takiego i nie miałam ochoty oglądać tego teraz.

- Co robisz, Melanie? - rozległo się z tyłu za nami.

Oliver stał w korytarzu, na granicy światła wpadającego przez okna w pokoju. Jego głos przywodził na myśl odgłos kamiennej lawiny albo gruchotanych drzew. Słowa te miały moc burzy, mogły miażdżyć, rozrywać i niszczyć. Na dźwięk jego głosu stwór na podłodze skulił się. Dolna część jej ciała wyglądała jak ogon węża, wielkiego węża. Jezu.

- To lamia - rzekłam półgłosem. Wycofałam się aż do drzwi, gdzie dłonią namacałam klamkę. - Myślałam, że to wymarły gatunek.

- Ona jest ostatnia - wyjaśnił Oliver. - Trzymam ją przy sobie z obawy przed tym, co mogłaby zrobić, gdyby dała upust swym żądom.

- Co jest twoim zwierzęciem? - zapytałam.

Westchnął, a ja poczułam zawarte w tym odgłosie lata samotności. Żal, którego nie sposób wyrazić słowami.

- Węże. Umiem przywoływać węże.

Pokiwałam głową.

- Jasne.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na skąpany w słońcu ganek. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Drzwi zamknęły się za mną i po chwili na ganku zjawił się Inger. Cały aż kipiał ze złości.

- Pokornie prosimy o wybaczenie za jej zachowanie. To tylko zwierzę.

- Oliver powinien trzymać ją na krótszej smyczy.

- Stara się.

Skinęłam głową. Wiem coś niecoś o takich staraniach. Robił co w jego mocy, ale istota potrafiąca kontrolować lamię mogła manipulować mną mentalnie przez cały dzień, a ja nawet nie zdawałabym sobie z tego sprawy. W jakim stopniu moje zaufanie i życzliwość były szczere, a na ile zostały wdrukowane do umysłu przez Olivera?

- Odwiozę panią.

- Bardzo proszę.

Odjechaliśmy. Miałam za sobą pierwsze spotkanie z lamią i być może najstarszą żyjącą istotą na tej ziemi. Dni takich jak ten nie zapomina się do końca życia.

Gdy otworzyłam drzwi do mieszkania, zadzwonił telefon. Pchnęłam je barkiem i pobiegłam do aparatu. Odebrałam przy piątym sygnale i niemal na całe gardło ryknęłam:

- Halo!

- Anito? - Ronnie pytająco wymówiła moje imię.

- Tak. To ja.

- Wydajesz się zdyszana.

- Bo biegłam do telefonu. Co jest?

- Przypomniało mi się dokładnie, skąd znam Cala Ruperta.

Dopiero po dłuższej chwili przypominałam sobie, o kim mowa. O pierwszej ofierze wampira. Omal nie zapominałam, że przecież przez cały czas trwa śledztwo w sprawie zabójstwa. Zrobiło mi się głupio.

- Mów dalej, Ronnie.

- W zeszłym roku pracowałam przez pewien czas na zlecenie lokalnej kancelarii prawniczej. Jeden z tamtejszych prawników specjalizował się w sporządzaniu postanowień testamentowych.

- Wiem, że Rupert miał w swoim testamencie specjalną klauzulę. To dlatego mogłam go zakołkować, nie czekając na nakaz egzekucji.

- Ale czy wiesz, że Reba Baker także miała podobną klauzulę i że jej testament sporządził ten sam mecenas?

- Kim jest Reba Baker?

- To może być ta zamordowana kobieta.

Poczułam ucisk w doku. Ślad, prawdziwy, gorący trop.

- Skąd to przypuszczenie?

- Reba Baker była młoda, jasnowłosa i nie przyszła na umówione spotkanie. Nie odbiera także telefonu. Dzwoniono do niej do pracy, ale nie pokazała się tam od dwóch dni.

- Czyli od czasu, kiedy znaleziono ciało tej kobiety - wtrąciłam.

- Otóż to.

- Zadzwoń do sierżanta Rudolfa Storra. Powiedz mu dokładnie to samo co mnie przed chwilą. Powołaj się na mnie, aby z nim mówić.

- Nie chcesz, abyśmy same zajęły się tą sprawą?

- W życiu. To robota dla policji. Oni są w tym naprawdę dobrzy. Niech zarobią na swoje pensje.

- Cholercia, nie dasz się nam nawet trochę zabawić.

- Ronnie, zadzwoń do Dolpha. Powiedz policji to, co wiesz. Spotkałam się z wampirami, które zabiły tych ludzi. Lepiej, żebyśmy nie stały się ich kolejnym celem.

- O czym ty mówisz?

Westchnęłam. Zapomniałam, że Ronnie o niczym nie wie. Opowiedziałam jej wszystko w telegraficznym skrócie. Była bystra, zrozumie.

- O szczegółach opowiem ci w sobotę rano, podczas ćwiczeń.

- Chyba dasz sobie radę?

- Jak dotąd idzie mi całkiem nieźle.

- Uważaj na siebie, dobrze?

- Jak zawsze. Ty też.

- Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że pakowanie się w kłopoty to nie moja, lecz twoja specjalność.

- Powinnaś się cieszyć - odparłam.

- Cieszę się. - Odłożyła słuchawkę.

Miałyśmy ślad. Może nawet wzorzec, jeśli nie liczyć ataku na mnie. To nie pasowało do żadnego schematu. Wzięli się za mnie, aby dopaść Jean-Claude'a. Wszyscy chcieli go zdetronizować. Sęk w tym, że Mistrz Miasta nie może abdykować, może co najwyżej zginąć. Spodobało mi się to, co usłyszałam od Olivera. Zgadzałam się z nim, czy jednak mogłabym poświęcić Jean-Claude'a na ołtarzu zdrowego rozsądku? Cholera. Nie miałam pojęcia. Po prostu nie wiedziałam.

Gabinet Berta był pomalowany na niebiesko. Jego zdaniem to miało wpływać uspokajająco na klientów. Według mnie gabinet był chłodny, ale to Bertowi pasowało. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był barczysty i zbudowany jak futbolista. Jego brzuch stawał się coraz bardziej wyraźny od nadmiaru posiłków i niedostatku ćwiczeń, ale garnitury za siedemset dolarów starannie tuszowały ten mankament. Za takie pieniądze garnitur powinien ukryć nawet Tadž Mahal. Był opalony, szarooki, ze starannie i krótko przystrzyżonymi, prawie białymi włosami. Nie były siwe, po prostu były tak jasne. Usiadłam naprzeciw niego, w stroju roboczym. Czerwona spódniczka, dobrany pod kolor żakiet i bluzka tak czerwona, że musiałam nałożyć lekki makijaż, aby moja twarz nie wydawała się trupio blada. Żakiet był tak skrojony, aby maskował kaburę podramienną.

Larry siedział na krześle obok mnie, w granatowym garniturze, białej koszuli i krawacie w granatowe wzorki. Skóra na jego czole mieniła się wokół szwów wszystkimi kolorami tęczy jak solidny siniak. Krótkie rude włosy nie mogły tego ukryć. Wyglądał, jakby ktoś grzmotnął go w głowę kijem baseballowym.

- On mógł zginąć, Bert - powiedziałam.

- Nic mu nie groziło, dopóki ty się nie pojawiłaś. Wampiry chciały nie jego, lecz ciebie.

Miał rację i to wcale mi się nie spodobało.

- Próbował ożywić trzeciego nieboszczyka.

Małe, zimne oczy Berta rozbłysły lodowatym światłem.

- Potrafisz przywołać trzech w ciągu jednej nocy?

Larry miał na tyle przytomności umysłu, żeby udąć zażenowanie.

- Prawie.

Bert zmarszczył brwi.

- Co to znaczy „prawie”?

- To znaczy, że go ożywił, ale nie zdołał nad nim zapanować. Gdyby mnie tam nie było, aby załagodzić sytuację, mielibyśmy teraz problem z szalejącym, zbuntowanym zombi.

Bert nachylił się do przodu, złączył dłonie na blacie biurka, a w jego małych oczkach pojawił się wyraz powagi.

- Czy to prawda, Larry?

- Obawiam się, że tak, panie Vaughn.

- Mogło być bardzo źle, Larry. To, co się stało, to poważna sprawa. Czy to rozumiesz?

- Poważna sprawa? - rzuciłam. - To byłaby katastrofa! Zombi mógł pożreć jednego z naszych klientów!

- Daj spokój, Anito, nie ma potrzeby straszyć chłopaka.

Wstałam.

- Mam na ten temat inne zdanie.

Bert łypnął na mnie spode łba.

- Gdybyś się nie spóźniła, nie podjąłby próby ożywienia tego zombi.

- Nie, Bert. Nie zwalisz całej winy na mnie. Wysłałeś go samego, pierwszej nocy. Posłałeś go na zlecenie samego!

- I całkiem nieźle sobie poradził - przyznał Bert.

Zdusiłam w sobie krzyk. To i tak nic by nie dało.

- Bert, to student college'u, ma dopiero dwadzieścia lat, jest u nas na stażu. Jeśli zginie podczas wykonywania zajęć, narobi nam nie lada kłopotów.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytał Larry.

- Nie - odburknęłam.

- Oczywiście - odparł Bert.

- Jestem już dorosły. Umiem o siebie zadbać.

Już miałam zaoponować, ale spojrzawszy w jego szczerze niebieskie oczy, nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Miał dwadzieścia lat. Pamiętałam, kiedy i ja miałam tyle. Wtedy też wszystko wiedziałam. Dopiero w rok później uświadomiłam sobie, iż tak naprawdę wiem, że nic nie wiem. Może zdołam się jeszcze czegoś nauczyć przed trzydziestką, ale nie zamierzałam czekać na to z zapartym tchem.

- Ile miałaś lat, gdy zaczęłaś dla mnie pracować? - zapytał Bert.

- Co?

- Ile miałaś lat?

- Dwadzieścia jeden. Właśnie skończyłam college.

- Kiedy skończysz dwadzieścia jeden, Larry? - spytał Bert.

- W marcu.

- Widzisz, Anito, jest tylko o kilka miesięcy młodszy. Jest w tym samym wieku, co byłaś ty.

- To było co innego.

- Jak to? - spytał Bert.

Nie potrafiłam określić tego słowami. Larry miał jeszcze dziadków. Nigdy dotąd nie zetknął się z prawdziwą śmiercią i przemocą. Ja owszem. On był niewinny. Ja swoją niewinność utraciłam wiele lat temu. Jak miałam to wytłumaczyć Bertowi, nie raniąc uczuć Larry'ego? Żaden dwudziestolatek nie pogodzi się z myślą, że jakaś kobieta wie o życiu więcej od niego. Pewne z gruntu fałszywe wzorce kulturowe są nie do zdarcia.

- Ja pierwszej nocy nie byłam sama. Towarzyszył mi Manny.

- Miał pójść z tobą, ale przeszkodziły w tym inne twoje obowiązki. No, sama wiesz, współpraca z policją i takie tam.

- Nie obwiniaj mnie, Bert. To nic w porządku i wiesz tym równie dobrze jak ja.

Wzruszył ramionami.

- Gdybyś robiła, co do ciebie należy, nie byłby zdany wyłącznie na siebie.

- Miały miejsce dwa morderstwa. Co miałam zrobić? Powiedzieć: „Wybaczcie, chłopcy, ale muszę zaopiekować się nowym animatorem. Przykro mi, nie mogę wam pomóc przy tych zabójstwach”.

- Nie potrzebuję opiekunki - rzucił Larry.

Zignorowaliśmy go oboje.

- Masz pełny etat w mojej firmie.

- Już to przerabialiśmy.

- Zbyt wiele razy - przyznał.

- Jesteś moim szefem. Zrób to, co według ciebie najodpowiedniejsze.

- Nie kuś mnie.

- Hej, co jest, przestańcie - wtrącił Larry. - Mam wrażenie, że stanowią tylko dogodny pretekst dla waszej kolejnej kłótni. Nie dajcie się ponieść nerwom, dobra?

Oboje spiorunowaliśmy go wzrokiem. Nie ugiął się. Wytrzymał nasze spojrzenia. Punkt dla niego.

- Jeśli twoim zdaniem źle wypełniam swoje obowiązki, to mnie wylej, ale przestań wzbudzać we mnie poczucie winy. Mam dość drażnienia się z tobą.

Bert wstał powoli, niczym lewiatan wyłaniający się z głębin.

- Anito... - Zadzwoił telefon. Wszyscy spojrzeliśmy na aparat. Bert podniósł słuchawkę. - Kto mówi? - Słuchał przez chwilę, po czym spojrzał na mnie. - Do ciebie. Powiedział to niewiarygodnie ciepłym tonem. - Detektyw sierżant Storr, sprawa służbowa. Bert uśmiechał się od ucha do ucha, ale wzrok miał zimny jak lód. Wciąż się uśmiechał, jego małe, szare oczka nieco złagodniały. To był zły znak.

- Cześć, Dolph, co jest?

- Jesteśmy w kancelarii prawnej, o której powiedziała nam twoja przyjaciółka, Veronica Sims. Miło, że najpierw zadzwoniła do ciebie, a nie do nas.

- Najpierw do mnie, ale zaraz potem do was. Czy to źle?

- Skądże.

- Czego się dowiedzieliście? - Nie ściszyłam głosu. Przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji, nawet jeśli rozmawiasz z kimś przy ludziach, osoby postronne nie są w stanie wyłowić niczego istotnego.

- Ta zabita kobieta to Reba Baker. Została zidentyfikowana na podstawie fotografii z kostnicy.

- Niezłe zakończenie tygodnia pracy - stwierdziłam.

Dolph zignorował moją uwagę.

- Obie ofiary miały w swych testamentach specjalną klauzulę. W razie śmierci wskutek ukąszenia przez wampira miały zostać zakołkowane, a następnie poddane kremacji.

- Wygląda mi to na wzorzec - wtrąciłam.

- Ale w jaki sposób wampiry mogły dowiedzieć się, że ci ludzie mieli w swoich testamentach specjalne klauzule?

- Czy to podchwytliwe pytanie, Dolph? Ktoś im powiedział.

- Wiem - mruknął. Wydawał się zniesmaczony. Coś mi umknęło.

- Czego ty właściwie chcesz, Dolph?

- Przesłuchałem wszystkich i każda z tych osób bez wyjątku przysięga, że mówi prawdę. Czy to

możliwe, aby ktoś przekazał te informacje i o tym nie pamiętał?

- Chodzi ci o to, że jakiś wampir namącił temu komuś w głowie, aby zdrajca po fakcie nie był świadomy tego, co zrobił?

- Otóż to.

- Jasne - odparłam.

- Czy gdybyś tu przyjechała, mogłabyś rozpoznać osobę poddaną przez wampira hipnozie?

Spojrzałam na twarz mego szefa. Gdybym odpuściła sobie jeszcze jedną noc w najgorętszym sezonie, wylałby mnie jak amen w pacierzu. Bywały takie dni, kiedy ani trochę się tym nie przejmowałam. To nie był jeden z tych dni.

- Szukaj oznak utraty pamięci, luk trwających przez kilka godzin lub nawet parę nocy.

- Coś jeszcze?

- Jeżeli ktoś przekazuje informacje wampirom, może tego nie pamiętać, ale dobry hipnotyzer powinien dać sobie radę z przełamaniem mentalnych blokad.

- Mecenas warczy nam tu o prawach i nakazach. Mamy jedynie nakaz na wgląd do akt, nie do umysłów tamtejszych pracowników.

- Zapytaj go, czy chce być odpowiedzialny za śmierć kolejnej ofiary wampirów, i przy okazji jednego spośród swoich klientów.

- Nie jego, lecz ją, mecenas to kobieta - poprawił mnie.

Poczułam się jak szowinistka.

- Spytaj ją, czy ma ochotę tłumaczyć rodzinie swego klienta, dlaczego utrudnia wam prowadzenie śledztwa.

- Klienci nie dowiedzą się o tym, chyba że sami ich powiadomimy - mruknął Dolph.

- Fakt.

- Ale to przecież szantaż, panno Blake.

- Co racja, to racja.

- W poprzednim życiu musiałaś chyba być gliną - dodał. - Jesteś zbyt podstępna, abyś mogła być kimś innym.

- Dzięki za uznanie.

- Polecisz nam jakiegoś hipnotyzera?

- Alvina Thormunda. Zaczekaj chwilę, podam ci jego numer.

Wyjęłam wizytownik. Trzymałam w nim tylko naprawdę ważne wizytówki osób, z pomocy których mogłam potrzebować nagle skorzystać. Alvin pomagał nam już kilkakrotnie w przypadkach cierpiących na amnezję ofiar ataków wampirów. Podałam Dolphowi numer.

- Dzięki, Anito.

- Daj mi znać, jeśli się czegoś dowiesz. Może będę mogła zidentyfikować wampira, który jest w to zamieszany.

- Chcesz być obecna przy seansie hipnotycznym?

Spojrzałam na Bertę. Wciąż wydawał się rozluźniony i zadowolony. Taki był najgroźniejszy.

- Raczej nie. Nagraj całą sesję. Jeśli to będzie konieczne, później przesłucham taśmę.

- Później może oznaczać kolejnego trupa - mruknął Dolph. - Szef znów zalazł ci za skórę?

- Taa - odparłam.

- Mam z nim pogadać? - spytał Dolph.

- Raczej nie.

- Robi ci problemy?

- Jak zwykle.



- W porządku. Zadzwoń do tego Thormunda i nagram całą sesję. Powiadomię cię, jeżeli tylko czegoś się dowiemy.

- Daj mi sygnał na pager.

- Nie ma sprawy. - Odłożył słuchawkę. Nawet się nie pożegnał. Jak zwykle.

Oddałam słuchawkę Bertowi. Odłożył ją, wciąż patrząc na mnie tymi ciepłymi, przyjaznymi oczami.

- Dziś w nocy także musisz współpracować z policją?

- Nie.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Odpuść sobie ten sarkastyczny ton, Bert. - Odwróciłam się do Larry'ego. - Jesteś gotowy, młody? Możemy iść?

- Ile masz lat? - zapytał.

Bert uśmiechnął się.

- Czy to ważne? - spytałam.

- Po prostu odpowiedz, dobra?

Wzruszyłam ramionami.

- Dwadzieścia cztery.

- Jesteś starsza ode mnie tylko o cztery lata. Nie mów do mnie „młody”.

Uśmiechnęłam się.

- W porządku, ale lepiej już chodźmy. Mamy do ożywienia paru truposzy. Trzeba zarobić trochę grosza.

Spojrzałam na Berta. Rozparł się w fotelu, splatając dłonie o krótkich, grubych palcach na brzuchu. Uśmiechał się. Miałam ochotę pięścią zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy. Pohamowałam się jednak. I niech ktoś teraz powie, że nie panuję nad swymi emocjami.

### 33

Do świtu została jeszcze godzina. To czas, kiedy wszystkie rybki śpią w jeziorze. Przepraszam, to nie ta bajka. Gdy jestem zmuszona do tak długiego czuwania, zaczynam lekko świrować. Przez całą noc uczyłam Larry'ego, jak być dobrym, szanującym prawo animatorem. Nie byłam pewna, czy Bert doceni to ostatnie, ale ja na pewno.

Cmentarz był mały. Rodzinna parcela. Wzgórze otaczała wąska dwupasmówka, przy której jakby zniecka pojawiał się zwirowany kawałek gruntu. Miało się tylko parę sekund na zastanowienie i było się na miejscu. Groby rozmieszczono na stoku. Zbocze było tak strome, że wydawało się, iż trumny powinny zsunąć się po nim jak lawina.

Staliśmy w mroku, a ponad nami szumiały korony drzew. Po obu stronach drogi rozciągał się gęsty las. Cmentarzyk, choć mały, wyglądał na zadbane. Zajmowali się nim na co dzień żyjący krewni drogich nieobecnych. Wolałam nawet nie myśleć, w jaki sposób koszono tutaj trawę. Może opracowano specjalny system wielokrążków z linami, które zabezpieczały kosiarkę przed wywróceniem i przyłączeniem kosiarza do grona stałych lokatorów tego niedużego poletka.

Nasi ostatni klienci powrócili właśnie do cywilizacji. Ja ożywiłam pięciu umarłaków, Larry jednego. Mógłby ożywić drugiego, ale zaczęło się już robić jasno. Przywoływanie zombi, przynajmniej w moim przypadku, nie zajmuje dużo czasu, ale trzeba jeszcze liczyć dojazd. W ciągu czterech lat zdarzyło mi się ożywić tylko dwóch zombi na jednym cmentarzu tej samej nocy. Większość czasu marnotrawię, prując na łeb na szyję, aby zdążyć na kolejne umówione spotkania.

Mój nieszczęsny wóz został odholowany do stacji obsługi, ale faceci od ubezpieczeń jeszcze go nie widzieli. Podejrzywałam, że skontaktują się ze mną za parę dni lub, co bardziej prawdopodobne, tygodni. Poinformują mnie oczywiście, że auto nadaje się do kasacji. Nie miałam czasu wynajść

nowego samochodu, więc pojechaliśmy wozem Larry'ego. To on prowadził. Byłby ze mną, nawet gdybym miała swoje auto. Skarżyłam się na zbytne obciążenie w pracy, nadmiar zleceń, więc musiałam go wyszkolić. W sumie to całkiem rozsądne rozwiązanie.

Wiatr szumiał wśród drzew. Suche liście z szelestem przetaczały się po szosie. Noc była pełna drobnych, spiesznych odgłosów. Co zwiastowały te dźwięki? Wigilię Wszystkich Świętych. Nieomal czuło się Halloween w powietrzu.

- Uwielbiam takie noce - rzekł Larry.

Spojrzałam na niego. Staliśmy z rękoma w kieszeniach, wpatrując się w ciemność.

Cieszyliśmy się tą chwilą. Poza tym oboje byliśmy ubabrani kurzą krwią. Ot, zwyczajna, normalna noc.

Rozległ się sygnał mojego pagera. Wysoki, przeciągły dźwięk nie pasował do tej cichej, przepęnlonej poszumem wiatru nocy. Wcisnęłam guzik. Litościwie hałas ucichł. W blasku podświetlonego ekraniku zobaczyłam numer telefonu. Nie znałam tego numeru. Miałam nadzieję, że to nie Dolph. Nieznany numer o tak późnej lub raczej wczesnej porze, zależy od punktu widzenia, mógł oznaczać tylko jedno - kolejne morderstwo. Jeszcze jedne zwłoki.

- Chodź, musimy zadzwonić.

- Kto to?

- Nie jestem pewna. - Zaczęłam schodzić ze wzgórza.

Podążył za mną i zapytał:

- Jak sądzisz, kto to może być?

- Może policja.

- W sprawie tych zabójstw, którymi się zajmujesz?

Zerknęłam na niego i grzmotnęłam kolanem w nagrobek. Przystanęłam na chwilę, wstrzymując oddech, podczas gdy moje ciało przenikał palący ból.

- Cholera! - warknęłam przez zęby.

- Wszystko w porządku? - Larry dotknął mego ramienia.

Cofnęłam się przed jego dłonią i po kilku sekundach Larry opuścił rękę. Nie lubiłam, gdy ktoś mnie dotykał.

- Nic mi nie jest.

Prawdę mówiąc, noga wciąż mnie bolała, ale cóż mogłam na to poradzić? Do wesela

się zagoi. Musiałam dotrzeć do telefonu, a jeżeli rozchodzę nogę, ból powinien trochę zelżeć.

Naprawdę. Rozejrzałam się uważnie, aby uniknąć bliższego kontaktu z innymi twardymi przeszkodami.

- Co wiesz o tych morderstwach?

- Tylko to, że pomagasz policji w śledztwach związanych z nadnaturalnymi zbrodniami i że odrywają cię one od wykonywania zawodu animatorki.

- Bert ci to powiedział.

- Pan Vaughn, tak.

Dotarliśmy już do samochodu.

- Posłuchaj, Larry, jeżeli masz pracować w naszej firmie, musisz przestać zwracać się do nas per pani czy pan. Nie jesteśmy twoimi mentorami. Jesteśmy współpracownikami.

Uśmiechnął się, w ciemnościach błysnęły białe zęby.

- W porządku, panno... Anito.

- Już lepiej. A teraz znajźmy jakiś telefon.

Pojechaliśmy do Chesterfield w przekonaniu, że skoro było to najbliższe miasteczko, musi również

znajdować się w nim najbliższa budka telefoniczna. Było ich nawet kilka, na parkingu przy nieczynnym zakładzie naprawy samochodów. Neon stacji obsługi jarzył się w ciemnościach, ale halogenowa latarnia nad budkami telefonicznymi przemieniała noc w dzień. Wokół latarni krążyły ćmy i inne owady. Tu i ówdzie przemykały żłaknione owadów nietoperze.

Wybrałam numer, podczas gdy Larry czekał w samochodzie. Miał u mnie punkty za dyskrecję. Rozbrzmiał jeden sygnał, potem drugi i nagle usłyszałam głos.

- To ty, Anito?

To był Irving Griswold, reporter i mój przyjaciel.

- Co cię, u licha, napadło, żeby dzwonić do mnie na pager o tak bezbożnej godzinie?

- Jean-Claude chce cię zobaczyć, jeszcze tej nocy, zaraz, teraz.

Mówił szybko i jakby niepewnie.

- Czemu to ty przekazujesz mi wiadomość?

Coś mi mówiło, że odpowiedź nie przypadnie mi do gustu.

- Jestem wilkołakiem - odparł.

- A co to ma z tym wspólnego?

- Nie wiesz? - Wydawał się zaskoczony.

- O czym miałabym wiedzieć? - Byłam coraz bardziej wkurzona. Nie znoszę gry w dwadzieścia pytań.

- Wilk jest zwierzęciem Jean-Claude'a.

To tłumaczyło obecność wilkołaka Stephena i czarnoskórej kobiety.

- Czemu nie było cię tam tej nocy, Irving? Czyżby spuścił cię ze smyczy?

- Nie mów tak. To nie fair.

Miał rację. To nie było fair.

- Wybacz, Irving. Po prostu mam wyrzuty sumienia, że mu cię przedstawiłam.

- Chciałem przeprowadzić wywiad z Mistrzem Miasta. I dostałem to, czego chciałem.

- Było warto? - spytałam.

- Bez komentarza.

- To moja kwestia.

Wybuchnął śmiechem.

- Czy możesz przyjechać do Cyrku Potępieńców? Jean-Claude zdobył pewne informacje na temat mistrza wampirów, który próbował cię dopaść.

- Alejandro?

- Właśnie.

- Przyjedziemy najszybciej, jak się da, ale to dość ryzykowne. Dotrzemy na nabrzeże tuż przed świtem.

- My to znaczy kto?

- Towarzyszy mi młody animator. Przyuczam go do zawodu. Jest moim kierowcą. Zamilkłam na chwilę. - Powiedz Jean-Claude'owi, żeby odpuścił sobie dziś co bardziej podłe sztuczki.

- Sama mu to powiedz.

- Tchórz.

- Tak, psze pani. Do zobaczenia wkrótce. Na razie.

- Cześć, Irving.

Jeszcze przez chwilę trzymałam przy uchu słuchawkę, z której dobiegał jedynie cichy szum, po czym odwiesiłam ją na widełki.

Irving był istotą podległą Jean-Claude'owi. Jean-Claude potrafił przywoływać wilki, tak jak pan

Oliver węże. W ten sam sposób Nikolaos władała szczurami i szczurołakami. To wszystko były potwory. I każdy z nich miał inny gust. Cóż, jeden lubi to, a drugi co innego.

Wróciłam do samochodu.

- Chciałeś nabrać więcej doświadczenia, jeżeli chodzi o wampiry, zgadza się? Zapięłam pas.

- Oczywiście - odparł Larry.

- Cóż, twoje życzenie spełni się szybciej, niż przypuszczałeś. Jeszcze dziś.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wyjaśnię po drodze. Mamy niewiele czasu. Musimy zdążyć przed świtem.

Larry wrzucił bieg i wyprowadził wóz z parkingu. W świetle płynącym z deski rozdzielczej wydawał się niezwykle podekscytowany. Podekscytowany i bardzo, ale to bardzo młody.

**34**

Cyrk Potępieńców zamknięto na noc, a raczej na nadchodzący ranek. Wciąż było ciemno, ale na wschodzie zaczęło się już rozjaśniać, gdy zatrzymaliśmy samochód przed magazynem. Godzinę temu przed Cyrkiem nie można by wetknąć szpilki. Turyści jednak rozjechali się, gdy wampiry zamknęły interes.

Spojrzałam na Larry'ego. Na twarzy miał rozmazaną zaschlą krew. Podobnie jak ja. Aż do teraz nie przyszło mi do głowy, aby najpierw doprowadzić się do porządku. Zerknęłam na niebo na wschodzie i pokręciłam głową. Nie było czasu. Zbliżał się świt. Zębate kłowny wciąż świeciły się i kręciły w kółko na szczycie markizy, ale nawet one wydawały się zmęczone. A może to ja byłam zmęczona.

- Rób to co ja, Larry. Nie zapominaj, że to potwory, niezależnie jak bardzo przypominają ludzi, z pewnością nimi nie są. Nie zdejmuj krzyżyka, nie pozwól im się dotykać i nie patrz im prosto w oczy.

- Znam to ze szkoły. Przez dwa semestry miałem badania nad wampirami.

Pokręciłam głową.

- To, czego się uczyłeś w szkole, na nic ci się nie przyda, Larry. Tam uczyli cię teorii. Tu jest rzeczywistość. Żadne dziesiątki godzin wykładów nie przygotowują cię na spotkanie z krwiopijcami.

- Mieliśmy gościnnych wykładowców. W tym także wampiry.

Westchnęłam i odpuściłam dalszą dyskusję. Będzie musiał nauczyć się na własnych błędach. Doświadczy tego na swojej skórze. Fizycznie. Jak wszyscy. Jak ja.

Olbrzymie drzwi były zamknięte. Zapukałam. W chwili potem się otworzyły. Stał w nich Irving. Nie uśmiechał się. Wyglądał jak pulchny cherubin z miękkimi kręconymi włosami opadającymi na uszy i okazałą łysinką na czubku głowy. Na mały nos miał nasadzone okulary z okrągłymi szklami w drucianych oprawkach. Jego oczy lekko się rozszerzyły, gdy weszliśmy do środka. W świetle krew nie przypominała niczego innego.

- Co robiliście dziś w nocy? - zapytał.

- Ożywialiśmy zmarłych - odparłam.

- To ten nowy animator?

- Larry Kirkland, Irving Griswold. To reporter, cokolwiek powiesz, może zostać użyte przeciw tobie.

- Hej, Blake, przecież nigdy cię nie cytowałem, gdy mi tego otwarcie zabraniałaś. Grajmy uczciwie. Przyznaj sama.

Skinęłam głową.

- Przyznaję.

- Czeka na dole - rzucił Irving.

- Na dole? - spytałam.

- Już prawie świta. Musi być pod ziemią.

Ach, tak.

- Jasne - mruknęłam, ale coś nagle ścisnęło mnie w żołądku. Ostatni raz schodziłam w Cyrku pod ziemię, aby zabić Nikolaos. Tego ranka śmierć zebrała spore żniwo. Polało się wiele krwi. W tym także mojej.

Irving przeprowadził nas przez tonący w ciszy plac. Ktoś przygasił światła i w magazynie panował posępny półmrok. Stanowiska gier były pozamykane, wypchane zwierzaki nakryte brezentem. W powietrzu unosił się delikatny aromat kukurydzy na gorąco i waty cukrowej, ale nawet te zapachy wydawały się znużone i niewyraźne. Minęliśmy nawiedzony dom, którego szczyt zdobiła naturalnej wielkości wiedźma, milcząca, nieruchoma, z wylupiastymi oczami. Na nosie miała wielką brodawkę i była zielona. Nigdy nie spotkałam czarownicy, która nie wyglądała zwyczajnie. Żadna z nich nie była zielona, a brodawki można było usunąć chirurgicznie. Obok stał szklany dom. Nad wszystkim górował diabelski młyn.

Wyrecytowałam:

*Czuję się, jakbym*

*Szedł rażnym krokiem Przez pustą balową salę, Światła zgaszone,*

*Girlandy martwe*

*I tylko ja zostałam.*

Irving spojrzał na mnie.

- Thomas Moore, *Oft in the Stilly Night*.

Uśmiechnęłam się.

- Za cholerę nie przypominałabym sobie tytułu. Ale chyba zgodzę się, że trafnie określiłeś fragment.

- Dwa magisteria, z dziennikarstwa i literatury angielskiej.

- Założę się, że to ostatnie bardzo ci się przydaje w zawodzie reportera powiedziałam.

- O ile tylko mogę, staram się popisywać swoją ogładą i kulturą. - Wydawał się urażony, ale wiedziałam, że udaje. Trochę poprawił mi się humor, gdy uświadomiłam sobie, że Irving ze mną żartuje. To było miłe i normalne. A tego dziś potrzebowałam nade wszystko. Do świtu została godzina. Ile złego mógł narobić Jean-Claude w ciągu godziny?

Lepiej nie pytać.

Drzwi w ścianie były grube, drewniane i oznaczone tabliczką z napisem:

NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Po raz pierwszy chciałam należeć do

szerokiego grona owych nieupoważnionych. Za drzwiami znajdowało się nieduże pomieszczenie, składzik; z sufitu zwieszała się jedna goła żarówka. Drugie drzwi prowadziły do schodów w dół. Stopnie wydawały się dość szerokie, aby mogły po nich stąpać trzy osoby naraz, idąc obok siebie. Może byłoby im ciasno, ale dałyby jakoś radę. Irving szedł przed nami, jakby wciąż trzeba nam było wskazywać drogę. A stąd można było tylko w jedną stronę. Na dół. Prorocze skojarzenie, nie ma co. Dotarliśmy do ostrego zakrętu. Zza załomu muru dobiegł szelest materiału, coś się tam poruszyło. Wyjęłam pistolet i wymierzyłam. Zero zastanowienia, ot zwyczajny instynkt. I mnóstwo treningu. Ćwiczenie czyni mistrza.

- To nie będzie potrzebne - rzekł Irving.

- To ty tak twierdzisz.

- Sądziłem, że Mistrz jest twoim przyjacielem - rzekł Larry.

- Wampiry nie mają przyjaciół.

- A nauczyciele? - Zza załomu muru wyłonił się Richard Zeeman. Miał na sobie

ciemnozielony sweter w seledynowo-brązowe, delikatne wzory. Sweter sięgał mu prawie do kolan. Ja mogłabym nosić go zamiast sukienki. Podwinął rękawy do łokci. Ubioru dopełniały dżinsy i białe adidasy.

- Jean-Claude przysłał mnie, abym tu na was zaczekał.

- Dlaczego? - spytałam.

Wzruszył ramionami.

- Wydaje się zdenerwowany. Woląłem go o nic nie pytać.

- Rozsądna decyzja - pochwaliłam.

- Ruszajmy - rzucił Irving.

- Ty też wydajesz się zdenerwowany, Irving.

- On rozkazuje, ja słucham, Anito. Jestem jego zwierzęciem. - Wyciągnęłam rękę, aby dotknąć ramienia Irvinga, ale on się odsunął. - Sądziłem, że potrafię grać człowieka, ale on pokazał mi, że jestem zwierzęciem.

- Nie pozwól, aby ci to robił - zaproponowałam.

Spojrzał na mnie, jego oczy wypełniły się łzami.

- Nie mogę go powstrzymać.

- Lepiej już chodźmy. Do świtu niedaleko - rzekł Richard. Za to, co powiedział, spiorunowałam go wzrokiem. Wzruszył ramionami. - Lepiej nie każmy Mistrzowi czekać.

Wiesz, że to jest raczej niewskazane.

Wiedziałam. Pokiwałam głową.

- Racja. Nie mam prawa wściekać się na ciebie.

- Dzięki.

Pokręciłam głową.

- Zróbmy to.

- Możesz schować broń - dodał.

Spojrzałam na browninga. Lubiłam mieć go w ręku. Jeżeli chodzi o poczucie bezpieczeństwa, bił na głowę pluszowego misia. Schowałam pistolet. Zawsze mogę go potem wyjąć.

Na końcu schodów były ostatnie drzwi: mniejsze i zaopatrzone w ciężki, żelazny zamek. Irving wyjął duży, czarny klucz i wsunął do otworu. Rozległo się ciche szcęknięcie dobrze naoliwionego mechanizmu i po jednym pchnięciu drzwi otworzyły się. Irving był na tyle zaufany, że otrzymał klucz do podziemi. Jak głęboko ugrzązł i czy byłam w stanie go stamtąd wyciągnąć?

- Zaczekajcie chwilę - rzuciłam. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Znalazłam się w centrum uwagi. Pięknie. - Nie chcę, aby Larry spotkał się z Mistrzem ani nawet dowiedział się, kim on jest.

- Anito... - zaczął Larry.

- Nie, Larry. Dwukrotnie padłam ofiarą ataku, gdy chciano wydobyć ode mnie tę informację. Niech prawdę zna możliwie jak najmniej osób. Tak będzie bezpieczniej. Ty nie musisz tego wiedzieć.

- Nie potrzebuję twojej ochrony - powiedział.

- Posłuchaj jej - rzekł Irving. - Kazała mi trzymać się jak najdalej od Mistrza.

Stwierdziłem, że dam sobie radę. Pomyliłem się. I to bardzo.

Larry splótł ręce na piersiach, zacisnął wargi w grymasie uporu i gniewu, na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

- Potrafię o siebie zadbać.  
- Irving, Richard, obiecajcie mi, że mu nie powiecie, im mniej wie, tym będzie bezpieczniejszy.

Obaj potaknęli bezgłośnie.

- Czy kogokolwiek obchodzi moje zdanie? - zapytał Larry.

- Nie - odparłam.

- Do licha, nie jestem dzieckiem.

- Będziecie mogli posprzeczać się później - rzucił Irving. - Mistrz czeka. Larry zaczął coś mówić, ale uciszyła go, unosząc ręce do góry.

- Lekcja numer jeden: nigdy nie każ czekać rozdrażnionemu mistrzowi wampirów. Larry otworzył usta, aby zaproponować, ale zrezygnował.

- W porządku. Odłóżmy kłótnię na później.

Nie było mi do tego spieszno, ale kłótnia z Lanym, że jestem wobec niego nadopiekuńcza, była przyjemnością w porównaniu z tym, co czekało na nas za tymi drzwiami. Ja wiedziałam o tym doskonale, Larry nie. Wkrótce i on się jednak o tym przekona, a najgorsze było to, że nijak nie mogłam tego powstrzymać.

**35**

Sklepienie tonęło w ciemnościach. Olbrzymie jedwabiste draperie w odcieniach czerni i bieli tworzyły materiałowe ściany. Na podłodze stały nieduże, czarno-srebrne krzesła. Pośrodku pomieszczenia znajdował się stolik do kawy ze szkła i ciemnego drewna. Jediną ozdobę stanowił czarny wazon z bukietem białych lilii. Pokój wyglądał na nie dokończony, jakby brakowało tu tylko obrazów na ścianach. Tylko jak je zawiesić na draperiach? Byłam pewna, że Jean-Claude rozwiąże ten problem. Wiedziałam, że to pomieszczenie wygląda w rzeczywistości jak ogromny magazyn wykuty z kamienia, ale jedyne, co mogłam dostrzec, to wysokie sklepienie. Podłogę wyłożono czarnym, miękkim, grubym dywanem.

Jean-Claude siedział na jednym z czarnych krzeseł. Osunął się na nim, skrzyżował wyprostowane nogi, dłonie splótł na brzuchu. Miał na sobie białą koszulę od fraka z przezroczystymi bokami. Kołnierzyk, mankiety i przód z guzikami były nieprzejrzyste, ale po bokach materiał był cienki i delikatny jak mgiełka. Blizna w kształcie krzyża odcinała się ciemnobrązowo na tle białej skóry.

Marguerite siedziała u jego stóp jak posłuszny pies, z głową opartą o kolano JeanClaude'a. Jasne włosy i blad różowy kostiumik nie pasowały do czarno-białego pokoju.

- Zmieniłeś wystrój - stwierdziłam.

- Parę drobiazgów - odparł Jean-Claude.

- Jestem gotowa na spotkanie z Mistrzem Miasta - powiedziałam. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, pytająco. - Nie chcę, aby mój współpracownik zobaczył Mistrza. Ostatnimi czasy wielu chce poznać jego tożsamość. Ta informacja jest cenna i może okazać się niebezpieczna.

Jean-Claude nawet nie drgnął. Patrzył tylko na mnie, jedną ręką od niechcienia gładząc Marguerite po włosach. Gdzie się podziała Yasmineen? Pewnie leżała sobie bezpiecznie w trumnie, bądź co bądź do świtu było już niedaleko.

- Zabiorę tylko ciebie na spotkanie z... Mistrzem - odezwał się w końcu.

Głos miał beznamiętny, ale wyczuwało się w nim nutę i rozbawienia. Nie po raz pierwszy udało mi się rozbawić Jean-Claude'a i zapewne nie po raz ostatni.

Wstał płynnym, pełnym gracji ruchem, pozostawiając Marguerite klęczącą obok pustego krzesła. Wydawała się zawiedziona. Uśmiechnęłam się do niej. W odpowiedzi tylko się skrzywiła. Drażnienie Marguerite było dziecinadą, ale sprawiało mi przyjemność. Każdy musi mieć jakieś

hobby.

Jean-Claude odsunął kotarę, za którą panował mrok. Zrozumiałam, że całe pomieszczenie było w dyskretny sposób oświetlone, lampy umieszczono w przemyślny sposób na ścianach. Za kotarami nie było nic prócz pochodni. Zupełnie jakby ten fragment materiału powstrzymywał cały współczesny świat, z wszystkimi udogodnieniami i wynalazkami. Po drugiej stronie kryły się kamienne ściany, ogień i sekrety, które najlepiej szeptać po ciemku.

- Anito? - zawołał za mną Larry. Miał nietęgą minę, chyba był przerażony. To co najgroźniejsze było tuż obok mnie. Larry będzie bezpieczny z Irvingiem i Richardem. Nie sądziłam, aby Marguerite mogła być dla kogokolwiek groźna, gdy w pobliżu nie było stymulującej ją Yasmeen.

- Larry, proszę cię, zostań tam. Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Uważaj na siebie - powiedział.

- No jasne - odparłam z uśmiechem. - Jak zawsze.

- Ma się rozumieć. - On też się uśmiechnął.

Jean-Claude zaprosił mnie szarmanckim gestem bladej dłoni za kotarę i ja bez słowa ruszyłam we wskazanym kierunku. Zasłona opadła za naszymi plecami, odcinając dopływ silniejszego elektrycznego światła. Ciemność zamknęła się wokół nas niczym pięść. Na ścianach wisiały zapalone pochodnie, ale ich blask był za słaby, aby rozproszyć gęsty mrok. Jean-Claude poprowadził mnie w głąb ciemności.

- Nie chcemy, aby twój pomocnik usłyszał, o czym rozmawiamy. - Jego głos brzmiał niczym szept niesiony wiatrem, którego podmuch poruszył kotarę. Serce załomotało mi w piersi. Jak on to robił, u licha?

- Oszczędź sobie dramatyzmu dla kogoś, na kim to faktycznie robi wrażenie.

- Odważne słowa, *ma petite*, ale czuję aż w ustach, jak łomocze ci serce. - Jego ostatnie słowa przemknęły po mojej skórze, jakby musnął wargami szyję i kark. Na ramionach poczułam gęsią skórę.

- Jeśli chcesz grać w te swoje gierki aż do świtu, to nie ma sprawy, ale Irving powiadomił mnie, że zdobyłeś pewne informacje na temat mistrza wampirów, który mnie zaatakował. Czy to prawda?

- Nigdy cię nie okłamałem, *ma petite*.

- Och, daj spokój.

- Półprawdy to nie kłamstwa.

- To zależy od punktu widzenia - odparowałam.

Skinął głową potakująco.

- Może usiądziemy pod ścianą, tam już nikt nas nie podsłucha.

- Jasne. Czemu nie?

Ukląkł w słabym kręgu światła rzucanego przez pochodnie. Zapalono je dla mnie i byłam z tego bardzo zadowolona. Ale nie zamierzałam mówić tego głośno. Usiadłam naprzeciw niego, plecami do ściany.

- No i jak, czego się dowiedziałaś o Alejandro? - Patrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. - Co? - spytałam.

- Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło ubiegłej nocy, *ma petite*, o wszystkim co się wiąże z Alejandro.

Jak na mój gust powiedział to zbyt władczo, ale w jego oczach i twarzy dostrzegłam dziwny niepokój, a może nawet strach. To głupie. Czego Jean-Claude miałby się obawiać ze strony Alejandro? No właśnie, czego? Opowiedziałam mu wszystko, co zdołałam zapamiętać.

Jego twarz stała się nagle beznamiętna, piękna i nierealna jak malowany portret. Barwy pozostały,



ale znikły wrażenia ruchu i życia. Płynnym ruchem włożył palec do ust i oblizał. Po chwili uniósł dłoń z wyciągniętym wilgotnym palcem, kierując go w moją stronę. Cofnęłam się gwałtownie.

- Co chcesz zrobić?

- Zmazać krew z twojego policzka. To wszystko.

- Nie sędzę.

Westchnął cicho, ale i ten dźwięk przemknął po mojej skórze jak podmuch powietrza.

- Tak bardzo wszystko utrudniasz.

- Miło, że to zauważyłeś.

- Muszę cię dotknąć, *ma petite*. Mam wrażenie, że Alejandro coś ci zrobił.

- Co?

Pokręcił głową.

- Coś niebywałego.

- Żadnych zagadek, Jean-Claude.

- Wydaje mi się, że cię naznaczył.

Spojrzałam na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Naznaczył cię, Anito, nałożył na ciebie pierwsze piętno, podobnie jak ja.

Pokręciłam głową.

- To niemożliwe. Dwa wampiry nie mogą mieć równocześnie jednego sługi.

- Otóż to - przytaknął. Zbliżył się do mnie. - Pozwól mi sprawdzić to, *ma petite*, bardzo proszę.

- A konkretnie?

Rzucił coś oschle i krótko po francusku. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby przeklinał.

- Słońce już weszło i jestem zmęczony. Twoje pytania sprawiają, że to co proste i oczywiste przedłuża się w nieskończoność.

W jego głosie pobrzmiwał prawdziwy gniew, podmyty znużeniem i słabo maskowanym strachem. To właśnie ten strach mnie przerażał. Jean-Claude powinien być nietykalnym potworem. Potwory nie powinny bać się jedne drugich. Westchnęłam. Może faktycznie powinnam mu na to pozwolić? Miejmy to już za sobą. Może.

- No dobrze, ale tylko dlatego, że pora nie jest odpowiednia. Najpierw jednak musisz wyjaśnić mi kilka spraw. Czego właściwie powinnam się spodziewać? Wiesz, że nie lubię niespodzianek.

- Muszę cię dotknąć, aby odnaleźć pozostałości moich znaków, a potem jego piętno. Nie powinnaś była tak łatwo ulec jego mocy. To nie powinno się było stać.

- Miejmy to już za sobą - rzuciłam.

- Czy mój dotyk tak cię mierzi, że przygotowujesz się nań jak na fizyczne cierpienie?

Ponieważ trafił w sedno, nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Zrób to i już, Jean-Claude, zanim się rozmyślę.

Ponownie włożył palec do ust.

- Musisz to robić w ten sposób?

- *Ma petite*, proszę.

Oparłam się mocno plecami o chłodną kamienną ścianę.

- W porządku, już więcej nie przeszkadzam.

- Doskonale. - Ukląkł przede mną. Przesunął wskazującym palcem po moim prawym policzku, pozostawiając na skórze wilgotny ślad. Zaschnięta krew kruszyła się pod jego dotykiem. Nachylił się w moją stronę, jakby chciał mnie pocałować. Oparłam dłonie o jego pierś, aby do tego nie dopuścić. Skórę miał twardą i gładką, choć czułam ją tylko przez cienki materiał koszuli. Odsunęłam się i

walnął głową o ścianę.

- Cholera.

Uśmiechnął się. Jego oczy rozbłyły niebiesko w blasku pochodni.

- Zaufaj mi. - Znowu się zbliżył, jego wargi nieomal dotknęły moich ust. - Nie skrzywdzę cię. -

Wyszeptał te słowa wprost do moich ust, były jak delikatne tchnienie.

Jego wargi musnęły moje, a potem wpiły się w nie mocniej. Pocałunek przeniósł się z ust na policzek. Wargi miał miękkie jak jedwab, delikatne jak płatki nagietka i gorące jak promienie słońca w południe. Przesuwały się po skórze, aż odnalazły puls na mojej szyi.

- Jean-Claude?

- Alejandro żył już, kiedy imperium Azteków było zaledwie ulotnym marzeniem. Wyszeptał to do mojej skóry. - Obserwował przybycie Hiszpanów i widział upadek Azteków. Przeżył, podczas gdy inni ginęli lub tracili zmysły.

Jego język, gorący i wilgotny, musnął moją skórę.

- Przestań. - Naparłam na niego. Poczułam pod dłońmi, jak bije jego serce. Uniosłam ręce do jego szyi. Dotknęłam kciukiem jednej z jego gładkich powiek.

- Cofnij się albo wyłupię ci oko. - W moim głosie pobrzmiwała panika i coś znacznie gorszego...  
pożądanie.

Dotyk jego ciała, pocałunki... jakaś sekretna cząstka mnie skrycie tego pragnęła. Pragnęłam go. Pożądałam Mistrza, no i co z tego? To nic nowego. Jego gałka oczna zadrżała pod naciskiem mojego kciuka, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym spełnić swoją groźbę. Czy mogłam wybić jedno z tych cudnych granatowych oczu? Czy mogłam go oślepić? Jego usta dotykające mojego ciała znowu się poruszyły. Zęby musnęły moją skórę, kły prześlizgnęły się po tętniącym pulsie. Odpowiedź nasunęła się natychmiast. Tak. Zaczęłam wzmacniać nacisk i cofnął się. Zniknął jak sen lub raczej nocny koszmar.

Stał przede mną, patrząc z góry, oczy miał całkiem ciemne, nie było widać białek. Spod rozchylonych warg wyzierały błyszczące, wilgotne kły. Skórę miał białą jak marmur. Zdawała się roztaczać delikatny blask, ale i tak wyglądał olśniewająco.

- Alejandro nadał ci pierwszy znak, *ma petite*. Należysz do nas obu. Nie wiem w jaki sposób, a jednak to się stało. Jeszcze dwa znaki i będziesz całkowicie moja. Jeszcze trzy i będziesz należeć do niego. Czy nie lepiej byłoby ci ze mną? - Znow ukląkł przede mną, ale tym razem roztropnie już nie próbował mnie dotykać. - Pragniesz mnie, jak kobieta pragnie mężczyzny. Czy to nie jest lepsze od jakiegoś nieznanego, który bierze cię siłą?

- Naznaczając mnie dwukrotnie, nie prosiłeś mnie o zgodę. Nie stało się tak z mojej woli.

- Teraz proszę cię o pozwolenie. Pozwól, abym nazaczył cię po raz trzeci.

- Nie.

- Wolisz służyć u Alejandro?

- Nie będę służyć nikomu - odparowałam.

- To wojna, Anito. Nie możesz pozostać neutralna.

- A to czemu?

Wstał i zaczął krążyć nerwowo po okręgu.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Te zabójstwa stanowią wyzwanie rzucone pod moim adresem, a fakt, że cię nazaczył, to otwarte wypowiedzenie wojny. Jeżeli tylko zdoła, postara się mi ciebie odebrać.

- Nie należę ani do niego, ani do ciebie.

- Wepchnie ci na siłę do gardła to wszystko, co starałem ci się wpoić i wytłumaczyć.

- A zatem z powodu twoich znaków znalazłam się na arenie działań wojennych pomiędzy dwoma

zwaśnionymi ugrupowaniami nieumarłych.

Zamrugał powiekami, po czym otworzył i zamknął usta. Na koniec rzucił krótko:

- Tak. Wstałam.

- Wielkie dzięki. - Minęłam go. - Gdybyś zdobył więcej informacji o Alejandro, napisz do mnie list.

- Ta sprawa nie zakończy się tylko dlatego, że tak chcesz.

Przystanęłam przed kotarą.

- Cholera jasna, wiedziałam. Za bardzo chciałam, abys zostawił mnie w spokoju.

- Tęskniłabyś, gdyby mnie tu nie było.

- Nie pochlebiaj sobie.

- A ty się nie oszukuj, *ma petite*. Ja oferuję ci układ partnerski. Dla niego będziesz tylko niewolnicą.

- Gdybyś naprawdę wierzył w układ partnerski, nie wykorzystałbyś mnie i nie wymusił na mnie siłą nałożenia dwóch pierwszych znaków. Poprosiłbyś, abym się zgodziła. Z tego co wiem, trzeci znak może zostać nałożony wyłącznie za moim przyzwoleniem. Spojrzałam na niego. - To prawda, zgadza się? Do nałożenia trzeciego znaku potrzebna jest ci moja pomoc czy coś w tym rodzaju. To nie to, co dwa pierwsze znaki. Ty sukinsynu.

- Trzeci znak bez twojej... pomocy będzie tym, czym jest gwałt wobec uprawiania miłości. Jeżeli wezmę cię siłą, znieńawidzisz mnie po wszystkie czasy.

Odwróciłam się do niego plecami i zacisnęłam dłoń na brzegu kotary.

- To bardziej niż pewne. Dobrze to ująłeś.

- Alejandro nie będzie się przejmował twoimi uczuciami. Jest mu obojętne, czy go znieńawidzisz, czy nie. Nie będzie cię pytał o pozwolenie. Po prostu cię weźmie.

- Potrafię o siebie zadbać.

- Tak jak ubiegłej nocy?

Alejandro przejął nade mną mentalną kontrolę, a ja nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jak mogłam się bronić przed kimś tak potężnym? Pokręciłam głową i uniosłam brzeg kotary. Światło było tak jasne, że w pierwszej chwili mnie oślepiło. Stałam skąpana w silnym blasku, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do zmiany oświetlenia. Poczułam na plecach podmuch chłodnego mroku. Po przebywaniu w ciemnościach światło wydało mi się gorące i nieprzyjemne, ale wszystko było lepsze od tych nocnych szeptów. Mając do wyboru oślepienie przez światło lub oślepienie przez mrok, zawsze wybiorę światłość.

**36**

Larry leżał na podłodze z głową na udach Yasmeen. Trzymała go za nadgarstki, podczas gdy Marguerite całym ciężarem ciała przygniatała do ziemi. Długimi, pociągłymi ruchami języka zlizywała krew z jego twarzy. Richard leżał jak rzucona niedbale szmata, krew zalewała mu twarz. Na podłodze było coś jeszcze, wiło się i poruszało. Szara sierść zalewała to coś niczym woda. Dłoń uniosła się w górę, po czym opadła jak wędnący kwiat, pojawiły się błyszczące kości, przebijające się przez rozlewające się tkanki. Palce skurczyły się, układ tkanek uległ przedziwnej zmianie. Widać było surowe mięso, ale ani kropli krwi. Układ kości zmieniał się przy wtórze głośnych, wilgotnych mlaśnieć. Na dywan spłynęły krople przezroczystej cieczy. Nie było jednak krwi.

Wyjęłam browninga i stanęłam tak, aby móc wymierzyć broń gdzieś pomiędzy Yasmeen i istotę na podłodze. Stałam plecami do kotary, ale odsunęłam się od niej na bezpieczną odległość. Zbyt łatwo ktoś mógłby mnie zza niej zaskoczyć.

- Puśćcie go, ale już.

- Nie robimy mu nic złego - odparła Yasmeen.

Marguerite osunęła się na ciało Larry'ego, jedną ręką zaczęła masować jego krocze.

- Anito! - Miał przerażony wzrok, skórę bladą jak ściana, piegi odcinały się na niej jak plamy z atramentu.

Posłałam kulę tuż nad głową Yasmeen. Huk wystrzału był ostry, zwielokrotniony echem. Yasmeen wyszczerzyła do mnie zęby.

- Mogłabym rozerwać mu gardło, zanim zdążyłabyś ponownie pociągnąć za spust.

Wycelowałam w głowę Marguerite, tuż nad jej jednym niebieskim okiem.

- Ty zabijesz jego, a ja Marguerite. Uważasz, że to ci się opłaci?

- Yasmeen, co robisz? - Z tyłu za mną rozległ się głos Jean-Claude'a.

Spojrzałam na niego, a potem ponownie na Marguerite. Jean-Claude nie stanowił zagrożenia, w każdym razie nie teraz.

Istota na podłodze dźwignęła się chwiejnie na czworakach i otrząsnęła jak pies po wyjściu z wody.

To był olbrzymi wilk. Zwierzę pokrywała szarobrunatna sierść, puszysta i miękka jak po kąpieli z suszeniem. Śluz utworzył na dywanie sporą kałużę. Wokoło walały się resztki podartego ubrania. Z tego bałaganu wyłonił się nowo powstały, odrodzony wilk. Na czarnym szklanym stoliku do kawy leżały starannie złożone okrągłe okulary w drucianych oprawkach.

- Irving?

Wilk wydał z siebie ni to warknięcie, ni to skowyt. Czy to potwierdzenie? Wiedziałam, że Irving był wilkołakiem, ale fakt, że ujrzałam go w tej postaci, diametralnie wszystko zmienił.

Aż do tej chwili nie całkiem w to wierzyłam. Uwierzyłam dopiero, gdy spojrzałam w jasnobrązowe wilcze ślepie.

Marguerite leżała teraz obok Larry'ego. Obejmowała ramionami jego tors, nogami oplatała go w talii. Była prawie całkiem zasłonięta jego ciałem.

Za długo przyglądałam się Irvingowi. Nie mogłam strzelić do Marguerite, nie ryzykując życia Larry'ego. Yasmeen uklękła przy nich, jedną ręką schwyciła Larry'ego za włosy.

- Złamię mu kark.

- Nie skrzywdzisz go, Yasmeen - rzekł Jean-Claude. Stał przy stoliku do kawy. Wilk przycupnął obok niego, powarkując z cicha. Wampir delikatnie pogłaskał go.

- Odwołaj swoje psy, Jean-Claude, albo on zginie.

Na podkreślenie swoich słów odchyliła głowę Larry'ego do tyłu, odsłaniając gardło. Opatrunek, położony na ranę po wampirzych kłach, został zdjęty. Marguerite polizała językiem naprężone, blade ciało.

Byłam święcie przekonana, że mogłam trafić Marguerite między oczy, gdy tak lizala szyję Larry'ego, ale Yasmeen na pewno zdążyłaby złamać mu kark. Wolałam nie ryzykować.

- Zrób coś, Jean-Claude - powiedziałam. - Jesteś Mistrzem Miasta. Powinna podporządkować się twoim rozkazom.

- Tak, Jean-Claude, zacznij mi rozkazywać.

- Co się tu dzieje, Jean-Claude? - spytałam.

- Chce mnie wypróbować.

- Dlaczego?

- Yasmeen chce zostać Mistrzynią Miasta. Ale nie jest na to dość silna.

- Byłam dostatecznie silna, abyście ty i twoje sługi nie usłyszeli krzyków tego nieszczęśnika. Richard wzywał twoje imię, a ty go nie usłyszałaś, bo na to nie pozwoliłam.

Richard stał tuż za Jean-Claudem. Z kącika jego ust ciekła krew. Szkarłatna strużka spływała też z niedużego zadrapania na prawym policzku.

- Próbowałam ją powstrzymać.

- Nie postarałeś się zbyt - skwitował jego słowa Jean-Claude.

- Pokłóćcie się później - ucięłam. - Póki co przypominam wam, że mamy poważny problem.

Yasmeen wybuchnęła śmiechem. Ten dźwięk przeszył mnie niczym dreszcz, miałam wrażenie, jakby ktoś wsypał mi za bluzkę garść robaków. Wzdrygnęłam się i właśnie w tej chwili postanowiłam, że najpierw pošlę kulkę Yasmeen. Tym sposobem przekonamy się, czy mistrz wampirów faktycznie jest szybszy niż wystrzelony pocisk.

Zaśmiała się, puściła Larry'ego i wstała. Marguerite wciąż kleiła się do niego. Larry podniósł się na czworakach, Marguerite dosiadła go jak konia, opasując przy tym rękoma i nogami. Śmiała się, całując po szyi.

Kopnęłam ją w twarz, najsilniej jak potrafiłam. Zsunęła się z grzbietu Larry'ego i upadła oszołomiona na podłogę. Yasmeen postąpiła naprzód, a ja strzeliłam jej w pierś. JeanClaude uderzył mnie w rękę i kula chybiła celu.

- Jest mi potrzebna żywa, Anito.

Odskoczyłam od niego jak oparzona.

- To wariatka.

- Ale mogę mu się przydać w starciu z innymi mistrzami - odparła Yasmeen.

- Zdradzi cię przy pierwszej lepszej okazji - stwierdziłam.

- Mimo to jest mi potrzebna.

- Skoro nie możesz zapanować nad Yasmeen, jak, u licha, wyobrażasz sobie, że zdołasz pokonać Alejandro?

- Nie wiem - padła odpowiedź. - Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Nie wiem.

Larry wciąż kulił się na podłodze.

- Możesz wstać? - Spojrzał na mnie. W jego oczach błyszczały zbierające się łzy. Zacisnął dłonie na jednym z krzeseł, próbując wstać i omal nie upadł. Złapałam go za rękę, wciąż trzymając w dłoni pistolet. - Chodź, Larry, wynosimy się stąd.

- Bardzo się cieszę - odparł niewiarygodnie zmęczonym, zdyszonym głosem, powstrzymując łzy.

Ruszyliśmy w stronę drzwi, podtrzymawałam go, a do tego przez cały czas trzymałam broń gotową do strzału.

- Idź z nimi, Richardzie. Dopilnuj, aby bezpiecznie dotarli do samochodu. I nie spraw mi już więcej zawodu. Mam nadzieję, że dziś zawiódłeś mnie po raz pierwszy i ostatni.

Zignorował tę pogroźkę. Ominawszy Larry'ego i mnie, przytrzymał nam otwarte drzwi. Wyszliśmy, nie odwracając się plecami, zarówno do wampirów, jak i do wilkołaka.

Kiedy drzwi zamknęły się za nami, z ulgą wypuściłam powietrze. Nawet nie wiedziałam, że od jakiegoś czasu wstrzymywałam oddech.

- Dalej już pójdę sam - powiedział Larry. Puściłam jego rękę. Szedł, przytrzymując się ściany, ale poza tym wyglądał całkiem nieźle. Po policzku wolno spłynęła mu pierwsza łza. Zabierz mnie stąd.

Schowałam pistolet. Teraz i tak na nic mi się już nie przyda. Oboje z Richardem udawaliśmy, że nie dostrzegamy łez Larry'ego. Płakał zupełnie bezgłośnie. Gdybym nie widziała jego twarzy, nie wiedziałabym nawet, że płacze.

Zastanawiałam się nad tym, co mam w tej sytuacji powiedzieć. Nic mi nie przychodziło do głowy. Cóż mogłam powiedzieć? Spotkał się oko w oko z potworami i śmiertelnie go przeraziły.

Mnie też przeraziły. Zresztą nie tylko mnie. Potwory przeraziły wszystkich. Teraz Larry także poznał, czym jest prawdziwy strach. Czegoś się dowiedział. Może to było warte bólu, jaki musiał w związku z tym wycierpieć. A może nie.

Ulica tonęła w łagodnym, złocistym blasku poranka. Powietrze było rześkie. Z powodu lekkiej mgły rzeki co prawda nie dało się stąd ujrzeć, ale czuło się ją. Powietrze było wilgotne, co czyniło każdy oddech świeższym.

Larry wyjął kluczyki od samochodu.

- Dasz radę prowadzić? - spytałam.

Pokiwał głową. Na jego twarzy widać było zaschnięte strużki łez. Nawet ich nie wytarł. Już nie płakał. Minę miał posępną i wyglądał jak zbuntowany nastolatek. Otworzył drzwiczki i wsiadł, przesuając się po siedzeniu, aby odblokować te od strony pasażera.

Richard stanął obok. Podmuch chłodnego wiatru zwał mu włosy na twarz. Przeczesał je palcami i odgarnął. Był to boleśnie znajomy gest. Phillip zawsze tak robił. Richard uśmiechnął się do mnie i... to nie był uśmiech Phillipa. Był pogodny i szczery. W tych brązowych oczach nic się nie skrywało. Krew w kąciku jego ust i na policzku zaczęła już krzepnąć.

- Wycofaj się, póki jeszcze możesz, Richardzie.

- Z czego mam się wycofać?

- Lada chwila wybuchnie wojna między nieumarłymi. Lepiej, żebyś nie znalazł się pomiędzy walczącymi stronami.

- Wątpię, aby Jean-Claude pozwolił mi się wycofać - stwierdził. Mówiąc to, nie uśmiechał się. Nie byłam pewna, czy wyglądał przystojniej, będąc uśmiechnięty, czy poważny.

- Ludziom nigdy nie wychodzi na zdrowie, gdy znajdują się pośród walczących potworów, Richardzie. Wycofaj się, póki jeszcze możesz.

- Ty jesteś człowiekiem.

Wzruszyłam ramionami.

- Są tacy, którzy by się z tobą nie zgodzili.

- Nie ja. - Wyciągnął rękę, aby mnie dotknąć. Nie cofnęłam się. Koniuszkami palców musnął mój policzek, były takie ciepłe i żywe.

- Zobaczymy się o piętnastej, o ile nie będziesz zbyt zmęczona.

Pokręciłam głową, a on odsunął dłoń od mojej twarzy.

- Za nic bym sobie tego nie odpuściła - odparłam.

Znów się uśmiechnął. Włosy ponownie przesłoniły mu twarz. Ja z przodu mam tylko krótką grzywkę, specjalnie, aby włosy nie wpadały mi do oczu. Richard w takich chwilach wyglądał wprost urzekająco. Otworzyłam drzwiczki od strony pasażera.

- Do zobaczenia po południu.

- Przyniosę twój kostium.

- Za kogo mam się przebrać?

- Za pannę młodą z okresu wojny secesyjnej - odparł.

- Czy to oznacza spódnicę na fiszbinach?

- Chyba tak.

Zasepiłam się.

- A ty kim będziesz?

- Oficerem konfederackim.

- Będziesz musiał założyć spodnie - stwierdziłam.

- W spódnicy raczej mi nie do twarzy.

Westchnęłam.

- Nie żebym była niewdzięczna, Richardzie, ale...

- Spódnice z fiszbinami nie są w twoim stylu?
- Raczej nie.
- Ja proponowałem ci kombinezon i taplanie się w błocie aż do bólu. Impreza to był twój pomysł.
- Wymigałabym się z tego, gdybym tylko mogła.
- Może warto będzie zadać sobie trochę trudu, choćby tylko po to, aby zobaczyć cię w sukni. Mam wrażenie, że to rzadki widok.

Larry przechylił się na siedzeniu i powiedział:

- Czy moglibyśmy już jechać? Mam ochotę zapalić i trochę się przespać.
- Zaraz jedziemy. - Odwróciłam się do Richarda i nagle zorientowałam się, że nie wiem, co mam mu powiedzieć. Rzuciłam tylko: - To na razie.

Pokiwał głową.

- Na razie.

Wsiadłam do auta, a Larry ruszył, zanim zdążyłam zapiąć pas.

- Po co ten pośpiech?

- Chcę możliwie szybko znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Spojrzałam na niego. Wciąż wyglądał blado.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Nic nie jest w porządku. - Spojrzał na mnie, jego jasnoniebieskie oczy przepełniał gniew. - Jak możesz być tak spokojna i rozluźniona po tym, co się przed chwilą stało?

- Po wydarzeniach ubiegłej nocy ty także byłeś spokojny. A przecież wczoraj w nocy zostałeś ugryziony.

- To było co innego - mruknął. - Ta kobieta ssała krew z mojej rany. Ona... - Zaciśnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zadrżały.

- Wczoraj w nocy ucierpiałeś o wiele bardziej. Co stało się tym razem, że tak cię to poruszyło?

- Ubiegłej nocy było ostro, ale nie... perwersyjnie. Tamte wampiry czegoś chciały.

Pragnęły poznać imię Mistrza. Te tutaj nie chciały nic, były po prostu...

- Okrutne - podpowiedziałam.

- Otóż to, okrutne.

- To wampiry, Larry. One nie są ludźmi. Nie przestrzegają naszych reguł.

- Ta wampirzyca mogła zabić mnie dziś ot tak, dla kaprysu.

- Owszem, mogła - przyznałam.

- Jak możesz w ogóle przebywać wśród nich?

- Taką mam pracę. - Wzruszyłam ramionami.

- Ja też.

- Nie musi tak być, Larry. Wystarczy, że odmówisz przyjmowania zleceń na wampiry. Większość animatorów tak robi.

Pokręcił głową.

- Nie. Nie poddam się. Nie rzucę tego.

- Dlaczego? - spytałam.

Milczał przez dłuższą chwilę. Skręcił na drogę numer 270, biegnącą na południe.

- Jak po tym, co się stało, możesz z niewinną miną umawiać się na randkę?

- Praca pracą, a życie życiem, Larry. Jeśli pozwolisz, aby to, co robisz, pożarło cię

żywcem, przepadniesz z kretesem. - Lustrowałam jego twarz. - Poza tym nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Na jakie pytanie?

- Dlaczego nie chcesz zrezygnować z kariery egzekutora wampirów? Larry zawahał się, skupił całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Nagle nie wiedzieć czemu przejeżdżające obok auta pochłonęły go bez reszty. Przejechaliśmy pod mostem kolejowym, po obu stronach mijaliśmy magazyny. W oknach wielu z nich brakowało szyb lub zostały powybijane. Z kładki przy moście sypały się płaty rdzy.

- Fajny zakątek miasta - powiedział.

- Unikasz odpowiedzi. Dlaczego?

- Nie chcę o tym mówić.

- Pytałam o twoją rodzinę, mówiłeś, że wszyscy żyją. A co z przyjaciółmi? Czy wampiry odebrały ci kogoś bliskiego?

Spojrzał na mnie.

- Czemu pytasz?

- Rozpoznaję symptomy, Larry. Postanowiłeś zabijać potwory, bo czujesz do nich urazę, zgadza się?

Wtulił głowę w ramiona i wciąż patrzył przed siebie. Mięśnie jego szczęki rozluźniały się i napinały na przemian.

- Mów do mnie, Larry - poprosiłam.

- Pochodzę z małego miasteczka. Liczy półtora tysiąca mieszkańców. Gdy byłem na pierwszym roku college'u, grupa wampirów zamordowała dwanaście osób. Nie znałem tak naprawdę tych ludzi, żadnego z nich. Znałem ich tylko z widzenia, to wszystko.

- Mów dalej.

Spojrzał na mnie.

- Byłem na ich pogrzebie, to było tuż po świętach Bożego Narodzenia. Te wszystkie trumny, te pogrążone w żałobie rodziny. Mój tata był lekarzem, a jednak nie potrafił im pomóc. Nikt nie mógł im pomóc.

- Pamiętam tę sprawę - wtrąciłam. - Elbert, Wisconsin, trzy lata temu, zgadza się?

- Tak, skąd wiesz?

- Dwanaście osób to sporo jak na jeden atak wampirów. Sprawa trafiła do gazet. Załatwienie tego zlecono Brettowi Colby'emu.

- Nigdy go nie spotkałem, ale opowiadali mi o nim rodzice. Sądząc z ich relacji, był jak kowboj, który przybywa do miasteczka, żeby załatwić miejscowego łotra. Odnalazł i zabił pięć wampirów. Pomógł miastu, podczas gdy wszyscy inni byli bezsilni.

- Jeżeli chcesz pomagać ludziom, Larry, zostań pracownikiem społecznym albo lekarzem.

- Jestem animatorem. Mam wrodzoną odporność na wampiry. Myślę, że zamiarem Boga było, abym na nie polował.

- Rany, Larry, nie wszczynaj kolejnej krucjaty, bo to źle się dla ciebie skończy. Jak nie wrócisz z niej na tarczy. Nogami do przodu.

- Możesz mnie nauczyć, jak być dobrym.

Pokręciłam głową.

- Larry, to nie jest osobista wendeta. To nasza praca. Nie możemy łączyć jej z osobistymi emocjami. Jeśli pozwolisz ponieść się emocjom, albo przyplącisz to życiem, albo



trafisz do wariatkowa.

- Nauczę się, Anito.

Spojrzałam na niego. Wydawał się taki uparty.

- Larry... - przerwałam. Co mogłam powiedzieć?

Co sprawiło, że wybraliśmy sobie właśnie taki a nie inny fach? Może jego motywacje były lepsze od moich. Tu nie wchodziło w grę zabijanie jako takie, jak w przypadku Edwarda, który najzwyczajniej w świecie to lubił. Jeżeli zaś chodzi o mnie, Bóg mi świadkiem, że potrzebowałam pomocy. Wampirów było coraz więcej. Za dużo jak dla mnie. W pojedynkę nie miałam szans. Nie dałabym sobie rady.

- W porządku, będę cię uczyć, ale masz mnie słuchać i wykonywać wszelkie polecenia bez szemrania. Czy to jest jasne?

- Tak jest, szefowo. - Uśmiechnął się do mnie, po czym znów przeniósł wzrok na drogę. Wydawał się zdeterminowany. I uspokojony. Wyglądał tak młodo.

Ale przecież wszyscy byliśmy kiedyś młodzi. To mija, jak niewinność i przekonanie, że na tym świecie istnieją zasady fair play. Koniec końców jedyne, co pozostaje, to instynkt przetrwania. Czy mogłam nauczyć tego Larry'ego? Czy mogłam wpoić mu zasady sztuki przetrwania? Nauczyć go, jak przeżyć? Proszę cię, Boże, pozwól mi nauczyć go tego. Nie chcę go stracić. Nie chcę, aby ten chłopak umarł przy mnie.

**38**

Larry wysadził mnie przed wejściem do budynku, gdzie mieszkałam, pięć po dziewiątej rano. Już dawno powinnam leżeć w łóżku. Zabrałam z tylnego siedzenia sportową torbę. Nie chciałam zostawiać mojego wyposażenia animatorki. Wdusiłam przycisk i zatrzasnęłam drzwiczki, po czym nachyliłam się do drzwiczek od strony pasażera.

- Do zobaczenia w tym samym miejscu o siedemnastej, Larry. Musisz mnie wozić, dopóki nie sprawię sobie nowego samochodu. - Pokiwał głową. - Gdybym się spóźniła, nie pozwól, aby Bert wysłał cię samego, jasne?

Spojrzał na mnie. Na jego obliczu malowało się dziwne zatroskanie i zaduma.

- Uważasz, że sam nie dam sobie rady?

Wiedziałam, że nie dałby sobie rady, ale nie powiedziałam tego głośno.

- To dopiero twoja druga noc w pracy. Daj sobie i mnie odrobinę wytchnienia. Nauczę cię polować na wampiry, ale naszym zasadniczym zajęciem jest ożywianie zmarłych. Postaraj się o tym nie zapominać. - Pokiwał głową. - Gdyby męczyły cię koszmary, nie przejmuj się. Ja też je miewam.

- Jasne - mruknął. Wrzucił bieg, a ja zatrzasnęłam drzwiczki.

Chyba nie chciało mu się już ze mną gadać. To, co widzieliśmy ostatnio, raczej nie przyprawi mnie o bezsenność, ale wolałam, aby Larry był przygotowany, o ile na to, czym się zajmowaliśmy, można się było w ogóle przygotować.

Jakaś rodzina pakowała do furgonetki przenośne chłodziarki i koszyk piknikowy. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Chyba takich dni nie będzie już wiele.

- Chyba nie.

Miło jest czasem zamienić parę słów z osobami, które znasz tylko z widzenia. Byliśmy sąsiadami, mówiliśmy sobie: „Dzień dobry”, i to w zasadzie wszystko. Zresztą to mi odpowiadało. Gdy wracam do domu, nie mam ochoty na wizyty sąsiadów, którzy chcieliby pożyczyć ode mnie trochę cukru. Jedyne wyjątek stanowiła pani Pringle, ale akurat ona rozumiała moją potrzebę prywatności.

W mieszkaniu było cicho i ciepło. Zamknęłam drzwi na zasuwę i oparłam się o nie. Nie ma jak w domu, zresztą sami wiecie. Rzuciłam skórzaną kurtkę na oparcie tapczanu i poczułam zapach perfum. Kwiatowy, delikatny, z tym niezwykłym podkładem, który da się wyczuć jedynie u najdroższych marek. To nie był zapach, którego ja używałam.

Wyjęłam pistolet i oparłam się plecami o drzwi. Zza załomu ściany od strony jadalni wyłonił się mężczyzna. Był wysoki, szczupły, o czarnych, modnie przyciętych włosach - z przodu krótkich, z tyłu dłuższych i wyrównanych. Staął, opierając się o ścianę i splótłszy ramiona na piersiach, uśmiechnął się do mnie. Zza tapczanu wyłonił się drugi mężczyzna, niższy, bardziej muskularny, blondyn. On także się uśmiechał. Usiadł na tapczanie, dłonie trzymał tak, bym mogła je widzieć. Żaden z nich nie miał broni, a w każdym razie ja jej nie widziałam.

- Kim jesteście, u diabła?

Z sypialni wyszedł wysoki, czarny mężczyzna. Miał starannie przystrzyżone wąsy, oczy skrywał za szklami ciemnych okularów. Obok niego pojawiła się lamia. Była w ludzkiej postaci i nosiła tę samą co wczoraj czerwoną sukienkę. Dziś założyła szkarłatne szpilki, ale poza tym nic się nie zmieniło.

- Czekaliśmy na panią, panno Blake.

- Kim są ci faceci?

- To mój harem.

- Nie rozumiem.

- Należą do mnie. - Przejechała czerwonymi paznokciami po dłoni czarnego tak mocno, że aż pociekła mu krew. Tylko się uśmiechnął.

- Czego chcesz?

- Pan Oliver chce cię widzieć. Przysłał nas po ciebie.

- Wiem, gdzie mieszka. Mogę pojechać tam sama.

- O nie, musieliśmy niestety zmienić lokum - rzekła, wmaszerowując dziarsko do pokoju. - Wczoraj jakiś łowca nagród usiłował zabić Olivera.

- Jaki łowca nagród? - Czyżby to Edward?

Machnęła ręką.

- Nie zostaliśmy sobie nawzajem formalnie przedstawieni. Oliver nie pozwolił mi go zabić, więc tamten uciekł, a my musieliśmy przenieść się w inne miejsce.

To zabrzmiało przekonująco, ale...

- Gdzie się teraz znajduje?

- Zawieziemy cię do niego. Samochód czeka przed domem.

- Czemu nie przyjechał po mnie Inger?

Wzruszyła ramionami.

- Oliver wydaje rozkazy, ja je wypełniam.

Na jej pięknym obliczu pojawił się grymas nienawiści.

- Jak długo Oliver jest twoim mistrzem?

- Zbyt długo - odparła.

Patrzyłam na nich, trzymałam pistolet w dłoni, ale nie celowałam w żadnego. Jak dotąd nie próbowali zrobić mi nic złego. Czemu więc nie schowałam pistoletu? Bo widziałam, w co przemieniła się lamia i to mnie przeraziło.

- Dlaczego Oliver tak szybko chce się ze mną spotkać?

- Chce poznać twoją odpowiedź.

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy wydam mu Mistrza Miasta.

- Wiem tylko, że mam cię do niego przywieźć. W przeciwnym razie bardzo się rozgniewa. Nie chcę

zostać ukarana, panno Blake, proszę pójść z nami.

Jak można ukarać lamie? Był tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

- W jaki sposób cię ukarze?

Lamia spojrzała na mnie.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Nie chciałam, aby tak to zabrzmiało.

- Nieważne. - Podeszła do mnie. - Idziemy? - Przystanęła tuż przede mną, na odległość wyciągniętej ręki.

Poczułam się trochę głupio, wciąż trzymając w dłoni browninga, więc go schowałam. Nikt mi nie groził. To coś nowego. Zazwyczaj zaproponowałamby, że pojedę za nimi moim wozem, ale został przecież skasowany. W tej sytuacji... jeśli chciałam spotkać się z Oliverem, musiałam pojechać z nimi. Chciałam spotkać się z Oliverem. Nie zamierzałam wydać mu Jean-Claude'a, ale byłam skłonna wydać mu Alejandro. No, w najgorszym razie zyskać sobie jego poparcie w walce z Alejandro. Poza tym ciekawiło mnie, czy to Edward próbował go zabić. W tym fachu nie jest nas wielu. Któż inny mógłby to być?

- W porządku, chodźmy - rzuciłam.

Zabrałam z tapczanu skórzaną kurtkę i otworzyłam drzwi. Przepuściłam ich wszystkich. Mężczyźni wyszli bez słowa, lamia szła ostatnia. Ja również wyszłam. Zamknęłam mieszkanie na klucz. Tamci posłusznie czekali na mnie w korytarzu. Lamia ujęła wysokiego Murzyna za rękę. Uśmiechnęła się.

- Chłopcy, niech jeden z was zaferuje damie silne ramię.

Blondas i czarnowłose odwrócili się, aby na mnie spojrzeć. Czarnowłose uśmiechnął się. Blondas i Uśmiechnięty. Nie widziałam tyłu uśmiechów, odkąd kupowałam swój ostatni używany samochód. Obaj zaproponowali mi eskortę, jak dżentelmeni ze starych filmów.

- Wybaczcie, panowie, nie przywykłam do chodzenia pod rękę.

- Zrobiłam z nich prawdziwych dżentelmenów, panno Blake, proszę to wykorzystać. Takich jak oni prawie się już nie spotyka.

Nie mogłam temu zaprzeczyć, ale póki co potrafiłam jeszcze zejść po schodach o własnych siłach.

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Wedle życzenia, panno Blake. - Odwróciła się do dwóch mężczyzn. - Zaopiekujcie się panną Blake jak należy. - Znów na mnie spojrzała. - Kobieta zawsze powinna mieć więcej niż jednego mężczyznę.

Miałam ochotę wzruszyć ramionami, ale nie zrobiłam tego.

- Skoro tak twierdzisz.

Uśmiechnęła się promiennie i ruszyła wzdłuż korytarza uwieszona na ramieniu czarnego. Dwaj moi przybocznicy zostali nieco w tyle. Lamia rzuciła przez ramię:

- Ten tutaj, Ronald, to mój ulubiony chłoptaş. Nie dzielę się nim, bardzo mi przykro.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

- Nie ma sprawy, nie jestem chciwa.

Zaśmiała się wysoko, dźwięcznie, z niekłamany rozbawieniem.

- Nie jestem chciwa, a to dobre, panno Blake, a może mogę ci mówić Anito?

- Może być.

- Wobec tego ty musisz mi mówić Melanie.

- Jasne - odparłam.

Podążyłam za nią i Ronaldem w głąb korytarza. Blondas i Uśmiechnięty szli obok mnie, na wypadek gdybym się potknęła i mogła upaść. Przy schodzeniu po schodach to, jak wiadomo, normalka. Odwróciłam się do Blondasa.

- Chyba jednak skorzystam z twego ramienia. - Spojrzałam na Uśmiechniętego. - Czy mógłbyś zrobić nam tu trochę miejsca?

Zmarszczył brwi, ale cofnął się. Wsunęłam lewą rękę pod odchylone ramię Blondasa. Jego przedramię napięło się, gdy go dotknęłam. Nie potrafię stwierdzić, czy był to naturalny odruch, czy też może chciał popisać się przede mną mięśniami. Tak czy siak zdołaliśmy zejść bezpiecznie po schodach, a osamotniony Uśmiechnięty osłaniał nasze tyły.

Lamia i Ronald czekali przy wielkim, czarnym lincolnie continentalu. Ronald przytrzymał dla lamii drzwiczki, po czym wślizgnął się za kierownicę.

Uśmiechnięty pognął, żeby mi otworzyć drzwiczki. Czemu się tego spodziewałam? Zwykle skarżę się na takie zachowanie, ale tu wszystko wydawało mi się aż nazbyt dziwne. Jeżeli najgorsze, co mogło mnie dziś spotkać, to przesadnie usłużni faceci, zachowujący się jak dżentelmeni sprzed lat, to jakoś to przeżyję.

Blondas usiadł na siedzeniu obok mnie, zmuszając, abym przesunęła się bardziej na środek. Uśmiechnięty zajął miejsce po mojej drugiej stronie. Poczułam się jak wsad do kanapki. W sumie jednak nie bardzo mnie to zdziwiło.

Lamia Melanie odwróciła się na fotelu i oparła podbródek na przedramieniu.

- Jeśli chcesz się po drodze zabawić, śmiało, nie krępuj się. Obaj są naprawdę cudowni.

Spojrzałam w jej oczy przepełnione radością. Wydawało się, że mówiła poważnie. Uśmiechnięty położył rękę na oparciu siedzenia, delikatnie muskając moje ramiona. Blondas usiłował wziąć mnie za rękę, ale mu się wyslizgnęłam. Poprzestał na położeniu ręki na moim kolanie. Z deszczu pod rynnę.

- Nie przepadam za publicznym seksem - rzuciłam. I zdjęłam rękę Blondasa z mego kolana. Uśmiechnięty objął mnie czule. Przesunęłam się na siedzeniu, aby uwolnić się od nich obu. - Każ im przestać - powiedziałam.

- Chłopaki, ona nie jest zainteresowana.

Obaj mężczyźni natychmiast odsunęli się ode mnie najdalej jak to możliwe. Co prawda wciąż lekko dotykali moich nóg swoimi, ale to akurat mi nie przeszkadzało.

- Dziękuję - rzekłam.

- Gdybyś po drodze jednak zmieniła zdanie, po prostu powiedz. Oni uwielbiają, gdy się im rozkazuje, prawda, chłopcy?

Obaj przytaknęli, uśmiechając się od ucha do ucha. Tworzyliśmy doprawdy radosną, szczęśliwą gromadkę, nieprawdaż?

- Wątpię, abym zmieniła zdanie.

Lamia wzruszyła ramionami.

- Jak sobie życzysz, Anito, ale chłopcy będą naprawdę rozczarowani, jeśli nie dasz im choćby całusa na pożegnanie.

Robiło się coraz dziwniej. Co tu jest grane, u licha?

- Nigdy się nie całuję na pierwszej randce.

Wybuchnęła śmiechem.

- To mi się podoba. Naprawdę. No nie, chłopcy? - Wszyscy trzej mężczyźni zgodnie przytaknęli.

Miałam wrażenie, że gdybym im kazała, okazałoby się, że umieją także służyć i podawać łapę. I szczekać na zawołanie. Rany, zabijcie mnie, bo dłużej nie wytrzymam.

**39**

Jechaliśmy na południe drogą numer 270. Po obu stronach ciągnęły się głębokie, porośnięte trawą rowy, przy których rosły drzewa. Na wzgórzach stały identyczne domki, okolone jednakowymi płotami oddzielającymi niemal takie same podwórza. Na wielu z nich rosły wysokie drzewa. To była

główną szosą biegnącą przez St. Louis, ale prawie zawsze czuło się tu orzeźwiający powiew natury, zieleni i otwartej przestrzeni, wszechobecnej przyrody, z którą człowiek do końca nie poradzi sobie nigdy.

Skręciliśmy w 70. Zachodnią, wiodącą w stronę St. Charles. Podstawę krajobrazu stanowiły tu rozległe, płaskie pola. Łany kukurydzy, wysokie i złociste, zapowiadały rychłe zbiory. Za jednym z pól wznosił się nowoczesny, przeszklony budynek z reklamą fortepianów i salą do gry w golfa. Przed mostem Blanchette minęliśmy jeszcze jeden supermarket i punkt sprzedaży używanych samochodów. Po lewej stronie drogi ciągnęły się głębokie rowy melioracyjne. Coraz bardziej wkraczała w te rejony nowoczesność, z ogromnymi budynkami ze stali i szkła. Tuż przy szosie stał hotel Omni z nieodłączną w jego krajobrazie fontanną.

Granicę lewego pobocza drogi wyznaczał zagajnik, zbyt często podmywany przez wodę, aby go wykarczowano i postawiono w tym miejscu nowoczesne budynki, sięgający aż do brzegów Missouri. Drzewa rosły także na drugim brzegu rzeki. Po przejechaniu przez most znaleźliśmy się w St. Charles.

St. Charles nie było nękane przez powodzie, toteż roilo się tam od apartamentowców, supermarketów, centrów handlowych, kin, teatrów i drogerii. Krajobraz niknął za planszami billboardów reklamowych i fasadami potężnych budynków. Aż trudno było pojąć, że tylko przejechało się przez rzekę, a w tym miejscu rósł kiedyś las. Uroki przyrody zostały zastąpione przez industrialną szpetotę.

Gdy tak siedziałam w samochodzie, mając w uszach odgłos opon auta, przetaczających się po asfalcie i cichy szept rozmów dochodzących z przodu, uświadomiłam sobie nagle, że jestem piekielnie zmęczona. Nawet ściśnięta jak sardynka między dwoma facetami byłam gotowa odrobinę się zdrzemnąć. Ziewnęłam.

- Daleko jeszcze? - spytałam.

Lamia obróciła się na fotelu.

- Znudzona?

- Nie miałam okazji się przespać. Chciałabym wiedzieć, ile jeszcze potrwa, zanim dojedziemy na miejsce.

- Przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotów - odparła. - To już niedaleko, prawda, Ronaldzie? Pokiwał głową. Odkąd go poznałam, nie odezwał się ani słowem. Czy on w ogóle umiał mówić?

- A dokąd my właściwie jedziemy? - Najwyraźniej nie mieli ochoty odpowiedzieć na to pytanie, ale gdybym sformułowała je inaczej... kto wie?

- Jakież trzy kwadranse drogi za St. Peters.

- W pobliżu Wentzville? - spytałam.

Skinęła głową.

To godzina w jedną stronę i jeszcze ze dwie z powrotem. Czyli że dotrę do domu nie wcześniej jak o trzynastej. Dwie godziny snu. Pięknie.

Zostawiliśmy St. Charles w tyle i znów znaleźliśmy się na otwartym terenie, po obu stronach szosy rozciągały się pola otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego. Na niskich, łagodnych wzgórzach pasły się krowy. Jedyłą oznaką cywilizacji była znajdująca się przy szosie stacja benzynowa. Z dala od drogi stał ogromny dom z sięgającym aż po skraj szosy, starannie utrzymanym trawiastym poletkiem. Po rozległej polaci trawy przechadzały się konie. Spodziewałam się, że zatrzymamy się przy którejś z takich rezydencji, ale mijaliśmy je jedna po drugiej.

Wreszcie skręciliśmy w wąską uliczkę, przy której tablica z nazwą była tak pogięta i zardzewiała, że nie zdołałam odczytać napisu. Droga była wąska i nie wyasfaltowana. Po obu stronach ciągnęły się rowy. Trawa i chwasty były tu tak wysokie i rozrosły się na tyle, że z miejsca poczułam się jak na

wsi. Opodal dostrzec można było pole z suchą, żółtą, oczekującą na zbiór fasolą. Spomiędzy gęstwiny chwastów raz po raz wylaniały się żwirowe podjazdy ze stojącymi przy nich skrzynkami pocztowymi, świadczącymi, że gdzieś tam znajdowały się domy. Że mieszkali tam jacyś ludzie. Większość domów tonęła wśród drzew i była prawie niewidoczna. Nad drogą krążyły jaskółki.

Wjechaliśmy na żwirowy trakt. Grudki żwiru chrzęściły i wypryskiwały spod opon samochodu. Teraz po obu stronach drogi ciągnęły się porośnięte przez las wzgórza. Tu i ówdzie można jeszcze było dostrzec domy, ale było ich coraz mniej i stały w coraz większych odstępach jeden od drugiego. Dokąd my właściwie jechaliśmy?

Żwirowy trakt się skończył i wjechaliśmy na pylistą leśną drogę upstrzoną tu i tam przez czerwone kamienie. Koła samochodu zapadały się w głębokich koleinach. Auto trzęsło się i dygotało, sunąc wzdłuż tej drogi. To był ich samochód. Jeśli chcieli go rozwalić, prowadząc go po leśnych bezdrożach, to ich sprawa. Nie zamierzałam się w to mieszać.

W końcu dotarliśmy do końca tej drogi. Znajdował się tu niezbyt równy kamienny krąg. Niektóre z głazów były wielkości naszego auta. Samochód stanął. Ucieszyłam się, że przez niektóre przeszkody nawet Ronald nie może przejechać.

Lamia odwróciła się, aby na mnie spojrzeć. Uśmiechała się, wręcz promieniała z radości. Za bardzo się do mnie szczyrzyła. Coś było nie tak. Jeśli ktoś tak się do ciebie uśmiecha, musi czegoś od ciebie chcieć. Zwykle chodzi o coś naprawdę istotnego. Czego chciała lamia? Czego mógł chcieć Oliver?

Wysiadła z samochodu. Tuż za nią mężczyźni, idący za nią jak posłuszne psiaki. Zawahałam się, ale skoro dotarłam już tak daleko, mogłam przynajmniej dowiedzieć się, o co chodziło Oliverowi. Zawsze mogłam odmówić.

Lamia znów ujęła Ronalda pod rękę. W szpilkach i na tak nierównym kamienistym gruncie to było nawet wskazane. Ja w moich adidasach nie potrzebowałam wsparcia. Blondyn i Uśmiechnięty równocześnie zaoferowali mi swą pomoc. Zignorowałam ich. Dość już gierki. Byłam zmęczona i nie podobało mi się to zadupie, dokąd mnie przywieziono. Nawet JeanClaude nigdy nie wyciągnął mnie w równie odległe i nieprzyjemne miejsce. Był miastowy. No jasne. To wszystko tłumaczy. Tylko że Oliver także wyglądał mi na mieszcucha. Najwyraźniej jedno spotkanie nie wystarczy, aby można było przejrzeć wampira.

Kamienistą ścieżką dotarliśmy do stromego wzgórza. U jego podnóża walały się sterty pogruchotanych głazów, które musiały osunąć się ze stoku. Ronald dźwignął Melanie w górę i pomógł jej pokonać najgorszy odcinek drogi. Zatrzymałam się, zanim któryś z mężczyzn zdążył zaoferować mi pomoc.

- Sama dam radę. Dzięki.

Sprawiali wrażenie zawiedzionych. Blondyn mruknął:

- Melanie kazała nam cię pilnować. Jeśli się potkniesz i upadniesz na te głazy, my za to bekniemy. Brunet pokiwał głową.

- Nic mi nie będzie, chłopcy, zapewniam was.

Ruszyłam naprzód, nie oglądając się na nich. Grunt był zdradliwy, usiany niedużymi kamieniami. Przepetźłam po skale większej ode mnie. Faceci byli tuż za mną, wyciągali ręce, gotowi mnie pochwycić, gdybym upadła. Nigdy dotąd nie byłam w towarzystwie mężczyzn, którzy tak panicznie obawiali się o moje zdrowie. To paranoja.

Ktoś zaklął. Odwróciłam się i ujrzałam leżącego na ziemi bruneta. Uśmiechnęłam się. Nie czekałam, aż mnie dogonią. Miałam dość nadopiekuńczości, a na myśl o tym, że dziś się nie wyśpię, ogarniała mnie coraz większa złość. Nasza najcudowniejsza noc w roku, a ja będę do niczego. Oby tylko Oliver miał mi do zakomunikowania coś naprawdę ważnego.

Za wysoką stertą głazów widniał pionowy jak cięcie od noża czarny otwór. Jaskinia? Oliver przeniósł się do jaskini? To jakoś nie pasowało mi do jego wizerunku i nowoczesnego, skąpanego w słońcu gabinetu. U wejścia do jaskini było jeszcze dość jasno, ale parę metrów dalej panował już nieprzenikniony mrok. Zaczekałam przed wejściem, niepewna, co mam dalej robić. Wreszcie zjawili się moich dwóch opiekunów. Wyjęli z kieszeni małe ołówkowe latarki. Ich promienie wydawały się zbyt wątłe w porównaniu z panującą w jaskini ciemnością.

Blondas ruszył pierwszy, Uśmiechnięty zamykał tyły. Ja trzymałam się w środku, w cieniutkiej smudze światła. Blady, żółtawy krąg podążał za moimi stopami, chroniąc mnie przed upadkiem na kamieniach, ale tunel był w większości gładki i prosty do przejścia. Środkiem korytarza płynęła cienka strużka wody, cierpliwie torując sobie drogę przez kamienie. Uniosłam wzrok ku tonącemu w ciemnościach sklepieniu. To wszystko było dziełem wody. Imponujące. Chłodne, wilgotne powietrze omiotło moją twarz. Ucieszyłam się, że mam na sobie skórzaną kurtkę. Co prawda ciepło mi tu w niej nie będzie, ale przynajmniej nie zmarznę. To dlatego nasi przodkowie mieszkali w jaskiniach. Przez cały rok panuje tu jednakowa temperatura.

W lewo prowadził szeroki korytarz. Gdzieś z mroku dochodził odgłos płynącej wody. Dźwięk był donośny. Wody musiało być sporo. Blondyn omiotł promieniem latarki strumień wypełniający niemal cały lewy korytarz. Strumień był czarny, wydawał się głęboki i zimny.

- Nie zabrałam waderów - poskarżyłam się.

- Pójdziemy głównym tunelem - rzekł Uśmiechnięty. - Nie drażnij się z nią. Naszej pani to by się nie spodobało.

W słabym świetle na jego twarzy malował się wyraz niezłomnej powagi. Blondas wzruszył ramionami, po czym skierował promień latarki przed siebie. Strużka wody rozchodziła się tu wachlarzowato, ale po obu stronach pozostała jeszcze spora część suchego podłoża. Póki co nie zamierzałam zamoczyć stóp. Jeszcze nie. Poszliśmy wzdłuż lewej ściany. Dotknęłam jej, aby nie stracić równowagi i zaraz cofnęłam dłoń. Ściana była wilgotna od wody i pokryta roztopionymi minerałami. Brunet zaśmiał się. Chyba mogłam mu to darować. Łypnęłam na niego groźnie, po czym znów przyłożyłam dłoń do ściany. W sumie skała nie była aż tak odrażająca w dotyku. To po prostu zaskoczenie. Dotykałam gorszych rzeczy.

Odgłos wody spadającej z dużej wysokości wypełnił ciemność niczym grzmot. Nad nami był wodospad. Nie musiałam go widzieć, tego dźwięku nie dało się pomylić z niczym innym.

- Jak sądzisz, ile metrów ma ten wodospad? - zapytał Blondas.

Grzmiący huk przeppełnił ciemność. Otoczył nas. Wzruszyłam ramionami.

- Pięć, sześć metrów, może więcej.

Poświecił latarką na strużkę wody spadającej z wysokości zaledwie piętnastu centymetrów. To ten maleńki wodospad był źródłem płynącego korytarzem wąskiego strumyka.

- Jaskinia wzmacnia dźwięk i sprawia, że byle szum brzmi jak odgłos burzy.

- Niezła sztuczka - przyznałam.

Szeroka półka skalna ozdobiona niedużymi kaskadami ciągnęła się w górę, do podnóża szerokiej skały. Na jej skraju siedziała lamia, z nogami zwieszonymi poza krawędź. Skała miała około dwa i pół metra wysokości, ale sklepienie jaskini także tutaj tonęło w mroku. To właśnie dzięki rozmiarom jaskini rozlegało się tu tak silne i zwodnicze echo. Ronald stanął za jej plecami, jak na dobrego ochroniarza przystało, z dłońmi splecionymi przed sobą. Opodal Ronalda i lamii widniał ciemny otwór prowadzący w głąb jaskini, ku źródłu niedużego strumyka. Blondas wspinał się na górę i podał mi rękę.

- Gdzie Oliver?

- Na wprost ciebie - odrzekła lamia. W jej głosie pobrzmiwała wesoła nuta, jakby Melanie z trudem tłumiła w sobie śmiech.

Ciekawe, co ją tak rozbawiło. Mnie jakoś nie było do śmiechu. Obawiałam się, że być może lamia śmiała się ze mnie. Zignorowałam dłoń Blondasa i bez jego pomocy wspierałam się na skałę. Dłonie miałam oblepione jasno-brązowym błotem i wilgotne od wody, oto przepis na doskonały szlam. Zwalczyłam w sobie chęć wytarcia rąk o dzinsy i uklęknęłam przy niedużej sadzawce zasilającej kaskady. Woda była lodowata, ale umyłam w niej ręce i od razu poczułam się lepiej.

Lamia usiadła w otoczeniu swoich mężczyzn, jakby pozowała do rodzinnej fotografii. Najwyraźniej na kogoś czekała. Na Olivera. Gdzie on się podziewał?

- Gdzie Oliver?

- Obawiam się, że nie przyjdzie. - Z głębi jaskini dobiegł mnie czyjś głos.

Cofnęłam się o krok, ale dalej już nie mogłam, gdyż znalazłam się na samym skraju skały. W stronę mrocznego przejścia skierowały się promienie dwóch ołówkowych latarek. W ich świetle pojawił się Alejandro.

- Niestety, panno Blake, nie spotka się dziś pani z Oliverem.

Zanim wydarzyło się coś jeszcze, odruchowo sięgnęłam po broń. Światła zgasły, a ja pozostałam wśród egipskich ciemności z mistrzem wampirów, lamią i trzema wrogo do mnie nastawionymi facetami. To chyba nie był jeden z moich lepszych dni.

**40**

Uklęknęłam z bronią gotową do strzału, tuż przy ciele. Mrok był gęsty jak aksamit. Nie widziałam własnej dłoni uniesionej na wysokości twarzy. Zamknęłam oczy, wyjęłam słuch. I nagle szurnięcie podeszew butów o kamienie. Ruch powietrza, jakby ktoś się do mnie zbliżył. Miałam trzynaście srebrnych naboń. Już wkrótce przekonamy się, czy srebro może zranić lamię. Alejandro dostał już srebrną kulę w pierś i najwyraźniej nie uczyniła mu ona żadnej szkody. Wpakowałam się w niezłe szambo. Kroki były tuż-tuż. Czułam, że ktoś się zbliża.

Otworzyłam oczy. Miałam wrażenie, jakbym usiłowała przeniknąć wzrokiem czarną, nieprzejrzywą kulę. Czułam jednak, że ktoś nade mną stoi. Uniosłam broń na wysokość brzucha lub splotu słonecznego i nacisnęłam spust, nie dźwigając się z kolan. Błyski przypominały wyładowania piorunów, w ciemnościach buchnęły niebieskawe płomienie. Uśmiechnięty runął do tyłu w rozblasku światła. Usłyszałam, jak osunął się poza krawędź, a potem zapadła cisza. I nie było już nic oprócz czerni.

Czyjeś dłonie chwyciły mnie za przedramiona, a ja nic nie usłyszałam. To był Alejandro. Krzyknęłam, gdy postawił mnie na nogi.

- Twój mały pistolecik nie może mi wyrządzić krzywdy - powiedział. Głos miał łagodny i cichy. Nie odebrał mi broni. Nie bał się jej. A powinien. - Zaproponowałam Melanie wolność, gdy tylko Oliver i obecny Mistrz Miasta zostaną unicestwieni. Tobie oferuję wieczne życie, wieczną młodość, będziesz mogła żyć.

- Nałożyłeś na mnie pierwszy znak.

- Dziś wieczorem otrzymasz drugi - powiedział. Głos miał cichy i zwyczajny w porównaniu z Jean-Claudem, ale ciemność i jego dotyk nadawały słowom nowego, bardziej intymnego znaczenia.

- A jeśli ja nie chcę być twoją ludzką służebnicą?

- I tak będę cię miał, Anito. Utrata ciebie osłabi Mistrza. Dzięki temu utraci swych popleczników oraz pozycję. O tak, Anito, będę cię miał. Przyłącz się do mnie i z własnej woli, a będzie to dla ciebie przyjemne. Staw mi opór, a poznasz, czym jest cierpienie.

Wycelowałam na słuch, starając się trafić w jego gardło. Gdybym zdołała uszkodzić mu kręgosłup,



niezależnie czy miał tysiąc lat, czy więcej, mogłabym go unicestwić. Kto wie. Może. Błagam. Boże. Wypaliłam. Kula trafiła go w szyję. Targnął się do tyłu, ale nie puścił moich rąk. Jeszcze dwie kule, jedna w szyję, druga w żuchwę i odepchnął mnie od siebie, wyjąc. Wylądowałam na wznak w lodowatej wodzie.

Promień latarki przeciął mrok. Opodał stanął Blondas - idealny cel. Strzeliłam i latarka zgasła, ale nie usłyszałam krzyku. Wypaliłam zbyt szybko i chybiłam. Cholera. Po ciemku nie uda mi się ześlizgnąć z tej skały. Mogłabym spaść i złamać nogę. Pozostawało mi więc jedynie wejście jeszcze dalej w głąb jaskiń, jeśli zdołam tam dotrzeć.

Alejandro wciąż wydawał z siebie nieartykułowany skowyt wściekłości. Krzyki odbijały się echem od kamiennych ścian i wkrótce poza tym, że nic nie widziałam, niczego już także nie słyszałam.

Przebrnęłam przez wodę, niemal przywierając plecami do ściany. Skoro ja ich nie słyszałam, to może także oni mnie nie słyszeli.

- Odbierz jej tę pukawkę - rzekła lamia. Przemieściła się i chyba stanęła obok zranionego wampira. Oczekiwałam w ciemnościach na jakiś znak świadczący, że zaczęli mnie szukać. Poczulałam na twarzy powiew chłodnego powietrza. To nie była ich sprawka. Czyżbym zbliżyła się do otworu prowadzącego w głąb jaskiń? Czy mogłam się im wymknąć? Po ciemku, nie wiedząc, czy na mojej drodze pojawią się jamy albo woda tak głęboka, że mogłabym w niej utonąć? Pomysł nie wydawał się dobry. Może mogłabym po prostu ich wszystkich pozabijać. To też raczej wątpliwe.

Pośród echa wrzasków Alejandro rozległ się inny dźwięk, wysoki syk, jakby jakiegoś wielkiego węża. Lamia zmieniała kształt. Musiałam zwać, zanim dopełni przemiany.

Rozbryzgi wody nieomal mnie dosięgły. Uniosłam wzrok, ale nie ujrzałam nic prócz nieprzeniknionej czerni. Nie poczułam nic więcej niż tylko krople wody, które znów na mnie prysnęły. Uniosłam broń i wypaliłam. W rozbłysku światła dostrzegłam twarz RONALDA. Ciemne okulary znikły. Miał żółte oczy o pionowych źrenicach. Ujrzałam to wszystko przy błysku towarzyszącym wystrzałowi. Wypaliłam jeszcze dwa razy w ten paskudny pysk o węzowych oczach. Ronald krzyknął i widziałam ostre kły wyłaniające się zza jego zwykłych zębów. Boże. Kim on był? Czym był? Czymkolwiek był, runął do tyłu. Usłyszałam, jak wylądował w wodzie z głośnym pluskiem. Na pewno nie było tam płytko. Odkąd upadł, nie usłyszałam, aby się poruszył. Czy był martwy?

Wrzaski Alejandro ucichły. Czy on także zginął? A może próbował się do mnie podkraść? Może był już blisko? Uniosłam pistolet przed sobą, usiłując przejrzeć ciemność.

Coś ciężkiego przepęzło po kamieniach. Poczulałam nagły ucisk w dołku. Lamia. Cholera.

Tego było już nadto. Pokonałam załom muru i znalazłam się przy przejściu. Pełzłam na kolanach, podpierając się jedną ręką. Nie chciałam uciekać, dopóki to nie będzie absolutnie konieczne. Mogłam wyrznąć w ciemnościach w ścianę albo nadziać się na stalaktyt, albo wpaść w jakąś bezdenną rozpadlinę. No, może nie bezdenną, ale jak dla mnie wystarczyłoby nawet drobne dziesięć metrów. Trup to trup. Niezależnie z jakiej spada się wysokości.

Lodowata woda przesączała się przez moje dzinsy i buty. Pod dłonią czułam śliską kamienną powierzchnię. Pełzłam najszybciej, jak tylko mogłam, macając ręką w poszukiwaniu rozpadlin czy innych niewidocznych zagrożeń.

Czerń wypełnił głośny szelest. To lamia. Dopełniła transformacji. Czy w nowej postaci będzie pełznąć po kamieniach szybciej ode mnie? Miałam ochotę podnieść się i zacząć biec ile sił. Pragnienie ucieczki było tak silne, że aż ścierpły mi ramiona.

Donośny plusk zwiastował, że wpęzła do wody. A więc jednak poruszała się szybciej ode mnie. Tak jak przypuszczałam. Mogłam się o to założyć. A gdybym zaczęła biec... i wpadła z impetem na skalną ścianę? No cóż, lepiej zaryzykować, niż zwlekać i dać się złapać jak mysz brodząca w lodowatej

wodzie.

Podniosłam się powoli i zaczęłam biec. Lewą rękę trzymałam przed sobą, aby osłonić twarz, ale resztę pozostawiłam swojemu szczęściu i przypadkowi. Było ciemno jak diabli. Nie widziałam zupełnie nic. Biegłam co siłą, ślepa jak nietoperz, czując w żołądku lodowatą gulę wywołaną przeświadczeniem, że lada moment pod moimi stopami otworzy się podstępna szczelina.

Odgłos łusek prześlizgujących się po kamieniach z wolna się oddalał. Udało mi się ją prześcignąć. Doskonale. Zahaczyłam prawym barkiem w wystającą skałę. Impet zderzenia pchnął mnie na przeciwległą ścianę. Ramię zdrętwiało od barku po koniuszki palców. Upuściłam broń. Zostały mi tylko trzy naboje, ale to lepsze niż nic. Oparłam się o ścianę, przyciskając rękę do ciała, czekając, aż odzyskam czucie, zastanawiając się, czy odnajdę w tych ciemnościach moją broń i czy będę mieć na to czas.

W tunelu pojawiło się jakieś światło. Zbliżał się Blondas, sporo ryzykował. Gdybym miała broń, ma się rozumieć. Tylko że nie miałam już pistoletu. Gdybym walnęła w większy odłam skalny, mogłam złamać rękę. Powoli odzyskiwałam czucie. Ramię zaczęło mnie świerzbic i pulsować tępym bólem. Potrzebowałam latarki. A gdybym się gdzieś schowała i odebrała latarkę Blondasowi? Miałam dwa noże. O ile wiedziałam, Blondas nie był uzbrojony. Miałam więc pewną szansę.

Światło zbliżało się powoli, słaby snop przesunął się z boku na bok. Może zdążę. Podniosłam się i zaczęłam macać dłonią w poszukiwaniu występu, który omal nie pozbawił mnie ręki. Była to skalna półka ze znajdującym się za nią otworem. Podmuch chłodnego powietrza owionął mi twarz. To był nieduży tunel. Znajdował się na wysokości mojego barku, czyli w przypadku Blondasa na poziomie głowy. Doskonale.

Oparłam dłonie na płask i podciągnęłam się. Prawe ramię próbowało protestować, ale nie zważałam na to. Wpełzłam do tunelu, wyciągając ręce przed siebie w poszukiwaniu stalaktytów czy innych półek skalnych. Nic prócz niedużej, pustej przestrzeni. Gdybym była większa, nie mieściłabym się wewnątrz. Niech żyją drobne, niskie osoby.

Wyjęłam nóż lewą ręką. Prawa wciąż drżała. Byłam lepsza w posługiwaniu się prawą, jak większość praworęcznych osób, ale ćwiczyłam też lewą. Zwłaszcza odkąd pewien wampir złamał mi prawe ramię i ocaliło mnie tylko to, że miałam sprawną drugą rękę. Sytuacja, w której stajesz w obliczu śmierci, często skłania ludzi do wyczerpanych ćwiczeń.

Przyklękałam w tunelu, zaciskając nóż w dłoni i przytrzymując się prawą ręką ściany. Miałam tylko jedną szansę. Nie łudziłam się. W normalnym starciu z atletycznym mężczyzną, cięższym ode mnie o pięćdziesiąt kilo, nie miałam żadnych szans. Gdybym nie załatwiła go za pierwszym razem, zrobi ze mnie miąsgę albo odda lamii. Z dwojga złego wolałabym bicie.

Czekałam w ciemnościach z nożem w rękę, gotowa poderżnąć komuś gardło. Niezbyt to miłe, gdy się nad tym zastanowić. Ale konieczne, czyż nie? Był tuż-tuż. Cienki promień ołówkowej latarki wydawał się przeraźliwie jasny w ciemnościach. Gdyby poświecił w stronę mojej kryjówki, zanim się do niej zbliży, byłoby po mnie. Podobnie jeśli zdecyduje się przejść bliżej lewej ściany tunelu, a nie tuż przede mną... Przestań. Już dość.

Światło znalazło się tuż przede mną. Usłyszałam jego kroki, gdy przechodził przez wodę, zbliżał się. Trzymał się prawej ściany, tak jak tego chciałam. Jego jasne włosy pojawiły się w zasięgu mego wzroku i w tej samej chwili zaatakowałam. Wysunęłam się do przodu, a on się odwrócił. Rozdziawił usta ze zdziwienia, zaraz potem nóż pograżył się z boku w jego szyi. Spoza zębów wysunęły się mu kły. Ostrze zgrzytnęło o kręgosłup. Prawą ręką schwyciłam go za długie włosy, odciągając głowę do tyłu i rozplatałam mu gardło. Krew buchnęła szkarłatną fontanną. Nóż i moja lewa ręka były śliskie od posoki. Osunął się z głośnym plaśnięciem na dno tunelu.

Ześlizgnęłam się z półki i wylądowałam obok jego ciała. Latarka poturlała się do wody, ale wciąż się paliła. Wyłowiliśmy ją. Browning leżał niemal tuż przy dłoni Blondasa. Był wilgotny, ale to nie miało znaczenia. Nowoczesne pistolety są tak skonstruowane, że można z nich strzelać nawet pod wodą. To jedna z cech, które tak bardzo ułatwiają rozwój współczesnego terroryzmu.

Krew zabarwiła strumień na czerwono. Poświeciłam latarką w głąb tunelu. W słabym świetle dostrzegłam sylwetkę lamii. Jej długie czarne włosy spływały kaskadą na białą, górną część ciała. Miała wydatne, sterczące piersi i ciemnych, czerwonych sutkach. Od pasa w dół była koloru kości słoniowej z blad złotymi zygzakami. Długie łuski na brzuchu były białe, z czarnymi cętkami. Uniosła się na długim, twardym ogonie i wysunęła w moją stronę rozdwojony język.

Alejandro stanął za nią, cały we krwi, ale poruszał się, mógł chodzić. Miałam ochotę krzyknąć: „Dlaczego nie umierasz, łajzo!”, ale to nic by nie dało. Może już nic nie mogło mi pomóc.

Lamia zaczęła sunąć w głąb tunelu. Wystarczyło parę kul, abym załatwiła jej sługi, mimo ich kłów i Ronalda z jego węzowymi ślepiami. Jak dotąd nie próbowałam poczęstować Melanie paroma srebrnymi nabojami. Cóż miałam do stracenia? Skierowałam promień latarki na jej nagie piersi i uniosłam pistolet.

- Jestem nieśmiertelna. Twoje kule nic mi nie zrobią.

- Zbliź się, a postaram się zweryfikować twoją teorię - odparłam.

Podpełzła bliżej, poruszając rękoma jakby w rytm kroków. Całe jej ciało poruszało się silnymi pchnięciami mocno umięsnionego ogona. Wyglądało to nadzwyczaj naturalnie. Alejandro pozostał z tyłu, oparty o ścianę. Cierpiał. Ale ekstra!

Pozwoliłam jej zbliżyć się na trzy metry. Na tyle blisko, aby ją trafić i dość daleko, by mieć czas na ucieczkę, w razie gdyby jej słowa się potwierdziły.

Pierwsza kula trafiła ją tuż nad lewą pierś. Zachwiała się. Trafiłam ją, ale rana zamknęła się jak woda, gładko i natychmiastowo. Nie pozostał żaden ślad. Uśmiechnęła się. Uniosłam nieznacznie broń i wpakowałam kulę nieco powyżej jej doskonałego nosa. Znów się zachwiała, ale rana nawet nie zaczęła krwawić. Po prostu się zagoiła. Podobny efekt miały zwykłe kule w przypadku wampirów.

Włożyłam pistolet do kabury podramiennej, obróciłam się na pięcie i zaczęłam biec. Od głównego tunelu odchodziła w bok szeroka szczelina. Musiałabym zdjąć kurtkę, aby się w nią wcisnąć. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, to ugrzęznąć w ciasnej dziurze, do której mogłaby też wpełznąć lamia. Pozostałam w tunelu głównym.

Jak okiem sięgnąć, korytarz był gładki i prosty. Tu i ówdzie ze ścian wystawały półki skalne, z niektórych spływała woda, ale pełzanie na brzuchu, gdy ścigała mnie węzopodobna istota, jakoś mi się nie uśmiechało. Mogłam ją prześcignąć. Biegłam szybciej, niż ona mogła pełznąć. Nawet wielkie węże nie są aż tak szybkie. Jeżeli tylko nie trafię w ślepą uliczkę, wszystko powinno być dobrze. Boże, jak bardzo pragnęłam w to uwierzyć.

Strumień sięgał mi teraz do kostek. Woda była tak zimna, że prawie nie czułam stóp. Bieg trochę mi pomógł. Musiałam skupić się na moim ciele, poruszać się, biec, starać się nie upaść i nie myśleć o tym, co mnie ścigało. Pytanie brzmiało, czy było stąd inne wyjście? Jeżeli nie mogłam ich zabić ani ominąć i jeśli było stąd tylko jedno wyjście, moje chwile były już policzone.

Wciąż biegłam przed siebie. Trzy razy w tygodniu pokonywałam dziesięć kilometrów, niekiedy nawet więcej. Mogłam biec długo. A miałam inny wybór?

W tunelu było coraz więcej wody. Jej poziom podnosił się. Teraz sięgała mi już do kolan. Spowalniała mnie. Czy lamia poruszała się w wodzie szybciej ode mnie? Nie wiedziałam. Po prostu nie wiedziałam.

Silny podmuch powietrza omiół mi plecy. Odwróciłam się, ale nic nie dostrzegłam. Powietrze było ciepłe i przesycone słabym zapachem kwiatów. Czy to lamia? Czy poza pościgiem mogła mnie dopaść jeszcze w inny sposób? Nie, lamie mogą wykorzystywać swe iluzje wyłącznie w stosunku do mężczyzn. Na tym polegała ich moc. Nie byłam mężczyzną, a zatem nic mi nie groziło. Wiatr owiał moją twarz, delikatny, ciepły i wonny, ten zapach przywodził na myśl silną, żywną woń świeżo wykopanych z ziemi korzeni. Co się działo?

- Anito.

Odwróciłam się, lecz nikogo tam nie było. W kręgu światła ujrzałam tylko tunel i wodę. Nie słyszałam nic prócz plusku wody. A jednak... ciepły wiatr musnął mój policzek, a zapach kwiatów przybrał na sile.

I nagle zorientowałam się, co to było. Przypomniałam sobie, jak na schodach ścigał mnie kiedyś widmowy wicher i jak ujrzałam w powietrzu płomyki niebieskiego ognia, przywodzące na myśl oczy. Drugi znak.

Wtedy było inaczej, nie czułam zapachu kwiatów, ale wiedziałam, że to było to. Alejandro nie musiał mnie dotknąć, aby nałożyć na mnie znak, podobnie jak Jean-Claude.

Poślizgnęłam się na wilgotnych kamieniach i zanurzyłam się po szyję w wodzie. Podniosłam się niezdarnie, poziom wody sięgał mi teraz do ud. Moje dzinsy stały się mokre i ciężkie. Zaczęłam brnąć przed siebie. Chciałam pobiec, ale woda była na to zbyt głęboka. Szybciej byłoby, gdybym zaczęła płynąć.

Zanurkowałam, ściskając w jednej dłoni latarkę. Skórzana kurtka zaczęła ściągać mnie w dół, spowalniała ruchy. Wstałam i zdjęłam ją, puszczając z prądem. Żal mi było rozstawać się z kurtką, ale przecież jeśli przeżyję, będę mogła kupić sobie nową. Cieszyłam się, że założyłam bluzkę z długimi rękawami, a nie sweter. Było za zimno, abym mogła zrzucić z siebie coś jeszcze.

Lamia poruszała się w wodzie znacznie szybciej. Ciepły wiatr owionął moją twarz, w porównaniu z lodowatą wodą wydał mi się gorący.

Nie wiem, co mnie skłoniło, abym się odwróciła, nazwijcie to przeczuciem. W powietrzu płynęły w moją stronę dwie plamy czerni. Gdyby czerń mogła płonąć, przyrównałabym tę do bliźniaczych ogników, czarnych płomyków zbliżających się do mnie w podmuchach ciepłego, wonnego wiatru.

W oddali przede mną zamajaczyła kamienna ściana. Strumień przepływał właśnie pod nią. Przytrzymałam się ściany i stwierdziłam, że pomiędzy taflą wody a sklepieniem tunelu pozostawało jakieś dwa i pół centymetra wolnej przestrzeni. Wyglądało na to, że byłam na najlepszej drodze do utonięcia. Zaczęłam brnąć przez wodę i oświetlać tunel światłem latarki. Jest. Wąska skalna półka prowadząca, miejmy nadzieję, do innego, suchego tunelu.

Wspięłam się na półkę, ale podmuch wiatru uderzył mnie niczym ciepła ręka. Towarzyszyło temu wrażenie spokoju i bezpieczeństwa, dodajmy, wrażenie z gruntu fałszywe. Odwróciłam się, a czarne płomyki zawisły nade mną jak demoniczne świetliki.

- Anito, przyjmij to.

- Idź do diabła! - Przywarłam plecami do ściany, otoczona ciepłym, tropikalnym wiatrem. - Błagam, nie rób mi tego - wyszeptałam.

Płomyki opadały coraz niżej. Zamachnęłam się na nie rękami. Przeniknęły przez moje dłonie jak zjawy. Zapach kwiatów był coraz bardziej słodki, duszący. Płomyki wniknęły do moich oczu i przez chwilę ujrzałam świat przez pryzmat barwnych ogniów i czerni będącej swego rodzaju światłem. A potem nic. Odzyskałam wzrok. Ciepła bryza z wolna ustała. Zapach kwiatów spowijał mnie jak aromat drogich perfum.

Usłyszałam dźwięk czegoś dużego, poruszającego się w mroku. Powoli uniosłam latarkę i w jej

świetle ujrzałam śniade oblicze rodem z najgorszego koszmaru. Proste czarne włosy były obcięte krótko, podkreślając pociągłe oblicze. Żłote oczy o źrenicach jak szparki spoglądały na mnie, nie mrugając powiekami, nieruchome. Szczupła górna połowa ciała podciągała w moją stronę dolną, bezwładną część. Od pasa w dół jego skóra była przezroczysta. Wciąż widać było nogi i genitalia, ale połączyły się one na kształt topornego węzowego ogona. Skąd się biorą młode lamie, gdy w okolicy nie ma akurat ani jednego samca? Spojrzałam na to, co było kiedyś istotą ludzką i krzyknęłam przeraźliwie.

Otworzył usta i ujrzałam wysuwające się kły. Zasyczał i ślina pociekła mu po brodzie. W tych gadzich ślepiach nie pozostało już ani odrobiny człowieczeństwa. Lamia była bardziej ludzka niż on, ale gdybym zmieniła się w węża, może ja także straciłabym zmysły. Może szaleństwo było w tym przypadku błogosławieństwem.

Wyjęłam pistolet i strzeliłam mu z przyłożenia w usta. Odrzuciło go w tył. Zawył przeciągle, ale nie zaczął krwawic. I nie umarł. Cholera.

Z oddali dobiegło głośnie wołanie, którego echo przetoczyło się w naszą stronę.

- Raju! - Lamia nawoływała swego partnera, a może próbowała go ostrzec.

- Anito, nie rób mu nic złego. - To był Alejandro. Przynajmniej musiał zawołać. Nie mógł już przemawiać do mnie w myślach.

Stwór zaczął pełznąć w moim kierunku, rozdziawiając paszczę i obnażając kły.

- Powiedz mu, żeby to on mnie nie skrzywdził! - odkrzyknęłam.

Browning wrócił do kabury, a zresztą i tak nie miałam już naboji. Czekałam z latarką w jednej i nożem w drugiej ręce. Jeżeli zdołają powstrzymać go na czas, to świetnie. Szczerze wątpiłam w moc srebrnych noży, skoro srebrna kula nie wyrządziła mu żadnej szkody, ale tak czy owak nie zamierzałam poddać się bez walki.

Dłonie miał całe we krwi od czołgania się po kamieniach. Nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę coś, co było gorsze od przemiany w wampira, a jednak miałam to przed sobą i, co gorsza, to pełzło w moją stronę. Znajdował się między mną a suchym tunelem, ale poruszał się przeraźliwie wolno. Przylgnęłam plecami do ściany i wstałam.

Przyspieszył i bez wątpienia usiłował mnie dopaść. Minęłam go, ale chwycił mnie za kostkę i silnym szarpnięciem przewrócił na ziemię. Złapał mnie za nogi i zaczął przyciągać ku sobie. Usiadłam i wbiłam nóż w jego ramię. Wrzasnął, krew spłynęła mu po ręce. Ostrze ugrzęzło w kości, a potwór wytrącił mi nóż z ręki. W chwilę potem dzwignął się w górę i zaatakował, zatapiając kły w mojej łydce. Krzyknęłam i wyciągnęłam drugi nóż. Stwór uniósł głowę, krew ciekła mu strużkami po twarzy, z kłów spływały gęste, żółte krople. Wbiłam nóż w żółte ślepie monstrum. Ryknął potwornie, a echo tego wrzasku zupełnie mnie ogłuszyło. Po chwili padł na wznak, dolną częścią ciała targnęły skurcze, palce zacisnęły się w szpony. Przetoczyłam się wraz z nim, wbijając nóż z całej siły, najgłębiej jak się dało. Poczulałam, że czubek ostrza zgrzytnął o kości czaszki. Wciąż się miotał i walczył, ale nie ulegało wątpliwości, że go zraniłam. Pozostawiłam nóż w oczodole, ale wyrwałam ten, który tkwił w ramieniu.

- Raju, nie!

Oświetliłam latarką lamie. Jej górna, biała część ciała lśniła w świetle, jakby była wilgotna. Obok niej stał Alejandro. Wyglądało na to, że już całkiem ozdrowiał. Nigdy dotąd nie widziałam wampira, który tak szybko odzyskiwał siły.

- Zapłacisz życiem za to, że ich zabiłaś - wysyczała lamia.

- Nie, dziewczyna jest moja.

- Zabiła mi partnera. Musi umrzeć!

- Dzisiejszej nocy obdarzę ją trzecim znakiem. Będzie moją służebnicą. To wystarczająca zemsta.

- Nie - krzyknęła.

Czekałam, aż zadziała trucizna, ale jak dotąd ugryzienie tylko trochę bolało, nie czułam silnego pieczenia ani niczego niezwykłego. Spojrzałam na suchy tunel, ale wiedziałam, że i tak ruszyliby za mną w pościg, a ja nie mogłam ich zabić, nie dziś, nie taką bronią. Będą inne okazje.

Ześlizgnęłam się z powrotem do strumienia. Pomiedzy sklepieniem a taflą wody wciąż pozostawało dwa i pół centymetra wolnej przestrzeni. Ryzykowałam utonięcie, ale gdybym została, miałam w perspektywie zabicie przez lamie lub zniewolenie przez wampira. Nic tylko wybierać.

Wślizgnęłam się do tunelu, przytykając usta do wilgotnego sklepienia. Mogłam oddychać. Może jednak jeszcze trochę pożyję. Cuda się zdarzają. W tunelu pojawiły się drobne fale. Jedna z nich przetoczyła się po mojej twarzy i zachłysnęłam się wodą. Powoli, ostrożnie brnęłam naprzód. To moje ruchy wywoływały te fale. Byłam na najlepszej drodze do popełnienia samobójstwa przez utopienie. Znieruchomiałam, aż woda się uspokoiła, po czym po serii szybkich oddechów, aby powiększyć pojemność płuc i zaczerpnąć możliwie jak najwięcej powietrza, wzięłam jeden głęboki. Zanurzyłam się w wodzie i zaczęłam pracować nogami. Było za wąsko na pływanię żabką. Czułam ucisk w klatce piersiowej i w gardle. Brakowało mi powietrza. Wynurzyłam się i pocałowałam skałę. Nie było tu prawie wcale wolnej przestrzeni. Woda wlała mi się do nosa i zakasłałam. Łyknęłam tylko jeszcze więcej wody. Przywarłam twarzą do sklepienia, najlepiej jak tylko mogłam, zaczerpnęłam kilka szybkich, płytkich oddechów i znów zesłam pod wodę, pracując nogami z wszystkich sił. Jeżeli tunel był w dalszej części całkowicie zalany, umrę. Wiedziałam, że nie zdołam go przepłynąć na tych resztkach powietrza, które miałam jeszcze w płucach. A jeśli tunel był za długi? Jeśli był całkowicie zalany? Ogarnęła mnie panika i zaczęłam płynąć jeszcze szybciej, gorączkowo oświetlając latarką ściany i bezgłośnie odmawiając w myślach zdrowaśki. Proszę cię, Boże, błagam, nie pozwól, abym tu umarła.

Moja pierś płonęła żywym ogniem, a gardło pękało z braku powietrza. Światło zaczęło przygasać, ja zaś uświadomiłam sobie, że zaczęło robić mi się ciemno przed oczami. Lada chwila zemdleję i utonę.

Zaczęłam płynąć ku powierzchni i natrafiłam na pustą przestrzeń. Pierwszy oddech okazał się szczególnie bolesny. Ujrzałam przed sobą skalisty brzeg i promienie światła słonecznego. W ścianie był otwór. Blask słońca tworzył w powietrzu rozrzedzoną mleczną mgiełkę. Wypełzłam na skałę, kaszląc i ponownie ucząc się oddychania. Wciąż miałam w rękach nóż i latarkę. Nie pamiętałam, że je trzymam. Skała pokryta była warstewką szarego błota.

Popęzłam po brzegu w stronę otworu w kamiennej ścianie. Skoro mnie udało się przepłynąć, może im także się uda. Nie czekałam, aż lepiej się poczuję. Włożyłam nóż do pochewki, wsunęłam latarkę do kieszeni i zaczęłam się czołgać, ale już wkrótce znalazłam się przy szczelinie. Była dość wąska, ale dostrzegłam przez nią drzewa i wzgórze. Boże, jaki to był cudny widok!

Z tyłu za mną coś się wynurzyło. Odwróciłam się. Alejandro wyłonił się z wody i padły na niego promienie słońca. Jego skóra stanęła w ogniu i wampir z przeraźliwym wrzaskiem ponownie zanurzył się w wodzie.

- Płoń, sukinsynu, płoń!

Na powierzchni pojawiła się lamia.

Próbowałam precyzyjnie się przez szczelinę i utknęłam. Odpychałam się rękoma i nogami, ale nogi ślizgały mi się w błocie i nie mogłam dobrze się nimi zaprzeć.

- Zabiję cię.

Udało mi się precyzyjnie górą połowę ciała i zaczęłam szamotać się z całej siły, aby całkiem

przeleźć przez ten cholerny otwór. Podrapałam sobie plecy o szorstkie kamienie i wiedziałam, że zdarłam skórę do krwi. Ale opłaciło się. Wyślizgnęłam się ze szczeliny, wypadłam na zbocze wzgórza i toczyłam się po nim, aby wreszcie zatrzymać się na drzewie poniżej.

Lamia zbliżyła się do otworu. Promienie słońca nie czyniły jej szkody. Spróbowała precyzyjnie się przez szczelinę, ale górna połowa jej ciała była zdecydowanie zbyt pulchna i krągła. Nawet próby poszerzenia otworu nic nie dały. Wężowe ciało mogłoby się precyzyjnie przez szczelinę, ale ludzka połowa była za szeroka.

Mimo to podniosłam się czym prędzej i zaczęłam schodzić po stoku. Wolałam nie ryzykować. Było tak stromo, że musiałam lawirować od jednego drzewa do drugiego i nieźle się napocić, aby nie stracić równowagi. Z oddali, gdzieś przede mną, dobiegły odgłosy przejeżdżających samochodów. Dość ruchliwa szosa, sądząc po hałasie. Zaczęłam biec, biegłam coraz szybciej i szybciej w dół stoku, kierując się w stronę, skąd dobiegał warkot samochodów. Pomędzy drzewami już było widać szosę.

Wypadłam na pobocze drogi, cała uwalana w szarym błocie, przemoczona do szpiku kości i dygocząca na jesiennym wietrze jak osika. Nigdy jednak nie czułam się lepiej. Minęły mnie dwa samochody, kierowcy zignorowali moje błagalne próby zatrzymania pojazdów. A może zniechęcił ich widok pistoletu w kaburze podramiennej. Zielona mazda podjechała i zatrzymała się. Kierowca wychylił się i otworzył drzwiczki po stronie pasażera.

- Wskakuj. - To był Edward. Spojrzałam w jego niebieskie oczy, zlustrowałam to nieodgadnione, zimne oblicze i przez chwilę miałam wrażenie, że dostrzegam na nim grymas cynicznego zadowolenia. Nie przejęłam się tym ani trochę. Zajęłam miejsce na fotelu i zatrasnęłam drzwiczki. - Dokąd? - zapytał.

- Do domu - odparłam.

- Może powinienem odwieźć cię do szpitala?

Pokręciłam głową.

- Znów mnie śledziłeś.

Uśmiechnął się.

- Zgubiłem cię w lesie.

- Mieszczuch.

Rozpromienił się.

- Tylko bez epitetów. Wyglądasz jak adeptka szkoły przetrwania.

Już chciałam coś powiedzieć, ale dałam sobie spokój. Miał rację, a ja byłam zbyt zmęczona i nie miałam ochoty na kłótnie.

**41**

Siedziałam na skraju wanny, mając na sobie tylko obszerny plażowy ręcznik. Wzięłam prysznic i umyłam włosy, spłukując błoto i krew. Krew wciąż jednak sączyła się z głębokiego zadrapania na plecach. Edward przyłożył do rany mniejszy ręcznik i mocno docisnął.

- Kiedy krwawienie ustanie, założę ci opatrunek - powiedział.

- Dzięki.

- Mam wrażenie, że stale muszę cię łątać.

Spojrzałam na niego przez ramię i skrzywiłam się.

- Miałam okazję odwdziżyć się tym samym.

Uśmiechnął się.

- Racja.

Moje poharatane dłonie zostały już zabandażowane. Wyglądały teraz jak nieco

ciemniejsze ręce mumii.

Edward delikatnie dotknął zranienia po wampirzych zębach na mojej łydce.

- To mnie martwi.

- Mnie również.

- Nie ma przebarwienia. - Spojrzał na mnie. - Nie boli cię?

- Ani trochę. To nie była lamia w czystej postaci, może więc jej ukąszenie nie jest

jadowite. Poza tym, czy twoim zdaniem ktokolwiek w St. Louis ma surowicę przeciwko jadowi lamii? Te istoty od ponad dwustu lat są uważane za gatunek wymarły. Edward obmacał ciało wokół rany.

- Nie czuję opuchlizny.

- Minęła już ponad godzina. Gdyby rana była zatruta, trucizna już dawno dałaby o sobie znać.

- Taa. - Spojrzał na ślad po ukąszeniu. - Ale od czasu do czasu zerkaj na tę nogę.

- Nie wiedziałam, że tak ci na mnie zależy - stwierdziłam.

Jego oblicze było puste, wyzute z wszelkich uczuć.

- Świat bez ciebie byłby znacznie uboższy. - Głos miał beznamiętny, stonowany. Zupełnie jakby w ogóle go tam nie było. A jednak wysilił się na komplement. Ze strony Edwarda każdy komplement stanowił nie lada wyróżnienie.

- A niech to, Edwardzie, nie ekscytuj się tak bardzo.

Posłał mi delikatny uśmiech, po którym jego oczy znów stały się puste i lodowate jak niebo zimą. Byliśmy na swój sposób przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi, ale chyba nigdy nie zdołałabym go zrozumieć. Było w nim zbyt wiele niewiadomych, tego czego nie dawał odczuć ani nawet dostrzec. Kiedyś byłam przekonana, że gdyby przyszło co do czego, w razie konieczności zastrzeliłby mnie bez wahania. Teraz nie miałam już takiej pewności. Jak można przyjaźnić się z kimś, kto twoim zdaniem byłby w stanie zabić cię z zimną krwią? Kolejna tajemnica życia.

- Krwawienie ustało - powiedział. Posmarował ranę środkiem antyseptycznym i zaczął nakładać opatrunek.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Która godzina? - spytałam.

- Trzecia.

- Cholera.

- Co się stało?

- Mam randkę.

- Ty? Masz randkę?

Łypnęłam na niego gniewnie.

- To nic poważnego.

Edward uśmiechnął się wrednie. Wstał.

- Jesteś jak nowa. Wpuszczę go.

- Edwardzie, proszę, bądź uprzejmy.

- Ja, uprzejmy?

- No dobrze, tylko go nie zastrzel i wszystko będzie dobrze.

- To chyba mogę dla ciebie zrobić. - Edward wyszedł z łazienki, aby wpuścić Richarda.

Co sobie pomyśli Richard, gdy drzwi otworzy mu inny mężczyzna? Sprawy były i tak już dość skomplikowane, Edward mógł je co najwyżej jeszcze bardziej zagmatwać. Prawdopodobnie bez słowa wyjaśnienia zaproponuje mu, aby usiadł. Nie miałam pewności, czy nawet ja zdołam to jakoś wyjaśnić. Przecież nie powiem: „To mój przyjaciel, zawodowy zabójca”. Nie. Może: „Kolega po



fachu, pogromca wampirów”.

Drzwi do łazienki zostały zamknięte, abym mogła spokojnie się ubrać. Spróbowałam założyć biustonosz i stwierdziłam, że za bardzo bołą mnie plecy. Żadnego biustonosza. To ograniczało ilość rzeczy, które mogłam na siebie włożyć, chyba że chciałam pokazać Richardowi więcej, niż sobie założyłam. Chciałam też obserwować zranioną nogę. W tej sytuacji spodnie odpadają.

Zwykle śpiam w przydużych podkoszulkach, a para dżinsów do tego to dla mnie odpowiednik szlafroka. Miałam jednak prawdziwy szlafrok. Tylko jeden. Był wygodny, całkiem czarny, jedwabisty w dotyku i ani trochę nie przejrzysty. Pod szlafrok zakładałam czarne, jedwabne body, ale uznałam je za zbyt odważne jak na tę okazję, a poza tym wcale nie było wygodne. Tak to często bywa z seksowną bielizną. Wyjęłam z głębi szafy szlafrok i włożyłam go. Był gładki i przyjemny w dotyku. Otuliłam się nim szczerze i przewiązałam paskiem w talii. Nie chciałam dziś dawać niezapowiedzianych występów.

Przez chwilę nasłuchiwałam pod drzwiami, ale nic nie wychwyciłam. Zero rozmów czy odgłosów kroków. Nic. Otworzyłam drzwi i wyszłam.

Richard siedział na tapczanie, przez oparcie którego przewieszane były nasze kostiumy. Edward czuł się jak u siebie. Był w kuchni i parzył kawę.

Gdy weszłam, Richard odwrócił się. Jego oczy nieznacznie się rozszerzyły. Włosy wciąż jeszcze miałam wilgotne i byłam w szlafroku. Co mógł sobie teraz pomyśleć?

- Ładny szlafrok - powiedział Edward.

- To prezent od pewnego chłopaka, który okazał się nadmiernym optymistą.

- Podoba mi się - rzekł Richard.

- Tylko bez dwuznacznych uwag albo zaraz stąd wylecisz.

Zerknął na Edwarda.

- Czyżbym w czymś przeszkodził?

- To tylko mój współpracownik, nic poza tym. - Łypnęłam na Edwarda, a jedno spojrzenie wystarczyło, aby nie skomentował moich słów. Uśmiechnął się tylko i nalał kawę dla całej naszej trójki.

- Usiądźmy przy stole - zaproponowałam. - Nie pijam kawy, siedząc na białym tapczanie.

Edward postawił kubki na małym stoliku. Oparł się o kredens, pozostawiając oba krzesła dla nas.

Richard zostawił płaszcz na tapczanie i usiadł naprzeciwko mnie. Nosił niebieskozielony sweter z granatowymi wzorami na piersi. Ten kolor podkreślał idealny brąz oczu. Jego kości policzkowe wydawały się być osadzone wyżej. Na prawym policzku widniał plaster. Włosy w świetle miały delikatny kasztanowy odcień. To zdumiewające, co właściwy kolor może zrobić z człowiekiem.

Mojej uwadze nie uszedł fakt, że ja sama pięknie wyglądałam w czerni. Sądząc po wyrazie twarzy Richarda, podzielał moje zdanie, ale wciąż raz po raz zerkał na Edwarda.

- Edward i ja polowaliśmy na wampiry mordujące ludzi.

Jego oczy rozszerzyły się.

- No i co?

Spojrzałam na Edwarda. Wzruszył ramionami. To ja miałam zdecydować, ile mogę mu powiedzieć. Richard trzymał z Jean-Claudem. Czy był zwierzęciem Jean-Claude'a? Chyba raczej nie, chociaż... Lepiej zachować ostrożność. Gdybym się pomyliła, później go przeproszę. A jeśli okaże się, że miałam rację, będę rozczarowana Richardem, ale zadowolona, że się przed nim nie wygadałam.

- Powiedzmy, że dziś przegraliśmy.

- Ale żyjesz - dodał Edward.

Miał rację.

- Groziła ci dzisiaj śmierć? - W głosie Richarda dało się wyczuć silne wzburzenie.

Cóż mogłam odpowiedzieć.

- To był ciężki dzień.

Richard spojrział na Edwarda, a potem na mnie.

- Czy to było bardzo niebezpieczne?

Pokazałam mu obandażowane dłonie.

- Sporo skaleczeń i zadrapań, w sumie nic wielkiego.

Edward uśmiechał się, zasłaniając usta kubkiem.

- Powiedz mi prawdę, Anito - rzucił Richard.

- Nie muszę ci nic mówić. Nie mam takiego obowiązku. - Mój głos brzmiał trochę zbyt zachowawczo.

Richard spojrział na swoje dłonie, a potem na mnie. W jego spojrzeniu było coś, co sprawiło, że ścisnęło mnie w gardle.

- Masz rację. Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

Nagle ni stąd, ni zowąd zebrało mi się na zwierzenia.

- Powiedzmy, że wybrałam się na wycieczkę po jaskiniach, bez ciebie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Skończyło się na tym, że aby uciec przed gromadą łotrów, musiałam przepłynąć przez zalany tunel.

- Na ile zalany?

- Całkowicie.

- Mogłaś utonąć. - Dotknął mojej dłoni koniuszkami palców.

Zaczęłam sączyć kawę i cofnęłam dłoń, ale mimo to jeszcze przez chwilę czułam na skórze jego dotyk, jak utrzymujący się długo zapach.

- Ale nie utonęłam.

- Nie w tym rzecz.

- Właśnie że w tym - zaproponowałam. - Jeśli chcesz się ze mną umawiać, musisz pogodzić się, że mam taką, a nie inną pracę.

Pokiwał głową.

- Masz rację. Masz rację - rzekł półgłosem. - To mną wstrząsnęło. Nie byłem przygotowany na coś takiego. W sumie omal nie zginęłaś, a proszę, siedzisz tu sobie, popijając kawę jak gdyby nigdy nic.

- Dla mnie to chleb powszedni, Richardzie. Jeśli nie potrafisz się z tym pogodzić, może w ogóle nie powinniśmy próbować. - Nagle zwróciłam uwagę na wyraz twarzy Edwarda. - Co cię tak bawi?

- Sposób, w jaki traktujesz mężczyzn.

- Jeśli coś ci się nie podoba, to tam są drzwi.

Odstawił kubek na blat.

- Zostawię was samych, pogruhajcie sobie, gołąbeczki.

- Edwardzie! - rzuciłam.

- Idę sobie.

Odprowadziłam go do drzwi.

- Jeszcze raz dzięki, że byłeś gdzie trzeba we właściwym czasie, nawet jeśli stało się tak, ponieważ mnie śledziłeś.

Wyjął białą, niepozorną wizytówkę z nadrukowanym na niej numerem telefonu. Nie by to na niej nic więcej, żadnych nazwisk, żadnego logo, ale czego się właściwie spodziewałam: wizerunku okrwawionego sztyletu albo dymiącej spluwy?

- Gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń pod ten numer.

Edward nigdy dotąd nie dał mi swego numeru telefonu. Był jak duch. Pojawiał się, kiedy zechciał i gdzie tylko chciał, a potem zniknął niczym widmo. Numer można było namierzyć. To, że podał mi ten numer, wiele znaczyło. Na przykład to, że mi ufał. Może jednak by mnie nie zastrzelił.

- Dziękuję, Edwardzie.

- Jedna mała rada. Ludzie tacy jak my nie stanowią dobrej partii i mogą być ciężarem dla swoich partnerów.

- Wiem o tym.

- Czym on się zajmuje?

- Jest wykładowcą nauk ścisłych w college'u - odparłam.

Edward tylko pokręcił głową.

- Powodzenia - powiedział i wyszedł.

Wsunęłam wizytówkę do kieszeni szlafroka i wróciłam do Richarda. Był nauczycielem, ale także obcował z potworami. Widział przemoc i krew, nie robiło to na nim większego wrażenia. Czy da sobie radę? A ja? Jedna randka, a już rozważałam całą masę potencjalnych problemów na przyszłość. Kto wie, może po jednym wspólnym wieczorze nie będziemy chcieli się już więcej spotykać. Bywało i tak.

Spojrzałam na potylicę Richarda, zastanawiając się, czy te loki są naprawdę tak delikatne i miękkie, jak się wydawały. Nagły przyływ pożądania, żenujący, ale w sumie całkiem zwyczajny. Nic niezwykłego. Normalna reakcja. No dobrze, w moim przypadku nienormalna.

Poczułam ostry ból w nodze. Tej ugryzionej przez łamię. Proszę, nie. Oparłam się o łącznik. Richard spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Rozchyliłam poły szlafroka. Noga spuchła i nabrała fioletowego odcienia. Jak mogłam tego nie zauważyć?

- Czy wspomniałam, że zostałam dziś ukąszona przez łamię?

- Żartujesz - odparł.

Pokręciłam głową.

- Chyba będziesz musiał odwieźć mnie do szpitala.

Wstał i spojrzał na moją nogę.

- Boże! Usiądź!

Zaczęłam się pocić. W mieszkaniu nie było gorąco. Richard podprowadził mnie do tapczanu.

- Anito, łamię wyginęły ponad dwieście lat temu. Nikt już nie ma surowicy na ich jad.

Spojrzałam na niego.

- No to chyba nici z naszej randki.

- Nie, do cholery. Nie zamierzam siedzieć i patrzeć, jak umierasz. Nie pozwolę ci umrzeć.

Lykantropy są uodpornione na wszelkie trucizny.

- Chcesz zawieźć mnie do Stephena i nakłonić go, aby mnie ugryzł?

- Coś w tym rodzaju.

- Po moim trupie.

W jego oczach coś zamigotało, coś czego nie zdołałam rozszyfrować, może to ból.

- Mówisz poważnie?

- Tak. - Ogarnęła mnie fala mdłości. - Chyba zaraz puszczę pawia.

Spróbowałam wstać i poczłapać do łazienki, ale przewróciłam się na biały dywan i zwymiotowałam krwią. Czerwoną, jasną i świeżą. Miałam krwotok wewnętrzny. Wykrwawiałam się na śmierć.

Poczułam na czole dotyk chłodnej dłoni Richarda. Drugą ręką objął mnie w pasie. Rzygałam, dopóki nie poczułam się pusta i wyczerpana. Richard zaniósł mnie i położył na tapczanie. Ujrzałam wąski świetlny tunel otoczony przez ciemność. Mrok pochłaniał światło, a ja nie mogłam tego powstrzymać.

Poczułam, że zaczynam odpływać. Nie bolało. Nawet się nie bałam. Ostatnie, co usłyszałam, to głos Richarda:

- Nie pozwolę ci umrzeć.

To była przyjemna myśl.

42

Zaczął się sen. Siedziałam pośrodku ogromnego łóża z baldachimem. Aksamitne zasłony były ciemnogrnatowe, barwy nocnego nieba. Narzuta pod dłońmi wydawała się nadzwyczaj miękka. Miałam na sobie długą, białą suknię z koronkami pod szyją i przy rękawach. Nigdy nie miałam takiego ciucha. Ani ja, ani nikt w tym stuleciu.

Sciany pokryto niebiesko-złotą tapetą. W olbrzymim kominku radośnie buzował ogień, rzucając tańczące cienie po całym pokoju. Jean-Claude stał w kącie, skąpany wśród pomarańczowoczarnych cieni. Nosił tę samą koszulę, w której widziałam go ostatnio, tę z przezroczystym przodem. Podszedł do mnie, cienie rzucane przez ogień z kominka rozjaśniały jego włosy, twarz, migotały w źrenicach.

- Czemu w snach nigdy nie ubierzesz mnie w coś zwyczajnego?

Zawahał się.

- Nie podoba ci się suknia?

- Ani trochę.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Zawsze mówisz prosto z mostu, *ma petite*.

- Przestań mnie tak nazywać, do cholery.

- Jak sobie życzysz, Anito.

Wypowiedział moje imię w taki sposób, że nie przypadło mi to do gustu.

- Co ty kombinujesz, Jenn-Claude? - Stał przy łóżku i rozpiął pierwszy guzik przy koszuli. - Co robisz?

Kolejny guzik, i jeszcze jeden, aż w końcu wyciągnął koszulę ze spodni i rzucił na podłogę.

Jego tors był tylko nieznacznie ciemniejszy od mojej sukni. Sutki miał blade i twarde. Zafascynowało mnie pasemko ciemnych włosów, które zaczynało się na jego brzuchu i znikało pod spodniami. Wpełził na łóżko.

Cofnęłam się, krzyżując ramiona na piersiach niczym bohaterka kiepskiego wiktoriańskiego romansu.

- Nie tak łatwo mnie uwieść.

- Czuję na języku smak twego pożądania, Anito. Chciałabyś wiedzieć, jakie to uczucie, gdy moja skóra dotknie twego nagiego ciała.

Wygramoliłam się z łóżka.

- Zostaw mnie w spokoju, do cholery. Mówię serio.

- To tylko sen. Czy nawet we śnie nie możesz pozwolić sobie na odrobinę pożądania?

- Gdy chodzi o ciebie, to nigdy nie jest tylko sen.

Nagle pojawił się tuż przede mną. Nie zauważyłam tego ruchu. Oplótł mnie ramionami i nagle znaleźliśmy się na podłodze przed kominkiem. Cienie płomieni tańczyły na nagiej skórze jego ramion. Skórę miał delikatną, gładką, nieskazitelną, tak miękką, że mogłabym dotykać jej w nieskończoność. Położył się na mnie, poczułam jego ciężar wciskający mnie w podłogę. Czulałam, jak jego ciało przywiera do mojego.

- Jeden pocałunek i pozwolę ci wstać.

Spojrzałam w jego oczy, granatowe jak nocne niebo, z odległości kilku centymetrów. Odwróciłam głowę, aby nie kontemplować jego doskonałego oblicza. Na dłuższą metę to było nie do zniesienia.

- Jeden pocałunek?

- Masz moje słowo - zapewnił szeptem.

Odwróciłam się do niego.

- Twoje słowo nie jest warte funta kłaków.

Nachylił się nade mną, nasze usta niemal się zetknęły.

- Jeden pocałunek.

Wargi miał miękkie, delikatne. Pocałował mnie w policzek, jego usta musnęły moją zuchwę i dotknęły szyi. Poczułam na twarzy dotyk jego włosów. Ponieważ są kręcone, sądziłam, że będą szorstkie i sztywne, ale były bardzo miękkie, wręcz jedwabiste.

- Jeden pocałunek - wyszeptał, wtulając usta w skórę mojej szyi, muskając językiem puls.

- Przestań.

- Przecież chcesz tego.

- Przestań natychmiast!

Schwycił mnie za włosy i odchylił mi głowę do tyłu, odsłaniając szyję. Jego usta lekko się rozchyliły, obnażając kły. Oczy były całkiem ciemne, pozbawione białek.

- Nie!

- Będę cię miał, *ma petite*, choćby nawet po to, aby ocalić ci życie. - Opuścił głowę, uderzając jak wąż.

Obudziłam się. Wpatrywałam się w sufit, którego nie rozpoznawałam. Zwieszały się z niego fantazyjnie upięte czarne i białe zasłony. Łóżko było przykryte czarną satyną i zarzucone mnóstwem poduszek. Poduszki były czarne i białe. Miałam na sobie czarną suknię na ramiączkach. Wydawała się być z prawdziwego jedwabiu i leżała na mnie jak ulał.

Podłogę wyłożono grubym na parę centymetrów, mechatym dywanem. W kącie pokoju stała czarna, lakierowana toaletka i komódka. Usiadłam i przejrzałam się w lustrze. Szyję miałam gładką, nietkniętą, bez śladów ukąszeń. Sypialnia wydawała się być urządzonej wedle gustu Jean-Claude'a.

Umierałam od trucizny. Jak się tu dostałam? Czy znajdowałam się pod Cyrkiem Potępieńców, czy w jakimś zupełnie innym miejscu? Bolał mnie prawy nadgarstek. Miałam na nim biały bandaż. Nie pamiętałam, abym w jaskini zrobiła coś sobie w rękę.

Przejrzałam się w lustrze przy toalecie. Moja skóra na tle czarnego neglizu była śnieżnobiała, a długie włosy miały ten sam odcień co negliz. Zaśmiałam się. Pasowałam do wystroju sypialni. To ci dopiero.

Za białą kotarą otworzyły się drzwi. Dostrzegłam wyzierającą spoza niej kamienną ścianę. Podeszedł do mnie, mając na sobie tylko dół od męskiej, jedwabnej piżamy. Szedł boso. Jego tors wyglądał identycznie jak w moim śnie, z wyjątkiem blizny w kształcie krzyża

- we śnie jej nie było. Ta blizna kalala jego posagową doskonałość, czyniąc go bardziej rzeczywistym.

- Piekło - mruknęłam. - Ani chybi piekło.

- Co takiego, *ma petite*?

- Zastanawiałam się, gdzie jestem. Skoro i ty tu jesteś, to musi to być piekło.

Uśmiechnął się. Wydawał się przesadnie zadowolony z siebie, jak dobrze odżywiony, syty wąż.

- Jak się tu znalazłam?

- Richard cię przyniósł.

- A zatem naprawdę zostałam otruta. To nie było częścią snu?

Usiadł na skraju łóżka, możliwie jak najdalej ode mnie, abym nie poczuła się skrępowana. Prócz łóżka nie było tu gdzie usiąść.

- Obawiam się, że trucizna była aż nazbyt prawdziwa.

- Nie, żebym miała coś przeciw temu, ale dlaczego jeszcze żyję?

Podciągnął kolana do piersi, był to dziwnie wrażliwy gest.

- Ocaliłem cię.

- Wyjaśnij to.

- Przecież wiesz.

Pokręciłam głową.

- Powiedz to.

- Trzeci znak.

- Nie mam żadnych śladów ukąszeń.

- Ale masz skaleczony i zabandażowany nadgarstek.

- Ty draniu.

- Ocaliłem ci życie.

- Piłeś moją krew, gdy byłam nieprzytomna. - Nieznacznie skinął głową. - Ty sukinsynu. - Drzwi znów się otworzyły i stanął w nich Richard. - Ty łajdaku, jak mogłeś przynieść mnie do niego.

- Nie wydaje się szczególnie wdzięczna za uratowanie życia, nie uważasz, Richardzie?

- Powiedziałaś, że wolałabyś raczej umrzeć, niż stać się lykantropem.

- Wolałabym też umrzeć, niż stać się wampirem.

- On cię nie ugryzł. Nie staniesz się wampirem.

- Będę za to po wsze czasy jego ludzką służebnicą. To ci dopiero perspektywa.

- To zaledwie trzeci znak, Anito. Nie jesteś jeszcze jego służebnicą.

- Nie w tym rzecz. - Spojrzałam na niego. - Czy ty nic nie rozumiesz? Wolałabym, abyś raczej pozwolił mi umrzeć, niż skazał mnie na taki los.

- Nie jest to bez wątpienia los gorszy od śmierci - wtrącił Jean-Claude.

- Krwawiłaś z nosa i z oczu. Wykrwawiałaś się na śmierć w moich ramionach. Richard postąpił kilka kroków w stronę łóżka i zatrzymał się. - Nie mogłem pozwolić, abyś umarła. - Rozłożył szeroko ręce w geście bezradności.

Wstałam w zwiwnym, jedwabnym negliżu i spojrzałam na nich obu.

- Może Richard tego nie rozumie, ale ty dobrze znasz moje poglądy, Jean-Claude. Wiesz, co czuję. Nie wykręcisz się.

- Może ja także nie chciałem, abyś umarła? Czy o tym pomyślałaś?

Pokręciłam głową.

- Co oznacza trzeci znak? Jakie nadzwyczajne zdolności zapewnia? W jaki sposób pozwoli ci mnie kontrolować?

- Mogę teraz przemawiać do ciebie w myślach, nie tylko we śnie. Zresztą ty również zyskasz pewne nowe właściwości, *ma petite*. Odtąd będzie cię bardzo trudno zabić. Niestraszne ci będą wszelkie trucizny.

Wciąż kręciłam głową.

- Nie chcę o tym słyszeć. Nie wybaczę ci, Jean-Claude.

- Niczego innego nie oczekiwałem - odparł.

Wydawał się smutny i zadumany.

- Chcę się przebrać i wrócić do domu. Niech mnie ktoś odwiezie. Muszę iść dziś wieczorem do pracy.

- Anito, dziś dwukrotnie omal nie zginęłaś. Jak możesz...

- Mogę, Richardzie. Muszę iść dziś do pracy. Potrzebuję czegoś, co jest wyłącznie moje i nie wiąże się z jego osobą. Ty władczy draniu!

- Znajdź dla niej jakieś rzeczy i odwieź ją do domu, Richardzie. Potrzeba jej czasu, aby przywykła do zmiany, która w niej nastąpiła.

Spojrzałam na Jean-Claude'a, który wciąż siedział skulony w rogu łóżka. Wyglądał olśniewająco i gdybym tylko miała pistolet, zastrzeliłabym go bez chwili wahania. W moich trzewiach zagnieździła się nieprzyjemna, lodowata gula strachu. Jean-Claude, nie zważając na moje zdanie, postanowił uczynić mnie swoją służebnicą. Mogłam krzyczeć i protestować, a on i tak zignorowałby moją opinię.

- Zbliź się do mnie raz jeszcze, Jean-Claude, niezależnie z jakiego powodu, a zabiję cię.

- Teraz łączą nas trzy znaki. Ty również byś ucierpiała.

Wybuchnęłam śmiechem; był zgryźliwy i gorzki.

- Naprawdę sądzisz, że to mogłoby mnie powstrzymać?

Spojrzał na mnie, jego oblicze było spokojne, nieodgadnione, cudne.

- Nie. - Odwrócił się tyłem do mnie i Richarda. - Odwieź ją do domu, Richardzie powiedział. -

Wiesz, w gruncie rzeczy nie zazdroszczę ci tej przejażdżki. - Obejrzał się przez ramię i lekko się uśmiechnął. - Gdy jest zła, nasza Anita bywa wyjątkowo złośliwa.

Miałam ochotę splunąć na niego, ale to by mi nie wystarczyło. Nie mogłam go zabić, a przynajmniej nie tu, nie w tej chwili, więc odpuściłam. Pod naciskiem bywam łaskawa. Wyszłam za Richardem, nie oglądając się ani razu za siebie. Nie chciałam dostrzec odbicia tego doskonałego profilu w lustrze przy toalecie.

Wampiry nie powinny odbijać się w lustrze ani posiadać duszy. On odbijał się w lustrze. Czy miał także duszę? Czy to ważne? Uznałam, że nie. To nie było istotne. Postanowiłam, że wydam Jean-Claude'a panu Oliverowi. Wystawię Mistrza Miasta, aby mógł zostać zgładzony. Jeszcze jeden znak i byłabym na zawsze w jego mocy. Nic z tego. Taki numer nie przejdzie. Prędzej on umrze, niż ja stanę się jego służebnicą. Choćbym nawet miała to przypłacić życiem. Nikt mnie do niczego nie zmusi, nawet jeśli propozycja gwarantowała mi potencjalną nieśmiertelność.

**43**

Skończyło się na tym, że włożyłam jedną z tych sukienek, których talia kończy się na wysokości bioder. To, że sukienka była o trzy rozmiary za duża, niczego nie zmieniało. Pantofle pasowały, nawet mimo tego, że były na wysokim obcasie. To lepsze niż chodzenie boso. Ponieważ odmówiłam przyjęcia jego kurtki, Richard włączył ogrzewanie w samochodzie. Sprzeczałyśmy się, a przecież nie byliśmy na ani jednej randce. To rekord, nawet jak dla mnie.

- Żyjesz - rzekł po raz siódmy.

- Ale za jaką cenę?

- Uważam, że każde życie jest bezcenne. Ty nie?

- Nie filozofuj, Richardzie. Oddałeś mnie w ręce potworów, które mnie wykorzystały.

    Nie rozumiesz, że Jean-Claude tylko czekał na taką okazję?

- Ocalił ci życie.

Na tym argumente opierała się cała jego linia obrony.

- Ale nie zrobił tego, aby mnie ocalić. Postąpił tak, ponieważ chce uczynić mnie swoją niewolnicą.

- Ludzka służebnica nie jest niewolnicą. Powiedziałbym, że jest dokładnie na odwrót.

On prawie w ogóle nie będzie mieć nad tobą władzy.

- Ale będzie mógł mówić do mnie w myślach i nawiedzać mnie w snach. - Pokręciłam

    głową. - Nie pozwól, aby robił z ciebie durnia.

- Zachowujesz się nierozsądnie - powiedział.

To była kropla, która przepełniła czarę.

- To z mojego rozplatanego nadgarstka pił Mistrz Miasta. Chłeptał moją krew, Richardzie.

- Wiem.

Było coś w sposobie, w jaki to powiedział.

- Przypatrywałeś się temu, ty zboczony sukinsynu.

- Nie, to nie tak.

- A jak? - Usiadłam, krzyżując ręce na brzuchu i łypiąc na niego spode łba. A więc to takiego haka miał na Richarda Jean-Claude. Richard był podglądaczem.

- Chciałem mieć pewność, że uczyni wszystko co w jego mocy, aby ocalić ci życie.

- A co innego mógł zrobić. Przecież pił moją krew, do cholery.

Richard skupił się nagle na prowadzeniu wozu, w ogóle na mnie nie patrzył.

- Mógł cię zgwałcić.

- Sam powiedziałaś, że krwawiłam z oczu i z nosa. To raczej mało romantyczne, w każdym razie jak dla mnie.

- Odniosłem wrażenie, że cała ta krew bardzo go podnieciła.

Spojrzałam na niego.

- Mówisz poważnie?

Pokiwał głową. Siedziałam tam, czując chłód, który przeniknął mnie od stóp do głów.

- Co ci przyszło do głowy, że on mógłby mnie zgwałcić?

- Obudziłaś się w czarnej pościeli. Wcześniej była biała. Położył cię na niej i zaczął rozbierać. Zdjął z ciebie ubranie. Wszędzie była krew. Rozsmarowywał ją sobie po twarzy, smakował. Inny wampir podał mu mały, złoty nożyk.

- Było tam więcej wampirów?

- To było jak rytuał. Wyglądało na to, że obecność widzów jest nieodzowna. Naciął twój nadgarstek i napił się, ale jego dłonie... dotykał nimi twoich piersi. Powiedziałem, że sprowadziłem cię tam, aby cię ocalił, a nie żeby mógł cię zgwałcić.

- Ostre zagranie. Musiało być naprawdę kiepsko. - Richard niespodziewanie zamilkł.

Co? - Pokręcił głową. - Powiedz, Richardzie. Chcę to usłyszeć.

- Jean-Claude spojrzał na mnie, twarz miał całą we krwi i powiedział: „Nie po to czekam tak długo, aby wziąć siłą to, co chcę, żeby dała mi z własnej woli. To prawdziwa pokusa”. A potem spojrzał na ciebie, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. To było naprawdę przerażające. On naprawdę wierzy, że... zmienisz zdanie. Że zdołasz go... pokochać.

- Wampiry nie umieją kochać.

- Jesteś pewna?

Spojrzałam na niego, po czym odwróciłam wzrok. Skierowałam go na okno, za którym słoneczny blask z wolna zaczął przygasać.

- Wampiry nie umieją i nie mogą kochać. Tak już jest i basta.

- Skąd wiesz?

- Jean-Claude mnie nie kocha.

- Może kocha na tyle, na ile potrafi.

Pokręciłam głową.

- Nurzał się w mojej krwi. Rozplatał mi nadgarstek. Nie tak wyobrażam sobie miłość.

- Może on tak to widzi.

- To dla mnie nazbyt dziwne.



- Zgoda, ale przyznaj, że może on faktycznie na swój sposób cię kocha.
  - Nie.
  - Boisz się tego, prawda? Nie chcesz pogodzić się z myślą, że on może cię kochać, prawda? - Nie odrywałam wzroku od okna. Nie chciałam o tym rozmawiać. Chciałam wymazać z pamięci cały ten przeklęty dzień. - A może obawiasz się czegoś jeszcze?
  - Nie wiem, o czym mówisz.
  - Owszem, wiesz. - Wydawał się taki pewny siebie. Nie znał mnie na tyle, aby mieć taką pewność. - Powiedz to głośno, Anito. Powiedz to, a przestaniesz się tego obawiać.
  - Nie mam nic do powiedzenia.
  - Twierdzisz, że ani trochę go nie pragniesz. Że wcale go nie kochasz.
  - Nie kocham go, tego akurat jestem pewna.
  - Ale?
  - Ależ ty naciskasz - poskarżyłam się.
  - Tak, trochę - przyznał.
  - No dobrze, pociąga mnie. Czy to chciałeś usłyszeć?
  - Jak bardzo cię pociąga?
  - Nie twoja sprawa.
  - Jean-Claude ostrzegł mnie, abym trzymał się od ciebie z daleka. Chcę wiedzieć, czy faktycznie mógłbym mu zaszkodzić. Jeżeli naprawdę cię pociąga, może nie powinienem się bardziej angażować.
  - To potwór, Richardzie. Widziałeś go. Nie mogłabym pokochać potwora.
  - A gdyby był człowiekiem?
  - To egoistyczny, władczy łajdak.
  - Ale gdyby był człowiekiem?
- Westchnęłam.
- Gdyby nim był, może między nami byłoby coś, ale podejrzewam, że nawet jako człowiek Jean-Claude byłby sukinsynem, z którym nie dałoby się wytrzymać. Wątpię, aby coś z tego wyszło.
  - Tylko że ty nawet nie zamierzasz spróbować, ponieważ on jest potworem.
  - To trup, Richardzie, chodzący nieboszczyk. Nieważne jak bardzo atrakcyjny czy urzekający, trup to trup i basta. Nie umawiam się z truposzami. Dziewczyna musi mieć pewne zasady.
  - A więc żadnych nieboszczyków - mruknął.
  - Żadnych.
  - A co z lykantropami?
  - Czemu pytasz? Chcesz mnie zapoznać z którymś ze swoich przyjaciół?
  - Byłem ciekaw, na ile surowe są twoje zasady.
  - Lykantropia to choroba. Taka osoba musiała paść ofiarą ataku zmiennokształtnego. To tak, jakby winić ofiarę gwałtu za to, co ją spotkało.
  - Umawiałaś się kiedyś ze zmiennokształtnym?
  - Nie było nigdy okazji.
  - Z kim jeszcze nie poszłabyś na randkę?
  - Chyba z istotami, które nigdy nie były ludźmi. Nie zastanawiałam się nad tym.
- Czemu pytasz?
- Pokręcił głową.

- Tak jakoś. Z ciekawości.

- Czemu już się na ciebie nie gniewam?

- Może dlatego, że cieszysz się, że żyjesz, niezależnie od tego, ile cię to kosztowało. Zatrzymał wóz przed budynkiem, w którym mieszkałam. Na moim miejscu parkingowym stał z włączonym silnikiem wóz Larry'ego.

- Może cieszę się, że żyję, ale o tym, ile mnie to kosztowało, powiem ci, kiedy sama się tego dowiem.

- Nie wierzysz Jean-Claude'owi?

- Nie uwierzyłabym mu, nawet gdyby mi powiedział, że blask księżyca jest srebrzysty. Richard uśmiechnął się.

- Przepraszam za randkę.

- Może jeszcze kiedyś spróbujemy ponownie.

- Bardzo bym chciał - dodał z uśmiechem.

Otworzyłam drzwiczki i stanęłam przy aucie, drżąc z zimna.

- Cokolwiek się stanie, Richardzie, dzięki, że nade mną czuwałeś. - Milczałam przez chwilę, po czym dodałam: - I niezależnie jaką moc ma nad tobą Jean-Claude, spróbuj ją przełamać. Uwolnij się od niego. On cię zabije.

Tylko pokiwał głową.

- Dobra rada.

- Której i tak nie usłuchasz - mruknęłam.

- Usłuchałbym, gdybym mógł, Anito. Proszę, uwierz mi.

- Co on ma na ciebie, Richardzie?

Pokręcił głową.

- Tego ci nie mogę powiedzieć. On mi zabronił.

- Zabronił ci również umawiać się ze mną.

Wzruszył ramionami.

- Lepiej już idź. Spóźnisz się do pracy.

Uśmiechnęłam się.

- A poza tym, jeżeli postoję tu trochę dłużej, odmrozę sobie tyłek.

Tym razem on się uśmiechnął.

- Pięknie to ujęłaś. Jak zawsze zresztą.

- Spędzam zbyt wiele czasu wśród gliniarzy.

Wrzucił bieg.

- Bezpiecznej pracy.

- Będę na siebie uważać. Obiecuję.

Pokiwał głową. Zatrzasnęłam drzwiczki. Richard najwyraźniej nie miał ochoty zdradzić mi, jakiego haka miał na niego Jean-Claude. No cóż, nie ma reguły, która określałaby, że na pierwszej randce należy mówić sobie całą prawdę prosto w oczy. Poza tym miał rację. Groziło mi, że spóźnię się do pracy. Zastukałam w szybę wozu Larry'ego.

- Muszę się przebrać i zaraz schodzę.

- Kto cię odwiózł?

- Znajomy. - Nie powiedziałam nic więcej. To było łatwiejsze wyjaśnienie niż najszczęsza prawda. Poza tym nie było ono wcale dalekie od prawdy.

że normalnie ten kolor jest zbyt ponury jak na nasz fach. Miałam na sobie czarne dżinsy i halloweenowy sweter z symbolem uśmiechniętej dyni. Dorzuciłam do tego czarną bluzkę na suwak i czarne adidasy. Nawet kabura podramienna i browning kolorystycznie pasowały do reszty. Drugi pistolet miałam w wewnętrznej kaburze. Do sportowej torby wrzuciłam także dwa zapasowe magazynki. Dobrałam także nóż w miejsce tego, który musiałam zostawić w jaskini. W kieszeni kurtki miałam derringera, a prócz tego jeszcze dwa noże, jeden na plecach, przy kręgosłupie i drugi w pochewce przy kostce. Nie śmieJCie się. Obrzyna zostawiłam w domu.

Gdyby Jean-Claude dowiedział się, że go zdradziłam, zabiłby mnie. Skąd będę wiedziała, że nie żyję? Poczuję to? Coś mi mówiło, że tak.

Sięgnęłam po wizytówkę otrzymaną od Karla Ingera i wybrałam numer. Jeśli miałam to zrobić, musiałam to zrobić szybko.

- Halo?

- Czy to Karl Inger?

- Przy telefonie. Kto mówi?

- Anita Blake. Chciałabym mówić z Oliverem.

- Zdecydowała się pani wydać nam Mistrza Miasta?

- Tak.

- Proszę chwilę zaczekać, pójdę po pana Olivera. - Odłożył słuchawkę.

Usłyszałam jego kroki, a potem w słuchawce zapanowała cisza. To lepsze niż muzyka z taśmy. Znow kroki, a po chwili usłyszałam głos pana Olivera:

- Witam, panno Blake, cieszę się, że pani dzwoni.

Przełknęłam ślinę. Zabolało.

- Mistrzem Miasta jest Jean-Claude.

- Wykluczyłem go. Nie jest dostatecznie potężny.

- Ukrywa swoją moc. Proszę mi wierzyć, doskonale się kamufluje.

- Skąd ta nagła zmiana decyzji, panno Blake?

- Nadał mi trzeci znak. Chcę się od niego uwolnić.

- Panno Blake, otrzymanie trzeciego znaku, a następnie śmierć wampira, który go nadał, może być dla nosiciela potężnym wstrząsem. Może to nawet panią zabić.

- Chcę się od niego uwolnić, panie Oliver.

- Nawet za cenę życia? - zapytał.

- Nawet za taką cenę.

- Chciałbym, abyśmy mogli poznać się w innych okolicznościach, panno Blake. Jest pani doprawdy niezwykłą osobą.

- Nie, po prostu zbyt wiele już widziałam. Nie chcę, aby mnie dostał. Nie dopuszczę do tego.

- Nie zawiodę pani. Osobiście dopilnuję, aby zginął.

- Gdybym w to nie wierzyła, nie powiedziałabym panu tego wszystkiego.

- Doceniam pani zaufanie.

- Powinien pan wiedzieć coś jeszcze. Lamia chce zdradzić. Jest w zмовie z innym mistrzem, niejakim Alejandro.

- Doprawdy? - Wydawał się szczerze rozbawiony. - Cóż takiego jej zaoferował?

- Wolność.

- Tak, to z pewnością mogło skusić Melanie. Trzymam ją na bardzo krótkiej smyczy.

- Próbuje się rozmnożyć. Wiedział pan o tym?

- Co chce pani przez to powiedzieć? - Opowiedziałam mu o mężczyznach, zwłaszcza o ostatnim,

który został niemal całkiem przemieniony. Milczał przez chwilę. - Zaniedbałem swoje obowiązki. Niezwłocznie zajmę się Melanie i Alejandro.

- Świetnie. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan jutro zadzwonić i opowiedzieć mi, jak potoczyły się sprawy.

- Chce pani mieć pewność, że on nie żyje - dorzucił Oliver.

- Tak - odparłam.

- Jeśli nie zadzwonię osobiście, zrobi to za mnie Karl. Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, gdzie znajdziemy Jean-Claude'a.

- W Cyrku Potępieńców.

- Trafny wybór kryjówki.

- To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Dziękuję, panno Blake. Udanego Halloween.

Zaśmiałam się.

- Zapowiada się piekielnie gorąca noc.

Zachichotał cichutko.

- W rzeczy samej. Żegnam, panno Blake.

Rozłączyliśmy się. Spojrzałam na telefon. Musiałam to zrobić. Po prostu musiałam. Czemu więc czułam nieprzyjemny ucisk w dołku? Dlaczego odczuwałam wewnętrzne pragnienie, aby zadzwonić do Jean-Claude'a i ostrzec go? Czy to efekt otrzymanych znaków, a może Richard miał rację? Może faktycznie w jakiś dziwny, pokrętny sposób kochałam Jean-Claude'a? Boże, ratuj. Miałam nadzieję, że nie.

**45**

Nastał halloweenowy wieczór. Larry i ja mieliśmy dwa osobne zlecenia. Larry ożywił jednego nieboszczyka, ja drugiego. Jemu został jeszcze jeden, mnie aż trzech. Ot, zwyczajny, miły wieczór jakich wiele.

Niezwykłe było to, co Larry miał na sobie. Bert zachęca nas, abyśmy przebrali się w strój adekwatny do święta. Ja wybrałam sweter. Larry kostium. Miał na sobie niebieskie dżinsowe ogrodniczki, białą koszulę z podwiniętymi rękawami, słomkowy kapelusz i robocze buty. Zapytany, odpowiedział:

- Jestem Huck Finn. Nie widać?

Ze swymi rudymi włosami i mnóstwem piegów faktycznie przypominał bohatera powieści Marka Twaina. Teraz jego koszula była ubrudzona krwią, ale cóż począć, przecież to Halloween. Wielu ludzi było umazanych sztuczną krwią. Można by rzec, że wtapialiśmy się w otoczenie.

Rozległ się sygnał mojego pagera. Sprawdziłam numer. Dolph. Cholera.

- Kto to? - zapytał Larry.

- Policja. Musimy znaleźć telefon.

Zerknął na zegarek na desce rozdzielczej.

- Mamy jeszcze trochę czasu. Może wpadniemy przy okazji do McDonalda?

- Doskonale. - Modliłam się w duchu, aby nie chodziło o kolejne morderstwo.

Potrzebowałam choć jednej zwykłej, spokojnej nocy. Pod czaszką jakiś głos powtarzał bez przerwy: „Dziś w nocy umrze Jean-Claude. To ty go wystawiłaś”.

Zabicie go, niejako na odległość, wydało mi się czymś niewłaściwym. Skoro miało do tego dojść, powinnam stanąć naprzeciw niego, spojrzeć mu w oczy i nacisnąć spust, okazując się szybsza od niego. No wiecie, zasady fair play i takie tam. Zresztą pieprzyć fair play, w tej grze reguły były jasne, albo on, albo ja. Czyż nie?

Larry zaparkował przed McDonalodem.

- Ty idź zadzwoń, ja pójdę po colę. Kupić coś dla ciebie?

Pokręciłam głową.

- Wszystko w porządku?

- Jasne. Mam tylko nadzieję, że nie chodzi o kolejne morderstwo.

- Jezu, nie pomyślałem o tym.

Wysiedliśmy z samochodu. Larry wszedł do restauracji. Ja skierowałam się w stronę najbliższej budki telefonicznej. Dolph odebrał przy trzecim sygnale.

- Sierżant Storr.

- Mówi Anita. Co jest?

- Udało się nam wreszcie złamać tę wtykę, która przekazywała informacje wampirom.

- Świetnie, już myślałam, że wydarzyło się kolejne morderstwo.

- Nie. Dziś nie. Nasz wampir ma obecnie znacznie istotniejsze plany.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zamierza zmusić wszystkie wampiry w mieście, aby w halloweenowy wieczór dokonały rzezi śmiertelników.

- To mu się nie uda. Mógłby tego dokonać wyłącznie Mistrz Miasta i musiałby być naprawdę potężny.

- Też tak uważam. Czyżbyśmy zatem mieli do czynienia z obłąkanym wampirem?

I wtedy coś mi przyszło do głowy, coś straszego.

- Masz opis wyglądu tego wampira?

- Wampirów - poprawił.

- Przeczytaj mi je.

Usłyszałam szelest kartek papieru, a potem:

- Niski, ciemne włosy, bardzo uprzejmy. Szefowi wampirów dwukrotnie towarzyszył inny wampir. Średniego wzrostu, dłuższe, czarne włosy, rysy twarzy sugerują indiańskie lub meksykańskie pochodzenie.

Zacisnęłam słuchawkę w dłoni tak mocno, że zaczęły drżeć mi palce.

- Czy ten wampir powiedział, dlaczego zamierza mordować ludzi?

- Chce zdyskredytować legalizację wampiryzmu. Czy to nie dziwny motyw jak dla wampira?

- Taa - mruknęłam. - Dolph, posłuchaj. Może do tego dojść.

- Co ty mówisz?

- Jeżeli ten mistrz zdoła zabić Mistrza Miasta i jeszcze tej nocy przejmie kontrolę nad wszystkimi wampirami, będzie mógł zrealizować swój plan.

- Jak możemy temu zaradzić? - Zamilkłam na chwilę, omal nie nakazałam mu ochraniać Jean-Claude'a, ale to nie było zadanie dla policji. Stróże prawa powinni martwić się przestrzeganiem przepisów i brutalnością policji. Wzięcie istoty takiej jak Oliver żywcem nie wchodziło w rachubę. Cokolwiek miało wydarzyć się tej nocy, musiało być zdecydowane i ostateczne. - Mów dalej, Anito.

- Muszę kończyć, Dolph.

- Ty coś wiesz, powiedz mi.

Odłożyłam słuchawkę. Wyłączyłam także pager. Wybrałam numer Cyrku Potępieńców. W słuchawce rozległ się miły kobiecy głos:

- Cyrk Potępieńców, tu spełniają się wszystkie wasze koszmary.

- Muszę rozmawiać z Jean-Claudem. To bardzo ważne.

- Jest chwilo zajęty. Może coś przekazać?

Przełknęłam ślinę, tłumiałam w sobie krzyk.

- Mówi Anita Blake, ludzka służebnica Jean-Claude'a. Zawołaj go do telefonu, ale już!

- Ja...

- Jeżeli z nim nie porozmawiam, zginą ludzie.

- No dobrze, już dobrze. - Wdusiła przycisk przełącznika, zmuszając mnie do wysłuchania potwornie zniekształconego fragmentu *High Flying* Toma Petty'ego.

Zjawił się Larry z colą.

- I co?

Pokręciłam głową. Omal nie zaczęłam tupać nogami ze złości, ale to i tak nie przywołałoby Jean-Claude'a szybciej do telefonu. Stałam nieruchomo, opierając jedną rękę na brzuchu. Co ja narobiłam? Oby tylko nie było za późno.

- *Ma petite?*

- Bogu dzięki.

- Co się stało?

- Słuchaj uważnie. Wkrótce w Cyrku zjawi się pewien mistrz wampirów. Podałam mu twoje imię i zdradziłam twoją kryjówkę. Nazywa się pan Oliver i jest stary jak świat. Starszy niż Alejandro. Wydaje mi się, że on jest mistrzem Alejandro. Opracował plan zmuszenia mnie, abym przeszła na jego stronę, a ja jak małe dziecko dałam się na to nabrać. - Milczał tak długo, że w końcu zapytałam:

- Jesteś tam jeszcze?

- Naprawdę chciałaś mnie zabić.

- Przecież powiedziałam, że to zrobię.

- A jednak teraz mnie ostrzegłaś. Dlaczego?

- Oliver chce przejąć kontrolę nad miastem, a następnie zmusić tutejsze wampiry, aby urządziły śmiertelnikom krwawą łaźnię. Pragnie powrotu do starych czasów, kiedy ludzie polowali na wampiry. Twierdzi, że po legalizacji wampiry zbyt szybko zaczną się rozprzestrzeniać. Z tym akurat się zgadzam, nie wiedziałam jednak, że zamierza posunąć się do tak radykalnych rozwiązań.

- I dlatego, żeby ocalić twoich cennych śmiertelników, postanowiłaś teraz zdradzić Olivera.

- To nie tak. Do licha, Jean-Claude, skup się na znacznie istotniejszej kwestii. Oni są w drodze. Może nawet dotarli już do Cyrku. Musisz się bronić.

- By ocalić ludzkość.

- I przy okazji zapewnić bezpieczeństwo wampirom. Czy naprawdę chcesz, aby znaleźli się w mocy Olivera?

- Nie. Przedsięwzięmę pewne kroki, *ma petite*. Nie poddamy się bez walki. - Odłożył słuchawkę.

Lany patrzył na mnie ze zgrozą.

- Co się tu, do cholery, dzieje, Anito?

- Nie teraz, Larry. - Wyjęłam z torby wizytówkę Edwarda. Nie miałam jeszcze jednej dwudziestopięciocentówki. - Masz ćwierć dolara?

- Jasne.

Bez pytania podał mi monetę. Dobrze go wyszkoliłam. Wybrałam numer. Proszę, odbierz. Proszę, odbierz. Odebrał przy siódmym sygnale.

- Edwardzie, to ja, Anita.

- Co się stało?

- Co byś powiedział na konfrontację z dwoma mistrzami wampirów, starszymi niż Nikolaos?

Usłyszałam, jak przełknął ślinę.

- Z tobą nie sposób się nudzić. Gdzie się spotkamy?

- W Cyrku Potępieńców. Masz zapasową strzelbę?  
- Nie przy sobie.  
- Cholera. Spotkajmy się przed budynkiem, najszybciej jak to możliwe. Dzisiejszej nocy w mieście może rozpętać się prawdziwe piekło. Uwierz mi, Edwardzie, wcale nie przesadzam.  
- Bądź co bądź to przecież Halloween.  
- Do zobaczenia niebawem.  
- Na razie i dzięki za zaproszenie na imprezkę. Mówił szczerze.  
Edward był początkowo zwyczajnym zabójcą, ale polowanie na ludzi bardzo szybko go znudziło. W tej sytuacji zajął się likwidacją wampirów i zmiennokształtnych. Jak dotąd nie spotkał przeciwnika, którego nie zdołałby unicestwić, ale czymże było życie bez niewielkiego wyzwania?!

Spojrzałam na Larry'ego.

- Muszę pożyczyć twój wóz.  
- Nigdzie bez mnie nie pojedziesz. Słyszałam, co mówiłaś i nie zamierzam odpuścić sobie czegoś tak ekscytującego.

Już miałam zaproponować, ale nie było czasu na kłótnie.

- W porządku, no to jedźmy.

Uśmiechnął się. Był zadowolony. Nie wiedział, co ma się wydarzyć tej nocy ani z czym mieliśmy się zmierzyć. Ja wiedziałam. I wcale mnie to nie cieszyło.

**46**

Stałam w wejściu do Cyrku, wpatrując się w tłum kostiumów i mieniących się różnymi barwami ludzi. Nigdy dotąd nie widziałam takich tłumów. Edward stał obok mnie, w długim czarnym płaszczu i białej masce śmierci. Śmierć przebrana za śmierć. Dobrze, co? Na plecach miał miotacz płomieni, przez ramię przewieszony uzi, a poza tym, jak mogłam przypuszczać, całą masę broni. Larry był blady, ale wydawał się zdecydowany. W kieszeni miał mojego derringera. Nie znał się na broni. Derringer był bronią do użycia w sytuacjach prawie beznadziejnych, na krótki dystans, ale nie zdołałam przekonać Larry'ego, aby pozostał w samochodzie. Jeżeli przeżyjemy, w przyszłym tygodniu zaprowadzę go na strzelnicę.

Kobieta w kostiumie ptaka minęła nas, rozciągając zapach piór i perfum. Musiałam zerknąć dwa razy, aby upewnić się, że faktycznie to kostium. To jeden z tych wieczorów, kiedy wszyscy zmiennokształtni mogli wmieszać się w tłum, a na ich widok jedyny komentarz brzmiał: „Ale fajny kostium”.

To był halloweenowy wieczór w Cyrku Potępieńców. Wszystko było możliwe. Szczupła, czarna kobieta podeszła do nas, ubrana tylko w bikini i niezwykle maskę.

Podeszła jak najbliżej, aby można ją było usłyszeć pośród gwaru tłumy.

- Jean-Claude przysłał mnie po was.

- Jak się nazywasz?

- Rashida.

Pokręciłam głową.

- Dwa dni temu Rashidzie oderwano rękę. - Zlustrowałam wzrokiem nieskazitelną skórę jej ramienia. - To nie możesz być ty.

Zdjęła maskę, odsłaniając twarz. Uśmiechnęła się.

- Nasze rany szybko się goją.

Wiedziałam, że obrażenia lykantropów szybko się goją, ale nie, że aż tak szybko.

Podążyliśmy za jej kołyszącymi się biodrami, wtapiając się w tłum. Lewą ręką ujęłam dłoń Larry'ego.

- Trzymaj się dziś blisko mnie.

Pokiwał głową. Przedzierałam się przez tłum, trzymając go za rękę jak dziecko lub kochanka. Nie mogłam znieść myśli, że coś mogłoby mu się stać. Nie. To nie tak. Nieprawda. Nie mogłam znieść myśli o tym, że mógłby zginąć. Tej nocy dręczącym mnie upiorem była sama śmierć.

Edward szedł za nami jak cień. Poruszał się bezszelestnie jak śmierć, jego imienniczka, ufny, że już wkrótce zaspokoi swą żądzę zabijania.

Rashida prowadziła nas w stronę wielkiego, pasiastego namiotu cyrkowego, do biura Jean-Claude'a, jak sądziłam. Mężczyzna w słomianym kapeluszu i pasiastej marynarce zagroził nam drogę i powiedział:

- Przepraszamy, brak miejsc.

- To ja, Perry. To na nich czekał Mistrz. - Skinęła na nas.

Mężczyzna odchylił płachtę namiotu i szarmanckim gestem zaprosił nas do środka. Na jego górnej wardze zaperlił się pot. Było ciepło, ale podejrzewałam, że nie dlatego się spocił. Co się działo w namiocie? To nie mogło być nic złego, skoro wpuszczono do środka publiczność. Prawda?

Światła były silne, jasne, gorące. Zaczęłam się pocić pod dressem, ale gdybym zdjęła bluzkę, ludzie zaczęliby gapić się na mój pistolet. Nie znoszę tego.

Do sklepienia podwieszono ułożone kolisty kotary, tworząc na wielkiej arenie cyrkowej dwa całkowicie zasłonięte obszary. Oba te miejsca były otoczone blaskiem reflektorów. Zasłony działały jak pryzmaty. Z każdym naszym krokiem barwy zmieniały się i zalewały kotary. Nie byłam pewna, czy to sztuczka świateł, czy może sam materiał. Tak czy siak efekt był porażający. Rashida zatrzymała się tuż przed barierką.

- Jean-Claude chciał, aby wszyscy włożyli kostiumy, ale nie ma na to czasu.

Pociągnęła za moją bluzę. - Zdejmij to i będzie dobrze.

Uwolniłam skraj bluzy zdecydowanym szarpnięciem.

- O czym ty mówisz, jakie kostiumy?

- Wstrzymujesz przedstawienie. Zdejmij to i chodź.

Przeskoczyła miękko nad barierką, bosa i piękna przemaszzerowała po białej arenie.

Odwróciła się i spojrzawszy na nas, gestem dała znak, abyśmy poszli za nią. Nie zrobiłam tego.

Nigdzie się nie wybierałam, dopóki ktoś nie udzieli mi stosownych

wyjaśnień. Larry i Edward czekali przy mnie. Widzowie będący najbliżej patrzyli

niecierpliwie, czekając, aż zrobimy coś ciekawego. A my tylko staliśmy. Rashida znikła w jednym z zasłoniętych kręgów.

- Anito.

Odwróciłam się, ale Larry gapił się na krąg.

- Mówiłeś coś?

Pokręcił głową.

- Anito?

Zerknęłam na Edwarda, ale to nie był jego głos. Wyszepiałam:

- Jean-Claude?

- Tak, to ja, *ma petite*.

- Gdzie jesteś?

- Za zasłoną, gdzie znikła Rashida.

Pokręciłam głową. Głos był dźwięczny, z lekkim echem, ale poza tym brzmiał



całkiem normalnie. Zapewne mogłabym rozmawiać z nim, nie poruszając ustami, ale nawet jeśli to prawda, wolałam o tym nie wiedzieć. Wyszeptałam:

- Co się dzieje?

- Pan Oliver i ja zawarliśmy dżentelmeńską umowę.

- Nie rozumiem.

- Z kim rozmawiasz? - zapytał Edward.

Pokręciłam głową.

- Później ci wytłumaczę.

- Wejdź do mego kręgu, Anito, a wyjaśnię wszystko równocześnie wam obojgu i widzom.

- Coś ty narobił?

- Wybrałem najlepsze rozwiązanie, aby ocalić parę żywotów, *ma petite*, ale ktoś będzie dziś musiał zginąć. To stanie się w kręgu i zmierzą się w nim wyłącznie żołnierze obu zwaśnionych stron. Tego wieczoru nie zginie żadna niewinna osoba, niezależnie od tego, kto zwycięży. Daliśmy słowo. Obaj.

- Zamierzasz walczyć na arenie, zrobić z tego widowisko?

- To było najlepsze rozwiązanie, jakie mogłem wybrać w tak krótkim czasie. Gdybyś ostrzegła mnie wcześniej, może wymyśliłbym coś innego.

Zignorowałam to. Poza tym miałam już wyrzuty sumienia. Zdjęłam bluzę i przewiesiłam przez barierkę. Na widok pistoletu parę osób siedzących najbliżej wyraźnie westchnęło.

- Walka odbędzie się na arenie.

- Przed publicznością? - spytał Edward.

- Tak.

- Nic z tego nie kumam - rzucił Larry.

- Chcę, żebyś tu został, Larry.

- Mowy nie ma.

Powoli nabrałam i wypuściłam powietrze.

- Larry, nie masz broni. Nie umiesz strzelać. Nie znasz się na broni. Dopóki nie przejdziesz stosownego treningu, będziesz tylko mięsem armatnim. Zostań tu. - Pokręcił głową. Dotknęłam jego ramienia. - Proszę, Larry.

Może dlatego, że poprosiłam, a może za sprawą czegoś w moim spojrzeniu, to nieistotne, ale przytaknął bezgłośnie. Trochę mi ulżyło. Cokolwiek się dziś stanie, Larry nie umrze z mojej winy. Nie wciągnę go w cały ten bajzel. I tak dość już narozrabiałam. Nie chcę mieć go na sumieniu.

Przegramoliłam się przez barierkę i zeskoczyłam na arenę. Edward pospieszył za mną, zamiatając czarną peleryną. Obejrzałam się przez ramię. Tylko raz. Larry stał, zaciskając dłonie na barierce. Wyglądał dość smętnie, gdy tak tam stał samotnie, ale przynajmniej był bezpieczny. Tylko to się liczyło.

Dotknęłam opalizującej zasłony, to jednak były światła. Z bliska materiał wydawał się biały. Uniosłam brzeg zasłony i weszłam do środka. Edward był tuż za mną. Pośrodku kręgu stało wielopoziomowe podium z olbrzymim tronem. Rashida ze

Stephenem zajęli miejsce u jego podnóża. Rozpoznałam włosy Richarda i jego nagi tors, zanim jeszcze zdjął z twarzy maskę. Była biała, z niebieską gwiazdą na policzku. Miał na sobie błyszczące niebieskie spodnie oraz dobrane stylowo kamizelkę i buty. Wszyscy byli w

kostiumach, oprócz mnie.

- Miałem nadzieję, że nie zdążysz na czas - rzekł Richard.

- Co ty powiesz, miałabym stracić taką ekstra halloweenową imprezę?

- Kto jest z tobą? - spytał Stephen.

- Śmierć - odparłam.

Edward uklonił się.

- Coś takiego, sprowadziłaś Śmierć na nasz bal, *ma petite*.

Spojrzałam na szczyt podwyższenia. Jean-Claude stał przed tronem. Miał na sobie to, co dotąd tylko sugerowały jego koszule, ale ten strój wyglądał na autentyczny. Był to strój prawdziwego francuskiego dworzanina. Surdut był czarny, zdobiony złotą i srebrną nicią. Przez ramię miał przerzuconą krótką pelerynkę. Spodnie były rozszerzane i wetknięte w sięgające do łydek cholewki butów. Skraj cholewek przesłaniały delikatne koronki. Na szyi nosił szeroką, białą kryzę. Koronki zdobiły też mankiety jego surduta. Całości stroju dopełniał szeroki kapelusz z obwisłym rondem, ozdobiony czarno-białymi piórami.

Tłum w kostiumach rozstał się przede mną, odsłaniając schody wiodące aż do tronu. Nie chciałam wejść na górę. Spoza zasłon dobiegły jakieś odgłosy. Przesuwano coś ciężkiego.

Ustawiano kolejne dekoracje.

Spojrzałam na Edwarda. Lustrował tłum, nie przeoczając niczego. Wypatrywał ofiar czy znajomych twarzy?

Wszyscy byli w kostiumach, ale tylko nieliczni nosili maski. Yasmeen i Marguerite stały w połowie schodów. Yasmeen miała na sobie szkarłatne sari z woalką i mnóstwem cekinów. Jej śniada twarz wyglądała naturalnie w czerwonych jedwabiach. Marguerite nosiła długą suknię z bufiastymi rękawami i szerokim koronkowym kołnierzykiem. Suknia była z jakiegoś ciemnoniebieskiego materiału, prosta, bez żadnych ozdób. Jej jasne kręcone włosy upięto na czubku głowy w misterny kok. Ona również, podobnie jak Jean-Claude, zdawała się nie tyle nosić kostium, co raczej strój z dawnej epoki.

Podeszłam do nich, wspinając się po schodach. Yasmeen opuściła na moment woalkę, odsłaniając pamiątkę po mnie, bliznę w kształcie krzyża.

- Tej nocy ktoś ci za to odpłaci.

- Ale nie ty sama? - zapytałam.

- Jeszcze nie.

- Nie obchodzi cię, kto zwycięży, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Rzecz jasna, jestem lojalna wobec Jean-Claude'a.

- Akurat.

- Równie lojalna jak ty, *ma petite* - wycedziła ze złością.

Pozostawiłam ją pławiącą się w złośliwościach. Cóż, nie mogłam nikomu zarzucać nielojalności, skoro sama miałam to i owo na sumieniu.

U stóp Jean-Claude'a siedziały dwa wilki. Gapiły się na mnie dziwnie jasnymi ślepiami. W ich wzroku nie było nic ludzkiego. To były prawdziwe wilki. Skąd się tu wzięły? Stałam dwa stopnie od szczytu podium i obłaskawionych wilków. Oblicze JeanClaude'a było nieodgadnione, puste i doskonałe.

- Wyglądasz jak statysta z Trzech muszkieterów - stwierdziłam.

- Strzał w dziesiątkę, *ma petite*.

- Czy to z tamtego stulecia się wywodzisz? - Uśmiechnął się, to mogło oznaczać

wszystko albo nic. - Co się tu dziś stanie, Jean-Claude?

- Podejdź, stań przy mnie, gdzie twoje miejsce jako mojej ludzkiej służebnicy.

Wyciągnął do mnie białą rękę.

Zignorowałam jego dłoń i weszłam na podest. Mówił w mojej głowie. Nie zamierzałam się z nim kłócić. To było głupie. I niczego nie zmieniało. Jeden z wilków zawarczał gardłowo. Przystanąłam na chwilę.

- Nie skrzywdzą cię. To moje zwierzęta. Moi pupile. - Jak ja, pomyślałam. Jean-Claude wyciągnął rękę w stronę wilka. Zwierzę skuliło się i polizało jego dłoń. Ostrożnie je ominęłam. Wilk zignorował mnie, skupiając całą uwagę na Jean-Claudzie. Żałował, że na

mnie zawarczał. Był gotów na wszystko, aby tylko zostało mu to wybaczone. Korzył się jak pies. Stałam po jego prawicy, tuż za wilkiem. - Wybrałem dla ciebie wspaniały kostium.

- Gdyby miał pasować do twojego, nie założyłabym

Zaśmiał się z cicha. Poczułam ten dźwięk aż w żołądku.

- Zostań przy tronie z wilkami, podczas gdy ja wygłoszę krótką przemowę.

- Naprawdę mamy walczyć przed publicznością?

Wstał.

- Oczywiście. To Cyrk Potępieńców, a dziś jest Halloween. Damy im widowisko, jakiego nigdy dotąd nie widzieli.

- To szaleństwo.

- Być może, ale dzięki temu Oliver nie zawali nam tego budynku na głowy.

- Mógłby tego dokonać?

- Powiedziałbym, że o wiele więcej, *ma petite*, gdybyśmy nie uzgodnili, że ograniczymy wykorzystanie naszych mocy.

- Czy ty mógłbyś zburzyć ten budynek?

Uśmiechnął się i po raz pierwszy odparł szczerze:

- Nie, ale Oliver o tym nie wie. - Mimowolnie się uśmiechnęłam. Jean-Claude rozsiadł się na tronie, przełożył leniwie jedną nogę przez podłokietniki. Opuścił kapelusz tak nisko, że spod runda mogłam dostrzec tylko jego usta. - W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że mnie zdradziłaś, Anito.

- Nie dałeś mi wyboru.

- Taa. - Wyszeptał: - Czas na widowisko, Anito.

Nieoczekiwanie zgasty światła. Wśród publiczności rozległy się głośnie krzyki.

Zasłony zostały usunięte. Nagle znalazłam się na skraju kręgu światła rzucanego przez reflektor. Światło rozbłysło pośród mroku niczym gwiazda.

Jean-Claude i jego wilki pławili się w łagodnym blasku. Musiałam przyznać, że w mojej bluzie nie bardzo pasowałam do tutejszych trendów. Jean-Claude wstał płynnym ruchem. Zdjął kapelusz i pokłonił się przed widownią.

- Panie i panowie, będziecie dziś świadkami wielkiego pojedynku. - Zaczął powoli schodzić po schodach. Reflektor przesuwiał się w ślad za nim. Dla podkreślenia swoich słów Jean-Claude nie założył kapelusza. - Będzie to bój o duszę tego miasta. - Przystanął, a krąg światła poszerzył się, obejmując dwie jasnowłose wampirzyce. Dwie kobiety miały na sobie suknie z lat dwudziestych, jedna niebieską, druga czerwoną. Kobiety błysnęły kłami, a widzowie wstrzymali oddech. - Dziś wieczorem ujrzycie wampiry, wilkołaki, bogów i demony. - Każde słowo miało swoją wagę. Gdy wymówił słowo „wampiry”, każdy z publiczności poczuł przy szyi podmuch powietrza. Słowu „wilkołaki” towarzyszył dochodzący z ciemności odgłos darcia i głośny krzyk. Na słowo „bogowie”

ludzie poczuli przenikający ich od stóp do głów lodowaty dreszcz, a gdy padło słowo „demony”, każdemu z widzów nie wiedzieć czemu zrobiło się gorąco. Mrok wypełnił się krzykami i tłumionymi westchnieniami. - Niektóre z wydarzeń, które dziś ujrzycie, wydarzą się naprawdę, inne będą tylko iluzją, to wy zdecydujecie, co jest czym. - Słowo „iluzja” rozbrzmiało gromkim echem w umysłach widzów jak obraz zwielokrotniony w niezliczonych taflach luster. Ostatni dźwięk wybrzmiał wraz z szeptem, który przywodził na myśl całkiem inne słowo. - Naprawdę wyszeptał głos. - Potwory z tego miasta w dzisiejszy halloweenowy wieczór stoczą bój o dominację. Jeżeli wygramy, nic się nie zmieni i wszystko będzie tak jak dawniej. Jeśli zwyciężą nasi wrogowie...

W tej samej chwili inny reflektor oświetlił drugie podium. Nie było tam tronu. Na szczycie stał Oliver z łamią w jej pełnej, węzowej chwale. Oliver miał na sobie workowaty biały kombinezon w kropki. Twarz miał białą, z wielkim, wymalowanym na niej smutnym uśmiechem. z jednego, mocno pomalowanego oka spływała migocząca łza. Na głowie Olivera sterczał nieduży, stożkowaty kapelusik z jasnoniebieskim pomponem. Klown? Wybrał dla siebie strój klowna? Nie tak go sobie wyobrażałam. Mimo to łamia wyglądała imponująco, otaczając go swymi pasiastymi splotami, on zaś dłońmi w rękawiczkach pieścił jej nagie piersi.

- Jeśli zwyciężą nasi wrogowie, jutrzejszej nocy nastąpi prawdziwa masakra, krwawa łaźnia, jakiej to miasto nigdy nie widziało. Będą żerować na ciele i krwi tego miasta, dopóki nie zostanie całkowicie wyssane i pozbawione życia. - Przystanął w połowie schodów. I nagle znów zaczął piąć się pod górę. - Walczymy o wasze życie i wasze dusze. Módlcie się, abyśmy zwyciężyli, drodzy śmiertelnicy, módlcie się zawzięcie.

Usiadł na tronie. Jeden z wilków położył łapę na jego nodze. Jean-Claude beznamiętnie zaczął go czochrać po łbie.

- Wszyscy ludzie muszą kiedyś umrzeć - stwierdził Oliver. - W końcu są śmiertelnikami. - Reflektor oświetlający Jean-Claude'a zgasł, pozostał tylko ten skierowany na Olivera. Jedyne światło wśród mroku. Nie ma to jak właściwa symbolika. - Wszyscy kiedyś umrzecie. Czy to w wypadku, czy po długiej chorobie. Czeka was ból i cierpienie.

Publiczność zaczęła nerwowo wiercić się na krzesłach.

- Chronisz mnie przed jego głosem? - zapytałam.

- Znaki cię chronią - wyjaśnił Jean-Claude.

- Co czuje publiczność?

- Ostry ból w okolicy serca. Brzemie starości. Gwałtowną trwogę tragicznego wypadku.

Westchnienia, krzyki i jęki przepełniły ciemność, gdy słowa Olivera docierały do kolejnych osób, uświadamiając im po kolei ich własną, kruchą śmiertelność. To było odrażające. Coś, co żyło od miliona lat, przypominało nędznym ludziom o kruchości ich życia.

- Skoro śmierć jest nieunikniona, czy nie lepiej jest umrzeć w naszym chwalebnym uścisku? - Łamią zaczęła pełzać po podium, aby zaprezentować się widzom. - Ona mogłaby poprowadzić was ku słodkiej, przecudownej ciemności, a jej uścisk dałby wam niewyobrażalną rozkosz. Czynimy śmierć prawdziwym świętem, przejście jest radosne i przyjemne. Żadnych niepotrzebnych wątpliwości. Przed śmiercią będziecie pragnąć poczuć na sobie jej ręce. Ona pokaże wam radości nieznane dotąd śmiertelnikom. Czy śmierć to tak wysoka cena, skoro i tak musicie umrzeć? Czy nie lepiej odejść, czując na skórze dotyk

naszych ust, niż wpatrywać się z utęsknieniem we wskazówki nieubłaganego zegara? Tu i ówdzie rozległy się okrzyki:

- Tak... Proszę...

- Powstrzymaj go - rzuciłam.

- To jego czas, *ma petite*. Nie mogę go uciszyć.

- Oferuję wam spełnienie waszych najmroczniejszych marzeń. Spełnią się one w naszych ramionach, moi przyjaciele. Przybądźcie do nas już teraz.

W ciemnościach zakotłowało się. Rozbłyły światła, ludzie zaczęli wstawać z miejsc.

W pośpiechu gramolili się przez barierkę. Zmierzali na spotkanie ze śmiercią. W świetle wszyscy nagle zamarli. Zaczęli rozglądać się dokoła, jakby przebudzili się z głębokiego snu.

Niektórzy sprawiali wrażenie zakłopotanych, ale jeden z mężczyzn, tuż przy barierce, był bliski łez, jakby utracił upragnioną, wymarzoną wizję. Osunął się na klęczki, jego ramiona drżały. Płakał w głos. Co ujrzał pod wpływem słów Olivera? Co poczuł? Boże, uchron nas przed tym.

Gdy zapalono światła, ujrzałam, co wtoczono, podczas gdy czekaliśmy cierpliwie za zasłonami. Wyglądało to jak marmurowy ołtarz z wiodącymi doń schodami. Stał pomiędzy dwoma podwyższeniami, jakby na coś czekał. Na co? Odwróciłam się, aby zapytać Jean Claude'a, ale coś zaczęło się dziać.

Rashida oddaliła się od podium, stając blisko barierki i publiczności. Stephen w skąpych slipkach stanął po drugiej stronie areny. Jego niemal nagie ciało było gładkie i nieskazitelne jak ciało Rashidy.

- Nasze rany szybko się goją - powiedziała.

- Panie i panowie, damy wam parę chwil na pozbieranie się po pierwszym tego wieczoru pokazie mocy magicznych. A potem ujawnimy wam niektóre z naszych sekretów. Publiczność wróciła na swoje miejsca. Ktoś z obsługi pomógł szlochającemu mężczyźnie usiąść na krześle. Widzowie zamilkli. Nigdy dotąd nie widziałam równie wielkiego, cichego i równie spokojnego tłumu. Było cicho jak makiem zasiał.

- Wampiry są w stanie przywoływać na pomoc zwierzęta. Moim zwierzęciem jest wilk

- kontynuował Jean-Claude. Przespacerował się po podium wraz ze swymi pupilami. Stałam tam w blasku reflektora, niepewna, co miałam dalej robić. Po prostu tam byłam. - Mogą również przywoływać ludzkich krewniaków wilka, czyli wilkołaki. - Wykonał zamaszty gest ręką. Rozbrzmiała muzyka. Zrazu cicha i delikatna, zaczęła przybierać na sile aż do rozzwierającego crescendo.

Stephen osunął się na kolana. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Rashida także leży na ziemi. Oboje mieli dokonać przemiany na oczach publiczności. Nigdy dotąd nie widziałam transformacji zmiennokształtnego. Muszę przyznać, że wzbudzało to moją... ciekawość. Stephen opadł na czworaki. Jego nagie plecy wykrzywiły się w łuk. Długie, jasne włosy dotykały ziemi. Skóra na plecach zafalowała jak woda, pośrodku pojawiły się kościste wypustki kręgosłupa. Rozłożył ręce jak przy pokłonie, opuścił głowę tak, że niemal dotykał twarzą ziemi. Spod skóry na jego rękach wyłoniły się kości. Jęknął. Coś się pod nią przesunęło, coś co wyglądało jak wijące się węże. Kręgosłup Stephena wygiął się w górę. Na plecach zaczęła wyrastać sierść, rozprzestrzeniając się z nieprawdopodobną szybkością, jak na filmie puszczone w przyspieszonym tempie. Spod skóry wypłynęły kości i jakiś gęsty, przezroczysty śluz. Mięśnie wiły się niczym węgorze. Zupełnie jakby wilcza postać usiłowała wydostać się z okowów ludzkiego ciała. Sierść rosła coraz szybciej, przybierając barwę

ciemnego miodu. Futro zatuszowało pewne szczegóły przemiany, i to mnie ucieszyło. Z jego gardła wydobyło się coś pomiędzy skowytami a krzykiem. Ostatecznie moim oczom ukazał się ten sam wilkołak, którego ujrzałam tego wieczoru, gdy walczyliśmy z wielką kobrą. Człowiek-wilk uniósł pysk ku górze i zawył. Od tego dźwięku włosy stanęły mi dęba. Z drugiego końca areny dobiegł podobny odgłos. Odwróciłam się i ujrzałam drugiego wilkołaka, ale czarnego jak sadza. Rashida?

Publiczność zaczęła klaskać, tupać i pohukiwać. Wilkołaki wróciły pod podium.

Przycupnęły po obu jego stronach.

- Ja nie mogę zaprezentować wam niczego równie widowiskowego. - Oliver znów znalazł się w blasku jupiterów. - Moim zwierzęciem jest wąż. - Lamia oplotła go, sycząc tak głośno, że wszyscy obecni musieli to usłyszeć. Rozwidlony język musnął jego pobielone ucho. Wskazał ręką podnóże podium. Przy schodach stanęły dwie czarno odziane postaci w kapturach zasłaniających twarze. - To moje stworzenia, ale zostawmy je na później, dzięki czemu zaskoczenie będzie większe. - Spojrzał na nas. - Zaczynamy.

Znów zgasty światła. Tłumiłam w sobie chęć wyciągnięcia ręki i odnalezienia w ciemnościach dłoni Jean-Claude'a.

- Co się dzieje?

- Rozpoczyna się walka - odparł.

- Jak to?

- Nie zaplanowaliśmy reszty wieczoru, Anito. Walka jak to walka, będzie chaotyczna, brutalna i krwawa. - Stopniowo zaczęły zapalać się światła, aż całe wnętrze namiotu załała słaba poświata, panował teraz półmrok, jak o zmierzchu lub o wschodzie słońca. - Zaczyna się - wyszeptał.

Lamia spłynęła po schodach i wojownicy obu stron ruszyli do boju. To nie była bitwa.

To była bijatyka bez żadnych zasad, bardziej barowa bójka niż wojenna potyczka. Istoty w kapturach rzuciły się naprzód. Dostrzegłam coś, co wyglądało jak węzowe cielsko, ale nie było węzem. Huknęła seria z karabinu maszynowego i stwór zatoczył się w tył. Edward. Zaczęłam schodzić po stopniach, z pistoletem w dłoni. Jean-Claude nawet nie drgnął.

- Nie idziesz? - spytałam.

- Prawdziwy bój rozegra się tu, na górze, *ma petite*. Zrób, co tylko możesz, ale i tak wszystko sprowadzi się do konfrontacji mocy pomiędzy mną a Oliverem.

- On ma milion lat. Nie pokonasz go.

- Wiem.

Patrzyliśmy przez chwilę na siebie.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Ja również, *ma petite*, Anito. Ja również. Zbiegłam po schodach, aby włączyć się do walki. Wężostwór padł z czaszką rozłupaną na dwoje serią z karabinu maszynowego. Edward stanął nieco z tyłu, z Richardem, który trzymał w dłoni rewolwer. Strzelał do jednego z zakapturzonych stworów, ale nawet go nie spowolnił. Wycelowałam i wypaliłam w zakapturzony łeb. Stwór potknął się i odwrócił do mnie. Kaptur zsunął się, odsłaniając głowę kobry wielkości końskiego łba. Od szyi w dół miał ciało kobiety, ale powyżej... ani moja kula, ani te wystrzelone przez Richarda nie wyrządziły mu najmniejszej szkody.

Stwór zaczął wspinać się po schodach. Szedł po mnie. Nie wiedziałam, czym był ani jak go powstrzymać.

Stwór rzucił się na mnie. Upuściłam pistolet i prawie udało mi się wyciągnąć nóż, kiedy ponownie runął z całym impetem. Wylądowałam na stopniach, stwór na mnie. Odchylił głowę do tyłu, szykując się do zadania ciosu. Wydobyłam nóż. Zatopił zęby w moim ramieniu. Wrzasnęłam i wbiłam nóż w ciało. Ostrze pogrzyżyło się prawie po rękojeść, ale rezultat był żaden, zero krwi, zero bólu. Istota wgryzała się w moje ramię, wtłaczając w nie truciznę, a nóż nie wywoływał u niej żadnej reakcji. Krzyknęłam raz jeszcze.

W mojej głowie rozbrzmiał głos Jean-Claude'a.

- Jesteś teraz uodporniona na truciznę.

Bolało jak cholera, ale nie groziło mi, że wyzionę ducha. Wbiłam nóż w gardło

stwora, przez cały czas krzyczałam, nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić. Istota zaczęła się krztusić. Krew spłynęła po mojej ręce. Dźgnęłam raz jeszcze, a stwór odchylił się do tyłu, miał krew na zębach. Zasyczał przeraźliwie i zwłókł się ze mnie. Dopiero teraz zrozumiałam. Słabym punktem tego stwora była (granica pomiędzy ciałem ludzkim a węzowym.

Lewą ręką sięgnęłam po browninga; prawe ramię miałam mocno pokiereszowane. Ściągnęłam spust i z szyi stwora buchnęła krew. Istota odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Nie próbowałam jej ścigać.

Leżałam na stopniach, przyciskając prawą rękę do ciała. Chyba żadna z kości nie została złamana, ale ból był potworny. Nawet krwawienie nie było tak obfite, jak się spodziewałam. Spojrzałam na Jean-Claude'a. Stał w bezruchu, ale coś się poruszyło, jak falowanie powietrza podczas silnych upałów. Oliver na swoim podium się nie poruszał.

To dopiero miała być prawdziwa walka; śmierć kogokolwiek tu, na dole, miała znaczenie jedynie dla tych, co zginą i dla nikogo więcej.

Przycisnęłam rękę do brzucha i zesłam po schodach do Edwarda i Richarda. Zanim znalazłam się na samym dole, ręka przestała mnie boleć. Ucieszyłam się, mogąc przełożyć pistolet do prawej ręki. Spojrzałam na ranę po ukąszeniu i nieźle się zdziwiłam, widząc, jak szybko się goi. Trzeci znak. Zdrowiałam jak zmiennokształtna.

- Nic ci nie jest? - spytał Richard.

- Wygląda na to, że nie.

Edward patrzył na mnie.

- Powinnaś być umierająca.

- Wyjaśnienia odłożmy na potem - rzuciłam.

Kobropodobny stwór leżał u stóp podwyższenia, z czerepem rozpołowionym ogniem z broni maszynowej. Edward bardzo szybko się przystosowywał.

Rozległ się wysoki, przeszywający krzyk. Alejandro obrócił trzymaną w ramionach Yasmeen, jedną ręką przytrzymał ją z tyłu, drugą opasywał w talii. To Marguerite krzyczała. Szamotała się w uścisku Karla Ingera. Nie miała szans. Podobnie jak Yasmeen. Alejandro rozszarpał jej gardło. Krzyknęła. Kłapięciem zębów rozłupał jej kręgosłup, aż krew zachlapała mu twarz. Zwiotczała w jego ramionach. Szybki ruch i jego dłoń wyłoniła się z ziejącego otworu w jej piersi, a palce zwały, miażdżąc serce na krwawą miazgę.

Marguerite nie przestawała krzyczeć. Karl puścił ją, ale ona jakby tego nie zauważyła. Paznokciami zaczęła rozorywać sobie policzki do krwi. Osunęła się na kolana, wciąż rozdzierając sobie twarz.

- Jezu - wyszeptałam - niech ją ktoś powstrzyma.

Karl patrzył na mnie. Uniosłam browninga, ale Inger dał nura za podium Olivera. Podeszłam do

Marguerite. Alejandro zastąpił mi drogę.

- Chcesz jej pomóc?

- Tak.

- Pozwól, abym nałożył na ciebie dalsze dwa znaki, a zejdem ci z drogi.

Pokręciłam głową.

- Miasto za jedną, szaloną ludzką służebnicę? Nic z tego.

- Padnij, Anito!

Rzuciłam się plackiem na ziemię, a Edward puścił nad moją głową strugę płynnego ognia. Czułam, jak przetacza się nade mną fala żaru.

Alejandro wrzasnął. Uniosłam na moment wzrok i zauważyłam, że wampir płonie. Machnął palącą się ręką z boku na bok, a ja poczułam, że coś przepływa nade mną z powrotem w stronę... Edwarda. Przeturlałam się, a Edward wylądował na wznak, usiłując możliwie jak najszybciej wstać. Wylot dyszy miotacza płomieni znów był skierowany w stronę wampira. Rozpłaszczyłam się na ziemi, nie czekając na komendę.

Alejandro wykonał zamaszysty ruch ręką i ogień wycofał się płynnie w kierunku Edwarda.

Ten przetoczył się energicznie po ziemi, aby zdusić płomienie trawiące jego płaszcz. Cisnął palącą się maskę śmierci na ziemię. Zbiornik miotacza stał w ogniu. Richard pomógł mu go zdjąć, po czym obaj pobiegli co sił w nogach. Leżałam w bezruchu, osłaniając głowę dłońmi. Wybuch był tak silny, że aż zatrzęsała się ziemia. Kiedy uniosłam wzrok, ujrzałam sypiące się wokół mnie jak deszcz płonące drobiny i to w zasadzie było wszystko.

Richard i Edward wyjrżeli zza dwóch końców podium. Alejandro stał jak gdyby nigdy nic, w zwęglonym ubraniu i ze skórą pokrytą bąblami. Ruszył wolno w moją stronę.

Podniosłam się z ziemi i wycelowałam broń w Alejandro. Rzecz jasna jak dotąd w starciu z nim pistolet nie zdał się na wiele. Cofałam się, aż znalazłam się przy schodach. Wtedy zaczęłam strzelać. Wszystkie kule dosięgły celu. Zaczął krwawić, ale to nawet go nie spowolniło. Po kolejnym naciśnięciu spustu usłyszałam suchy trzask. Odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki.

Nagle coś uderzyło mnie z tyłu, powalając na ziemię. Alejandro zwałił mi się na plecy, jedną ręką złapał mnie za włosy i odciągnął głowę do tyłu.

- Odłóż pistolet maszynowy albo skręć jej kark.

- Zastrzel go! - krzyknęłam.

A jednak Edward rzucił peem na podłogę. Cholera. Wydobył pistolet i starannie wymierzył. Ciałem Alejandro targnął silny dreszcz, a potem usłyszałam jego śmiech.

- Srebrną kulą mnie nie zabijesz.

Przygniótł mi plecy kolaniem, po chwili w jego dłoni błysnął nóż.

- Nie - warknął Richard - on jej nie zabije.

- Jeżeli się wtrącis, poderżnę jej gardło, ale jeśli zaraz stąd odejdziecie, nie skrzywdzę jej.

- Zabij go, Edwardzie!

Wampirzyca rzuciła się na Edwarda, przewracając go na ziemię. Richard próbował zwlec ją z niego, ale w tej samej chwili na jego plecy skoczył mały wampir. To była kobieta i dzieciak, których widziałam tamtej nocy.

- Teraz, gdy twoi przyjaciele są zajęci, dokończymy to, co zaczęliśmy.

- Nie!

Nóż tylko lekko mnie skaleczył, ból był jednak ostry i dojmujący, pomimo znikomości rany. Wampir pochylił się nade mną.

- Nie będzie bolało, obiecuję.



Krzyknęłam.

Przyłożył usta do rany i zaczął ssać. Kłamał. Bolało. Wtem otoczył mnie aromat kwiatów. Tonęłam w powodzi tego zapachu. Nic nie widziałam. Świat był ciepły i przesycony słodką wonią.

Gdy znów mogłam widzieć i myśleć, leżałam na wznak, wpatrując się w materiałowe sklepienie. Silne ręce dźwignęły mnie w górę i przytuliły. Alejandro objął mnie. Naciął sobie do krwi skórę na piersi, tuż nad sutkiem.

- Pij

Zacząłam stawiać opór, odpychając go od siebie. Zaczął dociskać dłonią mój kark, zmuszając, abym pochyliła głowę w stronę rany.

- Nie!

Wyjęłam drugi nóż i wbiłam mu w pierś, usiłując dosięgnąć serca. Stęknął i schwyciwszy za rękę, ścisnął ją, aż upuściłam nóż.

- Nie tędy droga. Srebrem nic nie wskórasz. Jestem już ponad to.

Wciąż zmuszał mnie do opuszczenia głowy, a ja nie miałam siły, aby mu się przeciwstawić. Mógłby zmiażdżyć mi czaszkę jedną ręką, ale on tylko przytknął moje usta do rany na piersi. Krew była słono-słodka, z lekko metalicznym posmakiem. To tylko krew.

- Anito! - zawołał Jean-Claude. Nie byłam pewna, czy zrobił to na głos, czy też słyszałam go tylko w mojej głowie.

- Przez krew z mojej krwi, ciało z mego ciała, dwoje stanie się jednością. Jednym ciałem, jedną krwią, jedną duszą.

Gdzieś w moim wnętrzu coś pękło. Poczułam to. Ogarnęła mnie fala płynnego ciepła. Poczułam je aż na skórze. Zaczęła swędzieć. Świerzbiły mnie też koniuszki palców. Wyprężyłam się jak struna w przerażającym, konwulsyjnym skurczu. Silne ręce pochwyciły mnie, przytrzymały, ukołysały. Dłoń odgarnęła mi włosy z twarzy. Otworzyłam oczy, aby ujrzeć Alejandro. Już się go nie bałam. Pławiłam się w bezmiarze spokoju.

- Anito? - To był Edward. Na ten dźwięk odwróciłam się powoli.

- Edwardzie.

- Co on ci zrobił?

Zastanawiałam się, jak mam mu to wyjaśnić, ale mój umysł nie chciał wydobyć odpowiednich słów. Usiadłam, delikatnie odsuwając się od Alejandro.

U stóp Edwarda walał się stos ciał zabitych wampirów. Może Alejandro był odporny na srebro, ale jego poddani nie posiadali tej jakże przydatnej właściwości.

- Uczynimy o wiele więcej - rzekł Alejandro. - Potrafisz czytać w moich myślach?

Okazało się, że potrafie, wystarczyło tylko o tym pomyśleć, ale to nie było tak jak z telepatią. Nie słyszałam słów. Po prostu... wiedziałam, że myślał o mocy, którą właśnie mu przekazałam. Nie żałował wampirów, które zginęły.

Tłum zawył.

Alejandro uniósł wzrok. Podążyłam za jego spojrzeniem. Jean-Claude klęczał, po jego boku spływała krew. Alejandro zazdrościł Oliverowi umiejętności ranienia do krwi na odległość. Kiedy stałam się służebnicą Alejandro, Jean-Claude znacznie osłabł. Oliver był bliski zwycięstwa. I od początku o to właśnie chodziło. Alejandro przyciągnął mnie do siebie, a ja nie próbowałam się opierać. Wyszeptał w mój policzek:

- Jesteś nekromantką, Anito. Masz władzę nad umarłymi. To dlatego Jean-Claude pragnął, abyś stała się jego służebnicą. Oliver sądzi, że może mieć nad tobą władzę dzięki kontroli nade mną, ale ja wiem, że jesteś nekromantką. Nawet jako służebnica nie zatracisz wolnej woli. Nie musisz się

podporządkowywać woli mistrza tak jak inni. Jako ludzka służebnica stanowisz broń sama w sobie. Mogłabyś zaatakować któregokolwiek z nas i utoczyć krew.

- O czym ty mówisz?

- Układ jest taki, że przegrany zostanie położony na ołtarzu i to ty będziesz musiała go zakołkować.

- Co...

- Jean-Claude w formie afirmacji swej potęgi. Oliver w charakterze pokazu pełnej kontroli nad tym, co niegdyś należało do Jean-Claude'a.

Przez tłum przetoczyło się westchnienie. Oliver powoli zaczął lewitować. Po chwili płynnie wylądował na ziemi. Uniósł ręce i tym razem to Jean-Claude uniósł się w górę.

- Cholera - mruknęłam.

Jean-Claude był prawie nieprzytomny, gdy tak wznosił się w pustym, roziskrzonym powietrzu. Oliver delikatnie położył go na ziemi, a białą posadzkę zrosiła świeża krew. Po chwili pojawił się Karl Inger. Prawie bez wysiłku wziął Jean-Claude'a na ręce.

Gdzie się wszyscy podziali? Rozejrzałam się dokoła, wypatrując pomocy. Czarny wilkołak został rozdarty na strzępy, fragmenty jego ciała wciąż jeszcze podrygiwały konwulsyjnie. Wątpiłam, aby nawet lykantrop potrafił uleczyć tak poważne obrażenia. Blondwłosego wilkołaka nie wyglądał lepiej, ale Stephen czołgał się w kierunku ołtarza. Choć urwano mu jedną nogę, on wciąż się nie poddawał.

Karl położył Jean-Claude'a na marmurowym ołtarzu. Po jego ścianie zaczęła płynąć krew. Przytrzymał go lekko za ramiona. Jean-Claude mógł dźwignąć w górę samochód. Jak to możliwe, że Karl z taką łatwością go unieruchomił?

- Dzieli siłę z Oliverem.

- Nie rób tak więcej - rzuciłam.

- Czego mam nie robić?

- Odpowiadać na nie wypowiedziane pytania.

Uśmiechnął się.

- Dzięki temu można zaoszczędzić sporo czasu.

Oliver wziął do ręki biały, polerowany kołek i duży drewniany młotek. Podał mi je.

- Już czas.

Alejandro chciał pomóc mi wstać, ale odepchnęłam go od siebie. Pal licha czwarty znak, mogłam się podnieść o własnych siłach.

- Nie! - krzyknął Richard. Minął nas, podbiegając pędem do ołtarza. Miałam wrażenie, że wszystko toczy się w zwolnionym tempie. Rzucił się na Olivera, a ten drobny człowieczek schwycił go za szyję i rozerwał mu tchawicę.

- Richardzie!

Biegłam w jego stronę, lecz było już za późno. Osunął się na posadzkę, buchając krwią i usiłując oddychać, co rzecz jasna było już w jego przypadku niemożliwe. Uklękałam przy nim, próbując powstrzymać upływ krwi. Oczy miał rozszerzone i przepełnione paniką. Tuż przy mnie pojawił się Edward.

- Już nic nie możesz zrobić. Nikt z nas nie może mu pomóc.

- Nie.

- Anito. - Odciągnął mnie od Richarda. - Już za późno.

Płakałam, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Chodź, Anito; zniszcz swego byłego mistrza, tak jak tego pragnęłaś. - Oliver ponownie podsunął mi młotek oraz kołek.

Pokręciłam głową.

Alejandro pomógł mi wstać. Sięgnęłam ręką w stronę Richarda, ale było już za późno. Edward nie mógł mi pomóc. Nikt mi nie mógł pomóc. Nie było sposobu na usunięcie czwartego znaku, uzdrowienie Richarda czy ocalenie Jean-Claude'a. Ale tak czy siak nikt mnie nie zmusi do zakołkowania Jean-Claude'a. To akurat mogłam powstrzymać. Nie zrobię tego i już.

Alejandro prowadził mnie w stronę ołtarza.

Marguerite podczołgała się do podium. Uklękła, kołysząc się w przód i w tył. Jej twarz przypominała krwawą maskę. Wyłupiła sobie oczy.

Oliver ponownie podsunął mi drewniany młotek i kołek. Dłonie miał w białych rękawiczkach, zabarwionych teraz krwią Richarda.

Pokręciłam głową.

- Weźmiesz je. Zrobisz, co ci każę. - Jego drobne oblicze przepelnił wyraz powagi.

- Pieprz się - warknęłam.

- Alejandro, teraz ty ją kontrolujesz.

- Tak, panie, jest moją służebnicą.

Oliver podał mi kołek.

- Wobec tego zmusz ją, aby go unicestwiła.

- Nie mogę jej zmusić, mistrzu. - Mówiąc te słowa, Alejandro uśmiechnął się.

- Dlaczego nie?

- To nekromantka. Mówiłem ci, że zachowa wolną wolę.

- Nie pozwolę, by jakaś uparta kobieta zniweczyła moje wielkie plany.

Próbował ovladnąć moim umysłem. Poczułam go, niczym wicher rozpętujący się wewnątrz mojej czaszki, ale jego podmuchy już po chwili ustały. Byłam pełnoprawną ludzką służebnicą, wampirze sztuczki już na mnie nie działały. Nawet sztuczki Olivera.

Zaśmiałam się, a on mnie spoliczkował. Poczułam w ustach smak krwi. Stał obok mnie i poczułam, że zdrzał. Cały aż trząsł się z wściekłości. Niweczyłam jego plany.

Alejandro był zadowolony. Czułam jego radość jak dotyk ciepłej dłoni na brzuchu.

- Skończ z nim albo obiecuję ci, że zrobię z ciebie krwawą miazgę. Teraz już nie tak łatwo cię zabić.

Mogę zadać ci więcej bólu i udręki, niż sobie wyobrażasz, a jednak wrócisz po tym do zdrowia.

Niemniej jednak wiedz, że poznasz, co znaczy prawdziwe cierpienie. Rozumiesz, o czym mówię?

Spojrzałam na Jean-Claude'a. Wpatrywał się we mnie. Jego ciemnoniebieskie oczy wyglądały piękniej niż kiedykolwiek.

- Nie zrobię tego - stwierdziłam.

- Nadal ci na nim zależy? Po tym wszystkim, co ci zrobił? - Skinęłam głową. - Zabij go, i to już, teraz, natychmiast albo sam go unicestwię i zrobię to bardzo, bardzo wolno. Będę obdzierał z tkanek jego kości, kawałek po kawałku, tak aby konał jak najdłużej. Dopóki serce i głowa pozostaną nietknięte, nie umrze, niezależnie od tego, co mu zrobię.

Spojrzałam na Jean-Claude'a. Nie mogłam stać beczynn timer i patrzeć spokojnie, jak Oliver będzie go torturował. Musiałam jakoś zareagować. Zrobić coś. Czy szybka śmierć nie była lepszym rozwiązaniem? Kto to wie. Wzięłam z rąk Olivera kołek.

- Zrobię to.

Oliver uśmiechnął się.

- Mądra decyzja. Jean-Claude podziękowałby ci, gdyby mógł. - Przeniosłam wzrok na Jean-Claude'a, trzymając w ręku kołek. Dotknęłam jego piersi, tuż nad blizną w kształcie krzyża. Gdy cofałam dłoń, cała była śliska od krwi. - Zrób to! Natychmiast! - rzucił Oliver.

Odwróciłam się do Olivera, wyciągając lewą rękę po kołek. Gdy mi go podał, wbiłam osikowy

kołek w jego pierś.

Karl krzyknął. Z ust Olivera buchnęła krew. Zamarł w bezruchu, jakby z kołkiem wbitym w serce nie mógł się poruszyć, ale nie był martwy, jeszcze nie. Wbiłam mu palce w gardło i szarpnęłam, wyrywając spore fragmenty tkanek, aż moim oczom ukazał się wilgotny i lśniący kręgosłup. Zacisnęłam palce na jednym z kręgów i wyszarpnęłam. Głowa Olivera przekrzywiła się na bok, zwisając na paru strzępach skóry i mięsa. Oderwałam mu głowę i cisnęłam na drugi koniec podium. Karl Inger leżał przy ołtarzu. Uklękałam przy nim i spróbowałam wyczuć puls. Bez powodzenia. Śmierć Olivera zabiła również jego.

Alejandro zbliżył się do mnie.

- Dokonałaś tego, Anito. Wiedziałem, że możesz go zabić. Byłem pewien, że dasz sobie radę. - Spojrzałam na niego. - A teraz zabijesz Jean-Claude'a i wspólnie będziemy władać tym miastem. - Tak.

Prawie bez zastanowienia uderzyłam z całej siły, musiałam to zrobić szybko, aby nie zdołał wychwycić w myślach moich intencji. Wbiłam dłonie w jego klatkę piersiową. Trzasnęły żebra, rozcinając mi skórę. Zacisnęłam palce na jego bijącym sercu i zmiażdżyłam oporny mięsień.

Nie mogłam oddychać. Coś ścisnęło mnie w piersiach. Ból był porażający. Wyszarpnęłam jego serce z klatki piersiowej. Upadł z wybałuszonymi oczami i wyrazem zdziwienia na twarzy. Ja także runęłam na ziemię. Z trudem próbowałam zaczerpnąć powietrza. Nie mogłam złapać tchu. Leżałam na ciele mego mistrza i czułam moje serce bijące dla nas obojga. Nie chciał umrzeć.

Zacisnęłam palce na jego szyi i zaczęłam wbijać je w miękkie ciało. Oplotłam szyję dłońmi, dusząc z wszystkich sił. Czułam, jak moje dłonie zagłębiają się w ciele, ale ból był przepotworny. Dławiłam się krwią, naszą krwią.

Traciłam czucie w rękach. Nie wiem, czy wciąż wzmagałam uścisk, czy już rozluźniłam chwyt. Nie czułam nic oprócz bólu. A potem nawet on odpłynął, a ja runęłam na łeb na szyję w ciemność, która nie zaznała i nigdy nie zazna choćby odrobiny światłości.

**48**

Obudziłam się, wpatrując w bielony sufit. Zamrugałam kilka razy powiekami. Promienie słońca kładły się ciepłymi pasmami na kocu. Łóżko miało metalowe boki. Do ramienia miałam podłączoną kroplówkę. Szpital, a więc nie zginęłam. Życie jest pełne niespodzianek.

Na małym nocnym stoliku były kwiaty i pęk lśniących balonów. Przez chwilę leżałam, ciesząc się świadomością tego, że żyję.

Drzwi otworzyły się i jedyne, co zobaczyłam, to olbrzymi bukiet kwiatów. Bukiet zniżył się i ujrzałam za nim Richarda.

Chyba wstrzymałam oddech. Czułam, jak krew krąży w moich żyłach. Słyszałam jej szum w skroniach. Nie. Nie zemdleję. Ja nigdy nie mdleję. Wreszcie wykrztusiłam:

- Ty nie żyjesz.

Jego uśmiech przygasł.

- Żyję.

- Widziałam, jak Oliver rozszarpał ci gardło. - Ujrzałam tę scenę przed oczami. Widziałam go ciężko dyszącego, konającego.

Postanowiłam usiąść. Zaparłam się, igła kroplówki poruszyła się pod moją skórą, plaster napiął się. To było naprawdę. Nic więcej nie wydawało mi się prawdziwe.

Uniósł dłoń do szyi i nagle znieruchomiał. Przełknął ślinę tak głośno, żebym to usłyszała.

- Widziałaś, jak Oliver rozerwał mi gardło, ale to mnie nie zabiło.

Spojrzałam na niego. Nie miał opatrunku na policzku. Drobne skaleczenie zagoiło się.

- Żaden człowiek nie mógłby tego przeżyć - rzekłam półgłosem.

- Wiem. - Mówiąc to, wydawał się niewiarygodnie smutny.

Panika sprawiła, że głos uwiązł mi w gardle.

- Kim jesteś?

- Lykantropem.

Pokręciłam głową.

- Potrafię wyczuć lykantropa, wiem, jak one się poruszają. Ty nim nie jesteś.

- Owszem, jestem.

Wciąż przecząco kręciłam głową.

- Nie.

Podszedł, aby stanąć przy łóżku. Trzymał bukiet niezdarnie, jakby nie wiedział, co ma z nim zrobić.

- Jestem następny w kolejce do objęcia pozycji przywódcy stada. Potrafię udawać człowieka, Anito.

Jestem w tym dobry.

- Okłamałeś mnie.

Pokręcił głową.

- Nie chciałem.

- Czemu więc to zrobiłeś?

- Jean-Claude nie pozwolił, abym ci powiedział.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Chyba dlatego, że wiedział, iż to ci się nie spodoba. Nie wybaczasz oszustwa. I on o tym wie. - Czy Jean-Claude celowo próbowałby zniszczyć potencjalny związek między mną a Richardem? Tak. -

Pytałaś, co ma na mnie Jean-Claude. Właśnie to. Mój przywódca stada wypożyczył mnie Jean-Claude'owi pod warunkiem, że nikt nie dowie się, kim jestem.

- Dlaczego? Po co te wszystkie sekrety?

- Ludzie nie życzą sobie, aby lykantropy uczyły ich dzieci, i nie tylko dzieci, nawiasem mówiąc.

- Jesteś wilkołakiem.

- Czy to nie lepsze, niż być truposzem?

Wypuścił oddech, jakby go wstrzymywał. Uśmiechnął się i podał mi kwiaty.

Przyjęłam je, bo nie wiedziałam, co mogłabym zrobić innego. Goździki pachniały tak słodko. Richard był wilkołakiem. Następnym z rzędu do objęcia funkcji przywódcy stada. Mógł z powodzeniem udawać człowieka. Spojrzałam na niego. Wyciągnęłam do niego rękę. Ujął ją. Jego dłoń była ciepła, mocna, żywa.

- Teraz, kiedy już wiemy, dlaczego nie umarłeś, może wyjaśnisz mi, jakim cudem ja nadal żyję?

- Edward robił ci sztuczne oddychanie aż do przyjazdu karetki. Lekarze nie wiedzą, co sprawiło zatrzymanie akcji twego serca, ale nie wystąpiły żadne trwałe uszkodzenia.

- Co powiedzieliście policji na temat ciała?

- Jakich ciała?

- Daj spokój, Richardzie.

- Zanim przyjechała karetka, nie było już żadnych ciał.

- Ale przecież goście wszystko widzieli.

- Tylko co było prawdą, a co iluzją? Policja zebrała od gości setkę zeznań o całkiem różnej treści. Gliny coś podejrzewają, ale nie mogą niczego udowodnić. Cyrk został zamknięty, dopóki władze nie upewnią się, że jest całkiem bezpieczny.

- Bezpieczny? - Wybuchnęłam śmiechem.

Wzruszył ramionami.

- Na tyle, na ile to możliwe.

Uwolniłam dłoń z uścisku Richarda i ujęłam bukiet, żeby napawać się aromatem kwiatów.

- Czy Jean-Claude... żyje?

- Tak.

Poczułam ogromną ulgę. Nie chciałam, aby zginął. Cholera.

- A więc wciąż jest Mistrzem Miasta. A ja nadal jestem z nim związana.

- Nie - zaproponował Richard. - Jean-Claude polecił, abym ci to przekazał. Jesteś wolna. Znaki Alejandra w jakiś sposób usunęły jego znamiona. Nie możesz służyć dwóm panom. Tak powiedział.

- Jestem wolna? Wolna? - Spojrzałam na Richarda. - To nie może być takie proste.

Richard zaśmiał się.

- Według ciebie to proste?

Uniosłam wzrok. Mimowolnie się uśmiechnęłam.

- No dobrze, to nie było proste, a jednak nie sądziłam, że cokolwiek innego oprócz śmierci może uwolnić mnie od Jean-Claude'a.

- Cieszysz się, że znaki zostały zniesione?

Chciałam powiedzieć: „Oczywiście”, ale nie zrobiłam tego. Na twarzy Richarda malował się wyraz niezwykłej powagi. Wiedział, co oznaczało zaoferowanie komuś potęgi i władzy. Zjednoczenie z potworami. To mogło być przerażające i cudowne zarazem.

- Tak - odparłam w końcu.

- Naprawdę? - Pokiwałam głową. - Nie wyglądasz na zbytnio uszczęśliwioną mruknął.

- Wiem, powinnam skakać z radości czy coś w tym rodzaju, ale po prostu czuję się pusta.

- Sporo przeszłaś w ostatnich dniach. Nie dziwię się, że czujesz się trochę otępiała.

Czemu nie cieszyłam się bardziej, że uwolniłam się od Jean-Claude'a? Dlaczego nie czułam ulgi, że nie byłam już niczyją służebnicą? Ponieważ mi go brakowało? Głupie. Absurdalne. Ale to prawda.

Gdy trudno jest ci czasem o czymś myśleć, myśl o czymś innym.

- Zatem wszyscy już wiedzą, że jesteś wilkołakiem.

- Nie.

- Byłeś w szpitalu, ale już wróciłeś do zdrowia. Chyba mogą się czegoś domyślać.

- Jean-Claude ukrył mnie do czasu, aż wróciłem do zdrowia. Dziś po raz pierwszy wybrałem się na spacer.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Tydzień.

- Żartujesz.

- Przez trzy dni leżałaś w śpiączce. Lekarze wciąż nie wiedzą, co sprawiło, że zaczęłaś sama oddychać.

Balansowałam na granicy światów. Nie pamiętałam świetlistego tunelu ani kojących głosów. Czułam się oszukana.

- Nie pamiętam.

- Byłaś nieprzytomna. Nie powinnaś niczego pamiętać.

- Usiądź, zanim dostanę skurczu od unoszenia głowy, aby móc na ciebie patrzeć.

Przystawił sobie krzesło i usiadł przy łóżku, uśmiechając się do mnie. To był miły uśmiech.

- A więc jesteś wilkołakiem. - Skinął głową. - Jak to się stało?

Wlepił wzrok w podłogę, po czym nieznacznie uniósł głowę. Wydawał się taki poważny i smutny, że zrobiło mi się go żal. Gdybym mogła wycofać pytanie, zrobiłabym to. Spodziewałam się

dramatycznej opowieści o ataku wilkołaków, z którego cudem ocalał.

- Dostałem złą surowicę przeciw lykantropom.

- Co takiego?

- Słyszałaś. - Wydawał się zażenowany.

- Dostałeś niewłaściwy zastrzyk?

- Tak.

Uśmiechałam się coraz szerzej.

- To nie jest zabawne - mruknął.

Pokręciłam głową.

- Ani trochę. - Wiedziałałam, że błyszczą mi oczy i z trudem powstrzymywałam wybuch śmiechu. -

Musisz przyznać, że jest w tym pewna ironia.

Westchnął.

- Przestań, bo ci zaszkodzi. Nie powstrzymuj dłużej tego śmiechu. No dalej, śmiej się.

Przestałam się hamować. Wybuchnęłam śmiechem i śmiałam się aż do bólu. Richard przyłączył się do mnie. Śmiech także bywa zaraźliwy.

**49**

Nieco później tego samego dnia otrzymałam tuzin białych róż i bilecik od JeanClaude'a. Treść bileciku była następująca: „Jesteś ode mnie wolna, jeśli tego pragniesz. Mam wszelako nadzieję, że będziesz chciała widywać mnie, tak jak ja ciebie. Wybór należy do ciebie. Jean-Claude”. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w kwiaty. W końcu poprosiłam pielęgniarkę, aby dała je komuś innemu, wyrzuciła albo zrobiła z nimi, co zechce. Chciałam, aby znikły mi z oczu. A zatem Jean-Claude nadal mnie pociągał. Może nawet gdzieś w mrocznej głębi mego serca odrobinę go kochałam. To bez znaczenia. Miłość do potwora nigdy jeszcze nie wyszła żadnemu śmiertelnikowi na zdrowie. To stara i niezmienna zasada.

Wciąż zastanawiam się nad Richardem. On też jest potworem, ale przynajmniej żyjącym. Daje mu to sporą przewagę nad Jean-Claudem. Poza tym, czy mógł być mniej ludzki ode mnie: królowej zombi, zabójczynie wampirów, nekromantki? Kimże byłam, aby się skarżyć?

Nie wiem, co stało się ze wszystkimi fragmentami ciał, ale policja nigdy nie przesłuchiwała mnie w tej sprawie. Bez względu na to, czy ocalałam miasto, czy nie, było to morderstwo. Z punktu widzenia prawa Oliver nie uczynił nic złego. Nie zasłużył na śmierć.

Wyszłam ze szpitala i wróciłam do pracy. Larry został w zawodzie. Obecnie uczy się polować na wampiry. Niech Bóg ma go w swej opiece.

Lamia była prawdziwie nieśmiertelna. Co, jak przypuszczam, oznacza, że lamie jako takie nie są gatunkiem, któremu grozi wyginięcie. Po prostu z natury rzeczy występują bardzo rzadko.

Jean-Claude załatwił lamii zieloną kartę i znalazł jej pracę w Cyrku Potępieńców. Nie wiem, czy pozwoli się jej tam rozmnożyć, czy nie.

Odkąd wyszłam ze szpitala, trzymam się możliwie jak najdalej od gmachu Cyrku. Richard i ja mamy wreszcie za sobą naszą pierwszą randkę. Wybraliśmy rozwiązanie klasyczne: kolację i kino. W przyszłym tygodniu wybieramy się na wędrowkę po jaskiniach. Obiecał, że nie będzie niespodzianek w rodzaju zalanych podwodnych tuneli. Jego usta są najdelikatniejszymi ze wszystkich, jakie całowałam. No i co z tego, że raz w miesiącu porasta sierścią. Nikt nie jest doskonały.

Jean-Claude nadal się nie poddaje. Wciąż przysyła mi prezenty. A ja uparcie ich nie przyjmuję. Będę odmawiać tak długo, aż spasuje albo dopóki piekło nie zamrznie, cokolwiek nastąpi wcześniej.

Większość kobiet skarży się, że na tym świecie nie ma już atrakcyjnych wolnych mężczyzn. Ja ze swej strony pragnęłabym spotkać choć jednego, który byłby zwykłym śmiertelnikiem.